

John Grogan

Marley i ja

Życie, miłość i najgorszy pies świata

Pamięci mojego ojca Richarda Franka Grogana,
którego łagodny duch przenika
każdą stronę tej książki.

Przedmowa

Pies doskonały

Latem 1967 roku, kiedy miałem dziesięć lat, mój ojciec w końcu uległ uporczywym błaganiom i pojechaliśmy po mojego własnego psa. Wybraliśmy się rodzinną furgonetką w głąb stanu Michigan, do wiejskiej farmy prowadzonej przez prostą kobietę i jej wiekową matkę. Farma oferowała tylko jeden produkt - psy. Psy wszelkich wyobrażalnych kształtów, rozmiarów, wieku i temperamentu. Miały jedynie dwie rzeczy wspólne: wszystkie były mieszańcami pochodzącymi od nieznanych i niejasnych przodków oraz wszystkie oddawano za darmo w dobre ręce. Znaleźliśmy się na ranczu kundli.

- Nie spiesz się, synu - powiedział tata. - Twoja dzisiejsza decyzja pozostanie z tobą przez wiele nadchodzących lat.

Szybko uznałem, że dorosłe psy będą przedmiotem dobroczynności kogoś innego. Od razu pognałem do klatki ze szczeniakami.

- Trzeba wybrać odważnego - pouczał mnie ojciec. - Spróbuj zagrzechotać w klatkę i zobaczysz, który się nie przestraszy.

Chwyciłem bramkę z łańcuchów i szarpnąłem ją z głośnym łoskotem. Tuzin szczeniaków, albo coś koło tego, poleciał do tyłu. Przewracały się na siebie i utworzyły kłębiącą się górę futra. Został tylko jeden. Był złocisty z białą łatą na piersi i atakował bramkę, szczekając piskliwie i nieustraszenie. Podskakiwał i podniecony lizał moje palce przez ogrodzenie. To była miłość od pierwszego wejrzenia.

Zabrałem go do domu w kartonowym pudełku i nazwałem Shaun. Był jednym z tych psów, którym cały psi ród zawdzięcza swe dobre imię. Niezmordowanie doskonalił wykonywanie wszystkich komend, których go uczyłem, i miał z natury dobre maniery. Mogłem upuścić skórkę na podłogę, a nie tknął jej, dopóki nie powiedziałem, że może. Przychodził,

kiedy go wołałem, i zostawał, kiedy mu kazałem zostać. Mogliśmy go wypuścić w nocy, bo wiedzieliśmy, że wróci, kiedy tylko załatwi swoje sprawy. Nie robiliśmy tego często, ale mogliśmy go zostawić samego w domu na całe godziny, mając pewność, że nie wywoła żadnej katastrofy i nic nie zniszczy. Ściagał się z samochodami, ale nie polował na nie, i chodził przy moim boku bez smyczy. Potrafił zanurkować na dno jeziora, by wypłynąć z kamieniem tak wielkim, że czasami klinował mu się w szczękach. Niczego nie lubił bardziej, niż jeździć samochodem, i siedział spokojnie obok mnie na tylnym siedzeniu podczas rodzinnych podróży zadowolony, że godzinami może się gapić przez okno na mijany świat. A co może najlepsze, nauczyłem go ciągnąć mnie na rowerze jak na sankach, czym bez problemu wywoływałem zazdrość wśród kolegów. Nigdy nie naraził mnie na niebezpieczeństwo.

Był ze mną, kiedy zapaliłem pierwszego (i ostatniego) papierosa i kiedy pocałowałem pierwszą dziewczynę. Siedział też obok mnie na przednim siedzeniu, kiedy podebrałem memu starszemu bratu jego corvaira na moją pierwszą przejażdżkę dla przyjemności.

Shaun był pełen energii, ale opanowany, oddany, ale spokojny. Miał w sobie tyle godności, że gdy musiał załatwić potrzebę, chował się skromnie w krzakach, tak że sponad nich wyzierała tylko jego głowa. Dzięki temu porządnemu zwyczajowi nasze trawniki były bezpieczne dla gołych stóp.

Krewni, którzy wpadali do nas na weekend, wracali do siebie z niezłomnym postanowieniem kupienia sobie psa, takie wrażenie robił na nich Shaun - albo Święty Shaun, jak go nazywałem. To był rodzinny żart - ta świętość - ale prawie w nią wierzyliśmy. Urodzony w wyniku nieznanых krzyżówek był jednym z dziesiątków tysięcy niechcianych psów w Ameryce. Jednak przez niemal opatrnościowy zbieg

okoliczności stał się psem chcianym. Wszedł w moje życie - a ja w jego - i dał mi dzieciństwo, na jakie zasługuje każdy dzieciak.

Miłość trwała 14 lat. Kiedy umierał, nie byłem już małym chłopcem, który przyniósł go do domu w tamten słoneczny dzień. Byłem mężczyzną, skończyłem college i mieszkałem na drugim końcu stanu, bo tam znalazłem moją pierwszą prawdziwą pracę. Święty Shaun został w domu, gdy się wyprowadziłem. Tam należał. Rodzice, wtedy już na emeryturze, zadzwonili, by przekazać mi wiadomość. Mama powiedziała mi później: - Przez 50 lat małżeństwa tylko dwa razy widziałam, jak twój ojciec płakał. Pierwszy raz, kiedy straciliśmy Mary Ann (moją martwo urodzoną siostrę). I drugi raz w dniu, kiedy umarł Shaun.

Święty Shaun mojego dzieciństwa. Był psem doskonałym. A przynajmniej takim będę go zawsze pamiętał. To Shaun ustanowił standardy, według których będę oceniał wszystkie następne psy.

ROZDZIAŁ 1

I szczeniak jako trzeci

Byliśmy młodzi. Zakochani. Rozkoszowaliśmy się tym wspaniałym wczesnym okresem małżeństwa, kiedy życie wydaje się najlepsze z możliwych. A jednak to nam nie wystarczało.

W styczniowy wieczór 1991 roku, piętnaście miesięcy po naszym ślubie, szybko jedliśmy kolację, bo zaraz mieliśmy ruszyć w drogę w sprawie ogłoszenia zamieszczonego w „Palm Beach Post”.

Nie byłem całkiem pewien, dlaczego postanowiliśmy to zrobić. Kilka tygodni wcześniej obudziłem się o świcie. Miejsce w łóżku obok mnie było puste. Wstałem i znalazłem Jenny na werandzie. Siedziała w szlafroku przy szklanym stole pochylona nad gazetą, z długopisem w ręku.

W tej scenie nie było nic niezwykłego. „Palm Beach Post” to była nasza lokalna gazeta, a zarazem źródło połowy naszych dochodów. Oboje zarabialiśmy na życie pisaniem. Jenny jako dziennikarka w „Palm Beach Post”, ja jako reporter w „Sun - Sentinel”, innym miejscowym piśmie, którego redakcja mieściła się w Fort Lauderdale, oddalonym od naszego domu o godzinę drogi na południe. Każdy poranek zaczynaliśmy od przekopywania się przez gazety, sprawdzając, jak wydrukowali nasze artykuły i jak wypadliśmy na tle konkurencji. Zaznaczaliśmy, kreśliliśmy i wycinaliśmy w zapamiętaniu.

Tamtego jednak ranka Jenny siedziała z nosem zanurzonym nie w wiadomościach, lecz w rubryce ogłoszeń. Kiedy podszedłem bliżej, zobaczyłem, że coś energicznie podkreśla w dziale „Zwierzęta domowe. Psy”.

- Hm - odezwałem się dyplomatycznie, łagodnym tonem wciąż jeszcze świeżo upieczonego męża. - Czy chciałabyś ze mną o czymś porozmawiać?

Nie odpowiedziała.

- Jen - Jen?

- To ta roślina - rzuciła wreszcie z desperacją w głosie.

- Roślina? - spytałem.

- Ta durna roślina - wyjaśniła. - Ta, którą zamordowaliśmy. My? Nie chciałem się upierać, ale prawda była taka, że to ja

kupiłem roślinę, ale to ona ją zamordowała. Pewnego wieczoru wróciłem do domu z niespodzianką. Przyniosłem piękną, wielką diffenbachię o kremowo - szmaragdowych liściach.

- Z jakiej okazji? - zapytała Jenny. Bez okazji. Zrobiłem jej prezent tylko po to, by móc powiedzieć: „Cholerka, czy życie małżeńskie nie jest wspaniałe?”.

Zachwycona i moim gestem, i rośliną, zarzuciła mi ręce na szyję i pocałowała mnie w usta. Zaraz potem ochoczo zabrała się do uśmiercania mojego prezentu z zimną skutecznością zawodowca. Nie dlatego, że chciała się go pozbyć. Po prostu zakarmiła nieszczęsną roślinę na śmierć. Jenny nie miała ręki do kwiatów. Działała z przekonaniem, że wszystkie żywe stworzenia potrzebują wilgoci, równocześnie jednak zapomniała, że potrzebują też powietrza, i regularnie zasilala diffenbachię nadmiernymi dawkami wody.

- Uważaj, za dużo lejesz - ostrzegałem.

- Uważam - odpowiadała, lejąc następne litry.

Im bardziej stan rośliny się pogarszał, tym więcej ją podlewała, aż w końcu diffenbachia zamieniła się w kupkę szlamu. Widząc żałosne szczątki w doniczce na parapecie, myślałem: „O rany, ktoś, kto wierzy we wróżby, miałby tu pole do popisu”.

A teraz, proszę, Jenny w jakiś sposób dokonała kosmicznej miary przeskoku logicznego od nieżywej flory w

doniczce do żywej fauny z ogłoszenia. Zabiłeś roślinę, kup szczeniaka. Jasne, że to ma sens.

Przyjrzałem się uważniej leżącej na stole gazecie i zobaczyłem anons, który pobudził wyobraźnię mojej żony. Zaznaczyła go trzema tłustymi czerwonymi gwiazdkami: „Szczeniaki labradora, żółte, czystej rasy, certyfikat Amerykańskiego Związku Kynologicznego. Wszystkie szczepienia. Rodzice na miejscu”.

- Taak... - westchnąłem. - Czy możesz jeszcze raz mi wytłumaczyć związek między rośliną a szczeniakiem?

- Przecież wiesz - podniosła oczy. - Tak bardzo się starałam i sam widzisz, co się stało. Nawet o głupią roślinę nie potrafię zadbać. A co w tym trudnego? Trzeba podlewać i tyle.

W końcu przeszła do sedna sprawy:

- Jeśli nie umiem zadbać o roślinę, czy kiedykolwiek będę potrafiła zadbać o dziecko? - patrzyła na mnie tak, jakby zaraz miała się rozplakać.

Kwestia Dziecka, jak to nazywałem, należała do stałego repertuaru Jenny, ale ostatnimi czasy mocno przybierała na sile. Kiedy się poznaliśmy, w redakcji małej gazety w zachodnim Michigan, Jenny zaledwie kilka miesięcy wcześniej skończyła college i dorosłe życie wydawało jej się wciąż jeszcze sprawą bardzo odległą. Oboje dopiero co rozpoczęliśmy pierwszą prawdziwą pracę po szkole. Jedliśmy mnóstwo pizzy, piliśmy mnóstwo piwa i zupełnie nie braliśmy pod uwagę możliwości, że pewnego dnia staniemy się kimś innym niż młodymi, bezdzielnymi, swobodnymi konsumentami pizzy i piwa.

Ale lata mijały. Ledwie zaczęliśmy się umawiać na randki, kiedy nowe propozycje pracy i moje roczne studia podyplomowe zaczęły odpychać nas od siebie w różne strony wschodnich Stanów. Najpierw dzieliła nas odległość jednej

godziny jazdy samochodem. Później trzech godzin. Potem ośmiu. I wreszcie dwudziestu czterech. Zanim się pobraliśmy i wylądowaliśmy razem na południu Florydy, Jenny dobiegała trzydziestki. Jej przyjaciółki miały już dzieci. Ciało wysyłało dziwne sygnały. To, co kiedyś zdawało się wiecznie otwartym oknem prokreacyjnych możliwości, powoli zaczynało się zamykać.

Pochyliłem się nad nią, otoczyłem rękami jej ramiona i pocałowałem w czubek głowy.

- Nie przejmuj się.

Ale w głębi duszy musiałem przyznać, że postawiła dobre pytanie. Żadne z nas nigdy nie było tak naprawdę odpowiedzialne za jakąś żywą istotę. W naszych rodzinnych domach oczywiście były zwierzęta, ale to się właściwie nie liczyło. Wiedzieliśmy przecież, że rodzice je nakarmią i będą o nie dbać. Oboje chcieliśmy kiedyś mieć dzieci, ale czy byliśmy na to gotowi? Dzieci były takie... takie... przerażające. Bezradne i kruche. Zdawało się, że łatwo mogą się rozprysnąć, jeśli się je upuści.

Jenny uśmiechnęła się niepewnie.

- Może moglibyśmy poćwiczyć na psie - powiedziała.

Kiedy jechaliśmy w ciemnościach na północ od miasta, tam, gdzie przedmieścia West Palm Beach zmieniają się w rozległe wiejskie posiadłości, analizowałem naszą decyzję kupienia psa. To wielka odpowiedzialność, szczególnie dla dwojga ludzi, którzy mają absorbującą pracę. Wiedzieliśmy, na co się porywamy. Oboje wychowaliśmy się z psami i bardzo je kochaliśmy. Ja miałem Świętego Shauna, a Jenny Świętą Winnie, ukochanego setera angielskiego. Te psy stanowiły nieodłączny element naszych najszcześniejszych wspomnień z dzieciństwa. Zawsze nam towarzyszyły - wałęsaliśmy się z nimi, pływaliśmy, bawiliśmy się, no i razem wpadaliśmy w tarapaty.

Ale jeśli Jenny chce mieć psa tylko po to, żeby doskonalić swoje rodzicielskie umiejętności, może lepiej namówić ją na złotą rybkę? Z drugiej strony tak samo jak byliśmy pewni, że chcemy mieć dzieci, wiedzieliśmy, że bez psa nasz dom nie będzie prawdziwym domem. Kiedy zaczynaliśmy się spotykać, a myśl o dzieciach nawet nie kiełkowała w naszych głowach, godzinami rozmawialiśmy o zwierzętach naszego dzieciństwa - jak bardzo nam ich brakuje i jak bardzo czekamy na chwilę, kiedy zamieszkamy we własnym domu i ułożymy sobie życie na tyle, żeby znów mieć własnego psa.

Ta chwila nadeszła. Byliśmy razem, nie planowaliśmy żadnych przeprowadzek w najbliższym czasie. No i mieliśmy dom, nasz własny.

Idealny mały domek na idealnej, tysięczmetrowej, ogrodzonej działce, po prostu w sam raz dla psa. Położenie też było świetne - niedaleko centrum miasta, ale zaledwie półtorej przecznicy od malowniczego kanału Intracoastal Waterway, który oddzielał West Palm Beach od bogatych rezydencji Palm Beach. Przy naszej ulicy - Churchill Road - zaczynał się długi zielony park i asfaltowa ścieżka, które ciągnęły się kilometrami wzdłuż kanału. Doskonałe miejsce do biegania, jazdy na rowerze lub rolkach, no i oczywiście do spacerów z psem.

Dom - zbudowany w latach pięćdziesiątych - zachował urok starej Florydy. Był tam kominek, ściany pokryte szorstkim tynkiem, duże, jasne okna i dwuskrzydłowe przeszklone drzwi francuskie, które prowadziły do naszego ulubionego miejsca, na ukrytą w cieniu tylną werandę. Ogródek był tropikalnym cudem z palmami, bromeliami, drzewami awokado i jasnymi koleusami. Górowały nad nimi drzewa mango wysokie jak wieże. W lecie zrzucały z siebie ciężkie owoce z głuchym łoskotem, który - trochę groteskowo

- przypominał odgłos ciała spadającego z dachu. Obudzeni leżeliśmy w łóżku i słuchaliśmy: łup, łup, łup.

Domek z dwiema sypialniami i łazienką kupiliśmy kilka miesięcy po powrocie z podróży poślubnej. Od razu zabraliśmy się do remontu. Poprzedni właściciele, emerytowany urzędnik pocztowy i jego żona, kochali kolor zielony. Zasłony były zielone. Okiennice były zielone. Drzwi frontowe były zielone. Wykładzina, którą niedawno położyli, żeby lepiej sprzedać dom, też była zielona. Nie była to wesoła zieleń z odcieniem żółci ani zimna zieleń szmaragdu, ani nawet odważna zieleń limonek, ale zieleń przypominająca wyrzyganą zupę z przetartego groszku, na dodatek z cętkami khaki. Panował tu nastrój jak w barakach na poligonie.

Już pierwszego wieczoru zerwaliśmy każdy centymetr kwadratowy nowej zielonej wykładziny. Odkryliśmy pod nią dziewiczą podłogę z dębowych desek, której na nasze oko nie skalało dotąd nawet jedno muśnięcie buta. Nie szczczędząc starań, wycyklinowaliśmy ją i pokryliśmy lakierem. Następnie wydaliśmy większą część dwutygodniowych dochodów na ręcznie tkany perski dywan, który rozłożyliśmy w salonie przed kominkiem. W ciągu następnych miesięcy przemalowaliśmy każdą zieloną powierzchnię i wymieniliśmy wszystkie zielone akcesoria. Dom urzędnika pocztowego powoli stawał się naszym domem.

Kiedy więc urządziliśmy już wszystko jak trzeba, logiczne było, że przyszedł najwyższy czas na sprowadzenie wielkiego czworonożnego współlokatora, z ostrymi pazurami, wielkimi zębami i niezmiernie ograniczonymi zdolnościami w zakresie porozumiewania się - by mógł zacząć to wszystko z powrotem rozwalać.

- Zwolnij, wariacie, bo przegapimy - zbeształa mnie Jenny. - To powinno być gdzieś tutaj.

Jechaliśmy w atramentowej czerni przez dawne bagna, które po drugiej wojnie światowej zostały osuszone pod uprawy, a następnie skolonizowane przez mieszczuchów marzących o wiejskim życiu.

Tak jak Jenny przewidziała, lampy samochodu oświetliły wkrótce skrzynkę pocztową z adresem, którego szukaliśmy. Skręciłem w zwirową drogę. Prowadziła do dużej zalesionej działki. Przed domem był staw, a z tyłu niewielka stodoła. W drzwiach przywitała nas kobieta w średnim wieku o imieniu Lori. Przy jej boku stał wielki, łagodny żółty labrador.

- To jest Lily, dumna mama - przedstawiła nam go Lori, kiedy się przywitaliśmy. Pięć tygodni po porodzie brzuch Lily wciąż był powiększony, a sutki rozciągnięte. Rzuciliśmy się na kolana. Z radością przyjmowała nasze czułości. Właśnie tak wyobrażaliśmy sobie doskonałego labradora - była słodka, czuła, spokojna i tak piękna, że zapierało dech.

- A ojciec? - spytałem.

- Ach - kobieta zawahała się przez ułamek sekundy. - Sammy Boy? Gdzieś tu się kręci.

I szybko dodała: - Pewnie umieracie z ciekawości, jak wyglądają szczeniaki.

Zaprowadziła nas przez kuchnię do pralni zamienionej w żłobek. Na podłodze leżały gazety, w rogu stało niskie pudło wyścielone starymi plażowymi ręcznikami. Ledwie to zauważyliśmy. Nie mieliśmy czasu, bo dziewięć małych żółtych piesków wspinało się jeden na drugiego i wrzaskliwie domagało się wyjaśnień, co za obcy ludzie tutaj przyszli.

- O rany! - sapnęła Jenny. - W życiu nie widziałam czegoś tak ślicznego.

Usiedliśmy na podłodze i pozwoliliśmy szczeniakom łązić po nas, podczas gdy Lily wesoło podskakiwała, machała ogonem i dźgała nosem swoje dzieci, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Zanim tu przyszliśmy, umówiłem

się z Jenny, że tylko obejrzymy szczeniaki, o wszystko wypytamy, a potem się spokojnie zastanowimy, czy naprawdę chcemy wziąć psa do domu. „To dopiero pierwsze ogłoszenie - mówiłem. - Nie podejmujemy pochopnych decyzji”. Ale po trzydziestu sekundach od wejścia wiedziałem, że przegrałem. Nie miałem wątpliwości - nim minie wieczór, jeden z tych szceniaków będzie nasz.

Lori była hodowcą amatorem. My byliśmy nowicjuszami, jeśli chodzi o kupowanie rasowego psa, ale przeczytaliśmy o tym wystarczająco dużo, żeby trzymać się z daleka od tak zwanych przemysłowych hodowców nastawionych na zysk, którzy wypuszczają nowe rasowe psy, tak jak fabryka Forda wypuszcza na rynek nowe taurusy. Niestety, w przeciwieństwie do masowo produkowanych samochodów masowo produkowane rodowodowe szczeniaki mają wiele wad wrodzonych - począwszy od dysplazji bioder, a kończąc na przedwczesnej ślepcie - spowodowanych przez wielopokoleniowe krzyżowanie wsobne.

Lori była jednak hobbystką i kierowała się raczej miłością do rasy niż chęcią zysku. Trzymała tylko jedną sukę i jednego psa. Pochodziły one z dwóch różnych linii i Lori miała na to papiery. To był drugi i ostatni miot Lily, która wkrótce miała przejść na zasłużoną, wygodną emeryturę. Ponieważ oboje rodzice byli na miejscu, kupujący mógł na własne oczy sprawdzić pochodzenie szceniaków - chociaż w naszym przypadku ojciec okazał się trudny do zlokalizowania i zdecydowanie nie mogliśmy go ocenić.

W miocie było pięć suczek, wszystkie oprócz jednej już zamówione, i cztery psy. Lori chciała 400 dolarów za jedną sukę, która była do wzięcia, i po 375 za psa. Jeden z piesków, najbardziej zwariowany z całego rodzeństwa, był nami szczególnie zafascynowany. Atakował nas, koziółkował po kolanach i wdrapywał się na koszule, starając się sięgnąć

językiem do twarzy. Chwytał za palce zaskakująco ostrymi szczenięcymi ząbkami i kręcił dookoła niezgrabne kółka na wielkich łapach, o wiele za dużych w stosunku do reszty ciała.

- Tego tutaj możecie mieć za 350 - powiedziała właścicielka.

Dostrzegłem podejrzaną błysk w oczach mojej żony. Jenny, zapamiętała łowczyni okazji, słynie z przyciągania do domu rzeczy, których ani nie chcemy, ani nie potrzebujemy. Kupuje je tylko dlatego, że cena jest zbyt atrakcyjna, żeby odpuścić. „Wiem, że nie grasz w golfa - oświadczyła kiedyś, wyciągając z bagażnika zestaw używanych kijów golfowych. - Ale nawet nie wiesz, jaki interes na nich ubiłam”.

- Kochanie! - zawyła teraz. - Ten mały jest na wyprzedaży! Muszę przyznać, że był zachwycający. No i rozbrykany. Zanim się zorientowałem, drań pożarł mi pół paska od zegarka.

- Musimy mu zrobić test odwagi - powiedziałem. Wielokrotnie przedtem opowiadałem Jenny, jak wybraliśmy Świętego Shauna, kiedy byłem chłopcem. Ojciec pouczył mnie, że trzeba wykonać nagły ruch lub zrobić hałas, żeby odróżnić bojaźliwe szczeniaki od pewnych siebie. Teraz oblepiona psiakami Jenny przewróciła oczami, co było miną zarezerwowaną na przypadki dziwnych zachowań rodziny Groganów. - Naprawdę - zapewniłem. - To działa.

Stałem tyłem do szczeniaków, po czym odwróciłem się szybko i wykonałem nagłą szarżę w ich kierunku. Tupnąłem i warknąłem: - Wrr!

Nikt się szczególnie nie przejął ewolucjami przybysza. Tylko jeden maluch wyrwał do przodu, żeby odpowiedzieć na atak. Piesek z przeceny. Runął na mnie pełną parą, rozkrzyżował się na moich stopach i wczepił zęby w sznurowadła głęboko przekonany, że są to niebezpieczni wrogowie, których należy zniszczyć.

- To jest przeznaczenie - powiedziała Jenny.

- Tak myślisz... - podniosłem go jedną ręką na wysokość twarzy, żeby mu się przyjrzeć. Od spojrzenia brązowych oczu topniało serce. Polizał mnie w nos. Wcisnąłem go w ramiona Jenny i ją także od razu polizał w nos.

- Jedno jest pewne, polubił nas - powiedziałem.

I stało się. Wypisaliśmy Lori czek na 350 dolarów, a ona powiedziała, że będziemy mogli zabrać Przecenionego za trzy tygodnie, kiedy skończy dwa miesiące i matka przestanie go karmić. Podziękowaliśmy, poklepaliliśmy Lily na do widzenia i wyszliśmy. Zaraz za drzwiami objąłem Jenny ramieniem i przyciągnąłem mocno do siebie.

- Potrafisz w to uwierzyć? - szepnąłem. - Wreszcie mamy psa!

- Nie mogę się doczekać, kiedy weźmiemy go do domu - odparła Jenny.

Dochodziliśmy już do samochodu, gdy usłyszeliśmy rumor od strony pobliskich krzaków. Coś, ciężko dysząc, przebijało się przez chaszczę. Odgłosy przypominały ścieżkę dźwiękową z filmu, w którym wszyscy się tłuką. Zamarliśmy, wpatrując się w ciemność. Dźwięk narastał, był coraz bliżej. Nagle w prześwicie między krzakami coś się pojawiło, jakby niewyraźna żółta plama, która zmierzała w naszym kierunku. Wyjątkowo duża, rozmazana żółta plama. Przegalopowała tuż obok, nie zwalniając, zignorowała nas zupełnie, ale wreszcie rozpozналиśmy w niej olbrzymiego labradora retrievera. W niczym nie przypominał słodkiej Lily, którą dopiero co głaskaliśmy. Ten egzemplarz był cały przemoczony, unurzany w błocie aż po brzuch. Język zwisał mu dziko na jedną stronę, a piana toczyła się z pyska, gdy tak pędził przed siebie. Przez ułamek sekundy nasze oczy się spotkały i dostrzegłem w jego wzroku dziwny, lekko wariacki, ale rozbawiony błysk. Tak jakby przed chwilą zobaczył ducha i to go niezmiernie

rozśmieszyło. Z łoskotem cwałującej hordy bizonów pognął za dom i zniknął z pola widzenia. Jenny wydała z siebie słabe westchnienie.

- Wydaje mi się - powiedziałem, czując lekkie mdłości - że właśnie spotkaliśmy tatusia.

ROZDZIAŁ 2

Doceńmy błękitną krew

Jako oficjalni już właściciele psa zaczęliśmy od kłótni. Najpierw w drodze do domu, a potem zrywami, w odcinkach, walczyliśmy przez cały tydzień. Poszło o imię, jakie otrzyma Przeceniony. Jenny odrzucała wszystkie moje pomysły, a ja jej. Konflikt osiągnął punkt kulminacyjny pewnego ranka, gdy szykowaliśmy się do wyjścia.

- Chelsea? - zakpiłem. - Świetne dla panienki. Prawdziwy psi facet nie przeżyłby jednej chwili z imieniem Chelsea.

- Tak jakby mógł to zrozumieć - obraziła się Jenny.

- Hunter! - rzuciłem. - Tak, Hunter (Myśliwy - przyp. tłum.) brzmi idealnie. - Hunter?! Żartujesz chyba. Czy ty jesteś jakiś macho?

O wiele za męskie. W dodatku nigdy w życiu nie byłeś na polowaniu.

- To jest samiec, więc raczej powinien być męski - zagotowałem się. - Nie przerabiaj wszystkiego w jakiś swój feministyczny wykład.

Sprawy przybierały zły obrót. Zaczynałem zadawać ciosy poniżej pasa. Nim Jenny przystąpiła do kontrataku, szybko wróciłem do mojej ulubionej propozycji.

- Co jest złego w imieniu Louie?

- Nic, jeśli należy do gościa, który obsługuje dystrybutor na stacji benzynowej - warknęła.

- Hej, licz się ze słowami! To imię mojego dziadka. Ty byś pewnie chciała go nazwać po swoim dziadku, co? „Bill, dobry piesek”.

Podczas tej wymiany ciosów Jenny mimochodem podeszła do wieży i włączyła muzykę. Zastosowała jedną ze swoich strategii na okoliczność małżeńskiej kłótni - w razie wątpliwości odwrócić uwagę przeciwnika. Rytmiczne reggae

Boba Marleya zapulsowało w głośnikach i od razu złagodziło nasze waleczne nastroje.

Jamajskiego piosenkarza odkryliśmy dopiero po przeprowadzce z Michigan na Florydę. Tam, gdzie mieszkaliśmy wcześniej, pośród zaściankowej białej klasy średniej prowincjonalnego Środkowego Zachodu, niepodzielnie królowali Bob Seger i John Cougar Mellencamp. W etnicznej mieszance południowej Florydy muzyka Boba Marleya była wszechobecna nawet dziesięć lat po jego śmierci. Słuchaliśmy go w samochodzie, jadąc przez Biscayne Boulevard. Słyszeliśmy go, gdy sączyliśmy cafes cubanos w Little Havana i kiedy jedliśmy grillowane szaszłyki z kurczaka po jamajsku kupowane przez okno samochodu w ponurych osiedlach imigrantów na zachód od Fort Lauderdale. Słuchaliśmy go w Coconut Grove, dzielnicy Miami, podczas festiwalu muzyki goombay z Bahamów, gdzie po raz pierwszy próbowaliśmy małży w cieście. I kiedy wybieraliśmy haitańskie dzieła sztuki w Key West.

Im więcej go słuchaliśmy, tym bardziej czuliśmy się zakochani w południowej Florydzie i w sobie. Bob Marley zawsze był w tle. Gdy smażyliśmy się na plaży, kiedy po zdrapaniu zielonej farby malowaliśmy ściany w naszym nowym domu, kiedy budził nas o świcie skrzek dzikich papug i gdy kochaliśmy się w pierwszych promieniach słońca sączących się poprzez liście brazylijskiego drzewa pieprzowego, które rosło przy naszym oknie. Zakochaliśmy się w jego muzyce dla niej samej, ale też dlatego, że towarzyszyła tej chwili, kiedy z dwojga staliśmy się jednym. Bob Marley tworzył ścieżkę dźwiękową do naszego nowego wspólnego życia w tym dziwnym, egzotycznym miejscu, niepodobnym do żadnego z miejsc, w których mieszkaliśmy do tej pory.

A teraz z głośników płynęły dźwięki naszej ulubionej piosenki. Nie tylko była dojmująco piękna, ale także bez wątpienia przemawiała wprost do nas. Głos Boba Marleya wypełnił pokój, powtarzając za chórem: „Is this love that I'm feeling?” (Czy to, co czuję, to miłość? - przyp. tłum.). W tym momencie dokładnie równocześnie, jakbyśmy to ćwiczyli tygodniami, oboje krzyknęliśmy:

- Marley!

- To jest to! - zawołałem. - Mamy imię!

Jenny się uśmiechnęła, dobry znak. Spróbowałem to sobie przećwiczyć: - Marley, chodź tu! - zakomenderowałem. - Zostań, Marley! Dobry pies, Marley!

- Jesteś najcudowniejszy na świecie, Marley! - zaćwierkała Jenny.

- Hej, to działa! - powiedziałem. I Jenny się zgodziła. Koniec wojny, mamy imię dla naszego szczeniaka.

Następnego dnia po obiedzie poszedłem do sypialni, gdzie Jenny czytała książkę.

- Musimy trochę podrasować to imię - oświadczyłem.

- O czym ty mówisz? - zapytała. - Przecież nam się podoba.

Przeczytałem papiery z Amerykańskiego Związku Kynologicznego. Jeśli rodzice psa są rodowodowi, to ich syn, czystej rasy labrador retriever, też ma prawo być zarejestrowany jako pies rodowodowy. Tak naprawdę rodowód jest potrzebny, kiedy chce się prezentować psa na wystawach lub hoduje się go na reproduktora - wtedy to najważniejszy psi dokument. Jeśli jednak chodzi o psa domowego, rodowód do niczego się nie przydaje. Tyle że ja wiązałem z Marleyem wielkie plany. Pierwszy raz otarłem się o kogoś tak wysoko urodzonego, biorąc tu pod uwagę również moją własną rodzinę. Podobnie jak Święty Shaun, pies mojego dzieciństwa, jestem mieszańcem niejasnego i niezbyt

szlchetnego pochodzenia. W rodowodach moich przodków pojawia się więcej narodowości, niż liczy ich sobie Unia Europejska. Widziałem jasno, że ten pies pozwoli mi się zbliżyć do błękitnej krwi, i nie miałem zamiaru z tego rezygnować. Muszę przyznać, byłem trochę snobem.

- A gdybyśmy chcieli posłać go na wystawę? - zapytałem.
- Widziałas kiedyś psiego championa o jednym imieniu? One zawsze mają wyszukane tytuły - jak Sir Dartworth of Cheltenham.

- I jego pan, hrabia Głupalski z West Palm Beach - uzupełniła Jenny.

- Wcale nie żartuję - obruszyłem się. - Możemy zbić na nim fortunę. Masz pojęcie, ile ludzie płacą za hodowlane psy szlchetnych ras? A one zawsze mają długie imiona.

- Rób, co cię kręci, kochanie - powiedziała Jenny i wróciła do książki.

Rozmyślałem nad tym jeszcze długo, do późnej nocy, a rano osaczyłem ją w łazience przy umywalce: - Przyszło mi do głowy wspaniałe imię.

Popatrzyła na mnie sceptycznie. - No, wal - powiedziała.

- Gotowa? Oto ono.

Kolejne słowa powoli wypływały z moich ust: - Grogan's... Majestic... Marley... of... Churchill. „O rany! - pomyślałem. - Czyż nie brzmi to szlchetnie?”

- O rany! - powiedziała - to dopiero brzmi kretyńsko!

Miałem to w nosie. To ja zajmowałem się papierami i już wpisałem w nie imię. Długopisem. Jenny może się teraz idiotycznie podśmiewać, ale kiedy za parę lat Grogan's Majestic Marley of Churchill zgarnie główną nagrodę na wystawie psów w Westminster i będę z nim biegł w rundzie honorowej przed pełną podziwu międzynarodową publicznością telewizyjną, zobaczymy, kto się będzie śmiał.

- No chodź już, mój głupawy książę - powiedziała Jenny.
- Czas na śniadanie.

ROZDZIAŁ 3

Witaj w domu

Odliczaliśmy dni do przybycia Marleya, a ja wreszcie zacząłem czytać o labradorach retrieverach. Piszę „wreszcie”, bo właściwie w każdej książce, do jakiej zajrzałem, znajdowałem tę samą kategoryczną radę: zanim kupisz psa, przeprowadź staranne dochodzenie nad wybraną rasą, żebyś wiedział, w co się pakujesz. No, ładnie.

Na przykład mieszkaniec kawalerki raczej nie będzie szczęśliwy z bernardynem, rodzina z małymi dziećmi nie powinna kupować chow - chow, bo zachowanie tego psa trudno przewidzieć, a leń kanapowy, który potrzebuje przytulnego towarzysza podczas wielogodzinnych seansów przed telewizorem, prawdopodobnie oszaleje z wiecznie niewybieganym collie.

Głupio mi było przyznać, że decydując się z Jenny na labradora retrievera, nie dowiedzieliśmy się praktycznie niczego na temat tej rasy. Wybraliśmy ją, kierując się jednym kryterium - wyglądem. Często podziwialiśmy te psy, gdy spacerowały ze swoimi właścicielami wzdłuż ścieżki rowerowej nad Intracoastal Waterway. Duże, beztraskie, radosne skoczki zdawały się kochać życie z pasją nieczęsto spotykaną na tym świecie. Najbardziej się wstydziłem, że podjęliśmy decyzję nie pod wpływem „The Complete Dog Book”, biblii hodowców psów wydanej przez Amerykański Związek Kynologiczny, czy jakiegoś innego szanowanego poradnika, ale w wyniku studiowania zupełnie innego typu psiej literatury, „The Far Side” Gary’ego Larsona. Byliśmy wielkimi fanami dowcipów rysunkowych. W rysunkach Larsona roilo się od błyskotliwych, wytwornych labradorów, które robiły i mówiły najbardziej bezczelne rzeczy. Tak, one mówiły! Jak można było się z tego nie śmiać? Labradory - przynajmniej te, które wyszły spod ręki Larsona - wyglądały

na niesamowicie rozrywkowe zwierzęta. A kto nie chciałby zafundować sobie w życiu trochę rozrywki? My chcieliśmy na pewno.

Teraz, kiedy przedzierałem się przez poważniejsze dzieła na temat labradorów, odkrywałem, że nasz wybór, chociaż oparty na chorych przesłankach, nie był całkiem bez sensu. Literatura wychwalała pod niebiosa ufne i zrównoważone usposobienie labradorów, ich łagodność wobec dzieci, brak agresji i oddanie. Ponieważ są inteligentne i łatwo poddają się tresurze, nadają się na psy ratownicze i do poszukiwań zaginionych osób, często też zostają przewodnikami ludzi niewidomych i niepełnosprawnych. Wszystkie te cechy były pożądane u psa w domu, w którym z pewnością prędzej czy później pojawią się dzieci.

Jeden z poradników głosił: „Labradora retrievera cechuje inteligencja, gorące przywiązanie do człowieka, sprawność w terenie oraz niezłomne poświęcenie”. Inny rozwodził się nad ich nadzwyczajną wiernością. Zalety te spowodowały, że labrador z psa myśliwskiego - ceniono je szczególnie w polowaniach na bażanty i kaczki, bo chętnie wyciągały trafione ptaki nawet z lodowatej wody - przekształcił się w ulubionego psa domowego Amerykanów. W 1990 roku labrador wykopął cocker - spaniela z pierwszego miejsca w rankingu najpopularniejszych ras psów domowych sporządzonym przez Amerykański Związek Kynologiczny. Od tej pory pozostał niepokonany. 2004 był piętnastym z kolei rokiem królowania labradora na liście, z liczbą 146 692 zarejestrowanych psów. Daleko za nim był drugi - golden retriever (52 550), a na trzeciej pozycji uplasował się owczarek niemiecki (40 046).

Zupełnie przypadkiem natknęliśmy się na rasę, której pragnęła cała Ameryka. Niemożliwe, żeby ci wszyscy szczęśliwi posiadacze labradorów się mylili, prawda?

Wybraliśmy sprawdzonego zwycięzcę. A jednak literaturę wypełniały złowieszcze ostrzeżenia.

Labradory - jako psy pierwotnie przeznaczone do pracy
- mają nieograniczone zasoby energii. Są bardzo towarzyskie i źle znoszą zbyt długie okresy samotności. Zdarzają się okazy mało rozgarnięte i trudne do ułożenia. Bezwzględnie potrzebują codziennych intensywnych ćwiczeń i biegania, w przeciwnym wypadku mogą przejawiać skłonności niszczycielskie. Czasami wpadają w dziką ekscytację i wtedy nawet doświadczony treser może mieć kłopoty z ich poskromieniem. Niektóre pozostają wiecznymi dziećmi - potrafią do trzeciego roku życia lub nawet dłużej zachowywać się jak szczeniaki. Długi, żywiołowy okres dojrzewania wymaga dodatkowej dozy cierpliwości ze strony właściciela.

Są dobrze umięśnione i - w wyniku specyficznej hodowli
- bardzo odporne na ból. Miało im to pomagać w czasach, gdy towarzyszyły rybakom i nurkowały w zimnych wodach północnego Atlantyku. Ale to, co kiedyś było zaletą, może sprawiać, że w domowych warunkach labrador zachowuje się jak przysłowiowy słoń w składzie porcelany. Potężny, silny pies z kłatą jak beczka nie zawsze zdaje sobie sprawę ze swoich możliwości. Pewna właścicielka labradora opowie mi później, że raz przywiązała swego psa do framugi drzwi od garażu, gdy myła samochód na podjeździe. Pies wypatrzył wiewiórkę i rzucił się za nią, wyrywając ze ściany wielką, stalową futrynę.

Wreszcie natrafiłem na zdanie, które mnie przestraszyło. „Jedną z najlepszych wskazówek, jeśli chodzi o przyszły charakter szczeniaka, mogą być jego rodzice. Zdziwiająco dużo zachowań jest dziedzicznych”. Przez głowę przeleciało mi wspomnienie oplutej i utyłanej w błocie zjawy szarżującej przez krzaki tego wieczoru, gdy wybieraliśmy naszego psa.

„O rany!" - pomyślałem. Książka radziła potencjalnym nabywcom, żeby, jeśli to tylko możliwe, domagali się pokazania im obojga rodziców. Przypomniałem sobie lekkie wahanie Lori, kiedy zapytałem, gdzie jest ojciec. „A... gdzieś tu się kręci". A potem dziwnie szybko zmieniła temat. No tak, wszystko się zgadza. Doświadczeni kupujący zażądaliby poznania taty. I cóż by zobaczyli? Maniakalnego derwisza przedzierającego się na ośleprzez noc, jakby diabły siedziały mu na ogonie. Zmówiłem w duchu modlitwę, żeby Marley okazał się podobny do matki.

Pomijając indywidualne dziedzictwo, wszystkie labradory czystej rasy powinny mieć wspólne cechy. Amerykański Związek Kynologiczny ustalił ich standardowy zestaw. Fizycznie są krepie i umięśnione, mają krótką, gęstą sierść chroniącą przed niepogodą. Umaszczenie może być czarne, czekoladowo - brązowe lub w różnych odcieniach żółci - od jasnokremowego do lisiorudego. Jednym z głównych wyróżników rasy jest ciężki, silny ogon, podobny do ogona wydry, który jednym machnięciem potrafi zmieść zastawę ze stolika do kawy. Potężną i masywną głowę uzbrojoną w silne szczęki zdobią wysoko osadzone, zwisające uszy. Większość psów osiąga wysokość około 60 centymetrów w kłębie, przeciętny samiec waży od 30 do 36 kilogramów, chociaż niektóre znacznie więcej.

Ale wygląd według Związku Kynologicznego to jeszcze nie wszystko, co czyni labradora labradorem. Według standardów „temperament prawdziwego labradora retrievera jest takim samym znakiem rozpoznawczym rasy jak »wydry« ogon. Rasowy labrador ma usposobienie łagodne i przewidywalne, jest towarzyski, chętny do współpracy i nie wykazuje agresji w stosunku do ludzi ani zwierząt. Jego delikatność, inteligencja i zdolność adaptacji sprawiają, że to wręcz idealny pies".

Idealny pies! Trudno o bardziej entuzjastyczne rekomendacje. Im więcej czytałem, tym pewniej patrzyłem w przyszłość. Nawet ostrzeżenia nie były mi straszne. Przecież razem z Jenny oddamy się całkowicie naszemu psu, otoczymy go uwagą i czułością. Poświęcimy tyle czasu, ile będzie trzeba, żeby nauczyć go posłuszeństwa i dobrych manier. Oboje byliśmy zapalonymi chodźcami, spacerowaliśmy ścieżką nad kanałem niemal codziennie po pracy, a często także rano. Wyprowadzanie psa będzie naturalną kontynuacją naszych wyczerpujących wędrówek. Zmordujemy małego łobuza. W dodatku Jenny ma niedaleko do pracy i codziennie przychodzi do domu na lunch, więc będzie mogła przy tej okazji porzucać mu piłkę w ogródku, żeby spalił jeszcze więcej swojej niespożytej energii.

Tydzień przed zaplanowanym terminem odbioru psa zadzwoniła z Bostonu Susan, siostra Jenny. W następnym tygodniu z mężem i z dziećmi wybierają się do Disney World - może Jenny zechciałaby tam wpaść i spędzić z nimi kilka dni? Jenny, oddana ciotka, która nie przepuszczała żadnej okazji do podtrzymania więzi z siostrzenicą i siostrzeńcem, umierała z pragnienia, żeby się z nimi spotkać. Ale była rozdarta.

- Nie będę mogła pojechać po Marleya - martwiła się.

- To nic - pocieszałem ją. - Sam go odbiorę, wszystko zorganizuję i będziemy na ciebie czekać.

Starałem się, żeby to brzmiało obojętnie, ale w głębi duszy zachwyciła mnie perspektywa, że będę miał całego szczeniaka tylko dla siebie przez kilka dni, które pozwolą nam bez przeszkód zadzierzgnąć prawdziwą męską przyjaźń. Wprawdzie miał być naszym wspólnym przedsięwzięciem i oboje byliśmy równoprawnymi udziałowcami, ale nigdy nie wierzyłem, że pies może mieć dwóch panów. A jeśli w domowej hierarchii jest miejsce tylko na jednego przywódcę

alfa, to ja chciałem nim być. Ta mała trzydniowa wycieczka Jenny dawała mi fory.

Tydzień później, w piątek, Jenny wyruszyła w trzyipółgodzinną podróż do Orlando. Tego samego wieczoru po pracy pojechałem po nowego członka naszej rodziny. Kiedy Lori przyniosła psa, zatkało mnie ze zdumienia. Malutki, puchaty szczeniak, którego wybraliśmy trzy tygodnie temu, był teraz ponad dwa razy większy. Poturlał się w moją stronę jak baryłka, walnął mnie głową w kostki, opadł bezwładnie na moje stopy, po czym przewrócił się na plecy, wyciągając łapy do góry. Mogłem tylko mieć nadzieję, że jest to akt poddania się istocie wyższej. Lori chyba wyczuła, że przeżywam szok.

- Prawda, jaki już z niego duży chłopiec? - powiedziała, żeby dodać mi otuchy. - A jak wpycha w siebie jedzenie!

Ukucnąłem i podrapałem go w brzuch.

- Idziemy do domu, Marley? - po raz pierwszy użyłem jego imienia naprawdę i uznałem, że dobrze pasuje.

W samochodzie usadziłem go na miejscu pasażera, w umoszczonym zawczasu gnieździe z plażowych ręczników. Ledwo ruszyłem z podjazdu, gdy zaczął się wiercić i wylazł z posłania. Czołgał się na brzuchu w moją stronę, popiskując. Między siedzeniami napotkał pierwszą z niezliczonych kłopotliwych sytuacji, w które będzie się odtąd pakował przez całe życie. Tylne nogi Marleya zwisały na stronę pasażera, przednie na stronę kierowcy, a brzuch utknął zaczepiony na dźwigni hamulca ręcznego. Psiak majtał łapami w powietrzu na wszystkie strony, nie znajdując oparcia. Kręcił się, wiercił i szarpał, ale niestety osiadł jak statek na mieliźnie. Sięgnąłem ręką i pogłaskałem go po plecach, co go tylko bardziej podnieciło i wywołało nową falę pisków. Tylne nogi desperacko szukały podparcia na kawałku wykładziny między fotelami. Powoli pupa zaczęła podjeżdżać w górę, coraz wyżej

i wyżej, ogon merdał szaleńczo i w końcu prawo grawitacji zwyciężyło. Zjechał z hamulca głową w dół, wykonał salto, lądując na podłodze przy moich stopach, i przeturlał się na plecy. Wdrapanie się stamtąd na moje kolana to już była łatwizna.

Ależ był zadowolony, szczęśliwy, jak nie wiem co! Trzęsąc się z radości, wetknął głowę w mój brzuch i cmokał guziki koszuli. Ogon walił w kierownicę jak wskazówka metronomu.

Szybko odkryłem, że mogę regulować tempo merdania za pomocą dotyku. Jeśli trzymałem obie ręce na kierownicy, uderzenia ustalały się w rytmie trzech machnięć na sekundę. Pac. Pac. Pac. Wystarczyło, żebym dotknął jednym palcem czubka łba, a rytm przeskakiwał z walca do bossa novy. Pac - pac - pac - pac - pac - pac. Dwa palce - przechodził w mambo. Pac - pacpa - pac - pac - pacpa - pac. A gdy położyłem całą dłoń na jego głowie i zacząłem głaskać, rytm eksplodował jak karabin maszynowy do ognistej samby. Pacpacpacpacpacpacpac!

- Hej, ale masz wycucie rytmu - powiedziałem z uznaniem. - Prawdziwy z ciebie reggae pies.

Kiedy przyjechaliśmy do domu i weszliśmy do środka, odpiąłem smycz. Od razu zaczął wachać i nie przestał, dopóki nie obwąchał całego domu. Wtedy usiadł i popatrzył na mnie z przekrzywioną głową, jakby mówił: „Niezły lokal, ale gdzie są moi bracia i siostry?”.

Nowe życiowe okoliczności jeszcze w pełni do niego nie dotarły, a już przyszła pora spania. Przed wyjazdem przygotowałem mu sypialnię w przylegającym do domu garażu. Nigdy nie wstawialiśmy tutaj samochodu, garaż służył raczej jako schowek i pralnia. Stała tu pralka, suszarka i deska do prasowania.

Pomieszczenie miało betonowe ściany i podłogę, więc było praktycznie niezniszczalne, a poza tym suche i wygodne. Tylne drzwi prowadziły do ogródka.

- Marley - rzekłem pogodnie, wprowadzając go tam - to będzie twój pokój.

Porozkładałem zabawki do gryzienia, wyłożyłem podłogę gazetami, napełniłem miskę wodą, a miejsce do spania przyszykowałem w kartonowym pudle wysłanym starą narzutą.

- Tutaj będziesz spał - wyjaśniłem i włożyłem go do pudła. Marley był przyzwyczajony do takiego łóżka, tyle że do tej pory zawsze dzielił je z rodzeństwem. Obszedł pudło dookoła po wewnętrznym obwodzie i spojrzał na mnie smutno. Żeby go przetestować, wyszedłem, zamykając za sobą drzwi. Stałem z drugiej strony i nasłuchiwałem. Najpierw nic się nie działo. Potem rozległo się ledwie słyszalne piśnięcie. I wreszcie rozdzierający płacz. Rozpaczał, jakby ktoś go torturował.

Otworzyłem drzwi - na mój widok momentalnie przestał. Sięgnąłem do pudła i głaskałem go przez kilka minut, po czym znowu wyszedłem. Stojąc po drugiej stronie drzwi, zacząłem liczyć. Raz, dwa, trzy... Wytrzymał siedem sekund, zanim zawodzenia i płacze zaczęły się znowu. Powtórzyliśmy to ćwiczenie wielokrotnie, zawsze z takim samym rezultatem. Byłem już zmęczony, więc uznałem, że popłacze i w końcu zaśnie. Zostawiłem mu zapalone światło w garażu, zamknąłem drzwi, poszedłem na drugą stronę domu i zanurkowałem do łóżka. Betonowe ściany w niewielkim stopniu tłumiły żalosne skargi. Próbowałem je ignorować, bo wyobrażałem sobie, że jeszcze minuta, a podda się i zaśnie. Płacz trwał. Słyszałem go, nawet gdy okręciłem głowę poduszką. Pomyślałem, że jest po raz pierwszy w życiu sam, w obcym miejscu i dookoła nie ma nawet jednego swojskiego, psiego zapachu. Matka

zaginęła w akcji, podobnie jak bracia i siostry. Biedne maleństwo. Jak ja bym się czuł na jego miejscu?

Wytrzymałem jeszcze pół godziny, potem wstałem i poszedłem do niego. Gdy tylko mnie zobaczył, mordka mu się rozjaśniła, a ogonem zaczął walić w ścianę pudełka, jakby mówił: „Dobrze, że jesteś, wskakuj, tu jest pełno miejsca”.

Zamiast wskoczyć, podniosłem pudło razem z nim i zaniósłem do sypialni. Postawiłem je na podłodze tuż obok łóżka. Położyłem się na samym brzeжку materaca i zwiesiłem rękę do pudła. Trzymałem dłoń na jego boku, czując, jak mała klatka piersiowa podnosi się i opada w rytm oddechu. I razem odpłynęliśmy w sen.

ROZDZIAŁ 4

Pan Zwinny

Na trzy następne dni oddałem się bez reszty naszemu szczeniakowi. Kładłem się na podłodze i pozwalałem, żeby po mnie galopował. Trenowaliśmy zapasy. Bawiliśmy się w przeciąganie starego ręcznika i ze zdziwieniem spostrzegłem, jaki jest już silny. Chodził za mną wszędzie i próbował gryźć wszystko, co zdołał chwycić w zęby. Wystarczył mu jeden dzień na odkrycie najfajniejszej rzeczy w całym domu - papieru toaletowego. Znikał nagle w łazience i pięć sekund później cwałował przez pokoje z końcówką papieru w zaciśniętych zębach, a za nim rozwijała się wstęga z rolki. Wyglądało to jak dekoracje na Halloween.

Mniej więcej co pół godziny wychodziliśmy do ogródka, żeby się załatwić. Beształem go, gdy narobił w domu, a kiedy wysiusiał się na dworze, przytulałem policzek do jego mordki i chwaliłem najśłodziej, jak potrafiłem. Jeśli zrobił kupę na zewnątrz, zachowywałem się, jakby właśnie wypadł z niego wygrany kupon Florida Lotto.

Jenny po powrocie z Disneylandu poświęciła się psu z równie żywiołowym oddaniem. Byłem zdumiony tym, co zobaczyłem. Mijały dni, a ja odkrywałem w mojej młodej żonie nową, spokojną, łagodną i troskliwą osobę, której istnienia dotąd nie podejrzewałem. Nosiła go, pieściła, bawiła się z nim, dbała o niego. Przeczesawała każdy włoszek w poszukiwaniu pcheł i kleszczy. Wstawiała co parę godzin, noc w noc, żeby go wyprowadzić na siusiu. Głównie dzięki niej nauczył się czystości w ciągu zaledwie kilku tygodni.

Ale przede wszystkim karmiła go.

Zgodnie z instrukcją na opakowaniu psiej karmy Marley dostawał codziennie trzy duże porcje jedzenia dla szczeniaków. Pochłonięcie wszystkiego co do ostatniego kęska zajmowało mu kilka sekund. Oczywiście, co weszło,

musiało i wyjść, więc nasz ogródek stał się wkrótce równie gościnny jak pole minowe. Nie radziłbym tam nikomu spacerować z zamkniętymi oczami. Jeśli Marley miał wielki apetyt, to kupska robił jeszcze większe - gigantyczne hałdy, które prawie niczym się nie różniły od tego, co wchłaniał z drugiego końca. Czy on to w ogóle trawił?

Najwyraźniej tak, bo rósł w szaleńczym tempie. Jak te przedziwne tropikalne pnącza, które w ciągu kilku godzin mogą obrosnąć cały dom, tak on rozrastał się w postępie geometrycznym we wszystkich kierunkach. Każdego dnia był trochę dłuższy, trochę szerszy, trochę wyższy i trochę cięższy. Kiedy przywiozłem go do domu, ważył dziesięć kilogramów, w ciągu następnych tygodni osiągnął wagę dwudziestu trzech. Rozkoszna szczenięca główka, która tak dobrze pasowała do ręki, gdy pierwszego wieczoru jechaliśmy samochodem, zamieniła się nagle w coś, co kształtem i ciężarem przypominało kowadło. Łapy miał olbrzymie, boki już napakowane mięśniami, klatkę piersiową szeroką jak buldożer. Tak jak obiecywały książki, jego wąty szczenięcy ogonek zmienił się w mocny i potężny jak u wydry.

Co to był za ogon! Każda rzecz w domu, która znajdowała się na wysokości kolan lub poniżej, była narażona na atak dziko rozhuśtanej broni Marleya. Czyścił stoliki do kawy, rozrzucał czasopisma, zwałął fotografie z półek, wysyłał w kosmos butelki z piwem i kieliszki z winem. Udało mu się nawet wybić szybę w drzwiach francuskich. Stopniowo wszystkie nieprzytwierdzone przedmioty wędrowały na wyższy poziom dla uniknięcia spotkania z wałącym tłuczkiem. Budziło to zachwyty odwiedzających nas znajomych z dziećmi: - Wasz dom już jest dziecioodporny!

Marley właściwie nie merdał ogonem. On merdał całym ciałem - ruch zaczynał się od łopatek, a kończył na ogonie. Przypominał psią wersję zabawkowej sprężyny z plastiku.

Mógłbym przysiąc, że wewnątrz Marleya nie było żadnych kości, tylko jeden wielki elastyczny mięsień. Jenny zaczęła go nazywać Pan Zwinny.

Najbardziej się wił, kiedy miał coś w pysku. Na każde zdarzenie zawsze reagował tak samo: trzeba złapać najbliższy kapeć, poduszkę, ołówek - tak naprawdę cokolwiek - i uciekać. Jakby jakiś głosik szeptał mu w głowie: „Naprzód! Bierz to! Obśliń z góry na dół! Zwiewaj!”.

Czasem przedmioty, które chwycił, były tak małe, że dawały się całkiem schować, co wprawiało go w szczególną euforię - jakby sądził, że nikt nic nie zauważy. Ale Marley nigdy by nie został pokerzystą. Jeśli miał coś do ukrycia, nie potrafił zamaskować swojej radości. Nieustannie pełen ekspresji, w takich wypadkach eksplodował niemal maniacką ruchliwością, jakby go łaskotał jakiś niewidzialny żartowniś. Całe jego ciało wpadało w drgawki, głowa kołysała się na boki, a pupa podskakiwała w spazmatycznym tańcu. Nazywaliśmy to Marley Mambo.

- No dobra, co tam masz? - mówiłem, podchodząc do niego, a on zaczynał się chyłkiem wycofywać. Wił się po swojemu, kręcił biodrami, wymachiwał łbem w górę i w dół jak rżący żreback na łące, tak zachwycony swoim zakazanym łupem, że nie mógł się opanować. Kiedy w końcu udało mi się go dopaść i rozewrzeć mu szczęki, nigdy nie odchodziłem z pustymi rękami. Zawsze znajdowałem tam coś, co wygrzebał z kosza albo podniósł z podłogi, a później, gdy urósł, co udało mu się ściągnąć ze stołu. Ręczniki papierowe, zużyte chusteczki do nosa, paragony ze sklepu, korki od wina, spinacze, pionki szachowe, zakrętki od butelek - ogólnie rzecz biorąc, zawartość wysypiska śmieci. Kiedy pewnego razu otworzyłem mu pysk, ujrzałem czek z moją wypłatą przyklepiony do podniebienia.

Z upływem tygodni coraz trudniej nam było sobie przypomnieć, jak wyglądało nasze życie przed przybyciem nowego mieszkańca. Szybko wpadliśmy w rutynę. Rozpoczywałem każdy dzień, zabierając go, jeszcze przed poranną kawą, na krótki spacer nad wodę i z powrotem. Między śniadaniem a prysznicem wyruszałem ze szpadlem do ogródka, żeby zakopać jego miny na tyłach posesji. Jenny szła do pracy na dziewiątą, ja rzadko opuszczałem dom przed dziesiątą. Przed wyjściem zamykałem Marleya w betonowym bunkrze z miską świeżej wody, zestawem zabawek i wesołym zaleceniem:

- Masz być grzeczny, Marley.

O w pół do pierwszej Jenny wracała na przerwę obiadową, dawała mu jeść i rzucała piłkę, aż się zmęczył. W ciągu pierwszych tygodni wpadała do domu również wczesnym popołudniem, żeby choć na chwilę wyprowadzić go na dwór. Wieczorem, po kolacji, najczęściej szliśmy razem z nim nad wodę i spacerowaliśmy wzdłuż Intracoastal, gdzie jachty z Palm Beach sunęły leniwie w blasku zachodzącego słońca.

Spacerowanie jest chyba nieodpowiednim słowem. Marley spacerował mniej więcej tak, jak spaceruje pędząca lokomotywa. Parł przed siebie, wisząc na smyczy całym ciałem, i rzeźił przy tym bliski uduszenia. My ciągnęliśmy go do tyłu, on ciągnął nas do przodu. Myśmy szarpali, on nas holował, kaszłąc i charcząc jak nałogowy palacz z powodu zaciskającej się obroży. Miotał się w lewo i w prawo, celując w każdą skrzynkę pocztową i krzak, wachał, sapał, siusiał w biegu, zazwyczaj oblewając bardziej siebie samego niż to, co miał w planie. Kręcił się za nami i oplatał nasze kostki smyczą, po czym nagle szarpał do przodu, prawie nas przewracając. Kiedy w polu widzenia pojawiał się ktoś z psem, Marley pędził do niego radośnie, a jeśli zabrakło mu

smyczy, stawał na tylnych łapach, umierając z chęci zawarcia przyjaźni.

- Ten to kocha życie - skomentował jeden z psiarzy. I to była cała prawda o Marleyu.

Wciąż był na tyle mały, że wygrywaliśmy to przeciąganie smyczy, ale nasza przewaga malała z każdym tygodniem. Był coraz większy i potężniejszy. Wkrótce musiał stać się silniejszy od Jenny i ode mnie. Wiedzieliśmy, że musimy go okiełznać i nauczyć chodzić przy nodze, zanim narazi nas na poniżającą śmierć pod kołami samochodu. Nasi przyjaciele, doświadczeni właściciele psów, radzili, żeby się nie spieszyć z narzucaniem mu rygorów posłuszeństwa.

- Za wcześnie - mówił któryś. - Cieszcie się nim, póki jest szczeniakiem. Wkrótce będzie po wszystkim i wtedy na serio weźmiecie się do tresury.

Tak też robiliśmy, co jednak nie znaczy, że wszystko mu było wolno. Ustaliliśmy reguły gry i staraliśmy się je konsekwentnie egzekwować. Łóżka i meble stanowiły obszar zakazany. Takie zachowania jak picie z sedesu, obwąchiwanie w kroku, obgryzanie nóg od krzeseł należały do przestępstw karalnych, chociaż wyraźnie były warte cierpień. „Nie” stało się naszym ulubionym słowem. Uczyliśmy go prostych komend - siad, waruj, chodź, leżeć - lecz bez wielkich sukcesów. Marley był młody i nakręcony, miał zdolność koncentracji glonu i wybuchowość nitrogliceryny. Był tak pobudliwy, że dowolne zdarzenie wprawiało go w dziką ekscytację, niemal chodził po ścianach, jakby łyknął potrójne espresso. Dopiero po latach zdaliśmy sobie sprawę, że wykazywał wczesne oznaki stanu uznanego później za chorobę tłumaczącą zachowania tysięcy uczniów, którzy nie dawali się opanować i mieli mrówki w majtkach. Nasz szczeniak był podręcznikowym przypadkiem zespołu nadpobudliwości psychoruchowej.

Mimo wszystkich swoich młodzieńczych błazeństw Marley odgrywał ważną rolę w domu i w naszych wzajemnych stosunkach. Jego skrajna bezradność pozwoliła się Jenny przekonać, że potrafi sobie poradzić z macierzyńskimi obowiązkami. Zajmowała się nim od kilku tygodni i jak dotąd go nie zabiła. Wręcz przeciwnie, rozkwitał. Żartowaliśmy, że może powinniśmy zacząć ograniczać mu porcje jedzenia, żeby przyhamować tempo wzrostu i obniżyć poziom energii.

Przemiana Jenny z bezwzględnej morderczyni roślin w troskliwą psią mamę nieustająco mnie zdumiewała. Sądzę, że ona sama była trochę zdziwiona. Działała instynktownie. Pewnego dnia Marley zaczął się gwałtownie dławić. Zanim w ogóle zarejestrowałem, że coś się dzieje, Jenny już była na nogach. Rzuciła się do niego, jedną ręką rozwarła mu szczęki, drugą sięgnęła głęboko w gardło i wyciągnęła olbrzymi, ociekający śliną zwój celofanu. Normalka. Marley wydał z siebie ostatnie kasznięcie, zabębnił ogonem w ścianę i spojrzał na nią z miną, która mówiła: „Możemy to powtórzyć?”.

Im lepiej się czuliśmy z nowym członkiem naszej rodziny, z tym większą swobodą rozmawialiśmy o powiększeniu rodziny innymi metodami. Po kilku tygodniach od przybycia Marleya postanowiliśmy odstawić środki antykoncepcyjne. Nie znaczyło to, że zdecydowaliśmy się od razu na dziecko - byłby to zbyt śmiały ruch dla dwojga ludzi, którzy poświęcili swoje życie byciu tak niezdecydowanymi jak to tylko możliwe. Raczej przestaliśmy dbać o to, by nie zajść w ciążę. Nasza logika była pokrętna, przyznaję, ale jakoś czuliśmy się z tym dobrze. Żadnego przymusu. Ani trochę. Nie zabiegamy o dziecko, po prostu co ma się zdarzyć, to się zdarzy. Niech natura robi swoje. Que sera, sera i tak dalej.

Szczerze mówiąc, byliśmy przerażeni. Kilka par wśród naszych znajomych próbowało od miesięcy, ba, od lat, bezskutecznie począc dziecko i stopniowo ich żałosa desperacja stawała się sprawą publiczną. Podczas spotkań towarzyskich obsesyjnie omawiali wizyty u lekarzy, liczbę plemników i przebieg cyklu menstruacyjnego, wprawiając w zakłopotanie resztę gości przy stole. Bo co można było im powiedzieć? „Myślę, że liczba twoich plemników prezentuje się całkiem nieźle!”. Trudno to było wytrzymać. Baliśmy się śmiertelnie, że w końcu staniemy się tacy sami.

Przed naszym ślubem Jenny miała kilka poważnych nawrotów endometriozy i przebyła laparoskopową operację usunięcia nadmiaru tkanki bliznowatej z jajowodów. Obie te rzeczy nie wróżyły dobrze jej płodności. Jeszcze bardziej nas niepokoił mały sekret z przeszłości. W ślepo namiętym pierwszym okresie naszej znajomości, kiedy pożądanie było silniejsze od czegokolwiek, co przypominało zdrowy rozsądek, rzucaliśmy wszelką ostrożność w kąć razem z naszymi ubraniami i uprawialiśmy seks bez opamiętania i bez żadnego zabezpieczenia. I to nie raz, lecz wielokrotnie. Nasze zachowanie było niewiarygodnie głupie i patrząc na to z perspektywy czasu, powinniśmy całować ziemię w podzięce za cudowne uniknięcie niepożądaney ciąży. A jednak mogliśmy tylko myśleć: „Co jest z nami nie tak? Żadna normalna para oddająca się bez środków ostrożności tak intensywnemu cudzołóstwu nie zdołałaby wyjść z tego cało”. Byliśmy przekonani, że poczęcie nie będzie łatwym zadaniem.

Dlatego, choć nasi przyjaciele ogłaszali, że starają się o dziecko, my siedzieliśmy cicho. Jenny po prostu upchnie swoje pigułki głęboko w apteczce i zapomni o nich. Jeśli zajdzie w ciążę - świetnie. A jeśli nie? Cóż, właściwie wcale nie próbowaliśmy, prawda?

Zima w West Palm Beach to przepiękna część roku. Noce są rześkie, dni ciepłe, suche i słoneczne. Po nieznośnie długim, ospałym lecie, które spędza się pod osłoną klimatyzacji albo skacząc spod jednego drzewa pod drugie, aby skryć się przed prażącym słońcem, zima była dla nas czasem celebrowania zalet strefy podzwrotnikowej. Posiłki jedliśmy na werandzie, co rano wyciskaliśmy świeży sok z pomarańczy zerwanych z drzewa w ogródku. Mieliśmy maleńką grządkę z ziołami i kilka krzaczków pomidorów pod ścianą domu. Zrywaliśmy kwiaty hibiskusa wielkości spodka i stawialiśmy je w miskach z wodą na stole w jadalni. Spaliśmy przy otwartych oknach, a zapach gardenii wkradał się do pokoju.

W jeden z takich cudownych dni pod koniec marca Jenny zaprosiła koleżankę z pracy, by wpadła ze swoim bassetem Bud - dym na psią imprezkę. Buddy, zabrany ze schroniska, miał najsmutniejszą twarz, jaką w życiu widziałem. Puściliśmy psy do ogródka, żeby sobie pohasały. Stary Buddy nie był pewien, co ma począć z tym nadpobudliwym żółtym młodzieńcem, który przelatywał jak błyskawica i zataczał wokół niego ciasne koła. Przyjął to jednak z pogodą ducha i we dwójkę dokazywali przez godzinę, zanim padli wykończeni w cieniu drzewa mango.

Parę dni później Marley zaczął się drapać i nie mógł przestać. Orał po sobie pazurami tak zawzięcie, że mało brakowało, by połała się krew. Jenny uklękła i zaczęła rutynową inspekcję, przeczesując palcami sierść i rozdzielając włosy, żeby zobaczyć skórę. Po kilku sekundach krzyknęła: - A niech to! Zobacz!

Spojrzałem przez jej ramię akurat w porę, by między włosami zobaczyć małą czarną kropkę zmykającą w gąszcz sierści. Położyliśmy go płasko na podłodze i zaczęliśmy sprawdzać jego skórę centymetr po centymetrze. Marley,

wniebowzięty, że zajmują się nim aż dwie osoby, sapał z zachwytu i tłukł ogonem w podłogę. Było ich pełno. Pchły. Zastępy pcheł. Siedziały między opuszkami palców, pod obrozą i we wnętrzu zwisających uszu. Gdyby nawet były dość powolne, by dać się złapać - a nie były - oblażyły go w takiej ilości, że nawet nie warto było zaczynać polowania.

Słyszeliśmy już o legendarnych problemach z pchłami i kleszczami na Florydzie. Bez porządnych mrozów czy choćby przymrozków populacja insektów nigdy się nie zmniejszała, wręcz przeciwnie, rozkwitała w ciepłym, wilgotnym środowisku. Nawet w położonych nad oceanem w Palm Beach posiadłościach milionerów były karaluchy. Jenny mało nie zemdląła - jej szczeniak roił się od robaków. Oczywiście zwaliliśmy winę na Buddy'ego, chociaż nie dysponowaliśmy żadnym twardym dowodem. Jenny miała wizję, że nie tylko pies jest zaatakowany, ale cały dom. Złapała kluczyki i wybiegła.

Po pół godzinie wróciła z torbą wypełnioną taką ilością chemikaliów, że nasz dom z pewnością stał się zagrożeniem dla środowiska naturalnego. Były tam szampony na pchły i pudry na pchły, spreje na pchły i pianki na pchły, a także płyn do namaczania przeciw pchłom. Był specjalny pestycyd na trawnik, który, jak twierdził facet ze sklepu, również należy spryskać, jeśli chcemy się pozbyć do reszty tych małych paskudztw. Był tam także specjalny grzebień do usuwania pchlich jaj.

Sięgnąłem do torby i wyłowiłem paragon.

- Jezu Chryste, kochanie! - powiedziałem. - Za te pieniądze moglibyśmy wynająć samolot do oprysków.

Moja żona nie zwróciła na to uwagi. Wpadła znowu w morderczy nastrój - tym razem musiała chronić tych, których kochała - i zabrała się do roboty. Wyszorowała Marleya specjalnym mydłem w wannie w pralni. Przygotowała

roztwór, który, jak zauważyłem, zawierał środek owadobójczy używany do trawników, i polewała psa, aż cały nasiąknął. Kiedy suszył się w garażu, śmierdząc jak miniaturowe zakłady Dow Chemicals, Jenny z furją wzięła się za dom. W amoku odkurzała podłogi, ściany, dywany, zasłony, obicia mebli. Potem spryskiwała. Kiedy już spryskała wszystko wewnątrz płynem do zabijania pcheł, ja z kolei spryskałem wszystko na zewnątrz.

- Myślisz, że wykończyliśmy te małe ścierwa? - spytałem, kiedy wreszcie skończyliśmy.

- Myślę, że tak - odparła.

Nasz zmasowany atak na populację pcheł przy Churchill Road numer 345 okazał się oszałamiającym sukcesem. Codziennie zaglądaliśmy Marleyowi między palce, w uszy, pod ogon, brzuch i wszędzie indziej, gdzie dało się zajrzeć. Nie natrafiliśmy na żadne ślady pcheł. Sprawdzaliśmy dywany, kanapy, dół zasłon, trawniki - nic. Unicestwiliśmy wroga.

ROZDZIAŁ 5

Niebieski pasek

Parę tygodni później leżeliśmy już w łóżku i czytaliśmy, gdy nagle Jenny zamknęła książkę. - To chyba nic takiego - powiedziała.

- Co chyba nic takiego? - mruknąłem z roztargnieniem, nie podnosząc oczu znad swojej lektury.

- Spóźnia mi się okres. Oprzytomniałem.

- Okres? Naprawdę? - spojrzałem na nią.

- Czasem tak się zdarza. Ale to już ponad tydzień. I jakoś dziwnie się czuję.

- Jak dziwnie?

- Jakbym miała lekką grypę żołądkową czy coś w tym rodzaju. Wypiłam wczoraj łyk wina do obiadu i myślałam, że zwymiotuję.

- To do ciebie niepodobne.

- Na samą myśl o alkoholu robi mi się niedobrze.

Nie zamierzałem jej tego wypominać, ale ostatnio była dosyć kapryśna.

- Myślisz... - zacząłem.

- Nie wiem. A ty?

- Niby skąd ja miałbym wiedzieć?

- Przecież nic nie mówię - powiedziała Jenny. - Tylko gdyby, no wiesz. Nie chcę zapeszyć.

Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, jak ważne było to dla niej, no i dla mnie też. W jakiś sposób wkradła się w nas potrzeba bycia rodzicami - byliśmy gotowi na dziecko. Leżeliśmy przez dłuższy czas, nic nie mówiąc, patrząc prosto przed siebie.

- Nigdy nie zaśniemy - odezwałem się w końcu.

- Ta niepewność mnie zabija - przyznała Jenny.

- Wstawaj, ubieramy się - zdecydowałem. - Pojedziemy do apteki i kupimy test.

Wrzuciliśmy na siebie szorty i koszulki. Otworzyłem drzwi, a Marley wyskoczył przed nas zachwycony perspektywą nocnej przejażdżki. Wspinał się na tylne łapy przy naszej małej toyocie, podskakiwał, trząsał się, ociekał śliną, dyszał, wręcz wychodził z siebie w oczekiwaniu na tę wielką chwilę, kiedy wreszcie otworzę samochód.

- Rany, myślałby kto, że to on będzie ojcem - powiedziałem.

Gdy w końcu uchyliłem tylne drzwi, wskoczył na siedzenie z takim impetem, że poleciał prosto na drugą stronę bez zatrzymania i z hukiem walnął głową w przeciwległe okno, co zresztą zupełnie mu nie zaszkodziło.

Apteka była otwarta do północy. Jenny weszła do środka. My z Marleyem czekaliśmy w samochodzie. Są rzeczy, których faceci nie kupują, a test ciążowy zajmuje jedno z czołowych miejsc na tej liście. Marley przestępował z nogi na nogę na tylnym siedzeniu, skamlał z oczami wbitymi w drzwi apteki. Jak zwykle, kiedy był podekscytowany - czyli prawie zawsze, jeśli nie spał - dyszał i ślinał się niemożliwie.

- Na litość boską, usiądź wreszcie - powiedziałem. - Myślisz, że co ona chce zrobić? Uciec nam tylnymi drzwiami?

W odpowiedzi otrząsnął się w wielkim podnieceniu, posyłając mi fontannę śliny i kłaków. Zналиśmy już samochodowe obyczaje Marleya, więc zawsze trzymaliśmy na podorędziu ręcznik kąpielowy, który służył do wycierania mnie i wnętrza samochodu.

- Uspokój się - przemawiałem do niego. - Ona na pewno wróci.

Pięć minut później Jenny wyszła z apteki z małą paczuszką w ręku. Kiedy ruszaliśmy z parkingu, Marley wcisnął się do połowy między nasze siedzenia. Przednie łapy oparł na środku deski rozdzielczej, tak że nosem dotykał lusterka wstecznego. Przy każdym zakręcie tracił równowagę i

opadał piersią na dźwignię hamulca ręcznego. A po każdym upadku niezrażony i bardzo zadowolony z siebie gramolił się z powrotem do pozycji wyjściowej.

Po kilku minutach byliśmy z powrotem w domu, w łazience, a test ciążowy za 8,99 dolara leżał rozpakowany na brzegu umywalki. Głośno przeczytałem instrukcję.

- Dobra - powiedziałem. - Tu jest napisane, że daje 99 procent pewności. Najpierw musisz nasiusiać do tego pojemnika.

Następnie należało zanurzyć wąski pasek plastiku w moczu, a potem w małej fiolce z roztworem załączonym do zestawu.

- Odczekać pięć minut - przeczytałem - i przełożyć do drugiego roztworu na 15 minut. Jeśli pasek zrobi się niebieski, jesteś oficjalnie trafiona, kochanie.

Odczekaliśmy pierwsze pięć minut, po czym Jenny wrzuciła pasek do drugiej fiolki i powiedziała: - Nie wytrzymam tego stania i patrzenia.

Przenieśliśmy się więc do salonu i zaczęliśmy pogawędkę, udając, że nie czekamy na nic ważniejszego niż zagotowanie się wody w czajniku.

- Ciekawe, jak poszło Delfinom - zażartowałem.

Ale serce waliło mi jak opętane, a w żołądku czułem nerwowe skurcze narastającego przerażenia. Jeśli test wyjdzie pozytywnie - o rany! Nasze życie zmieni się na zawsze. Jeżeli wynik okaże się negatywny, Jenny będzie zdruzgotana. I ja też - uświadomiłem sobie nagle. Minęła wieczność, zanim zadzwonił budzik.

- Już - powiedziałem. - Tak czy owak pamiętaj, że cię kocham.

Poszedłem do łazienki i wyłowilem pasek z fiolki. Bez wątplenia jego kolor był niebieski. Niebieski jak głębie

oceanu. Ciemny, intensywnie niebieski jak marynarska bluza. Niebieski, którego nie można pomylić z żadną inną barwą.

- Gratulacje, kochanie - powiedziałem.

- O mój Boże - tyle tylko zdołała odrzec, nim wpadła mi w ramiona.

Kiedy tak staliśmy przy umywalce z zamkniętymi oczami, objęci, stopniowo docierało do mnie, że przy naszych stopach trwa jakieś zamieszanie. Spojrzałem w dół. Marley wił się, machał głową, bębnił ogonem w drzwi szafy na ręczniki tak mocno, że mało brakowało, by je wgniółł do środka. Gdy sięgnąłem, żeby go pogłaskać, odskoczył. Oho! Marley Mambo. To mogło oznaczać tylko jedno.

- Co tam masz tym razem? - spytałem i ruszyłem w pościg. Dał nura do salonu, wymykając mi się z rąk. Kiedy wreszcie go dopadłem i zmusiłem, by otworzył pysk, najpierw nic nie zobaczyłem. W końcu głęboko na języku, blisko granicy, zza której nie ma powrotu, dostrzegłem coś, co za chwilę miało zniknąć w przepaścistym brzuchu. Było wąskie, długie, płaskie. I niebieskie jak głębie oceanu. Sięgnąłem i wydobyłem nasz pozytywny test.

- Przepraszam, ale muszę cię rozczarować, bracie - powiedziałem. - Zamierzamy to zachować na pamiątkę.

Wybuchnęliśmy śmiechem i długo nie mogliśmy się uspokoić. Bardzo nas bawiły spekulacje, co on kombinuje w swoim wielkim, kwadratowym łbie. „Hm, jeśli zniszczę dowód, może zapomną o tym pechowym wydarzeniu i mimo wszystko nie będę musiał dzielić mojego królestwa z jakimś intruzem”.

Potem Jenny złapała Marleya za przednie łapy, postawiła go w pionie i ruszyła z nim w taniec dookoła pokoju.

- Będiesz wujkiem! - śpiewała. Marley odpowiedział po swojemu - wyciągnął się gwałtownie i polizał ją mokrym jęzorem prosto w usta.

Następnego dnia Jenny zadzwoniła do mnie do pracy. Z jej głosu emanował entuzjazm. Właśnie wróciła od lekarza, który oficjalnie potwierdził rezultat naszego domowego testu.

- Powiedział, że wszystkie systemy działają jak trzeba - oświadczyła.

Poprzedniej nocy przeglądaliśmy wstecz kalendarz, próbując ustalić datę zapłodnienia. Jenny martwiła się, że była w ciąży już w czasie naszego historycznego aktu eksterminacji pcheł. Te wszystkie pestycydy na pewno nie zrobiły jej dobrze. Podzieliła się obawami z lekarzem, ale on odparł, że to raczej nie ma znaczenia.

- Po prostu proszę tego więcej nie używać - poradził.

Dał jej receptę na witaminy dla przyszłych matek i powiedział, żebyśmy przyszli za trzy tygodnie na badanie USG, które pozwoli nam po raz pierwszy rzucić okiem na maleńki płód rosnący w brzuchu Jenny.

- Chciał, żebyśmy przynieśli ze sobą kasetę wideo - powiedziała. - W ten sposób będziemy mogli zachować nagranie dla potomności.

Zaznaczyłem to sobie w kalendarzu na biurku.

ROZDZIAŁ 6

Sprawy serca

Tubylcy powiedzą ci, że na Florydzie są cztery pory roku. Ledwo uchwytne, dodadzą, ale zdecydowanie cztery różne pory roku. Nie daj się nabrać. Są tylko dwie - pora ciepła i sucha oraz pora gorąca i wilgotna.

Mniej więcej w tym czasie, kiedy z dnia na dzień powrócił tropikalny żar, obudziliśmy się pewnego ranka i zauważyliśmy, że nasz szczeniak przestał być szczeniakiem. Tak nagle jak zima zmieniła się w lato, Marley przeistoczył się w niezgrabnego podrostka. Miał pięć miesięcy. Zwisające obwarzanki zbyt obszernego żółtego futrzanego płaszcza już się wypełniły mięśniami. Olbrzymie łapy przestały się wydawać tak komicznie nieproporcjonalne. Ostre jak igły zęby mleczne ustąpiły miejsca okazałym kłom zdolnym kilkoma szybkimi kłapnięciami rozszarpać talerz do frisbee lub świeżo kupiony skórzany but. Barwa szczeku pogłębiła się, nabierając odcienia przerażającego grzmotu. Gdy stawał na tylnych łapach, co robił często, drepcząc w koło jak tańczący niedźwiedź z rosyjskiego cyrku, przednie mógł oprzeć na moich ramionach i spojrzeć mi prosto w oczy.

Kiedy weterynarz zobaczył go pierwszy raz, gwizdnął cicho.

- Będzie pan miał dużego chłopaka.

No i właśnie go miałem. Wyrósł na przystojny okaz, a ja czułem się zobowiązany wytknąć niewiernej pannie Jenny, że formalne imię Marleya nie było tak całkiem chybione. Grogan Majestic Marley of Churchill, oprócz tego, że zamieszkiwał na Churchill Road, był kwintesencją dostojeństwa. Pod warunkiem że akurat nie gonił za własnym ogonem. Czasem, kiedy już wybiegał z siebie każdy kwant nerwowej energii, kładł się na perskim dywanie w salonie i wygrzewał w słońcu świecącym przez rolety. Z głową uniesioną do góry,

błyszczącym nosem i skrzyżowanymi przed sobą łapami wyglądał wtedy jak egipski sfinks.

Nie tylko my widzieliśmy tę przemianę. Z reakcji obcych ludzi, którzy omijali go wielkim łukiem lub szybko się cofali, gdy stanął na ich drodze, wynikało, że wcale już nie uważają go za nieszkodliwego szczeniaka. Budził w nich strach.

Drzwi wejściowe do naszego domu miały na wysokości oczu owalne okienko o szerokości dziesięciu i wysokości dwudziestu centymetrów. Marley był bardzo towarzyski, więc gdy tylko ktoś zadzwonił do drzwi, mknął przez dom jak błyskawica, na progu przedpokoju wpadał w pełny poślizg i sunął bokiem przez drewniany parkiet, kotłując po drodze rozłożone tam dywaniki, aż wreszcie dojeżdżał do drzwi i wpadał na nie z głuchym hukiem. Po czym, skowycząc dziko, wspinał się na tylne łapy i wypełniał wielkim łbem małe okienko, żeby spojrzeć prosto w twarz osoby stojącej po drugiej stronie. Marley, który uważał się za członka domowego komitetu powitalnego, traktował to jako radosną uwerturę. Ale domokrażcy, listonosze i wszyscy, którzy go nie znali, widzieli przed sobą wściekłego psa Cujo prosto z powieści Stephena Kinga i sądzili, że tylko drewniane drzwi chronią ich przed bezlitosnym rozszarpaniem. Niejeden przybysz, zadzwoniwszy i ujrawszy szczekającą paszczę Marleya, szybko wycofywał się do połowy podjazdu, gdzie czekał, dopóki któreś z nas się nie pojawiło.

Uznaliśmy, że to ma swoje dobre strony.

Okolice takie jak nasza urbaniści nazywają przestrzenią niestabilnego sąsiedztwa. Domy budowane w latach czterdziestych i pięćdziesiątych początkowo wykupili emeryci oraz ludzie z północnych rejonów szukający zimą cieplejszych miejsc. Gdy pierwotni właściciele powymierali, standard okolicy spadł, bo w ich miejsce napłynęła mieszanka najemców i rodzin robotniczych. Zanim się wprowadziliśmy,

dzielnica przeszła kolejne przeobrażenie - tym razem uszlachetnili ją geje, artyści i młodzi przedstawiciele wolnych zawodów, których przyciągała tu bliskość wody i architektura w stylu art deco.

Nasza dzielnica odgrywała rolę bufora między ruchliwą autostradą South Dixie i szarymi posiadłościami wzniesionymi nad brzegiem wody. Autostrada South Dixie była dawną drogą stanową US 1, biegła wzdłuż wschodniego wybrzeża Florydy i pełniła funkcję głównej drogi do Miami. Miała pięć pasów rozżarzonego słońcem asfaltu, dwa w każdym kierunku plus jeden wspólny do skrętu w lewo. Przy niej ciągnął się szereg lekko nadgryzionych zębem czasu tanich sklepów z najdziwniejszymi towarami, stacji benzynowych, straganów z owocami, składów wysyłkowych, jadłodajni i tanich moteli z minionej epoki.

Na czterech rogach skrzyżowania autostrady South Dixie z Churchill Road stały: sklep z alkoholem, wygodny całodobowy market, sklep z towarami importowanymi wyposażony w ciężkie kraty w oknach i samoobsługowa pralnia bez zadaszenia, gdzie ludzie spędzali całe noce, zostawiając często po sobie brązowe papierowe torebki z pustymi butelkami w środku. Nasz dom stał w połowie ulicy, osiem posesji od miejsca akcji.

Sąsiedztwo wydawało nam się bezpieczne, ale docierały do nas opowieści o jego ciemnej stronie. Narzędzia, które kiedyś zostawiłem w ogródku, zniknęły, a w okresie niespotykanych chłódów ktoś ukradł całe drewno do kominka, jakie ułożyłem wzdłuż ściany domu. Którejś niedzieli jedliśmy śniadanie w naszej ulubionej knajpce, siedząc przy tym samym co zwykle stoliku, opodal frontowego okna. Jenny wskazała dziurę po kuli w szybie nieco nad naszymi głowami i powiedziała sucho:

- Tego na pewno nie było, gdy byliśmy tu ostatnio.

Innego ranka ruszałem spod domu, żeby pojechać do pracy, gdy zauważyłem leżącego w rynsztoku mężczyznę z zakrwawioną twarzą i rękami. Pomyślałem, że ktoś go potracił, więc zatrzymałem samochód i podbiegłem do niego. Kiedy się pochylałem, uderzył mnie mocny odór alkoholu i moczu, a gdy się odezwał, było już oczywiste, że jest pijany. Wezwałem karetkę i czekałem przy nim. Nie pozwolił się zbadać. Stałem razem z sanitariuszami i patrzyliśmy, jak chwiejnym krokiem zmierza w kierunku sklepu z alkoholem.

Pewnego wieczoru do naszych drzwi zadzwonił jakiś facet o wyglądzie desperata. Powiedział, że był z wizytą na sąsiedniej ulicy i skończyła mu się benzyna. Czy mógłbym mu pożyczyć pięć dolarów? Zwróci mi bezzwłocznie, jutro rano. „Już widzę, jak mi zwrócisz” - pomyślałem. Kiedy zaproponowałem, że zadzwonię na policję, żeby mu pomogli, wymamrotał kiepską wymówkę i zniknął.

Najbardziej niepokojące było to, czego dowiedzieliśmy się o małym domku stojącym po drugiej stronie ulicy, na ukos od nas. Parę miesięcy przed naszą przeprowadzką miało tam miejsce morderstwo. I nie było to jakieś zwykłe, przeciętne morderstwo, ale wyjątkowo makabryczne, dokonane na schorowanej wdowie za pomocą piły łańcuchowej. Przypadek ten omawiano we wszystkich mediach i zanim jeszcze tutaj zamieszkaliśmy, poznaliśmy sprawę w najdrobniejszych szczegółach z wyjątkiem jednego - lokalizacji. No i teraz proszę - zaledwie ulica dzieli nasz dom od miejsca zbrodni.

Ofiarą była emerytowana nauczycielka Ruth Ann Nedermier. Należała do grona pierwszych mieszkańców tej dzielnicy. Ponieważ mieszkała sama, po operacji biodra wynajęła do pomocy pielęgniarkę, co okazało się fatalnym posunięciem. Pielęgniarka, jak później potwierdziła policja, kradła czekie pani Nedermier i podrabiała jej podpis.

Starsza pani była niesprawna fizycznie, ale nie umysłowo. Zapytała wprost pielęgniarkę o brakujące czeki i niewyjaśnione wypłaty z konta. Spanikowana opiekunka zadała jej śmiertelny cios pałką, a potem zadzwoniła do swojego chłopaka, który przyjechał z piłą łańcuchową i pomógł jej poćwiartować ciało w wannie. Zapakowali części ciała do dużej skrzyni, splukali krew i odjechali.

Przez wiele dni zaginięcie pani Nedermier pozostawało tajemnicą, jak nam później powiedzieli sąsiedzi. Zagadka się wyjaśniła, gdy jakiś człowiek zadzwonił na policję i doniósł, że z jego garażu wydobywa się straszliwy smród. Policjanci odkryli skrzynię z upiorną zawartością. Kiedy zapytali właściciela domu, skąd się tam wzięła, powiedział im prawdę - na prośbę córki zgodził się zaopiekować jej rzeczami.

Chociaż koszarne morderstwo było najszerzej omawianym wydarzeniem w historii naszej ulicy, nikt słowem nawet o nim nie wspomniał, gdy szykowaliśmy się do kupienia domu. Ani pośrednik, ani właściciele, ani inspektor budowlany, ani geodeta. Jak tylko się wprowadziliśmy, zaczęli nas odwiedzać sąsiedzi z ciasteczkami lub zapiekankami i zdradzili nam tę nowinę. Leżąc wieczorem w łóżku, nie mogliśmy przestać myśleć o tym, że sto metrów od naszej sypialni ktoś pociął na kawałki bezbronną wdowę. To była jakaś wewnętrzna rozgrywka, przekonywaliśmy siebie samych, nam coś takiego nie może się przytrafić. Ale i tak trudno było przejść obok tego miejsca - lub nawet tylko na nie patrzeć - nie myśląc, co się tam wydarzyło.

W jakiś sposób obecność Marleya na pokładzie i świadomość, jaki respekt budzi on u obcych, zapewniały nam poczucie bezpieczeństwa. Był dużym, kochanym i naiwnym stworzeniem. Jego strategia obronna przeciwko intruzom z pewnością polegałaby na zalizaniu ich na śmierć. Ale rabusie i bandyci nie muszą o tym wiedzieć. Im wydawał się wielkim,

potężnym i nieprzewidywalnie szalonym psem. I to nam się podobało.

Jenny dobrze znosiła ciążę. Zaczęła wstawać o świcie, żeby się pogimnastykować i wyprowadzić Marleya. Szykowała pełnowartościowe, zdrowe posiłki napakowane świeżymi warzywami i owocami. Odstawiła kofeinę, dietetyczne napoje gazowane i oczywiście alkohol - nie pozwalała mi nawet dodać łyżeczki sherry do gotowania. Obiecaliśmy sobie, że dopóki nie nabierzemy pewności, że płód jest żywy i nie ma ryzyka poronienia, zachowamy ciążę w tajemnicy. Ale żadne z nas nie było w tym mocne. Byliśmy tak podnieceni, że ujawnialiśmy nowinę jednej zaufanej osobie po drugiej pod przysięgą zachowania milczenia, aż w końcu nasz sekret przestał być sekretem. Najpierw powiedzieliśmy rodzicom, potem rodzeństwu, następnie bliskim przyjaciołom, później kolegom z pracy, a na końcu sąsiadom. Brzuch Jenny po dziesięciu tygodniach lekko się zaokrąglił. Wyglądało na to, że ciąża jest faktem. Czemu nie podzielić się naszą radością ze światem? Zanim nadszedł czas wyznaczonego badania i USG, równie dobrze moglibyśmy ogłosić na billboardach: John i Jenny spodziewają się dziecka.

W dniu wizyty u lekarza zwoleńłem się z pracy i zgodnie z instrukcją zabrałem czystą kasetę, żeby zapisać na niej pierwszy, niewyraźny obraz dziecka. Wizyta miała być częściowo badaniem, a częściowo spotkaniem informacyjnym. Przydzielią nam położną, która odpowie na wszystkie pytania, zmierzy brzuch Jenny, posłucha bicia serca dziecka, no i rzecz jasna pokaże nam maleństwo w środku.

Przyjechaliśmy o dziewiątej rano, drżąc z niecierpliwości. Położna, łagodna kobieta w średnim wieku z wyraźnym brytyjskim akcentem, zaprowadziła nas do niewielkiego gabinetu i od razu zapytała:

- Chcecie posłuchać bicia serca?

Też pytanie.

- Bardzo chcemy - odpowiedzieliśmy. Nasłuchiwaliliśmy w skupieniu, kiedy przesuwiała po brzuchu Jenny czymś w rodzaju mikrofonu podłączonego do głośnika. Milczeliśmy z uśmiechami przyklepionymi do twarzy, starając się usłyszeć maleńkie serce, ale z głośnika dochodziły tylko statyczne szумы.

Pielęgniarka powiedziała, że to się zdarza.

- Zależy od tego, jak się dziecko ułoży. Czasami nic nie słychać. A może być jeszcze trochę za wcześnie.

Zaproponowała, żeby iść teraz na USG.

- Popatrzymy na maleństwo - powiedziała serdecznie.

- Pierwszy rzut oka na dzidziusia Grogusia - uśmiechnęła się do mnie rozpromieniona Jenny.

Położna zaprowadziła nas do pokoju z ultrasonografem i kazała Jenny położyć się na stole, za którym ustawiony był ekran monitora.

- Przyniosłem kasetę - przypomniałem, machając nią do pielęgniarki.

- Za chwilę - odpowiedziała, podciągnęła Jenny bluzkę i zaczęła wodzić po jej brzuchu urządzeniem wielkości i kształtu krążka hokejowego. Wlepiliśmy wzrok w szarą, nieokreśloną masę na ekranie monitora.

- Hm, wygląda na to, że nic nie może złapać - powiedziała położna zupełnie zwyczajnym głosem. - Spróbujemy przez pochwę. W ten sposób widać dużo więcej szczegółów.

Wyszła z pokoju i po chwili wróciła z inną pielęgniarką, tlenioną blondynką z monogramem na paznokciu. Miała na imię Essie. Poprosiła Jenny, by zdjęła majtki, po czym wprowadziła lateksowy próbnik do pochwy. Położna miała rację, rozdzielczość była nadzwyczajna w porównaniu z poprzednim badaniem. Essie skupiła się na czymś, co

wyglądało jak maleńki woreczek w środku morza szarości, i powiększyła to, klikając myszą. Jeszcze raz powiększyła. I znowu. Ale mimo wszystkich szczegółów woreczek wciąż wyglądał jak pusta, bezkształtna skarpeta. Gdzie są malutkie rączki i nóżki, które, jak podaje poradnik ciąży, formują się już przed dziesiątym tygodniem? Gdzie jest maleńka główka? Gdzie jest bijące serce? Jenny leżała z głową wygiętą na bok, żeby widzieć monitor. Wciąż przepełniona oczekiwaniem z nerwowym śmiechem zapytała pielęgniarkę: - Czy tam coś jest?

Spojrzałem na twarz Essie i wiedziałem, że odpowiedź nie jest taka, jaką chcielibyśmy usłyszeć. Nagle zdałem sobie sprawę, dlaczego nic nie mówi, tylko klika myszą, żeby powiększyć obraz.

- Nie to, czego można oczekiwać w dziesiątym tygodniu - odparła opanowanym głosem.

Położyłem rękę na kolanie Jenny. Wciąż oboje wpatrywaliśmy się w kleks na ekranie, jakbyśmy mogli go ożywić.

- Jenny, chyba mamy problem - powiedziała Essie. - Pójdę po doktora Shermana.

Kiedy czekaliśmy w milczeniu, zrozumiałem, co to znaczy, gdy ktoś opowiada, że opadł go rój szarańczy, zanim zemdłał. Czułem jak krew napływa mi do głowy i słyszałem dzwonienie w uszach. „Jeśli nie usiądę, przewrócę się” - pomyślałem. Jak by to wyglądało? Silna żona znosi wiadomość ze stoickim spokojem, a mąż leży nieprzytomny na podłodze i pielęgniarki próbują go cucić solami trzeźwiącymi. Przysiadłem na skraju leżanki. Trzymałem Jenny za rękę i głaskałem ją po szyi. Jej oczy wypełniły się łzami, ale się nie rozplakała.

Doktor Sherman, wysoki mężczyzna o dystyngowanym wyglądzie, bez ogródek, lecz grzecznie potwierdził, że płód jest martwy.

- Bez wątpienia byłoby słycać bicie serca - powiedział. Łagodnie wytłumaczył nam to wszystko, co już wiedzieliśmy z ksiązek. Że jedna na sześć ciąży kończy się poronieniem. W ten sposób natura pozbywa się płodów słabych, upośledzonych lub gęboko zdeformowanych. Najwyraźniej pamiętał, jak Jenny się martwiła o środki przeciw pchłom, bo zapewnił, że nic złego nie zrobiliśmy ani niczego nie zaniedbaliśmy. Położył dłoń na policzku Jenny i pochylił się blisko, jakby chciał ją pocałować:

- Przykro mi - powiedział. - Możecie spróbować znowu za parę miesięcy.

Siedzieliśmy oboje w milczeniu. Pusta kasetka leżąca na kozetce obok nas nagle wydała mi się niewiarygodnie żenującym, brutalnym przypomnieniem naszego ślepego, naiwnego optymizmu. Chciałem ją wyrzucić. Chciałem ją ukryć.

- Co teraz? - zapytałem lekarza.

- Musimy usunąć łożysko - powiedział. - Dawniej nawet by pani nie wiedziała, że poronienie już nastąpiło, dopóki nie zaczęłyby się krwotoki.

Dał nam wybór - możemy odczekać weekend i wrócić w poniedziałek na zabieg, który sprowadzał się do tego samego co aborcja. Polegał na próżniowym wysaniu płodu i łożyska z macicy. Jenny chciała to mieć już za sobą i ja zresztą też.

- Im szybciej, tym lepiej - powiedziała.

- W porządku - zgodził się doktor Sherman. Podał Jenny coś na rozwarcie i wyszedł. Słyszeliśmy, jak wszedł do sąsiedniego gabinetu i hałaśliwie, z wesołym przekomarzaniem gratulował jakiejś przyszłej matce.

Zostaliśmy sami. Objęliśmy się mocno i staliśmy tak, aż dobiegło nas lekkie pukanie do drzwi. Weszła starsza kobieta, której nigdy przedtem nie widzieliśmy. Niosła plik papierów.

- Przykro mi, złotko - powiedziała do Jenny. - Bardzo mi przykro.

A potem pokazała jej, gdzie ma podpisać, że zrzeka się wszelkich roszczeń świadoma ryzyka zabiegu odessania macicy.

Kiedy doktor Sherman wrócił do gabinetu, był już samą powagą. Wstrzyknął Jenny najpierw valium, potem demerol. Zabieg nie był może bezbolesny, ale szybki. Skończył się, zanim znieczulenie naprawdę zaczęło działać. Już było po wszystkim, a Jenny leżała prawie nieprzytomna, bo właśnie leki w pełni poskutkowały.

- Proszę pilnować, żeby nie przestała oddychać - powiedział lekarz i wyszedł z gabinetu.

Nie mogłem uwierzyć. To chyba on powinien pilnować, żeby nie przestała oddychać? Dokument, który podpisała, nie zawierał ostrzeżenia, że „pacjent może przestać oddychać w każdej chwili w wyniku przedawkowania barbituranów”. Robiłem, co mi kazano: mówiłem do niej głośno, masowałem ramiona, klepałem w policzki i pytałem: - Hej, Jenny! Wiesz, jak się nazywam?

Zupełnie nie kontaktowała.

Po kilku minutach Essie wsadziła głowę do gabinetu, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Rzuciła okiem na poszarzałą twarz Jenny, wybiegła i niemal od razu wróciła z mokrym ręcznikiem i solami trzeźwiącymi. Podetknęła je Jenny pod nos. Wydawało się, że minęła wieczność, nim Jenny odzyskała świadomość, i to tylko na chwilę. Wciąż mówiłem do niej głośno, prosiłem, żeby głęboko wciągała powietrze, tak żebym czuł jej oddech na ręce. Skórę miała w kolorze popiołu. Zmierzyłem jej puls: sześćdziesiąt uderzeń na

minutę. Nerwowo oklepywałem rącznikiem jej czoło, policzki i kark. W końcu odzyskała przytomność, choć wciąż była skrajnie oszołomiona.

- Przestraszyłaś mnie - powiedziałem. Popatrzyła tępo, próbując zrozumieć, dlaczego miałbym się o nią bać. Po czym odplynęła znowu.

Pół godziny później pielęgniarka pomogła mi ją ubrać i opuściliśmy gabinet z następującymi zaleceniami: przez następne dwa tygodnie nie kapać się, nie pływać, nie brać prysznicza, nie używać tamponów, nie uprawiać seksu.

W samochodzie Jenny wciąż chowała się w ciszy. Wciśnięta w drzwi pasażera patrzyła przez okno. Oczy miała zaczerwienione, ale nie płakała. Bezskutecznie szukałem słów pocieszenia. Co właściwie można było powiedzieć? Straciliśmy dziecko. Pewnie, mógłbym powtarzać, że spróbujemy znowu. Że wiele par przez to przeszło. Ale ona nie chciała tego słuchać, a ja nie chciałem tego mówić. Za jakiś czas zdołamy spojrzeć na to z dystansu. Ale nie dzisiaj.

Wybrałem malowniczą drogę Flagler Drive wijącą się wzdłuż nabrzeża West Palm Beach od północnego skraju miasta, gdzie była przychodnia lekarska, do południowego, gdzie mieszkaliśmy. Słońce lśniło na powierzchni wody, drzewa palmowe kołysały się delikatnie pod bezchmurnym niebem. To miał być radosny dzień, ale nie dla nas. Jechaliśmy do domu w milczeniu.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, pomogłem Jenny wejść do środka i usiąść na kanapie, a sam poszedłem do garażu, gdzie Marley jak zawsze czekał na nasz powrót, powstrzymując oddech z napięcia. Na mój widok zanurkował po swoją gigantyczną kość z preparowanej skóry i dumnie obniósł ją wokół garażu, wijąc się i tłukąc ogonem w pralkę jak pałką w bęben. Błagał mnie, żebym spróbował mu zabrać kość.

- Nie dzisiaj, przyjacielu - powiedziałem i wypuściłem go tylnymi drzwiami do ogródka. Siknął porządnie pod chińską śliwą, wbiegł z powrotem do środka, pociągnął wielki łyk wody z miski, ochlapując wszystko dookoła, i skręcił w korytarz, szukając Jenny. Zamknięcie tylnych drzwi i wytarcie mopem rozlanej wody zajęło mi kilka sekund, po czym poszedłem za nim do salonu. W drzwiach stanąłem jak wryty. Byłem gotów się założyć o tygodniową wypłatę, że to, co zobaczyłem, nie mogło się zdarzyć naprawdę. Nasz hałaśliwy, nakręcony pies stał przy kolanach Jenny, a wielki, masywny łeb oparł nieruchomo na jej udach. Ogon zwiesił między nogami i pierwszy raz, odkąd pamiętam, nie machał nim, mimo że dotykał jednego z nas. Patrzył w oczy Jenny i cichutko popiskiwał. Poglaskała go kilka razy po głowie, po czym bez zapowiedzi ukryła twarz w grubym futrze na jego szyi i zaczęła szlochać. Ciężko, niepowstrzymanie, z głębi trzewi.

Trwali tak długo, Marley spokojny jak posąg, Jenny wczepiona w niego kurczowo niczym wielka lalka. Stałem z boku, czując się jak podglądacz, który przeszkadza w tym intymnym momencie, i nie za bardzo wiedziałem, co ze sobą zrobić. Wreszcie Jenny, nie podnosząc głowy, wyciągnęła do mnie rękę. Usiadłem na kanapie i otoczyłem ją ramionami. Tak zastygliśmy wszyscy troje w objęciach naszego wspólnego smutku.

ROZDZIAŁ 7

Pan i bestia

Następnego ranka, w sobotę, obudziłem się o świcie. Jenny leżała na boku plecami do mnie i cicho płakała. Marley też nie spał - położył brodę na materacu i znów dzielił żal ze swoją panią. Wstałem, zrobiłem kawę, wycisnąłem sok z pomarańczy, przyniosłem gazetę, opiekłem grzanki. Jenny w szlafroku pojawiła się kilka minut później, miała suche oczy i dzielny uśmiech, jakby chciała powiedzieć, że już jest dobrze.

Po śniadaniu postanowiliśmy zabrać Marleya na spacer nad wodę, żeby sobie popływał. Wzdłuż wybrzeża niedaleko nas ciągnął się wielki betonowy falochron i stosy głazów, które odcinały dostęp do wody. Ale kilka przecznic na południe falochron zakręcał w kierunku lądu, odsłaniając małą plażę z białym piaskiem, pełną patyków naniesionych przez wodę - idealne miejsce do zabawy z psem. Kiedy doszliśmy do plaży, machnąłem patykiem przed nosem Marleya i odpiąłem mu smycz. Wpatrywał się w kawałek drewna, jak umierający z głodu człowiek wpatruje się w bochenek chleba. Nie spuszczał z niego oczu.

- Przynieś! - krzyknąłem i cisnąłem kij do wody najdalej, jak mogłem. Jednym efektownym skokiem Marley pokonał betonowy mur, galopem przebiegł przez plażę i wpadł do płytkiej wody, rozpryskując dookoła pióropusze kropli. To jest to, do czego labradory retrievery zostały stworzone. Mają to zapisane w genach i w umowie o pracę.

Nie wiadomo dokładnie, skąd pochodzi labrador retriever, jedno tylko jest pewne: nie z Labradoru. Te umięśnione, krótkowłose, pływające psy po raz pierwszy zauważono na początku XVII wieku kilkaset kilometrów na południe od Labradoru, w Nowej Fundlandii. Jak odnotowali ówcześni kronikarze, tamtejsi rybacy zabierali psy do łodzi, wyruszając na połów. Psy pomagały ciągnąć liny i sieci, przynosiły ryby,

które zerwały się z haczyka. Gęsta, pokryta tłuszczem sierść chroniła je przed lodowatą wodą. Zdolności pływackie, nieograniczone zasoby energii i umiejętność przenoszenia ryb w zębach tak delikatnie, że mięso pozostawało nienaruszone, powodowały, że był to doskonały pies do pracy w ciężkich warunkach północnego Atlantyku.

Skąd te psy się wzięły w Nowej Fundlandii, można tylko zgadywać. Nie pochodziły z tej wyspy i nic nie wskazuje, żeby sprowadzili je ze sobą Eskimosi, którzy pierwsi tam się osiedlili. Najlepsza z teorii zakłada, że przodkowie retrieverów przybyli z Europy i Wielkiej Brytanii wraz z rybakami, z których wielu zbiegło ze statków i osiedliło się na wybrzeżu, tworząc nową społeczność. W ten sposób pies, znany teraz jako labrador retriever, mógł ewoluować w wyniku przypadkowych, niezamierzonych krzyżówek. Wydaje się, że miał wspólnego przodka z większą i bardziej kudłatą rasą nowofundlandów.

Tak czy inaczej myśliwi z wyspy wkrótce powierzyli tym psom o zdumiewających zdolnościach do aportowania obowiązek znoszenia upolowanego ptactwa z lądu i z wody.

W 1662 roku mieszkaniec St. John w Nowej Fundlandii o nazwisku W.E. Cormack podczas pieszej wędrówki przez wyspę zauważył mnóstwo świetnie pływających psów, które w swoim opisie uznał za „wspaniałe wytresowane do aportowania ptaków i w ogóle użyteczne”.

Brytyjska szlachta w końcu dostrzegła tę notatkę i do początków XIX wieku importowano te psy do Anglii dla myśliwych polujących na bażanty, kuropatwy i przepiórki.

Według Labrador Retriever Club, amerykańskiego stowarzyszenia hobbystów utworzonego w 1931 roku i zajmującego się ochroną jakości rasy, nazwa labrador retriever pojawiła się zupełnie przypadkowo w latach trzydziestych XIX wieku, kiedy trzeci hrabia Malmesbury, który ewidentnie

miał problemy z geografią, napisał do szóstego księcia Buccleuch entuzjastyczny list o swojej wybornej linii sportowych retrieverów (Retriever - pies myśliwski aportujący - przyp. tłum.). „Zawsze je nazywamy psami z Labradoru” - pisał. Odtąd nazwa się przyjęła. Zacny hrabia zanotował, że zadał sobie dużo trudu, żeby utrzymać „od początku rasę tak czystą, jak to możliwe”. Ale pozostali hodowcy nie przejawiali podobnego fanatyzmu w sprawie genetyki i swobodnie krzyżowali labradory z innymi psami myśliwskimi w nadziei, że ich nadzwyczajne cechy zostaną przekazane dalej. Geny labradorów nie dały się pokonać, a linia labradorów retrieverów została 7 czerwca 1903 roku wyróżniona i uhonorowana przez Angielski Związek Kynologiczny jako osobna rasa.

B.W. Ziessow, entuzjasta i długoletni hodowca, napisał do Labrador Retriever Club: „Amerykańscy myśliwi przejęli hodowlę z Anglii. Stopniowo rozwijali i szkolili te psy na potrzeby myśliwskie naszego kraju. Dzisiaj - tak jak w przeszłości - labrador chętnie wskoczy do lodowatej wody w Minnesocie, żeby przynieść ustrzelonego ptaka; będzie cały dzień polował na turkawki w upałach Południowego Zachodu - w zamian wystarczy mu pochwała za dobrze wykonaną robotę”.

Taka była dumna spuścizna Marleya i okazało się, że odziedziczył przynajmniej połowę instynktu przodków. Był mistrzem w pogoni za łupem. Nie całkiem natomiast pojął tę część zadania, która polega na oddaniu zdobyczy. Na ogół prezentował postawę: „Jeśli naprawdę tak strasznie chcesz mieć ten patyk z powrotem, sam sobie wskocz po niego do wody”.

Wyszedł na plażę ze zdobyczą w zębach.

- Przynieś tutaj! - krzyknąłem, klaszcząc w dłonie. - No oddaj, piesku!

Podskoczył, z podniecenia zamerdał całym ciałem, bez wahania otrząsnął się piasku i wody prosto na mnie, a potem ku mojemu zaskoczeniu złożył patyk u moich stop.

„No, no - pomyślałem. - Co za obsługa!“. Zerknąłem na Jenny, która siedziała na ławce pod sosną australijską, i pokazałem jej wzniesiony kciuk. Schyliłem się, żeby podnieść patyk, ale Marley tylko na to czekał. Zanurkował, porwał go i pognał przez plażę w szalonych ósemkach. Zawrócił, niemal na mnie wpadł, zachęcając, żebym ruszył za nim w pościg. Zrobiłem kilka wypadów, ale było jasne, że ma nade mną przewagę szybkości i zwinności.

- Miałeś być labradorem aportującym - zawołałem - a nie uciekającym!

W przeciwieństwie do mojego psa miałem dobrze rozwinięty mózg, który przynajmniej w pewnym stopniu zastępował sprawność fizyczną. Złapałem drugi patyk i zacząłem robić wokół niego straszliwe zamieszanie. Przerzucałem go nad głową z ręki do ręki. Machałem nim na wszystkie strony. Widziałem, jak Marley coraz bardziej traci rezon. Kij, który trzymał w zębach, jeszcze przed sekundą najcenniejsza rzecz na świecie, utracił nagle swój czar. Teraz mój patyk uwodził go jak kusicielka. Marley podkradał się coraz bliżej, aż znalazł się tuż przy mnie.

- Frajerzy się rodzą każdego dnia, co, Marley? - zarechotałem, przeciągnąłem patykiem tuż przed jego nosem, patrząc, jak zezuje, żeby tylko nie stracić go z oczu.

Widać było, jak małe trybiki wirują w jego łbie, gdy próbuje wykombinować, jak tu zgarnąć nowy patyk, nie tracąc starego. Drżała mu górna warga, jakby przygotowywał się do próby schwywania dwóch srok za ogon. Wolną ręką złapałem koniec patyka, który trzymał w zębach. Ciągnąłem i on ciągnął, warcząc. Przytknąłem drugi patyk do jego nosa.

- Wiesz, że go chcesz - szepnąłem.

O tak, bardzo chciał. Nie mógł się już dłużej opierać pożądanemu. Poczuję, jak rozluźnia uchwyt. Czas na jego ruch. Otworzył pysk, próbując złapać drugi patyk, nie puszczając pierwszego. W mgnieniu oka oba kije znalazły się w moich rękach, wysoko nad głową. Wskoczył w powietrze, szczekając i okręcając się, wyraźnie nie mógł pojąć, jak to się stało, że tak starannie przygotowana strategia zawiodła.

- Dlatego ja jestem panem, a ty sługą - wyjaśniłem mu. W odpowiedzi cisnął mi w twarz jeszcze więcej piasku i wody.

Rzuciłem jeden z patyków do wody. Śmignął za nim z wściekłym skowyt. Wrócił jako nowy, mądrzejszy przeciwnik. Tym razem był ostrożny i trzymał się ode mnie z daleka. Stał w odległości dziesięciu metrów z patykiem w pysku, śledząc nowy obiekt pożądania, który, tak się złożyło, był starym obiektem pożądania, jego pierwszym patykiem, a teraz unosił się wysoko nad moją głową. Znowu widziałem, jak wirują trybiki: „Tym razem po prostu poczekam tutaj, aż go rzuci, wtedy on nie będzie miał żadnego, a ja będę miał oba”.

- Myślisz, że jestem prawdziwym głupkiem, co, piesku? - powiedziałem.

Wygiąłem się do tyłu i z wielkim, przesadnym zamachem cisnąłem kij z całej siły. Jak można się było spodziewać, Marley runął do wody z patykiem w pysku. Tyle tylko, że ja swojego nie puściłem. Myślicie, że to zauważył? Przepłynął połowę drogi do Palm Beach, zanim się skapował, że wciąż trzymam patyk w ręku.

- Jesteś okrutny - krzyknęła Jenny ze swojej ławki, ale kiedy spojrzałem przez ramię, zobaczyłem, że się śmieje. Marley w końcu wrócił na brzeg i padł na piasek. Był wykończony, mimo to wcale nie zamierzał oddać mi patyka. Pokazałem mu swój, przypominając, o ile przewyższa jego, i rozkazałem:

- Zostaw!

Wzięłem zamach, jakbym rzucał, a ten palant znów zerwał się na nogi i ruszył w stronę wody.

- Zostaw! - powtórzyłem, kiedy wrócił. Kolejne próby zajęły nam trochę czasu, ale w końcu po prostu to zrobił. I gdy tylko jego patyk dotknął piasku, rzuciłem mu swój. Powtórzyliśmy to znowu i znowu, i wydawało się, że za każdym razem rozumie trochę lepiej, o co chodzi. Powoli lekcja przesączała się przez jego twardą czaszkę. Jeśli odda mi ten patyk, ja rzucę mu następny. - To jest jak wymiana prezentów w biurze - powiedziałem mu. - Żeby dostać, musisz coś dać.

Podskoczył i otarł zapiaszczony pysk o moje usta, co przyjąłem jako podziękowanie za udzieloną lekcję.

Gdy wracaliśmy do domu, zmordowany Marley przynajmniej raz nie ciągnął smyczy. Rozpierała mnie duma z naszych osiągnięć. Od tygodni pracowaliśmy z Jenny nad wpojeniem mu podstawowych zasad zachowania i dobrych manier, ale postępy były męcząco powolne. Jakbyśmy mieszkali z dzikim ogierem i próbowali go nauczyć popijać herbatę z porcelanowej filiżanki. Czasami czułem się jak Anne Sullivan, podczas gdy Marley odgrywał rolę Hellen Keller (Anne Sullivan - wychowana w sierocińcu, zagrożona utratą wzroku guwernantka niesłyszącej, niemej i niewidomej Hellen Keller. Dzięki Sullivan Keller ukończyła wyższe studia - obie stały się ikonami Ameryki początku XX wieku - przyp. tłum.). Wspominałem, jak szybko ja, zaledwie dziesięcioletni chłopiec, zdołałem nauczyć Świętego Shauna wszystkiego, co trzeba, żeby stał się wspaniałym psem. Zastanawiałem się, co tym razem robię nie tak. Ale nasze małe ćwiczenie aportowania zapaliło promyk nadziei. - Wiesz - powiedziałem do Jenny - naprawdę myślę, że on zaczyna chwytać.

Spojrzała na Marleya, który włókł się między nami cały mokry i pokryty piaskiem, spieniona ślina osiadła mu na wargach, zdobyczny patyk tkwił w zaciśniętych szczękach.

- Nie byłabym taka pewna - odparła.

Następnego dnia znów obudził mnie o świcie płacz Jenny.

- Hej - powiedziałem i objąłem ją ramieniem. Wtuliła we mnie twarz. Czuję, jak łzy wsiąkają w mój podkoszulek.

- Wszystko w porządku - powiedziała. - Naprawdę. Jestem tylko... No wiesz.

Wiedziałem. Starłem się być dzielnym żołnierzem, ale też miałem gorzkie poczucie straty i porażki. Dziwne wrażenie. Nie dalej jak czterdzieści osiem godzin temu drżeliśmy z euforii w oczekiwaniu na dziecko. A teraz było tak, jakby Jenny nigdy nie zaszła w ciążę. Jakby całe to zdarzenie było tylko snem, z którego nie możemy się obudzić.

Po południu wziąłem Marleya do samochodu, żeby pojechać po coś do jedzenia i kilka rzeczy potrzebnych Jenny z apteki. Wracając, wpadłem do kwaciarni i kupiłem wazon z gigantycznym bukietem wiosennych kwiatów. Miałem nadzieję, że trochę poprawią jej humor. Żeby woda się nie rozlała, przypiąłem wazon pasem na tylnym siedzeniu, obok Marleya. Gdy mijaliśmy sklep dla zwierząt, podjąłem błyskawiczną decyzję, że Marleyowi też się należy jakiś drobiazg. W końcu zrobił dużo więcej niż ja, by złagodzić rozpacz kobiety naszego życia. - Bądź grzeczny! - powiedziałem. - Zaraz wracam.

Spędziłem w sklepie tylko tyle czasu, ile trzeba, by kupić sztuczną kość w wyjątkowo dużym rozmiarze.

Kiedy kilka minut później wróciliśmy do domu, Jenny wyszła nam na spotkanie, a Marley wykoziółkował z samochodu, żeby się z nią przywitać. - Mamy dla ciebie małą niespodziankę - powiedziałem. Lecz kiedy sięgnąłem na tylne siedzenie, to na mnie czekała niespodzianka. Bukiet składał

się ze stokrotek, astrów, różnych odmian lilii i jaskrawoczerwonych goździków. Teraz jednak goździki zniknęły. Przyjrzałem się uważniej i zobaczyłem zdekapitowane łodygi, na których jeszcze przed chwilą były kwiaty. Poza tym bukiet był nietknięty. Utkwiłem wściekły wzrok w Marleyu, który podrygiwał wkoło, jakby startował w eliminacjach do „Tańca z gwiazdami”.

- Chodź no tutaj! - zawyłem, a kiedy go w końcu dopadłem i zmusiłem, by otworzył pysk, znalazłem niepodważalny dowód winy. Głęboko w przepastnej paszczy, ukryty pod faflem jak prymka tytoniu do zucia, tkwił jeden czerwony goździk. Pozostałe najprawdopodobniej już wpadły w otchłań. Miałem ochotę go zamordować.

Spojrzałem na Jenny. Łzy spływały strumieniami po jej policzkach. Ale tym razem były to łzy rozbawienia. Nie śmiałyby się bardziej, nawet gdybym sprowadził pod nasze okna zespół mariachis, żeby zaśpiewał serenadę specjalnie dla nas. Co miałem zrobić? Też się zacząłem śmiać.

- Ten pies - mruknąłem.

- Nigdy nie przepadałam za goździkami - powiedziała.

Marley był tak poruszony, widząc nas znowu szczęśliwych i roześmianych, że wspiął się na tylne nogi i wykonał swój popisowy numer taneczny.

*

Następnego ranka obudziły mnie promienie słońca przechodzące przez gałęzie brazylijskiego drzewa pieprzowego i padające na łóżko. Zerknąłem na zegarek, dochodziła ósma. Spojrzałem na moją żonę. Spała spokojnie, a jej pierś wznosiła się i opadała w rytm długich, powolnych oddechów. Pocałowałem jej włosy, otoczyłem ją ramieniem w pasie i znowu zamknąłem oczy.

ROZDZIAŁ 8

Walka charakterów

Marley nie skończył jeszcze sześciu miesięcy, gdy zapisaliśmy go na szkolenie. Bóg świadkiem, że tego potrzebował. Chociaż tamtego dnia na plaży dokonaliśmy przełomu w ćwiczeniu z oddawaniem patyka, i tak okazał się trudnym uczniem - tępym, dzikim, nieustannie roztargnionym - ofiarą nieopanowanej nadpobudliwości. Zaczęliśmy sobie zdawać sprawę, że różni się od innych psów. Mój ojciec, gdy Marley próbował nawiązać stosunki małżeńskie z jego kolanem, skwitował to krótko: „Ten pies ma poluzowaną śrubkę”. Potrzebowaliśmy pomocy profesjonalisty.

Weterynarz powiedział nam, że w każdy wtorek na pobliskim parkingu miejscowy ośrodek tresury psów organizuje kursy posłuszeństwa dla początkujących. Szkolenia prowadzili bezinteresownie wolontariusze, poważni amatorzy, którzy przypuszczalnie osiągnęli już szczyty doskonałości w ulepszaniu zachowania własnych psów. Kurs składał się z ośmiu lekcji i kosztował 50 dolarów, co wydawało nam się taniochą, zwłaszcza wzięwszy pod uwagę, że parę butów wartą 50 dolarów Marley potrafił zniszczyć w 30 sekund. W dodatku ośrodek niemal gwarantował, że po ukończonym kursie wrócimy do domu z kolejną wspaniałą Lassie. W czasie zapisów poznaliśmy panią, która miała prowadzić nasze zajęcia. Była to surowa, zasadnicza treserka, zwolenniczka teorii, że nie ma niepoprawnych psów, są tylko bezwolni i bezradni właściciele.

Pierwsza lekcja zdawała się potwierdzać jej opinię. Nim jeszcze całkiem wysiedliśmy z samochodu, Marley zobaczył inne psy i ich właścicieli zebranych na asfaltowym placu. Imprezka! Przeskoczył przez nas, wypadł z samochodu i pognął naprzód, wlokąc za sobą smycz. Pędził od jednego psa do drugiego, obwąchiwał ich intymne okolice, posikiwał i

wyrzucał w powietrze potężne frędzle śliny. Przeżywał swoje własne święto zapachów - tak wiele genitaliów, tak mało czasu - i korzystał z chwili, uważając, by trzymać się ode mnie z daleka, kiedy ruszyłem w pościg. Za każdym razem, gdy już go prawie miałem, odskakiwał kawałek. W końcu udało mi się podejść wystarczająco blisko, wykonałem gigantyczny skok i obiema nogami wylądowałem ciężko na smyczy. Zahamował nagle - przez chwilę myślałem, że może skręciłem mu kark. Poleciał do tyłu, wylądował na plecach, przetoczył się i wlepił we mnie rozmarzone spojrzenie heroinisty, który właśnie zaliczył działkę.

Przez ten czas instruktorka wodziła za nami tak miażdżącym wzrokiem, jakbym zrzucił z siebie ubranie i tańczył goły na asfalcie.

- Proszę zająć miejsca - powiedziała oschle, a kiedy zobaczyła, że próbujemy we dwójkę z Jenny zataszczyć Marleya na miejsce, dodała: - Musicie zdecydować, które z was będzie trenerem.

Zacząłem tłumaczyć, że oboje chcemy brać udział w szkoleniu, żeby każde z nas mogło pracować z nim w domu, ale przerwała mi. - Pies - oświadczyła kategorycznie - może mieć tylko jednego pana.

Zaprotestowałem, lecz uciszyła mnie spojrzeniem, którego, jak sądzę, używała, żeby zmuszać psy do posłuszeństwa. Wycofałem się chyłkiem z podkulonym ogonem, pozostawiając dowództwo w mistrzowskich rękach Jenny.

Chyba popełniliśmy błąd. Marley był już znacznie silniejszy od Jenny i wiedział o tym. Panna Dominatrix zdążyła wygłosić zaledwie kilka zdań wstępu o konieczności zdominowania naszych zwierząt, kiedy Marley uznał, że pudlica po drugiej stronie placyku zasługuje na bliższe poznanie. Ruszył do przodu z Jenny na holu.

Wszystkie inne psy siedziały grzecznie co trzy metry obok swoich panów, czekając na instrukcje. Jenny dzielnie walczyła. Próbowwała zaprzeć się nogami i zastopować Marleya, ale on parł do przodu niepowstrzymanie, ciągnął ją przez parking, by zrealizować zamiar obwąchania tyłka seksownej pudlicy. Moja żona w dziwny sposób przypominała narciarza wodnego ciągniętego przez motorówkę. Wszyscy się gapili. Niektórzy parskali. Zasłoniłem oczy.

Marley nie był z tych, którzy by dbali o formalną prezentację. Wpadł na pudlicę i od razu wcisnął nos między jej nogi. Jak sędzę, był to psi sposób rozpoczęcia pogawędki: „Hej, mała, często tutaj przychodzisz?”.

Gdy Marley już przeprowadził na pudlicy kompletne badanie ginekologiczne, Jenny zdołała zaciągnąć go z powrotem na miejsce. Panna Dominatrix oznajmiła spokojnie:

- Oto, drodzy uczniowie, przykład psa, któremu pozwolono wyobrazić sobie, że jest samcem alfa w stadzie. Teraz on rządzi.

Jakby na potwierdzenie jej słów Marley zaatakował własny ogon. Kręcił się w kółko i kłapał zębami w powietrzu, a jednocześnie owijał smycz wokół nóg Jenny, aż ją całkiem unieruchomił. Skrzywiłem się ze współczuciem i podziękowałem opatrności, że to nie ja jestem na jej miejscu.

Instruktorce rozpoczęła od nauki komend siadania i warowania. Jenny twardo zarządziła: - Siad!

Marley skakał na nią i opierał łapy na jej ramionach. Przyciskała mu pupę do ziemi, a on przewracał się na plecy, wystawiając brzuch do podrapania. Usiłowała usadzić go na miejscu, a on łapał smycz w zęby i potrząsał głową z boku na bok, jakby walczył z pytonem. Widok był tak przykry, że nie mogłem patrzeć. Gdy wreszcie otworzyłem oczy, Jenny leżała na asfalcie twarzą w dół, a Marley stał nad nią i wesoło posapywał. Później mi wyjaśniła, że próbowała mu w ten

sposób zademonstrować, co ma zrobić, słysząc komendę „waruj”.

Kiedy lekcja się skończyła i Jenny z Marleyem podeszli do mnie, zatrzymała nas panna Dominatrix.

- Naprawdę musicie zapanować nad tym zwierzęciem - powiedziała z szyderczym uśmiechem.

„Cóż, dziękujemy pani za tę cenną radę. Oczywiście, że zapisaliśmy się tutaj tylko po to, by dostarczyć pozostałym uczniom kilku rozrywkowych przerywników”. Żadne z nas nie pisnęło słowa. Upokorzeni poszliśmy do samochodu i wracaliśmy do domu w milczeniu. Jedynym dźwiękiem było głośne sapanie Marleya, który usiłował dojść do siebie po pierwszych doświadczeniach w sformalizowanym systemie edukacji. W końcu powiedziałem: - Jedno przemawia na jego korzyść, niewątpliwie kocha szkołę.

Po tygodniu wróciliśmy tam z Marleyem, tym razem bez Jenny. Kiedy zasugerowałem jej, że w naszym domu to ja jestem czymś najbardziej zbliżonym do samca alfa, chętnie zrezygnowała ze swojego krótkotrwałego tytułu dowódcy i ślubowała, że nigdy więcej nie pokaże publicznie swojej twarzy. Zanim wyruszyliśmy, przewróciłem Marleya na plecy, stanąłem nad nim i warknąłem najgroźniej, jak potrafiłem: - Ja jestem szefem! Ty nie jesteś szefem! Ja jestem szefem! Zrozumiano, Psie Alfa?

Walił ogonem w podłogę i próbował obgryzać moje nadgarstki.

Tym razem tematem lekcji było chodzenie przy nodze, którą to umiejętność szczególnie chciałem doprowadzić do perfekcji. Męczyła mnie już walka z Marleyem o każdy krok na każdym spacerze. Raz wyrwał się za kotem i przewrócił Jenny tak, że rozkrwawiła sobie kolana. Przyszedł czas, żeby wreszcie nauczył się dreptać spokojnie przy moim lub jej boku. Zawlokłem go siłą na nasze miejsce na placyku,

odciągając po drodze kolejno od wszystkich mijanych psów. Panna Dominatrix rozdała kursantom krótkie łańcuchy ze stalowymi kółkami przyspawanymi do obu końców. Oto, jak powiedziała, zaciskowe obroże, tajny oreż, dzięki któremu psy nauczą się chodzić przy nodze bez żadnego wysiłku z naszej strony. Konstrukcja obroży była błyskotliwie prosta. Kiedy pies zachowywał się jak należy i szedł przy swoim panu, a smycz nie była napięta, łańcuch luźno zwisał na jego szyi. Ale jeśli szarpał do przodu lub zbaczał z kursu, łańcuch zaciskał się jak lasso, przywołując nieposłuszne zwierzę do porządku przez pozbawienie go tchu. Nie potrwa to długo, obiecała instruktorka, pies się podda albo umrze z braku powietrza. „Obrzydliwie doskonałe” - pomyślałem.

Zacząłem wsuwać Marleyowi obrożę przez głowę, ale spodziewałem się tego, co nadchodzi, i złapał ją w zęby. Rozwarłem mu szczęki, wyciągnąłem i spróbowałem jeszcze raz. Chwycił po raz wtóry. Inne psy były już w łańcuchach - wszyscy czekali. Złapałem go jedną ręką za pysk, a drugą usiłowałem zarzucić mu łańcuch na szyję. Wyrywał się do tyłu z otwartą paszczą, żeby w razie czego znowu zaatakować dziwnego, skręconego srebrnego węża. W końcu przepchnąłem mu obrożę przez głowę, a on rzucił się na ziemię, tarzał się na plecach z łapami wyciągniętymi do góry, kłapał szczękami, szarpał łbem na wszystkie strony, aż udało mu się chwycić łańcuch zębami. Spojrzałem na nauczycielkę. - Podoba mu się - powiedziałem.

Zgodnie z instrukcją zmusiłem Marleya, żeby wstał, i wyjąłem mu łańcuch z pyska. Potem, zgodnie z instrukcją, przycisnąłem jego pupę, aż usiadł, i stałem obok niego, tak że moja lewa noga dotykała jego prawej łopatki. Na „trzy” miałem powiedzieć: „Marley, noga!” i dać krok do przodu lewą - nigdy prawą - nogą. Gdyby zaczynał schodzić z kursu,

seria niewielkich napomnień - nagłych, krótkich szarpnięć smyczą - powinna go przywołać do porządku.

- Uwaga, liczę do trzech! - zawołała panna Dominatrix. Marley trząsł się z przejęcia. Obcy, błyszczący przedmiot na szyi doprowadzał go do białej gorączki. - Raz... dwa... trzy!

- Marley, noga! - zakomenderowałem. Gdy tylko zrobiłem pierwszy krok, wystartował jak myśliwiec z lotniskowca. Szarpnąłem mocno smycz, a on się paskudnie zachłysnął, bo łańcuch zacisnął mu się wokół tchawicy. Cofnął się momentalnie, ale gdy tylko obroża się rozluźniła, uczucie duszenia minęło, stając się od razu tylko zamierzchną historią w tym malutkim przedziale jego mózgu przeznaczonym do nauki życia. Znowu skoczył do przodu. Szarpnąłem w tył tak, że znów stracił oddech. Przeszliśmy w ten sposób cały parking. Marley szarpał do przodu, ja szarpałem do tyłu za każdym razem z coraz większym animuszem. On kaszlał i dyszał, ja stękałem i sływałem potem.

- Ściągnij pan tego psa! - krzyczała panna Dominatrix. Próbowałem z całej mocy, ale jakoś ta nauka do niego nie docierała. Brałem też pod uwagę, że Marley może się zadusić na śmierć, zanim zrozumie, o co chodzi. W tym czasie inne psy maszerowały u boku swoich właścicieli, reagując na minimalne poprawki, dokładnie tak jak zapowiedziała panna Dominatrix.

- Na litość boską, Marley - wyszeptałem. - Narażasz na szwank honor naszej rodziny.

Instruktorka kazała wszystkim ustawić się w kolejce i przećwiczyć to jeszcze raz. I znowu Marley ze swoim maniackim uporem wyrwał do przodu przez asfalt. Oczy wychodziły mu na wierzch, kiedy dusił sam siebie, naciągając smycz. Z drugiej strony placyku panna Dominatrix właśnie

nas dawała uczniom za przykład, jak nie należy prowadzić psa przy nodze.

- Proszę pozwolić, że pokażę - powiedziała zniecierpliwiona, wyciągając rękę. Podałem jej smycz, a ona bez problemu zaholowała Marleya na miejsce. Pociągnęła do góry obrozę, każąc mu usiąść. Oczywiście opadł na tylne łapy, wpatrując się w nią ochoczo. Cholera.

Panna Dominatrix poradziła sobie z nim zręcznym pociągnięciem smyczy. Ale niemal natychmiast pognął przed siebie, jakby biegł na czele stawki w wyścigach psich zaprzęgów na Alasce. Instruktorka przywołała go do porządku, pociągając tak, że stracił równowagę. Zachwiał się, zarzęził i znowu szarpnął do przodu, jakby chciał jej wyrwać ramię ze stawu. Powinienem się wstydzić, ale odczuwałem dziwną satysfakcję, która często jest następstwem oczyszczenia z zarzutów. Nauczycielka nie odniosła dużo większych sukcesów niż ja. Koledzy z klasy chichotali, a ja pęczniałem z perwersyjnej dumy. „Widzicie? Mój pies jest okropny dla każdego, nie tylko dla mnie!”.

Teraz, kiedy nie tylko ja wyszedłem na głupka, musiałem przyznać, że scena była całkiem zabawna. Gdy dobrnęli do końca parkingu, zawrócili i chwiejnie zmierzali w naszym kierunku zrywami i podskokami. Panna Dominatrix krzywiła się z wściekłości, bliska apopleksji, Marley zaś był nieopisanie szczęśliwy. Ona gwałtownie szarpała smycz, a Marley z pianą na pysku szarpał jeszcze mocniej w drugą stronę, wyraźnie zachwycony tą doskonałą nową odmianą zabawy w przeciąganie, do której zademonstrowania wybrała go nauczycielka. Na mój widok dodał gazu. W niemal nadnaturalnym przyplywie adrenaliny rzucił się ku mnie, zmuszając pannę Dominatrix, by przeszła do sprintu, jeśli chciała utrzymać się na nogach. Marley nie przystanął, dopóki nie dopadł do mnie ze swoją zwykłą joie de vivre. Panna

Dominatrix rzuciła mi wymowne spojrzenie: przekroczyłem jakąś niewidzialną granicę, zza której nie ma już powrotu. Marley robił sobie jaja ze wszystkiego, czego uczyła na temat psów i dyscypliny. Poniżył ją publicznie. Oddała mi smycz, odwróciła się do uczniów, jakby ten nieszczęsny epizodzik nigdy się nie zdarzył, i powiedziała: - W porządku. Liczę do trzech...

Po zakończeniu lekcji poprosiła, żebym na chwilę został. Czekaliśmy z Marleyem, gdy cierpliwie odpowiadała na pytania innych kursantów. Kiedy ostatni z nich odszedł, odwróciła się do mnie i odezwała się nowym, pojednawczym tonem.

- Myślę, że pański pies jest jeszcze za młody na regularny trening posłuszeństwa.

- Jest trochę niesforny, prawda? - zapytałem, czując w niej teraz bratnią duszę, bo oboje mieliśmy za sobą podobne poniżające doświadczenia.

- Po prostu nie jest na to gotowy - powiedziała. - Musi jeszcze dorosnąć.

Zaczęło mi świtać w głowie, dokąd zmierza: - Czy próbuje mi pani powiedzieć...

- Rozprasza inne psy.
- ...że zostaliśmy...
- Zbyt łatwo się podnieca.
- ...wyrzuceni ze szkoły?
- Może go pan oczywiście znowu przyprowadzić za jakieś sześć lub osiem miesięcy.
- Czyli pani nas wyrzuca?
- Z przyjemnością zwrócę pieniądze.
- Pani nas wyrzuca.
- Tak - przyznała w końcu - wyrzucam was.

Marley - jakby w odpowiedzi - podniósł nogę i wypuścił rwący strumień moczu, zaledwie o centymetry mijając stopę swojej ukochanej nauczycielki.

Czasem człowiek musi się rozzłościć, żeby wziąć się do czegoś serio. Panna Dominatrix mnie rozzłościła. Miałem pięknego labradora retrievera czystej krwi, dumnego przedstawiciela rasy znanej ze swych zdolności do prowadzenia niewidomych, ratowania ofiar katastrof, pomagania myśliwym, wybierania ryb ze wzburzonych fal oceanu, wszystko to ze spokojem i inteligencją. Jak śmiała go skreślić po zaledwie dwóch lekcjach? Może był trochę żywiołowy, ale pełen samych dobrych intencji. Zamierzałem udowodnić tej nieznośnej nadętej paniusi, że Grogan's Majestic Marley of Churchill się nie poddaje. Do zobaczenia w Westminster!

Pierwsza rzecz, jaką zrobiłem następnego ranka, to zabrałem Marleya na podwórko.

- Nikt nie będzie wyrzucał Groganów ze szkoły - oznajmiłem mu. - Niewyuczalny? Zobaczymy, kto jest niewyuczalny. Jasne?

Podrygiwał w górę i w dół.

- Damy radę, Marley? Zamerdał.

- Nie słyszę cię! Damy radę? Zaskomlał.

- Teraz lepiej. No to do roboty.

Zaczęliśmy od komendy „siad”, którą ćwiczyliśmy, odkąd był szczeniakiem, i z którą radził sobie już całkiem nieźle. Stałem nad nim, rzuciłem mu najgroźniejsze z moich spojrzeń samca alfa i twardym, ale spokojnym głosem kazałem usiąść. Usiadł. Pochwaliłem go. Powtórzyliśmy ćwiczenie kilka razy. Następnie przeszliśmy do komendy „waruj”, którą też już wcześniej przerabialiśmy. Z przejęciem patrzył mi w oczy, wyciągał szyję i niemal wyprzedzał moje rozkazy. Powoli podniosłem dłoń i trzymałem ją w górze, a on

czekał na moje słowo. Szybko opuściłem rękę, pstryknąłem palcami, wskazałem na ziemię i powiedziałem: - Waruj!

Padł bezwładnie, waląc w ziemię z głuchym łoskotem. Gdyby nawet tuż za nim eksplodował pocisk z moździerza, nie rzuciłby się na ziemię z większym zapalem. Jenny, która piła kawę na ganku, też to zauważyła i krzyknęła: - Uwaga, nalot!

Po kilku rundach padania plackiem, zdecydowałem, że przystąpimy do kolejnego zadania - przychodzenia na komendę. To ćwiczenie nie było łatwe. O ile samo przychodzenie nie stanowiło problemu, o tyle zupełnie nie mógł pojąć, że ma zostać na miejscu, aż go zawołamy. Nasz cierpiący na zaburzenia koncentracji pies tak bardzo pragnął być blisko nas, że nie mógł spokojnie poczekać, kiedy odchodziliśmy od niego.

Usadziłem go przodem do mnie i skupiłem wzrok na jego oczach. Kiedy tak wpatrywaliśmy się w siebie, uniosłem dłoń i trzymałem ją w górze jak policjant na skrzyżowaniu.

- Zostań! - powiedziałem i cofnąłem się o krok. Zastygł. Patrzył z niepokojem, czekając na najmniejszy znak, że może do mnie podejść. Cztery kroki to było już za dużo do zniesienia. Wystartował, popędził i wpadł na mnie. Skarciłem go i spróbowałem znowu. I znowu. I jeszcze raz. Za każdym razem pozwalał mi odejść trochę dalej, zanim się poderwał. W końcu stałem w odległości piętnastu metrów z dłonią odwróconą w jego stronę. Czekałem. Siedział zablokowany na swoim miejscu i cały się trząsał z oczekiwania. Widziałem, jak wzbiera w nim nerwowa energia, był jak wulkan gotowy do wybuchu. Ale trzymał się dzielnie. Policzyłem do dziesięciu. Nie ruszył się. Oczy utkwili we mnie, mięśnie mu drgały. „W porządku, dosyć tortur” - pomyślałem. Opuściłem rękę i krzyknąłem: - Chodź, Marley!

Kiedy wystrzelił do przodu, przykucnąłem i klaskałem w ręce, żeby go zachęcić. Myślałem, że będzie biegał tu i tam po ogrodzie, ale pędził do mnie najkrótszą trasą.

- No chodź, chłopcze! - kibicowałem. - Chodź!

Rzeczywiście szedł na całego. Wprost na mnie mknął.

- Zwolnij, piesku - powiedziałem. Pędził nieprzerwanie.

- Zwolnij!

Miał puste, szalone spojrzenie i tuż przed zderzeniem zdałem sobie sprawę, że pilot porzucił stery. Spanikowany tłum złożony z jednego psa. Miałem czas na jedną ostatnią komendę.

- Stój! - wrzasnąłem.

Plask! Wbił się we mnie w pełnym biegu. Poleciałem do tyłu i uderzyłem ciężko w ziemię. Kiedy kilka sekund później otworzyłem oczy, leżał na mojej piersi rozkraczony, otaczał mnie wszystkimi czterema łapami i z desperacją lizał po twarzy. „Jak mi poszło, szefie?”. Formalnie rzecz biorąc, wykonał rozkazy jak należy. W końcu to ja zapomniałem go pouczyć, że ma się zatrzymać, kiedy już do mnie dobiegnie.

- Misja wypełniona - jęknąłem.

Jenny wyjrzała przez okno w kuchni i krzyknęła: - Idę do pracy. Jak skończycie, nie zapomnij pozamykać okien. Po południu ma padać.

Nakarmiłem mojego Psa Futbolistę, po czym wziąłem prysznic i również pojechałem do pracy.

Kiedy wieczorem wróciłem do domu, Jenny czekała na mnie przy drzwiach i od razu dostrzegłem, że jest zmartwiona.

- Zajrzyj do garażu - powiedziała.

Otworzyłem drzwi od garażu i pierwsze, co zobaczyłem, to był Marley - leżał na swoim posłaniu i sprawiał wrażenie przybitego. Od razu - jak w migawkowym zdjęciu - zobaczyłem, że jego pysk i przednie łapy nie wyglądają dobrze. Zamiast zwykłej jasnożółtej barwy miały kolor

ciemnobrązowy - były pokryte zakrzepłą krwią. Rozejrzałem się wkoło i wstrzymałem oddech. Garaż, nasz niezniszczalny bunkier, przypominał krajobraz po bitwie. Dywaniki były podarte, farba zdrapana z cementowych ścian, deska do prasowania wywrócona, a jej pokrycie zwisało w strzępach. Co najgorsze, drzwi, w których stałem, wyglądały, jakby je zaatakowała maszyna do mielenia gałęzi. Kawałki drewna wały się rozrzucone w promieniu trzech metrów wokół drzwi wydłubanych do połowy wysokości prawie na wylot. Dolny odcinek framugi o długości metra zniknął bez śladu i nigdzie nie można go było znaleźć. Na ścianach, tam gdzie Marley drapał i gryzł, widoczne były smugi krwi.

- Cholera - powiedziałem bardziej przerażony niż zły.

Przypomniała mi się biedna pani Nedermier i morderca z piłą łańcuchową po drugiej stronie ulicy. Czułem się, jakbym stał na środku miejsca zbrodni.

Zza pleców dobiegł do mnie głos Jenny.

- Jak przyszedłam do domu na lunch, wszystko było w porządku - powiedziała. - Ale wyraźnie zanosilo się na deszcz.

Kiedy znowu dotarła do pracy, przeszła wielka burza z potokami deszczu, oślepiającymi błyskawicami i grzmotami tak potężnymi, że niemal czuło się ich uderzenia w piersiach. Parę godzin później wróciła do domu. Marley stał pośród pobojuwiska, do jakiego doprowadził swoją desperacką próbą ucieczki, kompletnie oszalały z panicznego strachu. Wyglądał tak żałośnie, że nie miała sumienia na niego nakrzyczeć. Poza tym było już po wszystkim, więc nie miałby pojęcia, za co spotyka go kara. Ale ten bezmyślny, niszczycielski atak na nasz dom, dom, w który włożyliśmy tyle pracy, zmartwił ją tak bardzo, że nie była w stanie znieść jeszcze sprzątnięcia i zajmowania się psem. - Poczekaj, niech tylko ojciec wróci do domu! - pogroziła mu i zamknęła drzwi.

Przy obiedzie próbowaliśmy spojrzeć z dystansu na to, co zaczęliśmy nazywać „zdziczeniem”. Zdołaliśmy sobie wyobrazić tylko tyle, że Marley, samotny i przerażony nadchodzącą burzą, uznał, że największą szansę na przeżycie daje przekopanie się do domu. Prawdopodobnie posłuchał jakiegoś pradawnego instynktu przekazanego mu w spadku przez jego przodka wilka. I zmierzał do celu z żarliwą skutecznością, która nie wydawała mi się możliwa do osiągnięcia bez pomocy ciężkiego sprzętu.

Kiedy już było pozmywane, poszliśmy z Jenny do garażu, gdzie Marley zdążył wrócić do siebie. Złapał gumową zabawkę i podskakiwał dookoła nas w nadziei na małe przeciąganie. Trzymałem go nieruchomo, kiedy Jenny zmywała gąbką krew z jego sierści. Potem, machając ogonem, przyglądał się, jak sprzątam po jego wyczynach. Wyrzuciliśmy dywaniki i pokrowiec na deskę do prasowania, pozamiataliśmy porąbane w drzazgi resztki drzwi, zmyliśmy krew ze ścian i zrobiliśmy listę rzeczy, które trzeba kupić w sklepie z materiałami budowlanymi, żeby naprawić szkody - pierwsza z nieskończonej liczby napraw, jakie wykonałem w ciągu jego życia. Marley wydawał się bardzo zadowolony, że jesteśmy tam razem z nim i pomagamy mu w przemeblowaniu.

- Nie masz się z czego cieszyć - skrzywiłem się i zabrałem go na noc do domu.

ROZDZIAŁ 9

To, co stanowi o męskości

Każdy pies potrzebuje dobrego weterynarza, doświadczonego profesjonalisty, który zadba o jego zdrowie, dobrą kondycję i zabezpieczy go przed chorobami. Każdy świeżo upieczony właściciel psa również potrzebuje weterynarza, głównie po to, by doradził, uspokoił i udzielił darmowych konsultacji, które zdaniem samych lekarzy zajmują im nadmierną ilość czasu. Mieliśmy kilka falstartów, zanim znaleźliśmy opiekuna. Jeden był tak nieuchwytny, że zawsze spotykaliśmy tylko jego pomocnicę w wieku licealnym, drugi tak stary, że moim zdaniem nie potrafił już odróżnić chihuahua od kota. Trzeci najwyraźniej obsługiwał głównie dziewczeczki z Palm Beach i ich ozdobne pieski wielkości pięści. Wreszcie natknęliśmy się przypadkiem na lekarza naszych marzeń. Nazywał się Jay Butan - doktor Jay dla wszystkich, którzy go znali. Był młody, bystry, niezwykle sympatyczny i znał się na swojej robocie. Doktor Jay rozumiał psy jak najlepsi mechanicy rozumieją samochody - intuicyjnie. W sposób oczywisty kochał zwierzęta, ale ze zdrowym rozsądkiem podchodził do roli, jaką odgrywają one w ludzkim świecie. Przez pierwsze miesiące utrzymywaliśmy z nim gorącą linię i konsultowaliśmy się w najgłupszych sprawach. Kiedy na łokciach Marleya pojawiły się twarde łuskowate placki, obawiałem się, że to jakaś rzadka i z całą pewnością zaraźliwa choroba skóry. Spokojnie, powiedział doktor Jay, to tylko odciski od leżenia na podłodze. Pewnego dnia Marley ziewnął potężnie i zobaczyłem głęboko na jego języku dziwne fioletowe przebarwienie. „O Boże, on ma raka” - pomyślałem. Mięsak Kaposiego w pysku. Spokojnie, powiedział doktor Jay, to tylko znamię.

Pewnego popołudnia byliśmy z Jenny w jego gabinecie i rozmawialiśmy o pogłębiającym się neurotycznym lęku

Marleya przed burzą. Łudziliśmy się, że incydent z maszyną do mielenia gałęzi był jednorazowym wydarzeniem, ale, jak się okazało, był to dopiero pierwszy z powtarzających się przez całe jego życie przejawów irracjonalnej fobii. Mimo że labradory cieszą się reputacją doskonałych psów myśliwskich, nam trafił się taki, który bał się śmiertelnie każdego dźwięku głośniejszego od huku korka od szampana. Przerazały go petardy, kaszlące tłumiki czy strzały karabinów. A każdy grzmot pogrążał go w prywatnej otchłani strachu. Już samo przecucie o burzy doprowadzało Marleya do obłędu. Jeśli byliśmy w domu, tulił się do nas, trzął się i ślinił w niekontrolowany sposób, łypiąc nerwowo oczami, uszy kładł po sobie, a ogon wciskał między nogi. Jeśli był sam, wpadał w niszczycielski szał, gryzł i drapał wszystko, co stało mu na drodze do domniemanego bezpieczeństwa. Pewnego dnia, gdy zbierały się chmury, Jenny wróciła do domu i zastała Marleya na szczycie pralki - z szaleństwem w oczach podskakiwał w desperackim tańcu i pazurami skrobał emaliowaną pokrywę. Nigdy nie udało nam się ustalić, jakim sposobem tam się znalazł, a co ważniejsze, dlaczego poczuł taką potrzebę. Wśród ludzi zdarzają się chorzy umysłowo dziwacy i, jak najlepiej się o tym przekonaliśmy, wśród psów też.

Doktor Jay wcisnął mi do ręki fiolkę z małymi żółtymi tabletkami, mówiąc:

- Proszę je stosować bez wahania.

Były to środki uspokajające, które powinny, jak to ujął, „stąpić ostrze strachu Marleya”. Jest nadzieja, dodał, że Marley wspomagany uspokajającym działaniem lekarstw zdoła potraktować burze bardziej racjonalnie, a w końcu zda sobie sprawę, że to tylko wiele nieszkodliwego hałasu. Lęk przed piorunami nie jest rzadki u psów, wyjaśnił, szczególnie na Florydzie, gdzie w czasie odrętwiałych letnich miesięcy gigantyczne pomruki przetaczają się nad półwyspem niemal

każdego popołudnia. Marley obwąchał fiolkę w mojej dłoni, najwyraźniej chętny, by rozpocząć życie lekomana.

Doktor Jay przytrzymał go za kark i poruszył ustami, jakby miał coś ważnego do powiedzenia, ale nie był pewien, jak to zrobić.

- No i... - powiedział i przerwał. - Pewnie chcecie zacząć poważnie myśleć o sterylizacji.

- Sterylizacji? - powtórzyłem. - Chodzi o... - spojrzałem w dół na wielkie jądra, dwie pociesznie olbrzymie kule dyndające między tylnymi nogami Marleya.

Doktor Jay także na nie zerknął i pokiwał głową. Musiałem drgnąć, może nawet się zachnąłem, bo szybko dodał: - Zabieg jest bezbolesny, a dla niego tak będzie dużo lepiej. Doktor Jay wiedział o wszystkich wyzwaniach, jakie Marley stawiał przed nami. Wysłuchiwał naszych zwierzeń na temat jego wyczynów, wiedział o katastrofie ze szkoleniem, o durnych błazeństwach, niszczyielskich skłonnościach i nadpobudliwości. Marley skończył już siedem miesięcy i ostatnio podniecało go wszystko, co się poruszało, łącznie z gośćmi, którzy przychodzili do nas na obiad.

- Zabieg zlikwiduje tę nerwową energię seksualną. Pies będzie szczęśliwszy i spokojniejszy - zapewnił doktor Jay i obiecał, że nie pozbawi to Marleya jego słonecznej żywiołowości.

- Boże, nie wiem - jęknąłem. - To brzmi tak... tak nieodwołalnie.

Jenny ze swojej strony nie miała podobnych skrupułów.

- Ciachnijmy te balony! - zachęciła.

- A co z płodzeniem potomstwa? - spytałem. - Co z utrzymaniem jego linii? - przed oczami przeleciały mi wszystkie lukratywne opłaty za krycie.

Doktor Jay znowu zdawał się z namysłem szukać słów.

- Myślę, że powinniście podejść do tego racjonalnie - powiedział. - Marley to wspaniały rodzinny pies, ale nie jestem pewny, czy ma wszystkie zalety poszukiwane u reproduktora.

Starał się zachowywać tak dyplomatycznie, jak to tylko możliwe, ale wyraz jego twarzy mówił sam za siebie. Prawie krzyczał: „Na Boga, człowieku! Dla dobra przyszłych pokoleń musimy za wszelką cenę powstrzymać tę genetyczną pomyłkę!”. Powiedziałem, że pomyślimy o tym, i z nowym zapasem tabletek poprawiających nastrój ruszyliśmy do domu.

W tym samym czasie, gdy debatowaliśmy nad pozbawieniem Marleya męskości, Jenny postawiła przede mną żądania bez precedensu. Doktor Sherman zezwolił, by znowu próbowała zajść w ciążę. Potraktowała to jak wyzwanie i dążyła do celu z determinacją sportowca szykującego się do igrzysk. Minęły czasy, kiedy po prostu odstawiliśmy pigułki antykoncepcyjne, pozwalając, żeby zdarzyło się, co ma się zdarzyć. W wojnie o zapłodnienie Jenny zamierzała ruszyć do ofensywy. Do tego potrzebny jej byłem ja, jako kluczowy sojusznik, który kontroluje strumień amunicji. Odkąd skończyłem 15 lat, każdą świadomą chwilę swego życia spędzałem, podobnie jak większość samców, na próbach przekonania płci przeciwnej, że jestem partnerem, z którym warto się skrzyżować. W końcu znalazłem kogoś, kto się zgodził. Powinienem być zachwycony. Po raz pierwszy w życiu kobieta bardziej chciała mnie niż ja jej. Męski raj. Żadnego zebrania i płaszczenia się. Jak najlepszy rasowy reproduktor wreszcie byłem pożądanym. Powinienem nie posiadać się z radości. Ale nagle to wszystko zaczęło mi przypominać pracę, i na dodatek stresującą pracę. Jenny nie żądała ode mnie swawolnych igraszek - ona żądała dziecka. Co oznaczało, że mam zadanie do wykonania. Sprawa była poważna. Najradośniejsza z nocnych czynności zamieniła się

w kliniczną procedurę z mierzeniem temperatury, kalendarzykiem dni płodnych i wykresami owulacji. Czuję się jak sługa królowej.

Było to prawie tak podniecające jak sprawdzanie ksiąg podatkowych. Jenny przywykła, że jestem gotów do gry na najmniejszy znak zachęty, i uważała, że stare reguły wciąż obowiązują. Szykowałem, dajmy na to, pojemnik ze śmieciami do wystawienia, kiedy wkraczała ze swoim kalendarzykiem w dłoni, mówiąc: - Ostatnią miesiączkę miałam siedemnastego, co oznacza - tu przerywała, żeby policzyć dni od tej daty - że musimy to zrobić TERAZ!

Mężczyźni z rodu Groganów nigdy nie znosili dobrze nacisków, a ja nie należałem do wyjątków. Było tylko kwestią czasu, kiedy doznam największego z męskich upokorzeń - okażę się niezdolny do działania. A gdy raz się to zdarzyło, gra była skończona. Zniknęła moja wiara w siebie, straciłem zimną krew. Wiedziałem, że co nastąpiło raz, może się powtórzyć. Niepowodzenie rozwijało się zgodnie z samosprawdzającą się przepowiednią. Im bardziej mi zależało na wypełnianiu męzowskich obowiązków, tym bardziej nie byłem w stanie się odprężyć i robić tego, co zawsze przychodziło naturalnie. Tłumiłem wszystkie odruchy fizycznej czułości, żeby nie podrzucać Jenny jakichś pomysłów. Narastał we mnie śmiertelny strach, że moja żona zażąda, uchwaj Boże, bym zerwał z niej ubranie i ją posiadał. Zacząłem myśleć, że może życie w celibacie w jakimś odosobnionym klasztorze nie byłoby mimo wszystko złym rozwiązaniem.

Jenny nie zamierzała się tak łatwo poddać. Była myśliwym, a ja zwierzyną. Pewnego ranka, gdy pracowałem w redakcji w West Palm Beach, zaledwie dziesięć minut drogi od domu, zadzwoniła ze swojego biura. Może zjedlibyśmy razem lunch w domu? „Sami? Bez przyzwoitki?”.

- A może się spotkamy w jakiejś restauracji? - spróbowałem. Bardzo zatłoczonej restauracji. Najchętniej z kilkoma współpracownikami. I obiema teściowymi.

- Och, daj spokój. Będzie fajnie - powiedziała. Po czym zniżyła głos do szeptu i dodała:

- Dzisiaj jest dobry dzień. Myślę... że... mam jajeczkowanie.

Przeniknął mnie dreszcz grozy. „Boże, nie. Tylko nie słowo na „j”. Poczułem presję. Czas wypełnić zadanie lub zginąć. Wznieść się - całkiem dosłownie - lub upaść. „Proszę, nie rób mi tego” - chciałem błagać przez telefon. Zamiast tego powiedziałem tak spokojnie, jak potrafiłem: - Jasne. Może być dwunasta trzydzieści?

Kiedy otworzyłem drzwi, Marley jak zawsze czekał, by mnie przywitać, ale Jenny nigdzie nie było. Zawołałem ją.

- Jestem w łazience - odkrzyknęła. - Za sekundkę wychodzę.

Dla zabicia czasu przeglądałem pocztę. Ogólne poczucie zagrożenia unosiło się nade mną zupełnie tak samo, myślałem, jak nad ludźmi, którzy czekają na wynik biopsji.

- Hej, tutaj, żeglarzu - usłyszałem głos z za pleców, a kiedy się odwróciłem, zobaczyłem Jenny ubraną w coś małego, jedwabnego i dwuczęściowego. Płaski brzuch wyglądał spod topu, który wisiał ryzykownie na dwóch niemożliwie cienkich ramiączkach. Jej nogi nigdy nie wydawały się dłuższe.

- Jak wyglądam? - spytała, opierając ręce na biodrach.

Jak wyglądała? Wyglądała po prostu niewiarygodnie! Jeśli chodzi o rzeczy do spania, Jenny zdecydowanie należy do zwolenników workowatych T - shirtów i wiedziałem, że czuje się głupio w tym uwodzicielskim ubranku. Ale wywarło ono zamierzony efekt.

Rzuciła się do pokoju, a ja za nią. Szybko wylądowaliśmy w łóżku, trzymając się w ramionach. Zamknąłem oczy i poczułem, że mój stary, zagubiony przyjaciel ożywa. Czar powracał. „Dasz radę, John”. Starąłem się przywołać najbardziej nieczyste myśli, jakie tylko potrafiłem. „To działa”. Palcami szarpałem delikatne ramiączka. „Daj się ponieść, John. Żadnej presji”. Czułem jej oddech na twarzy, gorący i wilgotny. Ciężki oddech. Gorący, wilgotny, ciężki oddech. „Mmmm, seksowne”.

Ale chwileczkę. Co to za zapach? Coś w jej oddechu. Coś znajomego i jednocześnie obcego, niezupełnie nieprzyjemnego, ale też mało podniecającego. Znałem ten zapach, ale nie potrafiłem go określić. Zawahałem się. „Co robisz, idioto? Zapomnij o zapachu. Skup się, człowieku. Skup się!”. Ale ten zapach - nie mogłem się od niego odzepić. „Rozpraszasz się, John. Nie rozpraszaj się!”. Co to jest? „Nie zbaczaj z kursu!”. Moja ciekawość brała górę. „Zapomnij o tym, stary. Zapomnij!”. Zacząłem węszyć. Jedzenie; tak, to było to. Ale jakie? Nie krakersy. Nie chipsy. Tuńczyk też nie. Już prawie miałem. To były... Psie ciasteczka?

Psie ciasteczka! No tak. Jej oddech pachniał psimi ciasteczkami. „Ale dlaczego?”. Zastanawiałem się - a właściwie słyszałem pytający głosik w mojej głowie - „Dlaczego Jenny je psie ciasteczka?”. I przy tym czułem jej wargi na karku... W jaki sposób mogła całować mnie w kark i jednocześnie dyszeć mi w twarz? To nie ma żadnego...

„O... Boże!”.

Otworzyłem oczy. Centymetry od mojej twarzy, wypełniając mi całe pole widzenia, ukazał się wielki łeb Marleya. Brodę opierał na materacu, dyszał ciężko i obficie się ślinił na prześcieradło. Oczy miał w półprzymknięte - i wyglądał, jakby również był całkowicie pochłonięty miłością.

- Niedobry pies - zaskrzeczałem, odskakując do tyłu na łóżku. - Nie! Nie! Na miejsce! - rozkazałem nerwowo. - Na miejsce! I leżeć!

Ale było za późno. Magiczna chwila minęła. Powrócił klasztor. „Spocznij, żołnierzu”.

Następnego dnia zamówiłem Marleyowi wizytę u weterynarza, żeby mu obcieli jaja. Uznałem, że jeśli ja mam nie uprawiać seksu do końca życia, on też nie będzie. Doktor Jay powiedział, że możemy podrzucić go przed pracą i odebrać, wracając do domu. Tydzień później właśnie tak zrobiliśmy.

Kiedy szykowaliśmy się z Jenny do wyjścia, Marley odbijał się radośnie od ścian, wyczuwając nadchodzący spacer. Dla Marleya każda wyprawa to była dobra wyprawa, nieważne, dokąd ani na jak długo. Wystawić śmietnik? „Żaden problem!”. Przejść się na róg po karton mleka? „Możesz na mnie liczyć!”. Nagle ogarnęło mnie poczucie winy. Biedny facet nie miał pojęcia, co go czeka. Ufał, że postępujemy słusznie, a my knuliśmy w sekrecie, jak go pozbawić męskości. Czy zdrada może być bardziej perfidna?

- Chodź tutaj - powiedziałem, po czym przewróciłem go na podłogę i energicznie podrapałem po brzuchu. - Nie będzie tak źle. Zobacysz. Seks jest przereklamowany.

Nawet ja, choć wciąż dochodziłem do siebie po braku sukcesów przez ostatnie dwa tygodnie, nie wierzyłem w to. Kogo chciałem oszukać? Seks jest fantastyczny. Seks jest nadzwyczajny. Biedny pies straci największą przyjemność w życiu. Biedny skurczybyk. Czułem się strasznie.

A poczułem się jeszcze gorzej, gdy gwizdnąłem na niego, a on wskoczył do samochodu z całkowicie ślełą wiarą, że nie narażę go na nic złego. Był podniecony i gotów na każdą wspaniałą przygodę, którą wymyślę. Jenny prowadziła, ja siedziałem na miejscu pasażera. Marley, jak to miał w

zwyczaju, balansował przednimi łapami na desce rozdzielczej, nosem dotykając wstecznego lusterka. Za każdym razem, gdy Jenny naciskała hamulec, wpadał na przednią szybę, ale nic sobie z tego nie robił. Jechał między dwójką swoich najlepszych kumpli. Czy życie może być fajniejsze?

Uchyliłem okno i Marley zaczął się przechylać na prawą burzę, pchał się na mnie, próbując pochwycić ślady zapachów z zewnątrz. Wkrótce po swoim wkręcił się całkiem na moje kolana i tak mocno przycisnął nos do wąskiej szpary w oknie, że charczał za każdym razem, kiedy wciągał powietrze. „Och, dlaczego nie?” - pomyślałem. Po raz ostatni jechał samochodem jako w pełni wyposażony przedstawiciel męskiego rodu; przynajmniej tyle mogłem dla niego zrobić, że dostarczę mu odrobinę świeżego powietrza. Otworzyłem okno szerzej, żeby wytknął przez nie pysk. Tak mu się to spodobało, że otworzyłem jeszcze bardziej i wkrótce cały jego łeb znalazł się na zewnątrz. Uszy powiewały za nim na wietrze, a język zwisał na brodzie, jakby się upił wyziewami miasta. Boże, ależ był szczęśliwy!

Kiedy jechaliśmy Dixie Highway, wyznałem Jenny, jak nie w porządku się czuję z powodu tego, co zamierzamy mu zrobić. Zaczęła mówić coś, co niewątpliwie całkowicie zwalniało mnie z wyrzutów sumienia, gdy zauważyłem bardziej z zaciekawieniem niż niepokojem, że Marley zawiesił obie przednie łapy na krawędzi wpółotwartego okna. Teraz również jego szyja i ramiona wystawały z samochodu. Brakowało mu tylko pary gogli i jedwabnego szalika, żeby wyglądał jak jeden z tych latających asów z pierwszej wojny światowej.

- John, to mnie denerwuje - powiedziała Jenny.
- Nic mu nie będzie - odpowiedziałem. - Po prostu potrzebuje trochę świeżego...

W tym momencie zsunął przednie łapy na zewnątrz okna tak, że pachami opierał się o brzeg szyby.

- John, złap go! Łap go!

Zanim zdążyłem cokolwiek zrobić, Marley uniósł się z moich kolan i zaczął się gramolić przez okno jadącego samochodu. Jego zadek wisiał w powietrzu, a tylne nogi szukały podparcia. Próbował ucieczki. Gdy prześlizgiwał się obok mnie, rzuciłem się i zdołałem złapać lewą ręką za koniec ogona. Jenny zahamowała gwałtownie na zatłoczonej drodze. Marley dyndał całkiem za oknem, zawieszony głową w dół na ogonie, który ściskałem bardzo niepewnym chwytem. Siedziałem skręcony w takiej pozycji, która nie pozwalała mi złapać go drugą ręką. Marley w zapamiętaniu przebierał przednimi łapami po asfalcie.

Jenny zatrzymała samochód na zewnętrznym pasie, za nami zrobił się korek, kierowcy trąbili.

- Co teraz? - krzyknąłem. Byłem w kropce. Nie mogłem go wciągnąć z powrotem przez okno. Nie mogłem otworzyć drzwi. Nie mogłem użyć drugiej ręki. Nie odważyłem się go puścić, bo na pewno wpadłby w drogę któremuś z wymijających nas wściekłych kierowców. Jakby życie od tego zależało, trzymałem go za ogon z twarzą rozpląszczoną na szybie centymetry od gigantycznej, powiewającej moszny.

Jenny włączyła światła awaryjne i pobiegła dookoła samochodu na moją stronę, gdzie złapała go i przytrzymała za obrozę, zanim wysiadłem i pomogłem jej wepchnąć go z powrotem do środka. Nasz mały dramat rozegrał się dokładnie na wysokości stacji benzynowej. Kiedy Jenny wrzucała bieg, żeby znów włączyć się do ruchu, spojrzałem tam i zobaczyłem, że wszyscy mechanicy wylegli na zewnątrz obejrzyć przedstawienie. Myślałem, że się posikają w majtki, tak ryczeli ze śmiechu.

- Dzięki, panowie! - zawołałem. - Cieszę się, że mogliśmy wam rozjaśnić poranek.

Kiedy dotarliśmy do przychodni, wprowadziłem Marleya do środka na ściągniętej smyczy, w razie gdyby próbował jeszcze jakichś cwanych sztuczek. Poczucie winy znikło, moja decyzja się umocniła.

- Nie wywiniesz się od tego, eunuchu - zapewniłem go. Wzdychał i sapał, ciągnął smycz, żeby wchłonąć wszystkie zapachy innych zwierząt. W poczekalni udało mu się sterroryzować parę kotów i przewrócić stojak z ulotkami. Oddałem go w ręce asystenta doktora Jaya i powiedziałem: - Weźcie go w obroty.

Wieczorem, kiedy go odebrałem, Marley był innym psem. Obolały po operacji poruszał się ostrożnie. Miał przekrwione oczy, spojrzenie nieprzytomne od narkozy i wciąż był ogłupiały. A tam, gdzie tak dumnie zwisały dostojne klejnoty koronne, nie było nic. Tylko mały, zmarszczony kawałek skóry. Niepowstrzymana linia rodu Marleya wygasła oficjalnie i na zawsze.

ROZDZIAŁ 10

Fart Irlandczyka

Praca w coraz większym stopniu determinowała nasze życie. Praca w gazetach. Praca w domu. Praca w ogrodzie. Praca nad zajściem w ciążę. No i praca nad wychowaniem Marleya, co samo w sobie było zajęciem niemal na pełny etat. Pod wieloma względami był jak dziecko - wymagał tyle samo czasu i uwagi - więc mieliśmy przedsmak odpowiedzialności, jaka spocznie na nas, jeśli kiedykolwiek nasza rodzina się powiększy. Ale tylko do pewnego stopnia. Nawet my, z naszym niewielkim pojęciem o rodzicielstwie, wiedzieliśmy z całą pewnością, że dzieci nie można zamknąć w garażu z miską wody, kiedy wychodzi się na cały dzień.

Nie minęła jeszcze druga rocznica naszego ślubu, a już czuliśmy brzemień odpowiedzialnego, dorosłego, małżeńskiego życia. Potrzebowaliśmy ucieczki. Potrzebowaliśmy wakacji, tylko we dwójkę, z daleka od codziennych obowiązków. Pewnego wieczoru zrobiłem Jenny niespodziankę - kupiłem dwa bilety do Irlandii. Mieliśmy wyjechać na trzy tygodnie. Bez planu podróży, bez wycieczek z przewodnikiem, bez miejsc, które trzeba koniecznie zobaczyć. Tylko wynajęty samochód, mapa i informator o przydrożnych pensjonatach oferujących nocleg ze śniadaniem. Sam fakt, że trzymaliśmy w ręku bilety, zdjął jarzmo z naszych ramion.

Najpierw musieliśmy jednak porozdzielać swoje obowiązki, wśród których czołowe miejsce zajmował oczywiście Marley. Od razu wykluczaliśmy hotel dla psów. Marley był za młody, zbyt nakręcony, zbyt rozbuchany, żeby siedzieć za kratkami dwadzieścia trzy godziny na dobę. Zgodnie z przewidywaniami doktora Jaya wykastrowanie wcale nie zmniejszyło jego żywiołowości. Nie wpłynęło ani na poziom energii, ani na wariackie zachowania. Przestał wprawdzie napastować nieożywione obiekty, ale został tą

samą szaloną bestią. Był też o wiele za dziki - a w razie ataku paniki nieprzewidywalnie niszczycielski - by zostawić go na przechowanie w domu przyjaciół. A nawet w domu wrogów, jeśli już o to chodzi. Potrzebowaliśmy psiej niani, która zamieszka u nas. Oczywiście nie każdy się nadawał, zważywszy na wyzwania, jakie stawiał Marley. Potrzebowaliśmy kogoś odpowiedzialnego, godnego zaufania, bardzo cierpliwego i wystarczająco silnego, żeby utrzymać na smyczy trzydzieści kilogramów uciekającego labradora retrievera.

Zrobiliśmy listę wszystkich znajomych, sąsiadów i kolegów z pracy, którzy nam przyszli do głowy, po czym jedno po drugim skreślaliśmy nazwiska. Niepoprawny imprezowicz. Odpada. Za bardzo roztargniony. Odpada. Brzydzi się psiej śliny. Odpada.

Zbyt wycofany, żeby opanować jamnika, a co dopiero labradora. Odpada. Alergik. Odpada. Nie będzie chciał zbierać psich kup. Odpada. W końcu została tylko jedna kandydatka. Kathy pracowała w mojej redakcji, była wolna i bez zobowiązań. Dorastała na wsi, kochała zwierzęta i marzyła, że pewnego dnia zamieni swoje małe mieszkanko na dom z ogródkiem. Była wysportowana i lubiła chodzić. Prawda, że nieśmiałość i łagodność mogły jej utrudnić opanowanie Marleya alfy, ale pod każdym innym względem była idealna. A co najważniejsze, zgodziła się.

Przygotowałem jej listę wskazówek, tak szczegółową, jakbyśmy zostawiali pod jej opieką dziecko w krytycznym stanie. Instrukcja Obsługi Marleya zajmowała sześć pełnych stron tekstu z pojedynczym odstępem. Oto fragmenty:

KARMIENIE: Marley je trzy razy dziennie, dwie miarki na jeden posiłek. Kubeczek - miarkę znajdziesz w torbie z jedzeniem. Karm go, proszę, rano i po powrocie z pracy. Sąsiedzi przyjdą, żeby dać mu jeść w południe. Ogółem

powinien dostać sześć miarek dziennie, ale jeśli będzie się zachowywał, jakby umierał z głodu, daj mu dodatkową miarkę albo coś koło tego. Jak wiesz, całe to jedzenie musi kiedyś z niego wyjść. Patrz GÓWNIANY PATROL poniżej.

WITAMINY: Co rano dajemy Marleyowi jedną tabletkę psych witamin. Najlepiej upuścić ją na podłogę i udawać, że nie wolno mu tego zabrać. Jeżeli uważa, że mu nie wolno, na pewno ją zezre. Gdyby z jakiegoś powodu to się nie udało, spróbuj ukryć pastylkę w smacznym kąsku.

WODA: W gorące dni powinien mieć dostęp do dużej ilości świeżej wody. Raz dziennie zmieniamy wodę w misce, która stoi obok naczynia z jedzeniem, a jeśli zabraknie, dolewamy. Uwaga: Marley lubi zanurzać nos w misce i bawić się w łódź podwodną. Sporo z tym bałaganu. W jego pysku mieści się nieprawdopodobna ilość wody, która leje się z niego, kiedy odchodzi od miski. Jeśli mu pozwolisz, wytrze pysk w ubranie lub w kanapę. Jeszcze jedno: Marley zazwyczaj otrząsa się po większym picciu i wtedy jego ślina frunie na ściany, abażury itp. Staramy się ją ścierać, zanim wyschnie, bo potem jej usunięcie jest prawie niemożliwe.

PCHŁY I KLESZCZE: Jeśli je na nim zauważysz, możesz go spryskać sprejem na pchły i kleszcze. Zostawiamy też środek przeciw insektom, którym możesz spryskać dywany itp., jeśli wydaje ci się, że zaczyna się jakiś problem. Pchły są malutkie, szybkie i trudno je złapać, ale jak stwierdziliśmy, rzadko gryzą ludzi, więc nie trzeba się nimi zbytnio przejmować. Kleszcze są większe i powolne. Czasem je na nim znajdujemy. Jeśli zobaczysz jakiegoś i nie brzydzisz się, po prostu oderwij go i zgnieć w papierowej chusteczce (są nadspodziewanie twarde, więc będziesz musiała użyć paznokci) lub spłucz w umywalce albo sedesie (najlepiej tak zrobić, jeśli kleszcz jest napojony krwią). Pewnie czytałaś, że kleszcze przenoszą boreliozę na ludzi, co może powodować

długotrwałe problemy ze zdrowiem. Kilku weterynarzy zapewniło nas jednak, że na Florydzie groźba złapania tej choroby jest bardzo mała. Dla pewności umyj porządnie ręce po usunięciu kleszcza. Żeby odzepić kleszcza z Marleya, najlepiej włożyć mu do pyska jakąś zabawkę, którą się zajmie, po czym złapać skórę jedną ręką, a palcami drugiej jak pęsetą wyciągnąć kleszcza. Przy okazji, jeśli Marley zacznie śmierdzieć, a tobie starczy odwagi, możesz go wykąpać w dzieciennym baseniku, który stoi na podwórku (właśnie w tym celu), ale załóż kostium. Będziesz cała mokra!

USZY: Marley ma skłonność do gromadzenia dużej ilości woszczyzny w uszach, co zaniedbane prowadzi do infekcji. Raz lub dwa podczas naszej nieobecności usuń, proszę, z jego uszu, używając wacików i niebieskiego płynu do czyszczenia, tak dużo tego obrzydlistwa, jak się da. To jest wyjątkowo wstrętne, więc załóż jakieś stare ubranie.

SPACERY: Jeśli Marley nie odbędzie porannego spaceru, lubi urządzić rozróby w garażu. Dla własnego zdrowia możesz go też zabrać na krótką przebieżkę przed spaniem, ale to nie jest konieczne. Możesz używać zaciskowej obroży na spacerze, ale nigdy nie zostawiaj go w niej bez opieki. Mógłby się udusić. O ile znam Marleya, na pewno by to zrobił.

PODSTAWOWE KOMENDY: Spacerowanie z nim jest dużo łatwiejsze, jeśli potrafisz go zmusić do chodzenia przy nodze. Zawsze na początku usadź go po swojej lewej stronie, po czym wydaj komendę: „Marley, noga!” i daj krok lewą nogą. Jeśli zacznie ciągnąć, szarpnij mocno smyczą. To zwykle wystarcza (Marley był na szkoleniu!). Jeśli jest spuszczone ze smyczy, na ogół całkiem posłusznie przychodzi na rozkaz: „Marley, chodź!”. Uwaga: gdy go wołasz, lepiej, jeśli stoisz, a nie kucasz.

BURZE: Marley dostaje lekkiego świra w czasie burzy, a nawet podczas niewielkiej ulewy. Środki uspokajające (żółte

tabletki) są w szafce z witaminami. Jedna pigułka na pół godziny przed nadejściem burzy (zanim się obejrzysz, zostaniesz przepowiadaczem pogody) powinna załatwić sprawę. Skłonienie Marleya do połknięcia pigułek wymaga pewnej sztuki. Nie pójdzie tak łatwo jak z witaminami, nawet jeśli upuścisz tabletkę na podłogę i będziesz udawała, że nie wolno mu jej zjeść. Najlepiej unieruchomić go między kolanami i otworzyć mu pysk jedną ręką, a drugą wepchnąć pigułkę tak głęboko jak się da, poza punkt, z którego nie ma powrotu. Inaczej to wykasze. Następnie trzeba go głaskać po szyi, aż połknie. Oczywiście po wszystkim będziesz musiała się umyć.

GÓWNIANY PATROL: Szpadel, którego używam do zbierania kup Marleya, stoi z tyłu pod drzewem mango. Możesz sprzątać po nim tak często lub tak rzadko, jak ci się podoba, w zależności od tego, czy zamierzasz chodzić po ogródku. Uważaj, gdzie stawiasz nogę!

NIE DO PRZYJĘCIA: Nie pozwalamy Marleyowi:

- x Wchodzić na żadne meble.
- x Gryźć mebli, butów, poduszek itp.
- x Pić z sedesu (najlepiej, żeby deska była zawsze opuszczona, ale uważaj: potrafi podnieść ją nosem).
- x Kopać w ogrodzie lub wyrywać z korzeniami rośliny i kwiaty. Robi to zazwyczaj wtedy, gdy czuje, że poświęca mu się zbyt mało uwagi.
- x Grzebać w śmieciach (niewykluczone, że będziesz musiała trzymać pojemnik ze śmieciami na blacie szafki).
- x Wskakiwać na ludzi, obwąchiwać ich w kroku czy oddawać się jakimś innym niestosownym zajęciom. Szczególnie staramy się wyleczyć go z podgryzania rąk, czego, jak się domyślasz, wiele osób nie lubi. Marley musi się jeszcze dużo nauczyć. Spokojnie możesz go klepnąć w pupę i powiedzieć twardo: „Nie!”.

x Żebrać przy stole.

x Pchać się na siatki w drzwiach frontowych lub na ganku (wiele razy były już wymieniane).

Jeszcze raz dziękujemy, że zgodziłaś się to zrobić, Kathy. Dla nas to gigantyczna przysługa. Nie mam pojęcia, jak byśmy sobie dali radę bez twojej pomocy. Mam nadzieję, że zostaniecie z Marleyem przyjaciółmi i będziesz się z nim bawiła tak dobrze jak my.

Zaniósłem instrukcję Jenny i zapytałem, czy niczego nie pominąłem. Czytała przez kilka minut, potem podniosła na mnie wzrok i powiedziała: - Jak ty to sobie wyobrażasz? Nie możesz jej tego pokazać!

Wymachiwała kartkami: - Pokaż jej to i możesz zapomnieć o Irlandii! To jedyna osoba, jaką znaleźliśmy, gotowa się nim zająć. Jeśli to przeczyta, koniec. Rzuci się do ucieczki i nie spocznie, aż dobiegnie do Key West.

Na wypadek gdybym nie zrozumiał, powtórzyła: - Jak ty to sobie, do diabła, wyobrażasz?

- Więc uważasz, że to zbyt wiele? - spytałem.

Zawsze jednak byłem zwolennikiem pełnej otwartości i pokazałem Kathy instrukcję. Wzdrygnęła się wyraźnie kilka razy, szczególnie przy omawianiu technik wyciągania kleszczy, ale wszystkie obawy zatrzymała dla siebie. Choć sprawiała wrażenie wystraszonej i trochę pozieleniała, trzymała się twardo, bo była zbyt miła, żeby złamać obietnicę.

- Udanej podróży - powiedziała. - Poradzimy sobie.

Irlandia była dokładnie taka, jak sobie wymarzyliśmy. Piękna, sielankowa, leniwa. Przez większość czasu mieliśmy wspaniałą, słoneczną pogodę, co wywoływało w tubylcach czarne myśli o nadchodzącej suszy. Tak jak sobie obiecaliśmy, nie trzymaliśmy się żadnych planów podróży ani rozkładów jazdy. Włoczyliśmy się po prostu, turkotaliśmy drogą wzdłuż wybrzeża, zatrzymywaliśmy się, żeby

pospacerować, zrobić zakupy, pójść na wycieczkę, napić się guinnessa albo po prostu popatrzeć na ocean. Wysiadaliśmy z samochodu, żeby pogadać z rolnikami zbierającymi siano z pola lub zrobić sobie zdjęcie z owcami, które stały na szosie. Jeśli zaciekawiała nas jakaś boczna droga, skręcaliśmy w nią. Nie mogliśmy zabłądzić, ponieważ nie było miejsca, w którym powinniśmy być. Wszystkie domowe obowiązki i powinności stały się odległymi wspomnieniami.

Każdego dnia pod wieczór zaczynaliśmy się rozglądać za noclegiem. Niezmiennie znajdowaliśmy kwatery w prywatnych domach u przemiłych irlandzkich wdów, które nas uwielbiały, podawały herbatę, strzepywały prześcieradła i zawsze zadawały to samo pytanie: - No cóż, pewnie zamierzacie wkrótce powiększyć rodzinę?

Po czym zostawiały nas w pokoju i zamykały za sobą drzwi, błyskając na pożegnanie wszystkowiedzącym, dziwnie wymownym uśmiechem.

Jenny i ja nabraliśmy przekonania, że irlandzkie prawo państwowe wymaga, żeby łóżka w pokojach gościnnych były ustawione naprzeciwko dużego, wiszącego na ścianie wizerunku albo papieża, albo Najświętszej Panienki. W niektórych miejscach wisiały oba. A w jednym pokoju dodatkowo nagłówek łóżka zdobił olbrzymi różaniec. Irlandzkie Prawo Podróżujących w Celibacie nakazywało też, żeby wszystkie łóżka w pokojach gościnnych jak najbardziej skrzypiały, podnosząc alarm za każdym razem, gdy użytkownik zaledwie przewracał się na drugi bok.

Wszystko to razem tworzyło nastrój mniej więcej tak pobudzający do miłosnych igraszek jak atmosfera klasztoru. Nocowaliśmy w cudzym domu - na dodatek bardzo katolickim domu - z cienkimi ścianami i głośnym łóżkiem, z posągami świętych i dziewic, a także z wścibskimi gospodyniami, które, jak wszystko wskazywało, czuwały po drugiej stronie drzwi

do naszego pokoju. Ostatnie miejsce, gdzie miałyby się ochotę na seks. Co oczywiście spowodowało, że na nowo i z wielką siłą pożałowałem mojej żony.

Gasiliśmy światło, wpełzaliśmy do łóżka, sprężyny jęczały pod naszym ciężarem, a ja od razu wsuwałem rękę pod koszulkę Jenny i na jej brzuch.

- Nie ma mowy! - szeptała.
- Dlaczego? - odszeptywałem.
- Zwariowałaś? Pani O'Flaherty jest zaraz za tą ścianą.
- No to co?
- Nie możemy!
- Oczywiście, że możemy.
- Ona wszystko usłyszy.
- Będziemy cicho. - No jasne!
- Obiecuję. Prawie nie będziemy się ruszać.
- Dobra, idź i zarzuć na papieża T - shirt albo coś takiego
- poddawała się w końcu. - Nic nie zrobię, jeśli on się będzie nam przyglądał.

Nagle seks wydał się taki... taki... zakazany. Jakbym znów się znalazł w szkole średniej i skradał się, by umknąć przed podejrzliwym wzrokiem matki. Uprawianie seksu w tych okolicznościach wiązało się z ryzykiem wstydlivego upokorzenia przy wspólnym śniadaniu następnego ranka. Z ryzykiem, że pani O'Flaherty, podając jajka i smażone pomidory, uniesie brew i zapyta ze złośliwym uśmiechem:

- No i jak, łóżko było wygodne?

Irlandia od brzegu do brzegu była Strefą Bez Seksu. I tego właśnie potrzebowałem. Przez całe wakacje bzykaliśmy się jak króliki.

A jednak Jenny nie mogła zapomnieć o swoim wielkim dziecku, które zostało w domu. Co kilka dni karmiła automat telefoniczny garścią monet i dzwoniła do Kathy, żeby odebrać

raport o nowych osiągnięciach. Stałem obok i słuchałem części rozmowy w wykonaniu Jenny.

- Zrobił to?... Poważnie?... Prosto między samochody?... Nic ci się nie stało, prawda?... Bogu dzięki... Też bym krzyczała... Co? Twoje buty?... O nie! I torebkę?... Oczywiście zapłacimy za naprawę... W ogóle nic nie zostało?... Posłuchaj, zwrócimy pieniądze... I on co?... Mokry cement, powiedziałaś? Jak to się mogło stać?

I tak dalej. Każdy telefon był litanią wykroczeń, jedno gorsze od drugiego, wiele z nich potrafiło zadziwić nawet nas, twardych weteranów szczenięcych wojen. Marley był niepoprawnym uczniem, a Kathy kiepskim substytutem nauczyciela. Nasz pies miał swoje własne święto wagarowicza.

Kiedy wróciliśmy do domu, Marley wybiegł nam na powitanie. Kathy, zmęczona i wyczerpana, stała na podjeździe. Patrzyła przed siebie pustym wzrokiem żołnierza z wojenną nerwicą po wyjątkowo zaciętej bitwie. Spakowana torba stała na ganku gotowa do zabrania. Kathy trzymała w ręku kluczyki do samochodu, jakby nie mogła się doczekać ucieczki. Wręczyliśmy jej prezenty, podziękowaliśmy wylewnie i powiedzieliśmy, żeby się nie martwiła podartymi siatkami przeciw owadom ani innymi zniszczeniami. Znalazła grzeczną wymówkę i odjechała.

Wyglądało na to, że Kathy nie była w stanie skłonić Marleya do posłuszeństwa, nie mówiąc już o narzuceniu mu swojej woli. Z każdym zwycięstwem stawał się bardziej zuchwały. Zapomniał w ogóle o chodzeniu przy nodze, włókł ją za sobą wszędzie, gdzie miał ochotę pójść. Nie chciał wracać, kiedy go wołała. Porywał, co tylko mu się spodobało - buty, torebki, poduszki - i nie chciał oddawać. Kradł jedzenie z jej talerza. Grzebał w śmieciach. Próbował nawet zająć jej łóżko. Zdecydował, że to on rządzi pod nieobecność rodziców,

i nie zamierzał pozwolić, żeby jakaś współlokatorka o łagodnym usposobieniu przejęła władzę i popsuła mu zabawę.

- Biedna Kathy - westchnęła Jenny. - Wygląda na podłamana, co?

- Raczej na zdruzgotaną.

- Chyba nie powinniśmy jej więcej prosić o opiekę nad naszym psem.

- Nie - odpowiedziałem - to raczej nie byłby dobry pomysł.

Odwracając się do Marleya, dodałem:

- Miesiąc miodowy się skończył, szefuniu. Od jutra wracamy do tresury.

Następnego ranka oboje z Jenny musieliśmy iść do pracy. Ale najpierw wsunąłem zaciskową obrożę na szyję Marleya i zabrałem go na spacer. Od razu wyrwał do przodu, nawet nie udawał, że próbuje iść przy nodze.

- Troszkę się zardzewiało, co? - spytałem i szarpnąłem smycz do tyłu z całej siły, zwalając go z nóg. Pozbierał się do kupy, zakasłał i podniósł na mnie zranione spojrzenie, jakby mówił: „Nie musisz zaraz być taki brutalny. Kathy nie przeszkadzało, kiedy ją ciągnąłem”.

- Lepiej przywyknij - powiedziałem i kazałem mu usiąść. Ustawiłem obrożę tak, że obejmowała jego szyję wysoko, co przynosiło najlepsze efekty, jak wiedziałem z doświadczenia.

- Dobra, spróbujmy jeszcze raz - powiedziałem.

Patrzył na mnie chłodno i sceptycznie.

- Noga! - rozkazałem i ruszyłem dziarsko lewą nogą, ze smyczą tak ściągniętą, że lewą ręką właściwie trzymałem za łańcuch obroży. Pociągnął, a ja szarpnąłem ostro, zaciskając mu gardło bez litości. - Wykorzystywać w taki sposób biedną kobietę - mamrotałem. - Powinieneś się wstydzić.

Pod koniec spaceru, gdy od ściskania smyczy zbieleły mi już kostki palców, wreszcie zdołałem go przekonać, że żarty

się skończyły. To nie była zabawa, lecz raczej życiowa lekcja o czynach i ich konsekwencjach. Jeśli chciał ciągnąć, dusiłem go. Za każdym razem, bez wyjątków. Jeśli chciał współdziałać i szedł przy nodze, rozluźniałem chwyt, więc ledwie czuł łańcuch wokół szyi. Szarpnięcie, zacisk; noga, oddech. Tak proste, że nawet Marley mógł to pojąć. Powtarzaliśmy to ćwiczenie wielokrotnie, maszerując tam i z powrotem po ścieżce rowerowej. Szarpnięcie, zacisk; noga, oddech. Powoli docierało do niego, że ja jestem panem, a on psem, i że tak już zostanie. Kiedy dochodziliśmy do domu, mój krnąbrny pies truchtał przy mnie, może nie perfekcyjnie, ale z szacunkiem. Po raz pierwszy w życiu wreszcie szedł przy nodze lub przynajmniej starał się do tego zbliżyć. Uznałem to za zwycięstwo.

- O, tak! - śpiewałem radośnie. - SzeF wrócił.

Kilka dni później Jenny zadzwoniła do mnie do biura. Właśnie odwiedziła doktora Shermana.

- Fart Irlandczyka - powiedziała. - Zadanie wykonane!

ROZDZIAŁ 11

Jego jadłospis

Ta ciąża była inna. Poronienie nauczyło nas paru rzeczy i tym razem nie zamierzaliśmy powtarzać swoich błędów. Przede wszystkim nasza nowina była najlepiej strzeżonym sekretem od czasu inwazji na Normandię. Oprócz lekarzy Jenny i pielęgniarek nikt, nawet nasi rodzice, nie został dopuszczony do grona zaufanych. Gdy przyjmowaliśmy przyjaciół, Jenny popijała sok winogronowy z kieliszka do wina, żeby nie budzić podejrzeń. Oprócz utrzymywania tajemnicy miarkowaliśmy też nasze własne podniecenie, nawet gdy byliśmy zupełnie sami. Zaczynaliśmy każde zdanie okresem warunkowym, na przykład: „Jeśli się uda...” lub „Zakładając, że wszystko pójdzie dobrze...”. Jakby nadmierny entuzjazm mógł ściągnąć zły urok na ciążę. Baliśmy się wypuścić naszą radość spod kontroli, bo mogłaby się odwrócić i nas ukąsić.

Zamknęliśmy na klucz wszystkie środki chemiczne i pestycydy. Nie pójdziemy drugi raz tą samą drogą. Jenny nawróciła się na wiarę w naturalną moc czyszczącą octu, przed którym postawiła nawet skrajne wyzwanie, jakim było usuwanie ze ścian zaschniętej śliny Marleya. Odkryliśmy, że kwas borny, biały proszek śmiertelny dla robactwa, jest nieszkodliwy dla ludzi i całkiem sprawnie uwalnia Marleya i jego legowisko od pcheł. A jeśli niekiedy pies wymagał kąpieli przeciwpchełnej, zostawialiśmy to profesjonalistom.

Jenny wstawiała co dzień o świcie i zabierała Marleya na krótki spacer nad wodą. Ja budziłem się dopiero wtedy, gdy wracali pachnący rześką oceaniczną bryzą. Moja żona była okazem zdrowia pod każdym względem z jednym wyjątkiem. Przez większość dni od rana do wieczora chciało jej się wymiotować. Ale nie skarżyła się; każdą falę nudności witała

z radosną akceptacją, jako znak, że maleńki eksperyment w jej wnętrzu rozwija się zgodnie z planem.

Rzeczywiście tak było. Tym razem Essie wzięła ode mnie kasetę i zarejestrowała pierwszy słaby i niewyraźny obraz naszego dziecka. Usłyszeliśmy bicie serca, zobaczyliśmy, jak pulsują jego maleńkie komory. Obejrzeliśmy zarys głowy i policzyliśmy cztery kończyny. Doktor Sherman wetknął głowę do gabinetu USG i oznajmił, że wszystko idzie doskonale, a potem spojrzał na Jenny i zapytał swoim huczącym głosem: - Czemu płaczesz, dziecko? Powinnaś być szczęśliwa.

Essie pacnęła go notatkami i zbeształa: - Idź sobie i zostaw ją w spokoju - potem przewróciła oczami do Jenny, jakby chciała powiedzieć: „Mężczyźni! Ależ z nich ignoranci”.

Jeśli chodzi o radzenie sobie z żonami w ciąży, ja też wykazywałem się ignorancją. Staralem się nie przeszkadzać, współczułem jej, kiedy miała nudności czy bóle, próbowałem się nie krzywić, kiedy chciała czytać mi na głos książkę „W oczekiwaniu na dziecko”. A gdy brzuch zaczął się powiększać, podziwiałem jej figurę, mówiąc na przykład coś takiego: „Świetnie wyglądasz. Naprawdę. Jak mały, chudy złodziejasek, który właśnie wepchnął pod koszulę piłkę do koszykówki”.

Robiłem, co mogłem, żeby zaspokajać jej coraz bardziej dziwaczne i irracjonalne zachcianki. Szybko przeszedłem na ty z nocnym sprzedawcą z całodobowego sklepu, bo wpadałem tam o dowolnych porach po lody, jabłka, seler albo gumę do żucia w smaku, którego istnienia nawet nie podejrzewałem.

- Jesteś pewien, że to jest goździkowa? - pytałem go. - Powiedziała, że musi być goździkowa.

Pewnej nocy, kiedy Jenny była mniej więcej w piątym miesiącu ciąży, ubzdurała sobie, że potrzebujemy dziecięcych skarpetek. Przyznałem jej oczywiście rację i zapewniłem, że zaopatrzymy się w pełny wybór skarpetek, zanim dziecko się urodzi. Ale jej nie chodziło o to, że będziemy ich potrzebować kiedyś. Miała na myśli, że potrzebujemy ich natychmiast, już.

- Nie mamy co włożyć dziecku na stópki, kiedy wrócimy do domu ze szpitala - powiedziała drżącym głosem.

Nieważne, że do daty porodu zostały jeszcze cztery miesiące. Nieważne, że do tego czasu temperatura na zewnątrz wyniesie mroźne plus 30 stopni Celsjusza. Nieważne, że nawet taki ignorant jak ja wie, że dziecko będzie zawinięte od stóp do głów w kocyk, kiedy wypuszczą nas z oddziału położniczego.

- Kochanie, daj spokój - powiedziałem. - Bądź rozsądna. Jest sobota, ósma wieczorem, gdzie ja teraz znajdę dziecięce skarpetki?

- Musimy mieć skarpetki - powtórzyła.

- Mamy tygodnie na kupienie skarpetek - zaprotestowałem. - Miesiące na kupienie skarpetek.

- Ale ja po prostu widzę te malutkie paluszki - zakwiliła.

Ta rozmowa prowadziła donikąd. Jeździłem po okolicy, gderając, aż znalazłem otwarty hipermarket, gdzie wybrałem paradny zestaw skarpetek, które były tak zabawnie malusieńkie, jakby służyły do ogrzewania kciuków. Kiedy wróciłem do domu i wysypałem je z torby, Jenny w końcu poczuła się zaspokojona. Wreszcie mieliśmy skarpetki. Bogu dzięki zdążyłem kupić te kilka ostatnich dostępnych par przed całkowitym wyczerpaniem krajowych zapasów, co mogło nastąpić w każdej chwili, bez ostrzeżenia. Paluszki naszego dziecka są bezpieczne. Możemy spokojnie iść spać.

Nie tylko ciąża posuwała się do przodu, ale tresura Marleya również. Ćwiczyłem z nim każdego dnia i teraz już

mogłem dostarczyć rozrywki naszym przyjaciołom. Krzyczałem: „Nalot!”, a Marley na to hasło padał na podłogę z rozrzuconymi łapami. Posłusznie przychodził na komendę (chyba że coś odwróciło jego uwagę, na przykład inny pies, kot, wiewiórka, motyl, listonosz lub fruwające nasionko), grzecznie siadał (chyba że zdecydowanie czuł, że musi stać), niezawodnie szedł przy nodze (chyba że pojawiło się coś na tyle kuszącego, że warto było dać się udusić - patrz: psy, koty, wiewiórki i tak dalej, jak wyżej). Rozwijał się, ale to nie znaczy, że dojrzał na tyle, by zamienić się w spokojnego, dobrze wychowanego psa. Jeżeli stałem nad nim i srogo wyszczekiwałem rozkazy, słuchał, czasem nawet chętnie. Ale jego ustawienie fabryczne pozostało na poziomie wiecznej niepoprawności.

Przejawiał nienasycony apetyt na mango, które tuzinami spadały w ogrodzie. Owoce ważyły po pół kilograma lub więcej i były tak słodkie, aż bolały zęby. Marley wyciągał się w trawie, umieszczał dojrzałe mango między przednimi łapami i z chirurgiczną precyzją usuwał wszystkie odrobinki miąższu spod skórki. Wielkie pestki nosił w pysku jak pastylki do ssania i kiedy w końcu je wypluwał, wyglądały jak po czyszczącej kąpieli w kwasie. Czasami siedział w ogrodzie godzinami, obżerając się, w owocowo - błonnikowym szale.

Jego organizm nie pozostawał na to obojętny, jak to zwykle się dzieje, gdy ktoś zjada za dużo owoców. Wkrótce nasz ogródek był upstrzony wielkimi kopcami luźnych, wesoło kolorowych psich odchodów. Jedyna korzyść, jaka z tego wynikała, to taka, że trzeba by być naprawdę ślepym, żeby wdepnąć w jakąś z jego kup, które w sezonie na mango przybierały jaskrawą, odblaskową barwę pomarańczowych pacholek drogowych.

Inne rzeczy też zjadał. I również je wydalal. Dowody znajdowałem każdego ranka, kiedy szuflowałem jego kupy.

Tu plastikowy żołnierz, ówdzie gumka recepturka. W jednym ładunku sprasowana zakrętka od butelki, w innym przeżuta skuwka od długopisu.

- O, to tutaj zawędrował mój grzebień! - wykrzyknąłem pewnego ranka.

Zjadał ręczniki kąpielowe, gąbki, skarpetki, zużyte chusteczki. Najbardziej lubił wilgotne serwetki Handi Wipes, które, kiedy w końcu wyszły z drugiej strony, wyglądały jak małe niebieskie chorągiewki na szczycie każdej fluoryzującej pomarańczowej góry.

Nie wszystko przechodziło łatwo, więc Marley wymiotował swobodnie i regularnie jak zatwardziały bulimik. Słyszeliśmy, jak wydobywa z siebie głośne „Błeeeeeee!” w sąsiednim pokoju i zanim zdążyliśmy dobiec, kolejny zagubiony drobiazg już leżał w kałuży na wpół strawionych owoców mango i karmy dla psów. Jako uważający pies Marley starał się, jeśli tylko mógł, nie rzygać na drewnianą podłogę ani nawet na kuchenne linoleum. Zawsze celował w perski dywan.

Pomyśleliśmy sobie z Jenny, dosyć głupio, że przyjemnie byłoby mieć psa, któremu można ufać na tyle, żeby zostawiać go samego w domu, choćby na krótko. Zamykanie go w bunkrze za każdym razem, gdy wychodziliśmy, stawało się uciążliwe, a zresztą, jak powiedziała Jenny, po co nam pies, jeśli nie może nas przywitać przy drzwiach, gdy wracamy do domu? Dobrze wiedzieliśmy, że nie możemy go zostawić, jeśli istnieje jakiegokolwiek prawdopodobieństwo nadejścia burzy. Nawet po środkach uspokajających miał dość energii, żeby przekopać się do Chin. Ale przy dobrej pogodzie nie chcieliśmy zamykać go w garażu za każdym razem, kiedy wyskakiwaliśmy na kilka minut.

Zaczęliśmy zostawiać go na krótko, jeśli wychodziliśmy do sklepu lub do sąsiadów. Czasami zachowywał się bez

zarzutu i po powrocie zastawaliśmy dom w stanie nienaruszonym. Poznawaliśmy, że tak będzie, po czarnym nosie wepchniętym między żaluzje - wypatrywał nas przez okno w salonie. W inne dni, już zanim otworzyliśmy drzwi, wiedzieliśmy, co nas czeka, bo nie było go przy oknie, ale gdzieś się ukrywał.

Kiedy Jenny była w szóstym miesiącu ciąży, pewnego razu wróciliśmy po niecałej godzinie nieobecności i znaleźliśmy go pod łóżkiem - przy swoich rozmiarach musiał się napracować, żeby się tam wcisnąć. Wyglądał, jakby zamordował listonosza. Poczucie winy z niego promieniowało. Dom wydawał się w porządku, ale wiedzieliśmy, że Marley ukrywa jakąś mroczną tajemnicę, chodziliśmy więc z pokoju do pokoju, starając się odkryć, co nabroił. Wreszcie zauważyłem, że brakuje gąbki, która pokrywała jeden z głośników od wieży stereo. Szukaliśmy jej wszędzie. Zniknęła bez śladu. Może by mu się to upiekło, ale kiedy następnego ranka wyszedłem na gówniany patrol, znalazłem niepodważalne dowody jego winy. Resztki gąbki wydobywały się jeszcze przez wiele dni.

Podczas naszej następnej nieobecności Marley chirurgicznie usunął niskotonowy stożek z tego samego głośnika. Głośnik nie był przewrócony ani w żaden sposób zniszczony, papierowy stożek po prostu zniknął, jakby ktoś go wyciął żyłką. Potem dokonał tej samej operacji na drugim głośniku. Innym razem po powrocie odkryliśmy, że czteronożny dotąd stołeczek ma tylko trzy nogi, ale nie dostrzegaliśmy żadnych, najdrobniejszych śladów brakującej czwartej nogi, nawet jednej drzazgi.

Moglibyśmy przysiąc, że na Florydzie nigdy nie ma śniegu, lecz pewnego dnia, kiedy otworzyliśmy drzwi wejściowe, zobaczyliśmy w salonie zadymkę w pełnej krasie. Powietrze wypełniał opadający łagodnie miękki biały puch.

Choć widoczność była słaba, wypatrzyliśmy Marleya przed kominkiem. Na wpół zakopany w zaspie śnieżnej wściekle szarpał na wszystkie strony wielką poduszkę z pierza, jakby właśnie upolował strusia.

Najczęściej przyjmowaliśmy straty z filozoficznym spokojem. Każdy właściciel psa musi się liczyć z przypadkiem kilku ulubionych rodowych dóbr. Tylko raz byłem gotowy pokroić go na plasterki, żeby odzyskać moją prawowitą własność.

Na urodziny kupiłem Jenny naszyjnik z osiemnastokaratowego złota, delikatny łańcuszek z maleńkim zapięciem. Od razu go założyła. Ale kilka godzin później dotknęła ręką szyi i krzyknęła: - Mój naszyjnik! Nie ma go! - pewnie zapięcie się popsło albo nie było dobrze zabezpieczone.

- Nie panikuj - powiedziałem. - Nie wychodziliśmy z domu. Musi tu gdzieś być. Zaczęliśmy przetrząsać pokój po pokoju. Podczas tych poszukiwań stopniowo docierało do mnie, że Marley jest bardziej rozbrykany niż zwykle. Wyprostowałem się i spojrzałem na niego. Wił się jak stonoga. Gdy zauważył, że mam go na oku, rozpoczął odwrót. „O, nie!” - pomyślałem. Marley Mambo. To mogło oznaczać tylko jedno.

- Co to jest? - spytała Jenny z narastającą paniką w głosie.
- Co mu zwisa z pyska?

To coś było cienkie i delikatne. A także złote.

- Cholera - powiedziałem.

- Żadnych gwałtownych ruchów - zarządziła, zniżając głos do szeptu. Oboje zamarliśmy.

- Wszystko w porządku, chłopcze - przymilałem się jak negocjator z brygady antyterrorystycznej. - Wcale się na ciebie nie złościmy. Chodź tutaj. Chcemy tylko ten naszyjnik.

Instynktownie zaczęliśmy z Jenny okrążyć go z przeciwnych kierunków, zbliżając się do niego w tempie lodowca. Tak jakby Marley podłączony był do materiałów wybuchowych i jeden fałszywy ruch mógł spowodować eksplozję.

- Spokojnie, Marley - powiedziała Jenny najłagodniej, jak potrafiła. - Spokojnie. Zostaw naszyjnik, a nikt nie ucierpi.

Marley zerkał na nas podejrzliwie, obracał głowę, patrząc to na mnie, to na Jenny. Okrążyliśmy go w rogu, ale wiedział, że ma coś, czego chcemy. Widziałem, jak rozważa możliwości - a gdyby tak zażądać okupu? „Zostaw dwieście nieoznakowanych psich ciasteczek w brązowej papierowej torbie. W przeciwnym wypadku już nigdy nie zobaczysz swojego drogiego naszyjniczka”.

- Zostaw, Marley - szepnąłem, posuwając się o mały krok do przodu. Zaczął merdać całym ciałem. Skradałem się powoli. Jenny prawie niezauważenie zaszła mu drogę z flanki. Byliśmy już w odpowiedniej odległości, by zaatakować. Zerknęliśmy na siebie i porozumieliśmy się bez słów. Niezliczoną ilość razy przechodziliśmy wcześniej Ćwiczenie Odzyskiwania Dóbr. Ona rzuca się na tyły wroga, łapie go za tylne łapy, żeby nie uciekł. Ja rzucam się na głowę i rozwieram szczęki, przechwytyjąc kontrabandę. Przy odrobinie szczęścia w ciągu kilku sekund będzie po wszystkim. Taki był plan i Marley widział, że nadchodzi. Byliśmy mniej niż pół metra od niego. Kiwnąłem głową do Jenny i bezgłośnie poruszyłem wargami: - Na trzy.

Ale zanim zdążyliśmy wykonać ruch, odrzucił głowę do tyłu i głośno mlasnął. Końcówka łańcuszka, która zwisała mu z pyska, zniknęła.

- On to zjadł! - krzyknęła Jenny.

Rzuciliśmy się na niego. Jenny przytrzymała go za tylne łapy, ja zablokowałem łeb, rozwarłem siłą szczęki i

wepchnąłem do pyska, a następnie do gardła całą dłoń. Sprawdziłem każdy zakamarek i zagłębienie, ale nic tam nie było.

- Za późno - powiedziałem. - Połknął.

Jenny zaczęła walić go w plecy, wrzeszcząc: - Wypluj to, do cholery.

Bezskutecznie. Wydobyła z niego tylko głośnie, pełne satysfakcji beknięcia.

Marley może wygrał bitwę, lecz wiedzieliśmy, że nasze zwycięstwo w wojnie jest tylko kwestią czasu. Natura działała na naszą korzyść. Wcześniej czy później, co weszło, musi wyjść. Może była to odrażająca myśl, wiedziałem jednak, że jeśli wystarczająco długo będę grzebał w jego ekskrementach, znajdę to. Gdyby chodziło o, dajmy na to, srebrny lub pozłacany łańcuszek, coś mniej wartościowego, moja wrażliwość mogłaby wygrać. Ale naszyjnik był z czystego złota i zapłaciłem za niego całkiem niezłe pieniądze. Obrzydliwe czy nie, zamierzałem to zrobić.

Przyrządziłem więc dla Marleya jego ulubiony środek przeczyszczający - olbrzymią miskę przejrzałych mango w plasterkach - i nastawiłem się na długie oczekiwanie. Przez trzy dni śledziłem go za każdym razem, kiedy wychodził na dwór, i niecierpliwie czekałem, żeby podbiec z łopata. Zamiast wyrzucać jego kupy przez płot, ostrożnie przenosiłem każdą na specjalną szeroką deskę ułożoną w trawie i dźgałem gałęzią, polewając jednocześnie wodą z węża ogrodowego. Strawione resztki stopniowo spływały w trawę, a zostawały ciała obce. Czuję się jak poszukiwacz złota przy płukaniu piasku, ale znajdowałem tylko skarby z połkniętych śmieci, od sznurowadeł po kostki do gitary. Ani śladu naszyjnika. Gdzie on jest, do diabła? Chyba do tej pory powinien już wyjść? Zacząłem się zastanawiać, czy go nie przegapiłem i nie wyplukałem w trawę, gdzie pozostanie zagubiony na zawsze.

Ale jak można przegapić półmetrowy złoty łańcuszek? Jenny z ganku śledziła moje działania odzyskiwawcze z głębokim zainteresowaniem i nawet wymyśliła mi nowe przydomkowanie.

- Jak tam, Gównologu, znalazłeś coś? - wołała.

Czwartego dnia moja wytrwałość została nagrodzona. Zgarnąłem najnowszy depozyt Marleya, powtarzając swoją codzienną ostatnio śpiewkę: „Nie wierzę, że to robię”, po czym zacząłem dźgać i polewać. Kupa się rozpuszczała, a ja szukałem jakiegokolwiek śladu naszyjnika. Nic. Już chciałem się poddać, kiedy dostrzegłem coś dziwnego: małą brązową grudkę rozmiarów ziarna bobu. Nie było to nawet zbliżone wielkością do zaginionego naszyjnika, ale równocześnie wyraźnie odstawało od reszty. Przytrzymałem obiekt za pomocą gałęzi, którą oficjalnie ochrzciłem Gównianym Patykiem, i puściłem nań silny strumień z węża. Kiedy woda wypłukała to do czysta, coś zamigotało wyjątkowo jasno i błyszcząco. Eureka! Trafiłem na złoto.

Naszyjnik został niewiarygodnie sprasowany, zrobił się wielokrotnie mniejszy niż było to moim zdaniem możliwe. Jakby jakaś nieznana obca siła, może czarna dziura, wessała go w tajemniczy wymiar czasu i przestrzeni, a potem wypłukała. Co właściwie nie było zbyt dalekie od prawdy. Silny strumień wody zaczął rozluźniać twardy zwitek i stopniowo bryłka złota odzyskała pierwotny kształt. Odplątany i odświeżony naszyjnik był jak nowy. Nie, nawet lepszy niż nowy. Poszedłem do domu, żeby pokazać go Jenny, której ekscytacji z odzyskania łańcuszka nie studziły nawet jego podejrzanego wyglądu. Oboje podziwialiśmy z zachwytem, jaki bije z niego blask, bez porównania bardziej oślepiający niż przed zniknięciem. Soki żołądkowe Marleya wykonały zadziwiającą robotę. Mieliśmy najbardziej świecące złoto, jakie w życiu widziałem.

- O rany! - gwizdnąłem z podziwu. - Powinniśmy otworzyć punkt czyszczenia biżuterii.

- Zrobilibyśmy wielki szmal na bogatych wdowach z Palm Beach - zgodziła się Jenny.

- Tak, drogie panie - papugowałem, jak mogłem najlepiej, gładki głos domokrażcy - naszego tajnego, patentowanego sposobu nie znajdziecie w żadnym sklepie! Zastrzeżona Metoda Marleya przywróci waszym drogocennym precjozom oślepiający blask, jakiego nie potraficie sobie nawet wyobrazić.

- To ma przyszłość, Grogan - powiedziała Jenny i wyszła, żeby zdezynfekować odzyskany prezent urodzinowy. Nosila ten złoty naszyjnik latami i za każdym razem, gdy go widziałem, wracałem myślą do mojej krótkiej, ale w efekcie udanej kariery w obrocie złotem. Gównolog i jego wierny Gówniany Patyk dotarli tam, gdzie nikt wcześniej nie dotarł. I nikt więcej już docierać nie powinien.

ROZDZIAŁ 12

Oddział dla biedoty

Nie co dzień rodzi się pierwsze dziecko, więc kiedy szpital St. Mary w West Palm Beach zaoferował nam za dodatkową opłatę luksusowy apartament porodowy, rzuciliśmy się na tę okazję. Apartamenty wyglądały jak pokoje w eleganckim hotelu: przestronne, jasne i dobrze wyposażone. Były tam meble z drewnianą okładziną, tapety w kwiatki, zasłony, jacuzzi i - specjalnie dla taty - wygodna kanapa, która po rozłożeniu służyła do spania. Zamiast zwykłych szpitalnych posiłków „goście” mogli wybierać z karty obiady dla smakoszy. Można było nawet zamówić butelkę szampana, choć była to raczej propozycja dla ojców, którzy by chcieli samotnie popijać, bo karmiącym matkom nie zalecano więcej niż jeden uroczysty łyk.

- Ludzie! Zupełnie jak na wakacjach! - wołałem, podskakując na Kanapie Dla Tatusiów, gdy kilka tygodni przed terminem porodu oprowadzano nas po oddziale położniczym.

Apartamenty, z których korzystali głównie yuppies, przynosiły szpitalowi spore profity. Bogate małżeństwa płaciły ciężkie pieniądze, by otrzymać więcej niż to, co przysługiwało w ramach standardowego ubezpieczenia. Dlaczego mielibyśmy nie pozwolić sobie na odrobinę rozpusty?

Kiedy nadszedł wielki dzień i przyjechaliśmy do szpitala z torbą w rękę, dowiedzieliśmy się, że jest mały problem.

- Problem? - zapytałem.

- Dzisiaj jest chyba dobry dzień na rodzenie dzieci - powiedziała wesoło recepcjonistka. - Wszystkie apartamenty porodowe są już zajęte.

Zajęte? To był najważniejszy dzień naszego życia. Co z wygodną kanapą, z romantycznym obiadem dla dwojga i szampańskim toastem?

- Zaraz, chwileczkę - zaprotestowałem. - Myśmy już dawno zarezerwowali pokój.

- Przykro mi - powiedziała kobieta wyraźnie bez sympatii. - Nie jesteśmy w stanie przewidzieć, kiedy matki zaczną rodzić.

Przekonała nas. To prawda, że w tych okolicznościach trudno kogoś poganiać. Skierowała nas na inne piętro, gdzie mieliśmy otrzymać zwykły szpitalny pokój. Ale kiedy przyszliśmy na oddział położniczy, siostra w recepcji miała więcej złych wieści.

- Nie do wiary! Wszystkie pokoje co do jednego są już zajęte! - powiedziała. Rzeczywiście, nie do wiary. Jenny zdawała się przyjmować to ze spokojem, ale ja zacząłem się wkurzać.

- Więc co pani proponuje, parking? - zapytałem zimno. Pielęgniarka uśmiechnęła się do mnie łagodnie, wyraźnie przyzwyczajona do nerwowych reakcji przyszłych ojców, i powiedziała:

- Proszę się nie martwić, znajdziemy dla państwa miejsce. Po serii błyskawicznych rozmów telefonicznych wskazała nam drogę przez długi korytarz i szereg podwójnych drzwi.

Znaleźliśmy się w lustrzanym odbiciu oddziału położniczego, który właśnie opuściliśmy, z jedną oczywistą różnicą - zdecydowanie nie korzystali z niego bufonowaci, wypchani pieniędzmi yuppies, nasi znajomi ze szkoły rodzenia Lamaze. Pielęgniarki rozmawiały z pacjentkami po hiszpańsku, a w korytarzu pod drzwiami pokoiów w nerwowym oczekiwaniu stali mężczyźni o brązowej skórze, ściskając słomkowe kapelusze w spracowanych dłoniach.

Hrabstwo Palm Beach słynie jako plac zabaw dla obrzydliwie bogatych ludzi, ale - o czym mniej się mówi - mieszczą się tutaj również gigantyczne gospodarstwa rolne. Ciągną się kilometrami na zachód od miasta poprzez osuszone bagna Everglades. Tysiące robotników sezonowych, głównie uchodźców z Meksyku i Ameryki Środkowej, ściągają na południową Florydę w okresie dojrzewania plonów, by zbierać paprykę, pomidory, sałatę i selery naciowe, które zaspokajają zimowe zapotrzebowanie na warzywa większej części Wschodniego Wybrzeża. Zdaje się, że odkryliśmy, gdzie sezonowi robotnicy rodzą swoje dzieci. Od czasu do czasu kobiecy krzyk bólu przeszywał powietrze, a po nim następowały okropne jęki i wołania: „Mi madre!”. Odgłosy niczym z horroru. Jenny była biała jak duch.

Pielęgniarka zaprowadziła nas do małej kajuty z jednym łóżkiem, jednym krzesłem i zestawem elektronicznych monitorów. Podała Jenny szpitalną koszulę, żeby się przebrała.

- Witamy w oddziale dla biedoty! - powiedział wesoło doktor Sherman, kiedy wpadł kilka minut później. - Nie dajcie się nabrać na te ogołoczone pokoje - powiedział.

Kajuty były wyposażone w najbardziej wyrafinowane urządzenia medyczne, a pielęgniarki należały do najlepiej wyszkolonych w całym szpitalu. Ponieważ ubogie kobiety często nie miały dostępu do opieki prenatalnej, zdarzały się tu cięższe najwyższego ryzyka. Byliśmy w dobrych rękach, jak zapewniał nas doktor Sherman, sprawiając jednocześnie, że Jenny odeszły wody. Po czym zniknął tak nagle, jak się pojawił.

Rzeczywiście, w miarę jak mijał ranek i Jenny walczyła z okrutnymi skurczami, odkrywaliśmy, że znaleźliśmy się w bardzo dobrych rękach. Pielęgniarki były doświadczonymi profesjonalistkami, budziły zaufanie i emanowały ciepłem. Z

uwagą pochylały się nad Jenny, sprawdzając bicie serca dziecka i udzielając wskazówek. Stałem bezradnie z boku, starając się do czegoś przydać, ale jakoś mi nie szło. W pewnej chwili moja żona warknęła przez zaciśnięte zęby:

- Jeśli jeszcze raz mnie zapytasz, jak się czuję, WYDRAPIĘ CI OCZY!

Pewnie wyglądałem na zranionego, bo jedna z pielęgniarek obeszała łóżko, ścisnęła pocieszająco moje ramiona i powiedziała:

- Witaj na porodówce, tatusiu. Tu wszystko jest częścią doświadczenia.

Zacząłem wymykać się chyłkiem z kajuty, by postać z innymi mężczyznami na korytarzu. Każdy z nas opierał się o ścianę obok swoich drzwi, za którymi nasze żony krzyczały i płakały. Czułem się trochę śmieszny w koszulce polo, spodniach khaki i markowych żeglarskich mokasynach, ale robotnicy z farm najwyraźniej nie mieli mi tego za złe. Wkrótce wymienialiśmy uśmiechy i wymowne kiwnięcia głową. Oni nie mówili po angielsku, ja nie mówiłem po hiszpańsku, ale to nie miało znaczenia. Jechaliśmy na tym samym wózku.

Albo prawie na tym samym, bo tego dnia się dowiedziałem, że w Ameryce uśmierzenie bólu jest luksusem, a nie koniecznością. Tym, których było stać - lub tak jak my mieli ubezpieczenie - szpital oferował miejscowe znieczulenie zewnątrzoponowe. Mniej więcej w czwartej godzinie porodu do Jenny przyszedł anestezjolog. Wprowadził długą igłę pod skórę wzdłuż kręgosłupa i podłączył do kroplówki. Po kilku minutach Jenny była znieczulona od pasa w dół i spokojnie odpoczywała. Meksykańskie kobiety miały mniej szczęścia.

Musiały rodzić w tradycyjny twardy sposób i ich krzyki wciąż przesywały powietrze.

Mijały godziny. Jenny parła. Ja kibicowałem. Gdy zapadła noc, wyszedłem na korytarz z maleńką, zawiniętą w pieluszki piłką futbolową. Podniosłem nowo narodzonego syna nad głowę, żeby go pokazać moim nowym przyjaciołom, i zawołałem: „Es el nino”. Twarze tatusiów rozjaśniły się w szerokich uśmiechach. Wzniesli do góry kciuki w międzynarodowym geście uznania.

Imię dla naszego pierworodnego wybraliśmy z łatwością i niemal od razu, bez gorących kłótni, do jakich doszło przy nazywaniu naszego psa. Syn miał mieć na imię Patrick - na cześć pierwszego Grogana z mojej linii, który przybył do Stanów Zjednoczonych z hrabstwa Limerick w Irlandii. Pielęgniarka weszła do naszej kajuty i powiedziała, że zwolnił się apartament porodowy. Sądziłyśmy, że zamiana pokojów nie ma już teraz większego sensu, ale siostra pomogła Jenny usiąść na wózku, wcisnęła jej dziecko w ramiona i pomknęła jak błyskawica. Obiad dla smakoszy nie był wcale tak smaczny, jak się można było spodziewać.

W ciągu ostatnich tygodni przed terminem porodu prowadziliśmy z Jenny długie rozmowy o najlepszej strategii przyzwyczajania Marleya do nowego przybysza, który od razu zepchnie psa z jego bezdyskusyjnej dotąd pozycji Najbardziej Faworyzowanego Domownika. Chcieliśmy, żeby Marley spadał łagodnie. Słyszeliśmy historie o psach, które stawały się straszliwie zazdrosne o dzieci i zachowywały się w sposób zupełnie nie do przyjęcia - począwszy od siusiania na cenne przedmioty, przez wywracanie łóżeczek, aż po bezpośrednie ataki - co zwykle kończyło się biletem w jedną stronę do schroniska dla zwierząt. Kiedy przerabialiśmy wolną sypialnię na pokój dziecienny, Marley miał swobodny dostęp do łóżeczka, pościeli i całego niemowlęcego ekwipunku. Wąchał, ślinał i lizał, aż w pełni zaspokoił swoją ciekawość. W ciągu 36 godzin, które Jenny spędziła w szpitalu, dochodząc do

siebie po porodzie, często wpadałem do domu, żeby odwiedzić Marleya, i przynosiłem ze sobą kocyki lub cokolwiek innego, co pachniało dzieckiem. Raz nawet zabrałem zużytą malutką pieluchę, którą Marley obwąchiwał z takim zapachem, że przestraszyłem się, żeby nie wessał jej przez nos, co by wymagało kosztownej interwencji medycznej.

Kiedy w końcu przywiozłem mamę i dziecko do domu, Marley niczego się nie spodziewał. Jenny położyła małego Patricka śpiącego w samochodowym foteliku na środku łóżka i razem poszliśmy do garażu, gdzie odbyła się huczna impreza powitalna. Kiedy Marley przeszedł z poziomu oszalałego szczęścia do poziomu zaledwie desperackiej radości, zabraliśmy go do domu. Nasz plan polegał na tym, że zachowujemy się normalnie i nie pokazujemy mu specjalnie dziecka. Mieliśmy kręcić się w pobliżu, pozwalając, żeby stopniowo samodzielnie odkrył obecność nowego przybysza.

Marley poszedł za Jenny do sypialni i rył nosem w jej szpitalnej torbie, którą rozpakowywała. Wyraźnie nie miał pojęcia, że coś żywego leży na naszym łóżku. Nagle Patrick się poruszył, wydając z siebie cienki, ptasi dźwięk. Marley postawił uszy i zamarł. „Skąd to dochodzi?”. Patrick pisnął znowu i Marley podniósł jedną łapę jak pies, który wystawia zwierzynek. Boże, wystawiał naszego synka, jak myśliwski pies wystawiałby... zdobycz. Od razu pomyślałem o puchowej poduszce, którą atakował z taką zajadłością. Czy był aż tak tępy, żeby pomylić dziecko z bażantem?

Wreszcie ruszył. Nie przypominało to groźnego ataku „zabić wroga” - było się bez odsłoniętych zębów i warczenia. Ale nie było to także radosne „witaj w domu, mały przyjacielu”. Piersią wałnął w materac z taką siłą, że łóżko pojechało po podłodze. Patrick całkiem się obudził, oczy miał szeroko otwarte. Marley cofnął się i znów ruszył, tym razem

jego pysk znalazł się o kilka centymetrów od nóg niemowlęcia. Jenny rzuciła się do dziecka, ja złapałem psa i przytrzymałem obiema rękami za obrozę. Marley wychodził z siebie, starając się dosięgnąć stworzenia, które jakimś sposobem wkradło się do naszego sanktuarium. Wspiął się na tylne nogi, a ja ciągnąłem za obrozę, czując się jak Samotny Strażnik ze swym koniem Silverem.

- Dobrze, dobrze poszło - powiedziałem.

Jenny wypięła Patricka z fotelika. Przygwoździłem Marleya między nogami i ścisnąłem obrozę z całej siły obiema rękami. Nawet Jenny widziała, że Marley nie ma złych zamiarów. Sapał z tą swoją głupkowatą radością, oczy miał jasne i merdał ogonem. Trzymałem go mocno, a ona stopniowo podchodziła bliżej, pozwalając Marleyowi najpierw obwąchać palce u nóg niemowlęcia, potem jego stopy, łydki i uda. Biedne dziecko miało dopiero półtora dnia, a już je zaatakował przemysłowy odkurzacz. Kiedy Marley dotarł do pieluchy, wyglądało na to, że przeszedł w odmienny stan świadomości, coś w rodzaju pampersowego transu. Osiągnął ziemię obiecaną. Wpadł w prawdziwą euforię.

- Jeden fałszywy ruch, Marley, i jesteś ugotowany - ostrzegła Jenny i nie żartowała. Gdyby przejawił najmniejszy ślad agresji wobec dziecka, to byłby koniec. Ale nigdy tego nie zrobił. Wkrótce się nauczyliśmy, że nasz problem nie polega na powstrzymaniu Marleya przed skrzywdzeniem maleństwa. Nasz problem polegał na powstrzymaniu Marleya przed pojemnikiem na zużyte pieluszki.

W miarę jak dni zmieniały się w tygodnie, a tygodnie w miesiące, Patrick stawał się nowym najlepszym przyjacielem Marleya. Pewnej nocy dość wcześnie gasiłem światła przed pójściem spać i nigdzie nie mogłem znaleźć Marleya. W końcu pomyślałem, żeby zajrzeć do pokoju dziecinnego. Leżał tam wyciągnięty na podłodze obok łóżeczka Patricka, obaj

pochrapywali w stereofonicznej braterskiej harmonii. Marley, nasz nieujarzmiony dzikus, zmieniał się w obecności Patricka. Zdawał się rozumieć, że to jest kruchy, bezbronny człowieczek, i zawsze, gdy był blisko niego, poruszał się ostrożnie, delikatnie lizał jego twarz i uszy. Gdy Patrick zaczął raczkować, Marley kładł się spokojnie na podłodze i pozwalał dziecku wdrapywać się na siebie jak na górę, ciągnąć za uszy, wtykać palce w oczy i wyrywać sierść małymi garstkami. Wcale się nie niepokoił. Po prostu siedział jak posąg. Przy Patricku był łagodnym olbrzymem i akceptował swój drugorzędny status z poczciwą, dobroduszną rezygnacją.

Nie wszyscy pochwalali ślełą wiarę, jaką pokładaliśmy w naszym psie. Widzieli dziką, nieprzewidywalną, silną bestię - ważył teraz już blisko 45 kilogramów - i uważali, że postępujemy lekkomyślnie, ufając mu, kiedy jest w pobliżu bezbronnego dziecka. Moja matka zdecydowanie należała do tego obozu i bez oporów dawała nam to do zrozumienia. Cierpiała, patrząc, jak Marley liże jej wnuka.

- Czy zdajecie sobie sprawę, gdzie ten język był? - pytała retorycznie.

Ostrzegala nas mrocznie, że nigdy nie powinniśmy zostawiać psa i dziecka samych w jednym pokoju. Pradawny instynkt drapieżnika może się ujawnić nieoczekiwanie. Gdyby to od niej zależało, betonowy mur zawsze by oddzielał Patricka od Marleya.

Pewnego dnia, gdy przyjechała do nas z wizytą z Michigan, usłyszałem jej krzyk z salonu.

- John, szybko! - wołała. - Pies gryzie dziecko!

Wybiegłem z sypialni półnagi tylko po to, żeby zobaczyć, że Patrick buja się wesoło na swojej wiszącej huśtawce. Marley leżał pod spodem. Rzeczywiście, kłapał na dziecko, ale nie chodziło mu o to, czego się obawiała moja spanikowana matka. Marley ułożył się akurat na trasie

nalotów Patricka, a łeb umieścił tam, gdzie za każdym wahnięciem dolatywała pupa dziecka wciśnięta w płócienne siedzisko. Gdy opieluszkowane siedzenie Patricka zbliżało się na odpowiednią odległość, Marley kłapał figlarnie, przy okazji popychając huśtawkę. Patrick kwiczał z uciechy.

- Oj, mamuś, nic się nie dzieje - powiedziałem. - Marley tylko coś czuje do jego pieluszek.

Jenny i ja wpadliśmy w rutynę. W nocy ona wstawała do Patricka co kilka godzin, by dać mu possać. Ja wziąłem na siebie karmienie o szóstej rano, żeby mogła się zdrzemnąć. Na pół śpiąc, wyciągałem go z łóżeczka, zmieniałem pieluszkę, szykowałem butelkę. Potem odbierałem nagrodę za mój trud - siadałem na werandzie z maleńkim, ciepłym ciałkiem wtulonym w mój brzuch, kiedy ssał z butelki. Czasami pozwalałem sobie oprzeć twarz na czubku jego głowy i przysnąć, gdy ciągnął z zapalem. Czasami słuchałem radia i obserwowałem, jak niebo o świcie zmienia kolory z fioletowego w różowy i wreszcie w niebieski. Gdy się najadł i udało mi się już wydobyć z niego porządne beknięcie, ubierałem nas obu, gwizdałem na Marleya i szliśmy na poranny spacer nad wodę. Zainwestowaliśmy w spacerówkę na trzech wielkich rowerowych oponach, dzięki którym wózek mógł przejechać niemal wszędzie, nawet przez piasek i po wybojach. Nasza trójka każdego ranka musiała przedstawiać niezły widok. Marley daleko na przedzie stawki jak pies w zaprzęgu, ja na końcu, desperacko chroniąc tyły, i Patrick w środku wesoło wymachujący rękami jak gliniarz na skrzyżowaniu. Gdy wracaliśmy do domu, Jenny już była na nogach i czekała z kawą. Przypinaliśmy Patricka w wysokim krzeselku i sypaliśmy mu na stoliczek chrupki Cheerios, w które Marley wtykał nos, jak tylko się odwróciliśmy. Kładł łeb bokiem na stoliczku Patricka i językiem zgarniał chrupki do pyska. „Kraść dziecku jedzenie - myśleliśmy. - Jakie to

poniżające". Ale Patrick wydawał się niezmiernie rozbawiony całą tą procedurą i szybko nauczył się zrzucać chrupki z tacy, żeby zobaczyć, jak Marley wierci się dookoła, zjadając je z podłogi. Odkrył też, że jeśli zrzuci chrupki na swoje kolana, Marley wetknie łeb pod tacę i w pogoni za zagubionym kąskiem będzie dźgał Patricka nosem w brzuch, wywołując salwy śmiechu.

Uznaliśmy, że rodzicielstwo bardzo nam odpowiada. Wpadliśmy w jego rytm, celebrując proste radości i radząc sobie z frustracjami, bo wiedzieliśmy, że nawet złe dni wkrótce się zamienią w miłe wspomnienia. Mieliśmy wszystko, o czym mogliśmy zamarzyć. Nasze drogocenne dziecko. Tępogłowego psa. Mały domek nad wodą. I oczywiście mieliśmy też siebie nawzajem. W listopadzie moja gazeta awansowała mnie na felietonistę. Otrzymałem budzące zazdrość stanowisko i własną przestrzeń na czołowej kolumnie, którą trzy razy w tygodniu mogłem wypełnić, pisząc o czymkolwiek chciałem. Życie było wspaniałe. Gdy Patrick miał dziewięć miesięcy, Jenny zaczęła głośno rozważać, że może wkrótce moglibyśmy pomyśleć o następnym dziecku.

- O rany, nie wiem - powiedziałem.

Zawsze chcieliśmy mieć więcej niż jedno, ale tak naprawdę nigdy się nie zastanawiałem, kiedy by to miało nastąpić. Wcale mi się nie spieszyło do powtórki całego procesu, przez który właśnie przeszliśmy.

- Może znowu odstawimy antykoncepcję i zobaczymy, co się stanie - zaproponowałem.

- Aha - powiedziała Jenny ze znajomością rzeczy - stara szkoła planowania rodziny: „Que sera, sera”.

- Nie lekceważ tego - rzekłem. - Przedtem zadziało.

I tak zrobiliśmy. Uznaliśmy, że będzie dobrze, jeśli zajdziemy w ciążę w dowolnym momencie przyszłego roku. Jenny wykonała obliczenia: - Powiedzmy sześć miesięcy na

poczęcie i potem jeszcze dziewięć na ciążę. To daje pełne dwa lata różnicy między nimi.

To dobrze brzmiało, jeśli o mnie chodzi. Dwa lata to dużo czasu. Dwa lata to prawie wieczność. Dwa lata wydawały się prawie nierealne. Teraz, kiedy udowodniłem sam sobie, że jestem zdolny do spełnienia męskiej powinności zapładniacza, nie czułem już presji. Żadnych zmartwień, żadnych stresów. Co ma być, to będzie.

Tydzień później Jenny była trafiona.

ROZDZIAŁ 13

Krzyk nocą

Gdy drugie dziecko rosło w jej wnętrzu, Jenny wróciła do swoich dziwacznych nocnych zachcianek jedzeniowych. Jednej nocy miała ochotę na piwo korzenne, następnej na grejpfruta.

- Czy są snickersy? - zapytała kiedyś tuż przed północą.

Wyglądało na to, że znowu czeka mnie wyprawa do całodobowego sklepu. Gwizdnąłem na Marleya, przypiąłem mu smycz i poszliśmy na róg. Na parkingu zaczepiła nas młoda kobieta z tapirowanymi blond włosami, ustami w kolorze jasnej lawendy i na najwyższych obcasach, jakie kiedykolwiek widziałem.

- Och, jaki milutki! - zawołała wylewnie. - Cześć, piesku. Jak masz na imię, śliczności?

Marley był rzecz jasna przeszcześliwy, że ma okazję nawiązać przyjaźń, a ja pociągnąłem go mocno, żeby nie obślinił jej fioletowej minispódniczki i białego pojemnego topu.

- Chcesz mnie tylko pocałować, misiaczku, prawda? - powiedziała i zmysłowo cmoknęła wargami.

Gdy tak gawędziliśmy, zastanawiałem się, co taka atrakcyjna kobieta robi sama o tej porze na parkingu przy Dixie Highway. Nie wyglądało, że ma samochód. Nie sprawiała wrażenia, jakby szła do sklepu lub z niego wracała. Po prostu tam była. Parkingowy ambasador, wesoło pozdrawiający przechodniów i ich psy, niczym odpowiedź naszej okolicy na hostessy z Wal - Martu. Dlaczego była tak niezwykle przyjacielska? Piękne kobiety nigdy nie bywają przyjacielskie, a już na pewno nie wobec obcych facetów na parkingu o północy. Nadjechał samochód i starszy mężczyzna wychylił się przez okno.

- Ty jesteś Heather? - zapytał.

Rzuciła mi zmieszany uśmiech, jakby mówiła: „Trzeba to zrobić, jeśli się chce zapłacić czynsz”.

- Muszę jechać - powiedziała, wskakując do samochodu.

- Cześć, piesku!

- Nie zakochuj się za bardzo, Marley - ostrzegłem go, gdy odjechali. - Nie stać cię na nią.

Kilka tygodni później, w niedzielę o dziesiątej rano, wybrałem się z Marleyem do tego samego sklepu po „Miami Herald” i tym razem podeszły do nas dwie młode kobiety, a tak naprawdę nastolatki. Obie robiły wrażenie spiętych i zdenerwowanych. W przeciwieństwie do kobiety, którą spotkaliśmy poprzednio, te nie były zbyt pociągające i nawet nie starały się takie być. Wyglądały, jakby desperacko potrzebowały następnej dawki kokainy.

- Harold? - zapytała mnie jedna z nich.

- Nie - odparłem, ale pomyślałem: „Czy naprawdę sądzicie, że facet, który wybiera się na anonimowy seks, zabrałby ze sobą swojego labradora retrievera?”. Jak bardzo zdaniem tych dwóch byłem pokrecony? Gdy wyjmowałem gazetę ze skrzynki przed sklepem, podjechał samochód - zapewne Harold - i dziewczyny z nim odjechały.

Nie tylko ja obserwowałem kwitnący wzdłuż Dixie Highway rynek prostytucji. Moja starsza siostra, gdy kiedyś nas odwiedziła, poszła w południe na spacer ubrana cnotliwie jak mniszka i dwukrotnie otrzymała propozycję od niedoszłych klientów polujących w samochodach. Inny z naszych gości opowiadał, że jakaś kobieta po prostu pokazała mu gołe piersi, kiedy przejeżdżał obok niej, co zresztą nie zrobiło na nim szczególnego wrażenia.

W odpowiedzi na skargi mieszkańców burmistrz obiecał, ku powszechnej konsternacji, że policja będzie zatrzymywała mężczyzn, którzy nakłaniają do nierzędu. Na rogach ustawiano jako przynętę przebranych oficerów płci żeńskiej

czekających na potencjalnych klientów. Podstawione gliniarki były najokropniejszymi dziwkami, jakie kiedykolwiek widziałem - wystarczy sobie wyobrazić J. Edgara Hoovera jako drag queen - ale to nie powstrzymywało mężczyzn od poszukiwania ich usług. Jednego gościa zapuszkowali tuż przed naszym domem w obecności kamer telewizyjnych.

Gdyby chodziło tylko o prostytutki i ich klientów, moglibyśmy nie zwracać na to uwagi, ale przestępcza działalność na tym się nie kończyła. Nasza okolica stawała się z dnia na dzień coraz bardziej niebezpieczna. Podczas któregoś spaceru nad wodą Jenny dostała wyjątkowo dokuczliwego ataku cięż owoych nudności i postanowiła wrócić sama do domu, a ja zostałem z Patrickiem i Marleyem. Kiedy szła boczną ulicą, usłyszała z tyłu jadący powoli samochód. W pierwszej chwili pomyślała, że to jakiś sąsiad chce się przywitać albo ktoś zamierza spytać o drogę. Odwróciła się i spojrzała do środka auta. Kierowca siedział całkiem goły i się masturbował. Gdy wywołał pożądaną reakcję, odjechał szybko na wstecznym biegu, żeby ukryć tablice rejestracyjne.

Patrick nie miał jeszcze roku, kiedy przy naszej ulicy dokonano kolejnego morderstwa. Podobnie jak w przypadku pani Nedermier ofiarą była starsza, samotna kobieta. Należał do niej pierwszy dom, gdy skręcało się z Dixie Highway w Churchill Road, bezpośrednio za całodobową samoobsługową pralnią. Znałem ją tylko na tyle, że wymienialiśmy ukłony, gdy mijaliśmy się na ulicy. W przeciwieństwie do zamordowania pani Nedermier ta zbrodnia nie pozwoliła nam się oszukiwać, że chodziło o wewnętrzne domowe porachunki. Ofiarę wybrano przypadkowo, a napastnik był obcy. Zakradł się do domu, gdy w sobotnie popołudnie kobieta wieszała pranie na podwórku. Kiedy wróciła, związał jej ręce sznurem od telefonu, wepchnął ją pod materac i szperał po mieszkaniu

w poszukiwaniu pieniędzy. Uciekł z łupem, a nasza biedna sąsiadka udusiła się powoli pod ciężarem materaca. Policja szybko zatrzymała włóczęgę, którego widziano, jak wałęsał się w okolicach samoobsługowej pralni. W jego kieszeniach znaleziono 16 dolarów i trochę drobnych. Cena ludzkiego życia.

Krażące wokół zbrodnie wywoływały w nas wdzięczność za nieocenioną obecność Marleya w naszym domu. Co z tego, że był zaprzysięgłym pacyfistą, a najbardziej agresywna z jego strategii ataku była znana jako Śliniana Ofensywa? Kto by się przejmował, że jego bezpośrednią reakcją na wtargnięcie obcego byłoby złapanie tenisowej piłeczki w nadziei, że przyszedł ktoś nowy, z kim można pograć w rzucanie i łapanie? Intruzi nie musieli o tym wiedzieć. Przestaliśmy zamykać Marleya, zanim otworzyliśmy drzwi nieznanemu. Przestaliśmy ich zapewniać, jak bardzo jest nieszkodliwy. Zamiast tego pozwalaliśmy sobie na niejasne złowrogie ostrzeżenia, na przykład: „Ostatnio zrobił się taki nieprzewidywalny” albo „Nie wiem, ile jego ataków wytrzyma jeszcze ta siatka w drzwiach”.

Mieliśmy teraz małe dziecko i następne w drodze. Kwestii osobistego bezpieczeństwa nie traktowaliśmy już z zawadiacką nonszalancją. Często się zastanawialiśmy razem z Jenny, co - jeśli w ogóle cokolwiek - zrobiłby Marley, gdyby ktoś próbował skrzywdzić nasze dziecko albo nas. Ja skłaniałem się ku przekonaniu, że zaczęłyby co najwyżej bardziej szaleć, szczekać i podskakiwać. Jenny pokładała w nim więcej wiary. Uważała, że w chwili próby jego niezwykła wierność wobec nas, a szczególnie wobec dealera upajających pampersów, Patricka, przeobrazi się w niezłomny, pierwotny instynkt obrońcy, który drzemie w jego wnętrzu.

- Nic z tego - mówiłem. - Tryknie bandytę nosem w krocze i na tym się skończy.

Tak czy siak byliśmy zgodni, że ludzie bali się go piekielnie. I to nam wystarczało. Dzięki jego obecności w domu czuliśmy się bezpieczni. Nawet jeśli wciąż dyskutowaliśmy o jego skuteczności jako ochroniarza, spaliśmy spokojnie, wiedząc, że leży przy naszym łóżku. Aż któregoś dnia przerwał te dysputy raz na zawsze.

Nadszedł już październik, a pogoda jeszcze się nie zmieniła. Noc była upalna, spaliśmy przy włączonej klimatyzacji i zamkniętych oknach. Po wiadomościach o dwudziestej trzeciej wypuściłem Marleya na siusiu, zajrzałem do Patricka, pogasiłem światła i zanurkowałem do łóżka obok Jenny, która już twardo spała. Marley swoim zwyczajem padł jak kłoda na podłozie u mego boku, wydając z siebie przesadne westchnienie. Właśnie zasypiałem, gdy usłyszałem przenikliwy, nieprzerwany, świdrujący dźwięk. Od razu całkiem się obudziłem. Marley też. Podniósł się i zamarł w półmroku obok łóżka, z postawionymi uszami. Dźwięk się powtórzył. Przechodził przez zamknięte okna, wznosił się ponad szum klimatyzacji. Krzyk. Kobięcy krzyk, głośny i niedający się z niczym pomylić. W pierwszej chwili przyszło mi do głowy, że to nastolatki błaznują na ulicy, co nie było takie znowu rzadkie. Ale to nie przypominało żartobliwego przekomarzania „przestań - mnie - łaskotać”. W tym krzyku była desperacja, brzmiał autentyczny strach. Dotarło do mnie, że ktoś ma prawdziwe kłopoty.

- Chodź, piesku - szepnąłem, wyslizgując się z łóżka.

- Nie wychodź! - dobiegł mnie głos Jenny z ciemności.

Nie wiedziałem, że ona też nie śpi i nasłuchuje.

- Zadzwoń na policję - powiedziałem. - Będę ostrożny.

Trzymając Marleya za łańcuszek obroży, wyszedłem w bokserkach na ganek przed domem, akurat w porę, by dostrzec jakąś sylwetkę biegnącą sprintem ulicą w stronę wody. Krzyk wzniósł się znowu, z przeciwnej strony. Na zewnątrz, bez

tłumiących go murów i okien, kobiecy głos wypełniał powietrze ze zdumiewającą świdrującą prędkością. Coś podobnego słyszałem tylko w kinie na horrorach. Rozbłysły światła na innych gankach. Dwaj młodzi mężczyźni, którzy wynajmowali dom naprzeciwko, wypadli ze środka tylko w slipkach i pobiegli w kierunku krzyku. Podążyłem za nimi w bezpiecznej odległości, trzymając mocno Marleya tuż przy nodze. Zobaczyłem, jak wbiegli na trawnik kilka domów dalej, a po sekundzie zawrócili pędem w moją stronę.

- Idź do dziewczyny! - krzyknął jeden z nich, pokazując ręką. - Dźgnął ją nożem.

- Biegniemy za nim! - ryknął drugi i na bosaka pomknęli ulicą za znikającym cieniem. Nasza sąsiadka Barry, nieustraszona samotna kobieta, która kupiła i odremontowała popadający w ruinę bungalow obok domu pani Nedermier, wskoczyła do samochodu i przyłączyła się do pościgu.

Puściłem obrozę Marleya i pobiegłem w stronę krzyku. Trzy domy dalej zobaczyłem naszą siedemnastoletnią sąsiadkę. Stała sama na pojeździe do swego domu, zgięta w pół, szlochała urywanymi chrapliwymi westchnieniami, przyciskając ręce do żeber. Między jej palcami dostrzegłem krąg krwi przesiąkającej przez bluzkę. Była szczupłą, ładną dziewczyną o piaskowych włosach opadających na ramiona. Mieszkała w tym domu z matką rozwódką, miłą kobietą, która pracowała jako nocna pielęgniarka. Rozmawiałem z nią kilka razy, ale jej córkę znałem zaledwie z widzenia, tyle że kiwaliśmy sobie głowami na powitanie. Nawet nie wiedziałem, jak ma na imię.

- Mówił, żebym nie krzyczała, bo mnie załatwi - powiedziała, szlochając. Słowa wypadały z niej w ciężkich, zdyszanych spazmach. - Ale ja krzyczałam. Krzyczałam i mnie załatwił.

Jakbym mógł jej nie uwierzyć, podniosła bluzkę, żeby pokazać mi pofałdowaną ranę na klatce piersiowej.

- Siedziałam w samochodzie. Radio grało. On po prostu pojawił się nagle znikąd.

Położyłem jej rękę na ramieniu, próbując ją uspokoić, a gdy to zrobiłem, zobaczyłem, jak uginają się pod nią kolana. Upadła na mnie, nogi złożyły jej się jak u młodego jelonka. Usadziłem ją na chodniku i sam usiadłem, kołysząc ją w ramionach. Mówiła teraz ciszej, spokojniej i walczyła ze sobą, żeby nie zamknąć oczu.

- Powiedział, żebym nie krzyczała - powtarzała. - Zatkaną mi usta ręką i mówił, żebym nie krzyczała.

- Dobrze zrobiłaś - powiedziałem. - Wystraszyłaś go.

Dotarło do mnie, że jest w szoku, i nie miałem najmniejszego pojęcia, co z tym zrobić. „Niech przyjedzie pogotowie. Gdzie oni są?”. Uspokajałem ją w jedyny znany mi sposób, jakbym uspokajał własne dziecko, głaskałem ją po włosach, przykładałem rękę do jej policzka, ocierałem łzy. Słabła coraz bardziej, a ja wciąż powtarzałem, żeby się trzymała, że pomoc już nadchodzi.

- Wszystko będzie dobrze - mówiłem, ale nie byłem pewien, czy sam w to wierzę. Jej skóra poszarzała. Siedzieliśmy na chodniku. Wydawało mi się, że mijają całe godziny, choć w rzeczywistości, jak potem pokazał policyjny raport, trwało to zaledwie jakieś trzy minuty. Dopiero po chwili zacząłem myśleć, że powinienem sprawdzić, co się dzieje z Marleyem.

Podniosłem głowę i zobaczyłem go trzy metry od nas - stał zwrócony w stronę ulicy, zdeterminowany, pochylony jak byk. Nigdy go przedtem takiego nie widziałem. Przyjął postawę wojownika. Napięte mięśnie na szyi, zaciśnięte szczęki, sierść między łopatkami postawiona na sztorc. Skupiony wpatrywał się w ulicę, jakby gotowy do ataku. W

tym momencie zrozumiałem, że Jenny miała rację. Gdyby uzbrojony zabójca wrócił, musiałby najpierw przejść przez mojego psa. Już wiedziałem - wiedziałem bez najmniejszych wątpliwości, że Marley stoczyłby z nim śmiertelną walkę, nim dopuściłby go do nas. Byłem poruszony wystarczająco tym, że trzymam tę młodą dziewczynę, zastanawiając się, czy właśnie umiera na moich rękach. Widok Marleya strzegącego nas w tak niezwykle sposób, tak majestatycznie zawziętego, wywołał łzy w moich oczach. Najlepszy przyjaciel człowieka? Cholerna prawda.

- Pilnuję cię - zapewniałem dziewczynę, ale tak naprawdę miałem na myśli i powinienem był powiedzieć „pilnujemy cię”. My. Marley i ja. - Policja już jedzie - mówiłem. - Wytrzymaj, proszę, wytrzymaj.

Zanim zamknęła oczy, szepnęła: - Mam na imię Lisa.

- John - odparłem. Wydało mi się śmieszne, że przedstawiamy się sobie w tych okolicznościach, jakbyśmy byli na sąsiedzkim przyjęciu składkowym. Prawie się roześmiałem z tego absurdu. Ale zamiast tego założyłem jej kosmyk włosów za ucho i powiedziałem: - Już jesteś bezpieczna, Liso.

Chodnikiem jak archanioł zesłany z niebios nadchodził pospiesznie oficer policji. Gwizdnąłem na Marleya i zawołałem: - W porządku, Marl, on jest w porządku!

Tym gwizdnięciem jakbym przełamał jakiś rodzaj transu. Mój wesołkowaty, dobroduszny kumpel wrócił, drepcząc w kółko, podskakując, próbując nas obwąchać. Jakiegokolwiek pierwotne instynkty wydobyły się z zakamarków jego odziedziczonej po przodkach psyche, wróciły znów do butelki.

Potem policjanci zaroili się wokół nas i wkrótce przybyła załoga karetki z noszami i opatrunkami ze sterylnej gazy. Usunąłem się z drogi, powiedziałem policji, co mogłem, i poszedłem do domu, a Marley wiercił się przede mną.

Jenny czekała przy drzwiach. Przez okno obserwowaliśmy razem dalszy rozwój akcji na ulicy. Nasze sąsiedztwo wyglądało jak scena z telewizyjnego kryminału. Czerwone migające światła rozpryskiwały się na oknach, nad głowami krążył policyjny helikopter, oświetlając reflektorami podwórka i alejki. Gliniarze ustawili blokady na drogach i na piechotę przeczesywali okolicę. Ich wysiłki spełzły na niczym. Podejrzanego nigdy nie schwytano, a motyw pozostał nieznany na zawsze. Dwaj nasi sąsiedzi, którzy ruszyli w pościg, powiedzieli mi później, że nie dostrzegli nawet śladu po bandycie. W końcu wróciliśmy z Jenny do łóżka. Oboje leżeliśmy rozbudzeni, długo nie mogliśmy zasnąć.

- Byłabyś dumna z Marleya - powiedziałem. - To było takie dziwne. W jakiś sposób wiedział, że sprawa jest poważna. Po prostu wiedział. Czuł niebezpieczeństwo i zachowywał się jak zupełnie inny pies.

- Mówiłam ci - odparła. To prawda, mówiła.

Kiedy helikopter dudnił w powietrzu nad nami, Jenny odwróciła się do mnie plecami. Zanim zasnęła, westchnęła: - Jeszcze jedna zepsuta noc.

Wyciągnąłem rękę w dół i poczułem w ciemnościach Marleya, który leżał obok mnie.

- Dobrze się dziś spisaleś, stary - szepnąłem, drapiąc go za uchem. - Zarobiłeś na swoją miskę.

Trzymając dłoń na jego plecach, zasnąłem.

Atak nożownika na nastolatkę, która siedziała we własnym samochodzie przed własnym domem, zasługiwał zaledwie na sześć zdań w porannych gazetach. Mówi to coś o znieczulicy na południowej Florydzie. „Sun Sentinel” zamieścił sprawozdanie ze zbrodni w krótkich notkach na stronie 3B pod nagłówkiem „Mężczyzna zaatakował dziewczynę”.

W notce nie wspomniano ani o mnie, ani o Marleyu, ani o facetach z naprzeciwka, którzy półnaczy rzucili się w pościg za zbrodniarzem. Nie wspomniano o Barry, która gonila go samochodem. Ani o wszystkich sąsiadach na całej ulicy, którzy zapalili światła na gankach i dzwonili na policję. W ponurym świetle gwałtownych zbrodni południowej Florydy nasz sąsiedzki dramat był tylko pomniejszym czknięciem. Nie ma trupów, nie ma zakładników, nie ma sprawy.

Lisa z przebitym płucem spędziła pięć dni w szpitalu i potem kilka tygodni rehabilitacji. Matka informowała sąsiadów o jej stanie, ale dziewczyna siedziała w domu i nie pokazywała się. Martwiłem się o rany emocjonalne, jakie atak mógł w niej pozostawić. Czy kiedykolwiek będzie znowu mogła spokojnie wyjść z bezpiecznego domu? Życie zetknęło nas ze sobą zaledwie na trzy minuty, ale czułem się w to wciągnięty jak starszy brat wobec małej siostrzyczki. Chciałem szanować jej prywatność, ale również chciałem ją zobaczyć, żeby się przekonać, że wydobrzeje, że wszystko będzie z nią w porządku.

Pewnej soboty myłem samochód na podjeździe, Marley leżał przywiązany obok mnie, a kiedy podniosłem głowę - stała przede mną. Ładniejsza, niż zapamiętałem. Opalona, silna, zgrabna - znowu cała. Uśmiechnęła się i zapytała: - Pamięta mnie pan?

- Niech pomyślę - powiedziałem, udając, że się zastanawiam. - Kogoś mi przypominasz. Czy to nie ty stałaś w rzędzie przede mną na koncercie Toma Petty'ego i nie chciałaś usiąść?

Zaśmiała się, a ja zapytałem: - Co słyhać, Liso? Jak się czujesz?

- Dobrze - rzekła. - Prawie znowu normalnie.

- Wyglądasz wspaniale - powiedziałem. - Troszkę lepiej, niż kiedy cię ostatnio widziałem.

- Tak - kiwnęła i popatrzyła na swoje stopy. - Co za noc.
- Co za noc - powtórzyłem.

Tyle mieliśmy na ten temat do powiedzenia. Opowiedziała mi o szpitalu, lekarzach, detektywie, który ją przesłuchiwał, niekończących się kosztach z owocami, o tym, jak nudno było siedzieć w domu, gdy zdrowiała. Ale wyraźnie unikała mówienia o samej napaści. Ja też. Niektóre sprawy lepiej zostawić za sobą.

Lisa została u nas długo tego popołudnia, chodziła za mną dookoła podwórka, gdy się krzątałem, bawiła się z Marleyem, trochę rozmawialiśmy. Czułem, że chce mi coś powiedzieć, ale nie może tego z siebie wydobyć. Miała siedemnaście lat; nie spodziewałem się, że znajdzie właściwe słowa. Nasze ścieżki przecięły się w sposób niezaplanowany i bez ostrzeżenia, dwie obce osoby rzucone na siebie wybuchem niewytłumaczalnej przemocy. Nie było czasu na sąsiedzkie grzeczności, nie było czasu na ustanowienie granic. W ciągu jednego uderzenia serca w momencie kryzysu znaleźliśmy się w intymnym zamknięciu, tatuś w bokserkach i nastolatka w przesiąkniętej krwią bluzce, trzymaliśmy się siebie nawzajem i nadziei. Teraz w tamtej sprawie zachowywaliśmy powściągliwość. Jak można inaczej? Czuliśmy się niezręcznie, byliśmy lekko zakłopotani, dlatego że w tamtej chwili chwyciliśmy się siebie, opuściwszy nasze tarcze obronne. Słowa nie były konieczne. Wiedziałem, jak jest mi wdzięczna, że wtedy przyszedłem do niej. Wiedziałem, że docenia moje wysiłki, by jej dodać otuchy, ulżyć, pomóc, jakkolwiek były one nieporadne. Ona wiedziała, że starałem się, jak mogłem, i że byłem po jej stronie. Tamtej nocy na chodniku przeżyliśmy coś wspólnie - jeden z tych krótkich oślepiających momentów jasności, która ustawia wszystko inne w życiu - żadne z nas tego szybko nie zapomni.

- Cieszę się, że przyszłaś - powiedziałem.

- Ja też się cieszę, że przyszedłam - odparła Lisa.

Zanim odeszła, zdążyła wyrzucić na mnie dobre wrażenie. Była silna. Była mocna. Pewnie pójdzie do przodu. I rzeczywiście - poszła. Po latach dowiedziałem się, że zrobiła karierę jako dziennikarka telewizyjna.

ROZDZIAŁ 14

Wczesne przybycie

John! - przez senną mgłę powoli rejestrowałem, że ktoś mnie woła. - John! John, obudź się! - szarpała mnie Jenny. - John! Wydaje mi się, że dziecko chce wyjść. Uniosłem się na łokciu i przetarłem oczy. Leżała na boku z kolanami podciągniętymi do piersi.

- Dziecko chce co?

- Mam straszne skurcze - powiedziała. - Liczyłam, jak często. Musimy zadzwonić do doktora Shermana.

Obudziłem się już całkiem. Ona rodzi? Jak wariat czekałem na nasze drugie dziecko - kolejnego chłopca, o czym wiedzieliśmy dzięki USG. Ale było jeszcze za wcześnie, o wiele, wiele za wcześnie. Ciąża Jenny trwała zaledwie dwadzieścia jeden tygodni, dopiero minęła półmetek czterdziestotygodniowego okresu, podczas którego rozwija się płód. W jej książkach o macierzyństwie znaleźliśmy zbiór doskonałych fotografii zarodka w każdym tygodniu rozwoju. Ledwie kilka dni temu oglądaliśmy zdjęcia z dwudziestego pierwszego tygodnia i zdumiewaliśmy się, jak wygląda nasze dziecko. W dwudziestym pierwszym tygodniu płód mieści się w dłoni. Waży niecałe pół kilograma. Oczy ma szczelnie zrośnięte, palce jak kruche gałązki, płuca nie dość wykształcone, by czerpać tlen z powietrza. W dwudziestym pierwszym tygodniu dziecko jest ledwo zdolne do życia. Prawdopodobieństwo, że przetrwa poza łonem matki, jest małe, a nadzieja, że dokona tego bez poważnych, długotrwałych kłopotów ze zdrowiem, jeszcze mniejsza. Nie bez powodu natura trzyma dzieci w łonie przez długie dziewięć miesięcy. W dwudziestym pierwszym tygodniu jego szanse są wyjątkowo niskie.

- Pewnie nic złego się nie dzieje - powiedziałem. Ale czułem, jak serce mi wali, kiedy błyskawicznie wykręcałem

numer alarmowy oddziału położniczego. Dwie minuty później oddzwonił doktor Sherman i odezwał się zaspianym głosem: - Może to tylko gazy, ale lepiej sprawdźmy.

Kazał mi natychmiast zawieźć Jenny do szpitala. Miotalem się po domu, wrzucając jej rzeczy do podręcznej torby, szykując butelki dla Patricka, pakując pieluchy. Jenny zadzwoniła do swojej przyjaciółki i współpracownicy Sandy, również młodej matki, która mieszkała kilka przecznic od nas, z pytaniem, czy możemy podrzucić Patricka. Marley też był już na nogach. Przeciągał się, ziewał i otrząsał. „Nocna wycieczka!”.

- Wybacz, Marl - powiedziałem, prowadząc go do garażu. Jego pysk wyrażał niezmiernie rozczarowanie. - Musimy bronić fortu.

Zgarnąłem Patricka z łóżeczka. Nie budząc go, przypiąłem do fotelika w samochodzie. I ruszyliśmy w noc.

Na oddziale patologii ciąży w szpitalu St. Mary pielęgniarki szybko ruszyły do akcji. Ubrały Jenny w szpitalną koszulę i podłączyły do monitora, który mierzył skurcze i bicie serca noworodka. Z całą pewnością Jenny miała skurcze co sześć minut. Zdecydowanie nie były to gazy.

- Dziecko chce wyjść - powiedziała jedna z pielęgniarek. - Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby je powstrzymać.

Przez telefon doktor Sherman poprosił je, żeby sprawdziły rozwarcie. Pielęgniarka wsadziła palec w rękawiczce i oznajmiła, że Jenny ma rozwarcie na centymetr. Nawet ja wiedziałem, że nie jest dobrze. 10 centymetrów to pełne rozwarcie szyjki macicy i przy normalnym porodzie od tego momentu matka zaczyna przec. Z każdym bolesnym skurczem ciało Jenny zbliżało się o krok bliżej do punktu, z którego nie ma powrotu.

Doktor Sherman polecił dożylną kroplówkę z roztworu soli fizjologicznej i zastrzyk ze spowalniacza porodowego

Brethine. Skurcze ustąpiły, ale po niecałej godzinie wróciły z siłą, która wymagała drugiego zastrzyku, potem trzeciego.

Następne dwanaście dni Jenny spędziła w szpitalu, obserwowana i kłuta przez zastępy ginekologów położników, przywiązana do monitorów i dożylnych kroplówek. Wziąłem wolne i odgrywałem przed Patrickiem rolę samotnego ojca. Robiłem, co mogłem, żeby się ze wszystkim uporać - z praniem, karmieniem, posiłkami, rachunkami, sprzątaniami, ogródkiem. No i było jeszcze to drugie żywe stworzenie w naszym domu. Biedny Marley nie tylko stracił nagle pozycję drugiego skrzypka, ale prawie wyleciał z orkiestry. Nawet gdy go ignorowałem, jednostronnie podtrzymywał nasze relacje i nigdy nie spuszczał mnie z oka. Wiernie chodził za mną, kiedy krzątałem się po domu zgięty pod ciężarem Patryka, którego trzymałem w jednej ręce, podczas gdy drugą odkurzałem, zbierałem pranie lub szykowałem jedzenie. Zatrzymywałem się w kuchni, żeby włożyć kilka brudnych talerzy do zmywarki, Marley przychodził za mną, obracał się w kółko z pół tuzina razy, próbując namierzyć najlepsze miejsce, i zwał się na podłogę. Nim się dobrze usadowił, ja już gnałem do pralni, żeby przełożyć ubrania z pralki do suszarki. Przychodził za mną, kręcił się, zgarniał łapami rozrzucone dywaniki, aż ułożył je tak, jak lubił, i znowu się kładł, tylko po to, żeby zobaczyć, jak odchodzę do salonu pozbierać gazety. I tak w kółko. Jeśli miał szczęście, przerywałem mój szaleńczy bieg, żeby go szybko poklepać.

Pewnego wieczoru, gdy już wreszcie uśpiłem Patryka, wykończony padłem na kanapę. Marley podskoczył, wrzucił mi na kolana sznurkową zabawkę do przeciągania i spojrzał na mnie wielkimi brązowymi oczami.

- Oj, Marley - powiedziałem - jestem skonany.

Wetknął nos pod zabawkę i podrzucił ją do góry w nadziei, że spróbuję złapać. Był gotów pokonać mnie w przeciąganiu.

- Daruj, kolego. Nie dzisiaj.

Zmarszczył czoło i podniósł głowę. Ustalone codzienne zwyczaje legły nagle w gruzach. Jego pani zniknęła w tajemniczych okolicznościach, pan do niczego się nie nadawał, nic już nie było takie jak dawniej. Wydał z siebie cichy jęk. Widziałem, że próbuje to zrozumieć. „Dlaczego John nie chce się już bawić? Co się stało z porannymi spacerami? Czemu już się nie siłujemy na podłodze? No i gdzie właściwie podziała się Jenny? Chyba nie uciekła z tym dalmatyńczykiem od sąsiadów, co?”.

Życie Marleya nie było całkiem ponure. Rozjaśniał je fakt, że szybko wróciłem do moich przedmałżeńskich (czytaj: niechlujnych) obyczajów. Dzięki pełni władzy, którą dzierżyłem jako jedyny dorosły w domu, zawiesiłem Ustawę o Małżeńskim Gospodarstwie Domowym i ogłosiłem prawem tej ziemi obalone niegdyś Zasady Kawalera. Przez czas pobytu Jenny w szpitalu koszule można było prać dopiero po dwu, a nawet trzykrotnym noszeniu, chyba że znalazły się na nich wyraźne plamy z musztardy. Mleko wolno było pić prosto z kartonu, deska klozetowa pozostawała w pozycji podniesionej, chyba że na niej siadałem. Ku radości Marleya prowadziłem politykę całodobowo otwartych drzwi do łazienki. W końcu mieszkali tu sami faceci. Dzięki temu Marley zyskał jeszcze jedną możliwość przebywania blisko mnie. A jeśli już tutaj był, nie miało sensu zabraniać mu picia z kranu przy wannie. Jenny byłaby przerażona, ale moim zdaniem to zdecydowanie lepsze, niż gdyby pił z sedesu. Teraz, kiedy obowiązywała Zasada Podniesionej Deski (a więc siłą rzeczy również Zasada Podniesionej Klapy), musiałem zapewnić Marleyowi stosowną przeciwwagę dla tego atrakcyjnego porcelanowego

stawu, który wręcz błagał, żeby bawić się w nim nosem w łódź podwodną.

Przyzwyczailem się odkręcać trochę kran przy wannie, kiedy byłem w łazience, żeby Marley mógł pochłeptać chłodnej, świeżej wody. Nie byłby bardziej przejęty, nawet gdybym mu zbudował dokładną replikę Splash Mountain (Wodne miasteczko z Disney World - przyp. tłum.). Przekręcał głowę pod kranem i chłeptał, a ogonem walił w umywalkę. Jego pragnienie nie miało granic i doszedłem do wniosku, że w poprzednim życiu był wielbłądem. Szybko się zorientowałem, że stworzyłem łazienkowego potwora. Wkrótce Marley zaczął chodzić do łazienki sam, beze mnie. Stał i gapił się tęsknie w kran, zlizywał każdą zbierającą się kroplę, trącał go nosem, aż nie mogąc już tego wytrzymać, przychodziłem, żeby mu trochę odkręcić. Nagle woda w misce przestała go interesować.

Następnego kroku w stronę barbarzyństwa dokonaliśmy, kiedy brałem prysznic. Marley wykombinował, że może wetknąć łeb przez zasłonkę, a uzyskać dostęp nie tylko do kapiącej strużki, ale do całego wodospadu. Namydlałem ciało, a tu nagle bez ostrzeżenia pojawił się jego wielki brązowy łeb i zaczął chłeptać prysznicowy strumień.

- Tylko nie mów mamie - ostrzegłem.

Próbowałem udawać przed Jenny, że bez problemu wszystko trzymam w garści.

- Och, doskonale dajemy sobie radę - mówiłem i, odwracając się do Patricka, dodawałem: - Prawda, współniku?

Na co on udzielał standardowej odpowiedzi: - Tata! - i wskazując wiatrak na suficie, uzupełniał: - Wiaaaaaaa!

Ona wiedziała swoje. Gdy raz wpadliśmy z Patrickiem z codzienną wizytą, Jenny popatrzyła na nas z niedowierzaniem i spytała: - Coś ty mu zrobił, na litość boską?

- Jak to, co mu zrobiłem? - zdziwiłem się. - Jest wspaniały. Jesteś wspaniały, nie?

- Tata! Wiaaaaa!

- To ubranko - powiedziała. - Jakim cudem...

Dopiero wtedy zobaczyłem. Coś było nie tak z jednoczęściowymi śpioszками, "jednoszkami", jak my, mężni ojcowie, lubimy je nazywać. Zorientowałem się, że tłuściutkie uda Patricka były wciśnięte w rękawy, tak ciasne, że musiały tamować krążenie krwi. Kołnierzyk zwisał mu między nogami jak wymię. Głowa wystawała przez odpięty rozporek, a ręce gubiły się gdzieś w fałdach nogawek. Niezły widok.

- Wariacie - powiedziała. - Założyłeś mu to do góry nogami.

- To ty tak uważasz - odparłem.

Ale zabawa się skończyła. Jenny zaczęła wydzwaniać ze szpitalnego łóżka i kilka dni później w magiczny sposób pojawiła się z walizką w ręku moja kochana, droga ciotka Anita, emerytowana pielęgniarka, która przyjechała do Ameryki z Irlandii jako nastolatka i teraz mieszkała na drugim końcu stanu. Radośnie zabrała się do przywracania ładu. Zasady Kawalera przeszły do historii.

Kiedy lekarze wreszcie wypuścili Jenny do domu, postawili niesłychanie ostre warunki. Jeśli chciała urodzić zdrowe dziecko, musiała leżeć absolutnie bez ruchu. Wolno jej było wstawać tylko do łazienki. Mogła wziąć jeden krótki prysznic dziennie, potem szybko do łóżka. Żadnego gotowania, żadnego zmieniania pieluch, żadnego wychodzenia na pocztę czy podnoszenia przedmiotów cięższych od szczoteczki do zębów. W tym także dziecka - to ograniczenie było dla niej niemal zabójcze. Bezwzględny wypoczynek w łóżku, bez oszukaństwa. Lekarzom udało się zahamować przedwczesny poród, teraz musieli powstrzymać go jeszcze przez co najmniej dwanaście tygodni. Dziecko osiągnie wtedy

trzydzieści pięć tygodni, ciągle jeszcze będzie trochę słabe, ale już w pełni rozwinięte i zdolne stawić czoło zewnętrznemu światu na swoich własnych zasadach. Oznaczało to, że Jenny ma być nieruchoma jak lodowiec. Ciotka Anita, niech Bóg błogosławi jej życzliwej duszy, osiadła na dłużej. Marley się cieszył, że ma nowego towarzysza zabaw. Wkrótce ciotkę Anitę też wyszkolił w odkręcaniu kranu przy wannie.

Przyszła do nas pielęgniarka ze szpitala. Wprowadziła w udo Jenny cewnik i podłączyła go do małej pompki na baterie, którą przykleiła plastrem do nogi Jenny. Urządzenie bezustannie wsączało do krwi lekarstwa podtrzymujące ciążę. Jakby tego nie było dosyć, obudowała Jenny systemem monitoringu, który wyglądał jak narzędzie tortur - ogromna przyssawka z plątaniną kabli podłączonych do telefonu. Przyssawka przymocowana do brzucha Jenny elastyczną taśmą rejestrowała bicie serca dziecka i wszystkie skurcze. Trzy razy dziennie przesyłała telefonicznie raport do pielęgniarki, która wypatrywała najmniejszych oznak kłopotów. Pobiegłem do księgarni, gdzie zamieniłem niewielką fortunę na rzeczy do czytania. Jenny pochłoneła je w ciągu pierwszych trzech dni. Starła się trzymać, ale przymusowa bezczynność, nuda i ciągły strach o zdrowie nienarodzonego dziecka zmawiały się, by wciągnąć ją w otchłań. Co najgorsze, była matką 15 - miesięcznego chłopca, a nie wolno jej było do niego podbiec, podnieść go, nakarmić, kiedy był głodny, wykapać, gdy był brudny, przytulić i pocałować, kiedy był smutny. Sadzałem go na szczycie łóżka, ciągnął ją za włosy i wkładał jej palce do ust. Pokazywał na wirujące pod sufitem skrzydła i mówił:

- Mama! Wiaaaaa!

Uśmiechała się, ale to nie było to samo. Powoli dostawała bzika.

Jej wiernym towarzyszem w tym wszystkim był oczywiście Marley. Założył obóz na podłodze obok łóżka, otaczając się szerokim wyborem gryzaków i sztucznych kości, na wypadek gdyby Jenny zmieniła zdanie, postanowiła wyskoczyć spod kołdry i przyłączyć się spontanicznie do zabawy w przeciąganie. Czuwał tam dniem i nocą. Kiedy wracałem do domu, ciotka Anita gotowała obiad w kuchni, a Patrick siedział obok niej na swoim sprężynującym krzeselku. Szedłem do sypialni, gdzie Marley, merdając ogonem, stał z brodą opartą o materac, z nosem wetkniętym w szyję Jenny, która czytała, drzemała albo po prostu gapiła się w sufit, trzymając rękę na jego grzbiecie. Skreślałem w kalendarzu kolejne dni, żeby widziała postępy, ale to tylko przypominało, jak powoli mija każda minuta, każda godzina. Niektórzy ludzie byliby szczęśliwi, gdyby mogli spędzić życie na gnuśnym wylegiwaniu się, ale Jenny do nich nie należała. Urodzona do krzątania, przez narzuconą beczynność stopniowo, niedostrzegalnie wpadała w coraz większe przygnębienie. Była jak żeglarz zatrzymany w dołującej morskiej ciszy, czekający z rosnącą desperacją na najłżejszy powiew wiatru, który wypełniłby żagle i pozwolił na kontynuowanie podróży. Staralem się ją wspierać, mówiłem na przykład: - Za rok będziemy się z tego śmiać.

Ale czułem, jak się odsuwa ode mnie. W niektóre dni jej oczy były bardzo daleko.

Jenny miała leżeć jeszcze cały miesiąc, kiedy ciotka Anita spakowała walizkę i pocałowała nas na pożegnanie. Była z nami tak długo, jak tylko mogła, prawdę mówiąc, kilka razy przekładała wyjazd, ale w domu czekał na nią mąż i mawiała - tylko połowicznie żartując - że on może zdziczeć, bo utrzymywał się przy życiu sam, jadał kolacje z telewizorem i kanałem sportowym. Znowu byliśmy zdani na siebie.

Staralem się, jak mogłem, utrzymać statek na powierzchni, wstawałem o brzasku, żeby wykapać Patricka, nakarmić go płatkami i papką z marchwi, a potem zabrać jego i Marleya chociaż na krótki spacer. Jadąc do pracy, podrzucałem Patricka do Sandy na cały dzień. Odbierałem go wieczorem. W czasie przerwy na lunch wracałem do domu, szykowałem Jenny coś do jedzenia, przynosiłem jej pocztę - najjaśniejszy dla niej punkt dnia - rzucałem patyki Marleyowi i próbowałem ogarnąć dom, który stopniowo pokrywał się patyną zaniedbania. Trawa była niestrzyżona, kosz na pranie pełen brudnej bielizny, a siatkowe drzwi na tyłach domu rozerwane, od kiedy Marley przebił się przez nie w komiksowym stylu, ścigając wiewiórkę. Tygodniami siatka powiewała na wietrze, a drzwi stały się psimi drzwiami i pozwalały Marleyowi krążyć między podwórkiem a domem, kiedy miał na to ochotę, podczas długich godzin spędzanych tylko z Jenny unieruchomioną w łóżku.

- Naprawię je - obiecałem jej. - Są na liście.

Ale widziałem konsternację w jej oczach. Powstrzymała się całą siłą woli, żeby nie wyskoczyć z łóżka i nie zacząć doprowadzać domu z powrotem do porządku. Zakupy robiłem nocą, po uśpieniu Patricka, czasami chodziłem między półkami o północy. Przetrwaliśmy na jedzeniu na wynos, chrupkach Cheerios i michach makaronu. Dziennik, który sumiennie prowadziłem od lat, nagle zamilkł. Po prostu nie miałem czasu i brakowało mi energii. W ostatnim zapisku zanotowałem tylko: „W tej chwili życie stało się trochę przytłaczające”.

Pewnego dnia, kiedy zbliżaliśmy się do trzydziestego piątego tygodnia ciąży Jenny, w drzwiach stanęła pielęgniarka ze szpitala i powiedziała: - Gratulacje, dziewczyno, udało ci się! Jesteś wolna.

Odczepiła pompkę z lekami, odłączyła przyssawkę, spakowała aparaturę i odczytała pisemne zalecenia lekarza. Jenny mogła wrócić do normalnego stylu życia. Żadnych restrykcji. Żadnych leków. Nawet mogliśmy znowu uprawiać seks. Dziecko było już w pełni zdolne do życia. Poród nadejdzie, kiedy nadejdzie.

- Baw się dobrze - powiedziała. - Zasłużyłaś na to.

Jenny podrzuciła Patricka nad głowę, pobaraszkowała z Marleyem w ogródku i rzuciła się do sprzątanía. Tamtego wieczoru świętowaliśmy w indyjskiej restauracji i na przedstawieniu w miejscowym klubie teatralnym. Następnego dnia we trójkę kontynuowaliśmy obchody lunchem w greckiej restauracji. Ale zanim jeszcze gyros trafił na stół, Jenny była w samym środku porodu. Bóle zaczęły się już poprzedniej nocy, kiedy jadła curry z jagnięciny, lecz je zignorowała. Nie zamierzała pozwolić, aby kilka skurczów przerwało jej zasłużone wyjście na miasto. Teraz każdy skurcz niemal zginał ją w pół. Popędziliśmy do domu, gdzie czekała Sandy, żeby przejąć Patricka i rzucić okiem na Marleya. Jenny czekała w samochodzie, torując sobie drogę przez ból szybkimi, płytkimi oddechami, gdy ja pakowałem jej rzeczy. Nim dotarliśmy do szpitala i rozgościliśmy się w pokoju, miała rozwarcie na siedem centymetrów. Niecałą godzinę później trzymałem w ramionach naszego syna. Jenny przeliczyła mu palce u rąk i nóg. Oczy miał otwarte i czujne, policzki zaróżowione.

- Udało się! - oznajmił doktor Sherman. - Jest doskonały!

Conor Richard Grogan, 2600 gramów, urodził się 10 października 1993 roku. Byłem tak szczęśliwy, że ledwo dostrzegłem złośliwą ironię losu - na jego poród wynajęliśmy luksusowy apartament, którym prawie nie zdążyliśmy się nacieszyć. Mało brakowało, a Jenny urodziłaby na parkingu

stacji Texaco. Nie miałem nawet czasu, żeby się rozciągnąć na Kanapie dla Tatusiów.

Biorąc pod uwagę, przez co przeszliśmy, żeby bezpiecznie przyszedł na świat, uważaliśmy, że narodziny naszego syna to wydarzenie wielkie - ale nie aż tak wielkie, żeby wzbudziło zainteresowanie lokalnych mediów. Na parkingu pod naszym oknem zgromadził się jednak tłum wozów transmisyjnych stacji telewizyjnych z antenami satelitarnymi wycelowanymi w niebo. Dostrzegłem reporterów z mikrofonami, którzy robili wejścia przed kamerami.

- Hej, kochanie! - zawołałem. - Paparazzi do ciebie przyjechali.

Pielęgniarka, która w pokoju czuwała nad dzieckiem, wyjaśniła: - Nie uwierzycie! Na korytarzu jest Donald Trump!

- Donald Trump? - spytała Jenny. - Nie wiedziałam, że był w ciąży.

Tytan rynku nieruchomości wywołał spore poruszenie, gdy przed paru laty przeprowadził się do Palm Beach. Postawił dom w miejscu rozpadającej się dawnej rezydencji Marjorie Merriweather Post, nieżyjącej już dziedziczki płatków śniadaniowych. Posiadłość nazywała się Mar - a - Lago, co znaczyło „Od morza do jeziora”. Zgodnie z nazwą rozciągała się na siedmiu hektarach od Atlantyku do Intracoastal Waterway i mieściło się na niej dziewięciodołkowe pole golfowe. Z naszej ulicy, spoglądając przez wodę, można było zobaczyć dom o pięćdziesięciu ośmiu sypialniach, z wieżyczkami w stylu mauretańskim, które wznosiły się nad palmami. Trumpowie i Groganowie byli właściwie sąsiadami.

Włączyłem telewizor i dowiedziałem się, że Donald i jego dziewczyna Marla Maples są dumnymi rodzicami dziewczynki o stosownym imieniu Tiffany, która urodziła się wkrótce po Conorze.

- Będziemy musieli ich zaprosić na pępkowe - powiedziała Jenny.

Patrzyliśmy przez okno, jak ekipy telewizyjne przepychały się, by dopaść Trumpów wychodzących ze szpitala z nowo narodzonego dzieckiem. Marla uśmiechała się skromnie, pokazując dziecko do kamer, Donald pomachał i mrugnął wesoło. - Czuję się świetnie! - powiedział kamerom. I odjechali limuzyną z szoferem.

Następnego dnia, gdy nadeszła nasza kolej, by opuścić szpital, miły emeryt wolontariusz wyprowadził fotel na kółkach z Jenny i małym Conorem przez korytarz i automatyczne drzwi na słońce. Nie było ekip telewizyjnych, wozów transmisyjnych, podkładów dźwiękowych ani relacji na żywo. Byliśmy tylko my i nasz wolontariusz. Nie to, żeby ktoś pytał, ale też czułem się świetnie. Nie tylko Donald Trump pękał z ojcowskiej dumy.

Wolontariusz poczekał z Jenny i dzieckiem, aż podjadę samochodem pod sam krawężnik. Zanim przypiąłem mojego nowo narodzonego syna do fotelika, podniosłem go wysoko nad głowę, żeby cały świat mógł zobaczyć - gdyby ktokolwiek patrzył - i powiedziałem: - Conorze Grogan, jesteś w każdym calu tak wyjątkowy jak Tiffany Trump i nigdy o tym nie zapominaj.

ROZDZIAŁ 15

Poporodowe ultimatum

To powinny być najpiękniejsze dni naszego życia i pod wieloma względami były. Mieliśmy teraz dwóch synów, urodzonych w odstępnie zaledwie siedemnastu miesięcy. Dawali nam mnóstwo radości. Mimo to ciemność, która ogarnęła moją żonę, gdy musiała nieustannie leżeć w łóżku, utrzymywała się. Zdarzały się tygodnie, kiedy Jenny była w dobrej formie i z pogodą ducha brała na siebie odpowiedzialność za dwa istnienia uzależnione od niej pod każdym względem. Kiedy indziej bez zapowiedzi wpadała w przygnębienie i zamykała się w obłoku szarej mgły, która czasami nie podnosiła się całymi dniami. Oboje byliśmy wykończeni. Brakowało nam snu. Patrick wciąż budził nas co najmniej raz każdej nocy, a Conor kilka razy częściej, płacząc, żeby go nakarmić lub przewinąć. Rzadko trafiały nam się więcej niż dwie godziny nieprzerwanego snu. W niektóre noce jak zombie przesuwaliśmy się powoli obok siebie ze szklistymi oczami, Jenny do jednego dziecka, ja do drugiego. Wstawaliśmy o północy i o drugiej nad ranem, i o wpół do czwartej, i znowu o piątej.

Potem wschodziło słońce, a z nim kolejny poranek, który przynosił odnowione nadzieje i przenikające do szpiku kości zmęczenie, kiedy cały cykl ruszał od początku. Z dołu dobiegał słodki, wesoły, rozbudzony krzyk Patricka:

- Mama! Tata! Bawic! - i choć bardzo chcieliśmy, żeby było inaczej, wiedzieliśmy, że sen mamy z głowy na cały nowy dzień. Zacząłem parzyć mocniejszą kawę i chodzić do pracy w nieuprasowanych koszulach oraz krawatach upakowanych dziecięcą śliną. Pewnego ranka w redakcji podchwyciłem spojrzenie młodej, ponętnej asystentki redaktora. Przyglądała mi się intensywnie. Połechtany, uśmiechnąłem się do niej. „No co, może i jestem podwójnym

tatusiem, ale kobiety wciąż się za mną oglądają!". A ona powiedziała: - Wiesz, masz we włosach naklejkę z Barneyem.

Nasze pozbawione snu życie stało się chaosem. Pogłębiał go straszliwy kłopot z młodszym synem. Conor i tak miał niedowagę, a na dodatek nie potrafił zatrzymać w sobie jedzenia. Jenny przechodziła samą siebie, żeby go pielęgnować i karmić zdrowo, a on równie zmyślnie to udaremniał. Kiedy dawała mu pierś, ssał łapczywie. Po chwili wszystko z siebie wyrzucał w jednym, szybkim skurczu. Znowu go karmiła - jadł chętnie, po czym opróżniał żołądek. Wymiotne pociski stały się codziennym wydarzeniem w naszym domu. Rytuał powtarzał się niezmiennie i za każdym razem Jenny wpadała w coraz większą furję. Lekarze rozpoznali u niego refluks i skierowali nas do specjalisty, który znieczulił nasze maleńkie dziecko i wprowadził mu przez gardło sondę, żeby obejrzeć je od środka. Conor w końcu z tego wyrósł i zaczął przybierać na wadze, ale strach o niego zżerał nas przez cztery długie miesiące. Jenny była kłębkim nerwów, obaw i stresu potęgowanych brakiem snu, bo karmiła go niemal bez przerwy, a potem patrzyła bezradnie, jak mleko wylewa się z niego prosto na nią.

- Czuję się taka nieudolna - mawiała. - Mama powinna umieć dać dziecku wszystko, czego ono potrzebuje.

Była stale na skraju wybuchu i najmniejsze moje wykroczenie - otwarte drzwi od szafki albo okruszki na blacie - wyprowadzało ją z równowagi.

Dobre było to, że Jenny nigdy nie wyladowywała swojej złości na starszym dziecku. Tak naprawdę dbała o nich obu z niemal obsesyjną troską i poświęceniem. Oddawała im każdy kawałek siebie. Gorsze było to, że kierowała swoje frustracje na mnie, a jeszcze bardziej na Marleya. Straciła do niego resztki cierpliwości. Ciągłe wchodził jej w drogę i wszystko, co zrobił, było złe. Każde jego wykroczenie - a wciąż było ich

wiele - popychało Jenny bliżej skraju wytrzymałości. Nieświadomy tego Marley nie zbaczał z kursu swoich błazeństw, złych uczynków i nieopanowanej pobudliwości. Kupiłem kwitnący krzew i posadziłem go w ogrodzie na pamiątkę urodzin Conora; Marley tego samego dnia wyrwał go z korzeniami i przeżuł na mierzwę. Udało mi się wreszcie naprawić podartą siatkę w drzwiach werandy, a Marley, już przyzwyczajony, że ma własnej roboty psie drzwi, bezzwłocznie przefrunął przez nie znowu. Uciekł któregoś dnia, a gdy wrócił, przyniósł w zębach parę damskich majtek. Nie chciałem znać szczegółów.

Mimo przepisanych środków uspokajających, którymi Jenny karmiła go z coraz większą częstotliwością, bardziej dla swojego świętego spokoju niż dla jego, burzowa fobia Marleya z każdym dniem przybierała na sile i stawała się coraz bardziej irracjonalna. Teraz już nawet łagodny deszczyk mógł wpędzić go w panikę. Jeśli byliśmy w domu, kręcił się tylko wokół nas i obśliniał nerwowo nasze ubrania. Jeśli nas nie było, szukał bezpiecznej przystani na swój pomyłony sposób, przekopując i wyłupując sobie drogę przez drzwi, tynk i linoleum. Im więcej naprawiałem, tym więcej niszczył. Nie mogłem za nim nadażyć. Powinienem być na niego wściekły, ale Jenny była wystarczająco wściekła za nas oboje. Więc zamiast się złościć, zacząłem go kryć. Jeśli znalazłem przeżuty but, książkę albo poduszkę, usuwałem dowód przestępstwa, zanim ona na niego wpadła. Kiedy przedzierał się przez nasz mały domek jak byk przez skład porcelany, szedłem za nim, prostując pozwijane dywaniki, ustawiając stoliki do kawy i wycierając ślinę ze ścian. Pędziłem z odkurzaczem do garażu, gdy znowu wydrapał drzwi, by posprzątać wióry drewna, nim Jenny tam zajrzy. Siedziałem długo wieczorami, latając i wygładzając, tak żeby rano, kiedy Jenny wstanie, nie było najmniejszych śladów zniszczenia.

- Na litość boską, Marley, czy ty jesteś samobójcą? - zapytałem go pewnego razu, kiedy stał przy mnie, machając ogonem i liżąc mnie w ucho, podczas gdy na klęczkach naprawiałem najnowszą demolkę. - Musisz z tym skończyć!

Na takie właśnie pełne min pole wkroczyłem pewnego wieczoru. Otworzyłem drzwi do domu i zobaczyłem, jak Jenny okłada Marleya pięściami. Płakała rozpaczliwie i młóciła w niego dziko, bardziej jakby waliła w bęben, niż dawała mu lanie. Ślizgające się ciosy lądowały na jego grzbiecie, karku i szyi.

- Dlaczego? Dlaczego to robisz? - krzyczała na niego. - Dlaczego wszystko niszczysz?

W tym momencie zobaczyłem, co zrobił. Poduszka z tapczanu była wydrażona na wylot, obicie w strzępach, a wnętrzności wyciągnięte na wierzch. Marley stał ze spuszczoną głową, na rozsuniętych nogach, jakby się opierał huraganowi. Nie próbował uciekać ani unikać ciosów. Po prostu stał i brał je na siebie bez skomlenia czy skargi.

- Hej! Hej! Hej! - krzyknąłem, łapiąc ją za rękę. - No już. Wystarczy! Dość!

Szlochała i chwytiała powietrze.

- Dostyc! - powtórzyłem.

Wszedłem między nią a Marleya i przysunąłem twarz dokładnie naprzeciwko jej twarzy. Miałem wrażenie, że patrzy na mnie obca osoba. Nie rozpoznawałem spojrzenia w jej oczach.

- Zabierz go stąd - powiedziała płaskim głosem z odcieniem stłumionego żaru. - Zabierz go stąd natychmiast.

- W porządku, wyjdę z nim - powiedziałem. - Ale uspokój się.

- Zabierz go i trzymaj go stąd z daleka - powtarzała niepokojąco monotonicznie.

Otworzyłem drzwi, Marley wyskoczył na zewnątrz, a kiedy wróciłem, żeby zabrać smycz ze stolika, Jenny powiedziała: - Rozumiesz? Chcę, żeby odszedł. Chcę, żebyś zabrał go stąd na dobre.

- Daj spokój - rzekłem. - Nie myślisz tak.

- Tego chcę - odparła. - Mam go dosyć. Znajdź mu nowy dom albo ja to zrobię.

Nie mogła tak myśleć. Kochała tego psa. Uwielbiała go, mimo długiej listy jego usterek. Była zmartwiona, była zestresowana do granic wytrzymałości. Zmieni zdanie. W tej chwili, myślałem, najlepiej dać jej czas, żeby ochłoneła. Wyszedłem z domu, już nic nie mówiąc. Na podwórzu Marley biegał dookoła, podskakiwał i kłapał szczękami, próbując wyrwać mi smycz z ręki. Już był całym, wesołym sobą, wyraźnie nie ucierpiał od tego walenia pięściami. Wiedziałem, że nic mu nie zrobiła. Uczciwie mówiąc, zwykle dostawał ode mnie dużo mocniej, kiedy bawiłem się z nim na ostro, co uwielbiał i zawsze wracał po więcej. Do charakterystycznych cech jego rasy należała odporność na ból, był niezniszczalną maszyną z mięśni i ścięgien. Raz, kiedy myłem na podjeździe samochód, zaklinował sobie łeb w wiadrze z mydlinami i na ślepo galopował po trawniku przed domem z kubłem nasadzonym ciasno na głowę, nie zatrzymał się, póki nie wyrznął z całej siły w betonowy mur. Nie wyglądało na to, żeby się przejął. Ale wystarczyło klepnąć go w gniewie w zad otwartą dłonią albo nawet powiedzieć coś do niego ostrym głosem i odgrywał głęboko zranionego. Jak na tak wielkiego, ciemnego durnia Marley był niewiarygodnym wrażliwcem. Jenny nie zraniła go fizycznie ani trochę, ale zdruzgotała jego uczucia, przynajmniej na jakiś czas. Była dla niego wszystkim, jednym z jego dwóch najlepszych kumpli na całym świecie. Była jego panią, a on jej wiernym

towarzyszem. I taka osoba właśnie zwróciła się przeciwko niemu.

Jeśli uważała za właściwe go zbić, on uważał za słuszne ukorzyć się i przyjąć ciosy. Jako pies nie był zbyt dobry w zbyt wielu rzeczach, ale jego wierność nie podlegała dyskusji. Teraz do mnie należało naprawienie szkód i doprowadzenie do tego, żeby wszystko wróciło na swoje miejsce. Na ulicy przypiąłem mu smycz i powiedziałem: - Siad!

Usiadł. Podsunąłem mu wyżej obrozę, żeby przygotować się do spaceru. Zanim ruszyliśmy, wyciągnąłem rękę i pogładziłem go po karku. Pociągnął nosem w powietrzu i spojrzał na mnie w górę. Wystawiony na zewnątrz język zwisał do połowy szyi. Wyglądało na to, że już zapomniał o incydencie z Jenny. Miałem nadzieję, że ona również o tym zapomni.

- Co mam z tobą zrobić, wielki głupku? - zapytałem go. Skoczył w górę jak na sprężynie i przejechał językiem po moich ustach.

Przeszliśmy tego wieczoru z Marleyem całe kilometry, a gdy w końcu otworzyłem drzwi do domu, był wykończony na tyle, by spokojnie walnąć się w kącie. Jenny karmiła Patricka ze słoiczka i kołysała Conora na kolanach. Nic nie mówiła i wydawało się, że wróciła do siebie. Odpiąłem Marleyowi smycz, a on napił się solidnie, chlapiąc zdrowo i rozbryzgując małe fale przyływu poza brzegi miski. Wytarłem podłogę i rzuciłem okiem w kierunku Jenny. Zdawała się nieporuszona. Wyglądała, jakby nie zrobiło to na niej żadnego wrażenia. Może straszliwa chwila minęła. Może to przemyślała. Może było jej wstyd za ten wybuch i szukała słów, żeby przeprosić. Kiedy przechodziłem obok niej z Marleyem, który deptał mi po piętach, powiedziała cichym, opanowanym głosem, nie patrząc na mnie: - Mówię absolutnie serio. Nie chcę go tutaj.

Przez kilka następnych dni powtarzała to ultimatum wystarczająco często, żebym w końcu przyjął do wiadomości, że nie jest to próżna groźba. To nie było zwykłe spuszczenie pary i gadanie, które rozejdzie się po kościach. Nie mogłem tego znieść. Może to brzmi żałośnie, ale Marley stał się moim jedynym prawdziwym kumplem, moim niemal nieodłącznym towarzyszem, moim przyjacielem. Był niezdyscyplinowanym, krnąbrnym, nonkonformistycznym, politycznie niepoprawnym wolnym duchem, jakim zawsze chciałem być, tylko brakowało mi odwagi, i czerpałem zastępczą radość z jego nieposkromionej żywiołowości. Nieważne, jak skomplikowane stało się życie, przypominał mi o jego prostych przyjemnościach. Nieważne, jak wiele stawiano mi żądań, nigdy nie pozwolił mi zapomnieć, że świadome nieposłuszeństwo jest czasami warte swojej ceny. W świecie pełnym szefów był sam sobie panem. Myśl, że mam go oddać, wypalała mi duszę. Ale musiałem się troszczyć o moich dwóch synów i o żonę, której potrzebowaliśmy. Nasz dom trzymał się teraz na wątej niteczce. Jeśli oddanie Marleya oznaczało powrót z chaosu do stabilności, jak mógłbym nie spełnić życzenia Jenny?

Zacząłem wysyłać balony próbne. Nieśmiało pytałem znajomych i współpracowników, czy nie byłiby zainteresowani przyjęciem rozkosznego i żywotnego dwuletniego labradora retrievera. Z ust do ust dotarła do mnie wiadomość o sąsiedzie, który uwielbia psy i nie potrafiłby żadnemu odmówić w potrzebie. Nawet on powiedział nie. Niestety, wszyscy znali reputację Marleya.

Każdego ranka otwierałem gazetę na stronie z ogłoszeniami drobnymi, jakbym mógł tam znaleźć cudowny anons: „Poszukiwany dziko energiczny, nieposłuszny labrador retriever z licznymi fobiami. Zdolności niszczycielskie będą dodatkową zaletą. Zapłacimy pełną stawkę”. Odkryłem

jedynie ogromną podaż młodych, dorosłych psów, które - z różnych przyczyn - nie funkcjonowały jak trzeba. Wiele z nich było rasowych i ich właściciele zaledwie parę miesięcy wcześniej zapłacili za nie po kilkaset dolarów. Teraz chcieli je oddać za grosze albo nawet za darmo. Zatrważająca część z tych niechcianych psów to były samce labradory.

Podobne ogłoszenia ukazywały się niemal codziennie. Jednocześnie rozdzierały mi serce i rozśmieszały. Jako fachowiec w tej dziedzinie rozpoznawałem próby upiększania rzeczywistych powodów powrotu tych psów na rynek. Anonse pełne były pogodnych eufemizmów określających zachowania, które znałem od podszewki. „Żywy... kocha ludzi... potrzebuje dużego podwórka... potrzebuje przestrzeni do biegania... energiczny... pełen werwy... silny... wyjątkowy”. Wszystkie sprowadzały się do tego samego: pies, którego właściciel nie potrafił opanować. Pies, który stał się ciężarem. Pies, którego właściciel się poddał.

Z jednej strony śmiałem się ze znajomością rzeczy, bo ogłoszenia były komiczne w swoich szachrajstwach. Kiedy czytałem „gorąco wierny”, wiedziałem, że nadawca naprawdę ma na myśli: „może pogryźć”. „Nieodłączny towarzysz” oznaczał: „cierpi na strach przed opuszczeniem”, a „dobry stróż” tłumaczył się na: „szczeka bez przerwy”. A kiedy widziałem „najlepsza cena”, nie miałem wątpliwości, że zdesperowany właściciel naprawdę pyta: „Ile muszę dopłacić, żeby ktoś go zabrał z moich oczu?”. Z drugiej strony zwijałem się z bolesnego smutku. Nie byłem dezerterem ani nie wierzyłem, że Jenny nim jest. Nie należeliśmy do ludzi, którzy pozbywają się problemu za pomocą kłamliwego ogłoszenia. Nie da się zaprzeczyć, że Marley był jak niesforne dziecko. W niczym nie przypominał tych statecznych psów, z którymi oboje dorastaliśmy. Miał mnóstwo złych nawyków i narowów. Był winien wszystkich zarzutów. Ale przeszedł też daleką

drogę od niezdarnego szczeniaka, którego przynieśliśmy do domu dwa lata temu. Na swój nieudolny sposób starał się. Część naszej podróży jako jego właściciele spędziliśmy na kształtowaniu go według naszych potrzeb, ale częściowo też przyjmowaliśmy go takim, jaki był. Nie tylko dlatego, że go akceptowaliśmy, ale też dlatego, żeby uszanować jego niepokonanego psiego ducha. Wzięliśmy do domu żywą, oddychającą istotę, a nie modny przedmiot, który można rzucić w ką. Na dobre i na złe był naszym psem. Był częścią naszej rodziny i mimo wszystkich swoich wad po stokroć odwzajemniał nasze uczucia. Takiego przywiązania nie dałoby się kupić za żadną cenę.

Nie mogłem się go pozbyć.

Chociaż na pół gwizdka ciągnąłem wymuszone poszukiwania nowego domu dla Marleya, to jednocześnie poważnie się zabrałem do jego nauki. Moja prywatna „Mission: Impossible” miała doprowadzić do rehabilitacji Marleya i udowodnienia Jenny, ile jest wart. Niech szlag trafi przerywany sen - zacząłem zrywać się o świcie, przypinałem Patricka do spacerówki i szliśmy nad wodę, żeby poddać Marleya próbie. Siad. Zostań. Waruj. Noga. Ćwiczyliśmy na okrągło. W mojej misji była desperacja, a Marley zdawał się to wyczuwać. Stawka się zmieniła. Tym razem robiliśmy to naprawdę. Na wszelki wypadek, gdyby jeszcze nie całkiem rozumiał, tłumaczyłem mu to nie raz bez ogródek: - Teraz nie możemy skrewić, Marley. Nie jesteśmy tu po to, żeby się kręcić w kółko. Tak jest! Idziemy!

I przepuszczałem go znowu przez młyn komend, a mój pomocnik Patrick klaskał i wołał do swego wielkiego żółtego przyjaciela:

- Waddy! Hej - ho!

Znowu zapisałem Marleya do szkoły posłuszeństwa. Teraz był już innym psem niż ten młodociany przestępca, z którym

pokazałem się tu za pierwszym razem. Tak, wciąż był szalony jak dzika świnia, ale już wiedział, że ja jestem szefem, a on podwładnym. Tym razem nie było wycieczek do innych psów (a przynajmniej niewiele), nie było niekontrolowanego halsowania po placu ani wpadania w krocza obcych ludzi. Po ośmiu tygodniach maszerowałem z nim na komendę na krótkiej smyczy i był zadowolony - czytaj rozradowany - z naszej współpracy. Na ostatniej lekcji treserka - wyluzowana kobieta, przeciwieństwo panny Dominatrix - wezwała nas przed klasę. - Bardzo proszę - powiedziała. - Pokażcie, co potraficie.

Kazałem Marleyowi usiąść i opadł posłusznie. Podciągnąłem mu łańcuch obroży na szyi i krótkim szarpnięciem smyczy kazałem iść przy nodze. Przedreptaliśmy przez cały parking tam i z powrotem. Marley trzymał się przy boku, łopatką szorował po mojej łydce, tak jak nakazywał podręcznik. Znowu kazałem mu usiąść i stanąłem naprzeciwko niego, wyciągając palec w kierunku jego czoła.

- Zostań - powiedziałem spokojnie i wypuściłem smycz z drugiej ręki. Zrobiłem kilka kroków do tyłu. Utkwił we mnie wielkie brązowe oczy. Czekał na najmniejszy znak, który by go uwolnił, lecz trwał zakotwiczony. Obszedłem go dookoła. Drżał z podniecenia i próbował obracać głowę, zupełnie jak Linda Blair (Linda Blair - amerykańska aktorka, zasłynęła rolą opętanej przez diabła dziewczynki w „Egzorcycie” (1973) - przyp. tłum.), żeby nie stracić mnie z oczu, ale nie ruszył się z miejsca ani o włos. Kiedy znów znalazłem się przed nim, strzeliłem palcami i krzyknąłem: - Nalot!

Padł plackiem, jakby szykował się do szturm na Iwo Jima. Nauczycielka wybuchła śmiechem, dobry znak. Odwróciłem się od niego i odszedłem dziesięć metrów. Czuję, jak jego oczy wypalają mi dziury w plecach, ale trzymał się. Trząsał się gwałtownie do chwili, aż odwróciłem

się twarzą w jego stronę. Wulkan był gotowy do wybuchu. Rozstawiłem szeroko stopy, przyjmując pozycję boksera w oczekiwaniu na to, co zaraz nastąpi. Powiedziałem: - Marley... - i pozwoliłem, by imię zawisło w powietrzu na kilka sekund. - Chodź!

Wystrzelił w moim kierunku wszystkim, co miał. Spiałem się na przyjęcie impetu. W ostatniej chwili z wdziękiem toreadora zgrabnie ustąpiłem mu z drogi. Przeleciał obok, po czym zawrócił i trącił mnie od tyłu nosem.

- Dobry piesek, Marley! - wyrzuciłem z siebie, padając na kolana. - Dobry, dobry piesek! Jesteś dobrym psem! - tańczył dookoła mnie, jakbyśmy właśnie zdobyli razem Mount Everest.

Na zakończenie wieczoru nauczycielka wezwała nas do siebie i wręczyła dyplom. Marley ukończył kurs posłuszeństwa dla początkujących jako siódmy w klasie. I co z tego, że klasa składała się z ośmiu psów, a ten ósmy był psychopatycznym pitbulem, który wyglądał, jakby przy pierwszej okazji miał dokonać zamachu na ludzkie życie? Udało mi się. Marley, mój niepoprawny, niewyuczalny, niezdyscyplinowany pies, zdał egzamin. Byłem tak dumny, że chciało mi się krzyczeć. I krzyczałbym, gdyby Marley nie podskoczył i nie zjadł szybko swojego dyplomu.

W drodze do domu śpiewałem na całe gardło „We Are the Champions”. Marley, czując moją dumę i radość, lizał mnie w ucho. Tym razem nie miałem nic przeciw temu.

Została jeszcze jedna niezłałatwiona sprawa między mną a Marleyem. Musiałem go oduczyć jednego z najgorszych zwyczajów - skakania na ludzi. Nie miało znaczenia, czy to swój, czy obcy, dziecko czy dorosły, pan od licznika czy kurier z przesyłką. Marley witał każdego w ten sam sposób - pędził do niego pełnym gazem, wykonywał ślizg przez podłogę, podskakiwał, umieszczał obie przednie łapy na jego

piersi lub ramionach i lizał po twarzy. Co było urocze u rozbrajającego szczeniaka, stało się teraz nieznośne, a nawet straszne dla niektórych odbiorców jego nieproszonych uprzejmości. Przewracał dzieci, przerażał gości, brudził suknie, bluzki oraz koszule naszych przyjaciół i prawie rozłożył na łopatki moją kruchą matkę. Nikt tego nie akceptował. Staralem się bezskutecznie odzwyczaić go od skakania za pomocą standardowych technik tresury psów. Informacja do niego nie docierała. Aż pewien doświadczony psiarz, którego szanowałem, poradził mi:

- Jeśli chcesz mu to wybić z głowy, następnym razem, gdy na ciebie skoczy, uderz go szybko kolaniem pod żebra.

- Nie chcę mu sprawić bólu - odparłem.

- Nie sprawisz mu bólu. Parę solidnych szturchnięć kolaniem i gwarantuję, że skakanie mu przejdzie.

To były czasy trudnej miłości. Marley musiał się zreformować albo wyprowadzić. Następnego wieczoru, gdy wróciłem z pracy, przekroczyłem próg i zawołałem „Jestem!”, Marley jak zwykle zadudnił po drewnianej podłodze, żeby mnie przywitać. Przejechał ślizgiem ostatnie trzy metry jak po lodzie, potem wybił się, żeby gruchnąć łapami w moją pierś i mlasnąć mnie po twarzy. Gdy tylko dotknął mnie łapami, szybko uniosłem kolano i uderzyłem nim w miękkie miejsce tuż pod zębami. Stracił oddech i zjechał na podłogę. Spoglądał na mnie zmieszany, próbując zrozumieć, co mnie napadło. Skakał na mnie całe życie, więc skąd ten nagły, podstępny atak?

Kolejnego wieczoru znowu wymierzyłem mu karę cielesną. Skoczył, podniosłem kolano, spadł na ziemię, kaszląc. Czuję się trochę okrutny, ale jeśli chciałem uniknąć umieszczania go w ogłoszeniach drobnych, musiałem doprowadzić sprawę do końca.

- Wybacz, stary - powiedziałem, pochylając się, żeby mógł dać mi buziaka, stojąc przy tym wszystkimi czterema łapami na ziemi. - Robię to dla ciebie.

Kiedy wszedłem do domu trzeciego wieczoru, wypadł z za rogu w swoim typowym ślizgu. Tym razem jednak zachował się inaczej. Zamiast skakać, trzymał łapy na ziemi, ale trzasnął łbem w moje kolana, prawie mnie przewracając. Uznałem to za zwycięstwo.

- Nauczyłeś się, Marley! Potrafisz! Dobry pies! Nie skoczyłeś!

I padłem na kolana, żeby mógł mnie oślinić bez narażania się na karzący cios. Byłem pod wrażeniem. Marley ugiął się pod siłą perswazji.

Problem nie został jednak do końca rozwiązany. Może się wyleczył ze skakania na mnie, ale nie wyleczył się ze skakania na wszystkich innych. Ten pies był na tyle sprytny, żeby zrozumieć, że tylko ja stanowię zagrożenie, a na resztę ludzkości może skakać bezkarnie. Musiałem rozszerzyć ofensywę i w tym celu zaangażowałem jednego z mych dobrych przyjaciół z pracy, reportera o nazwisku Jim Tolpin. Jim, łysiejący okularnik wiotkiej budowy, miał łagodne usposobienie mola książkowego. Na kogoś takiego zdaniem Marleya można było skakać bez konsekwencji. Pewnego dnia w redakcji przedstawiłem Jimowi plan. Ma przyjść do nas po pracy, zadzwonić do drzwi, a potem wejść. Kiedy Marley skoczy, żeby go pocałować, ma go kopnąć z całej siły. - Bez żadnych oporów - pouczyłem go. - Subtelności do Marleya nie przemawiają.

Wieczorem Jim zadzwonił do drzwi i wszedł do środka. Marley oczywiście złapał przynętę i śmignął do niego z rozwianymi uszami. Kiedy tylko pies oderwał się od ziemi, żeby oprzeć się na nim, Jim wziął moją radę do serca. Wyraźnie się martwił, żeby nie wyjść na zbyt bojaźliwego, bo

wyprowadził miazdzący cios kolaniem prosto w splot słoneczny Marleya, wykopując z niego całe powietrze. Głuchy odgłos rozległ się po całym pokoju. Marley wydał z siebie głośny jęk, potoczył błędnym wzrokiem i padł na podłogę.

- Jezu, Jim! - powiedziałem. - Czy ty trenujesz kung - fu?

- Mówiłeś, że ma poczuć - odparł.

Poczuł. Stał na nogi, złapał oddech i powitał Jima, jak pies powinien - na wszystkich czterech łapach. Gdyby potrafił mówić, przysięgam, że pokornie przyznałby się do porażki. Nigdy więcej na nikogo nie skoczył, przynajmniej w mojej obecności, i nikt już nigdy nie kopał go w pierś ani w żadne inne miejsce.

Niedługo po tym jak Marley porzucił swój obyczaj skakania na ludzi, obudziłem się pewnego ranka i odkryłem, że moja żona znowu jest przy mnie. Moja Jenny, moja miłość, która zniknęła w nieprzeniknionej szarej mgle, wróciła do mnie. Poporodowa depresja tak nagle, jak ją ogarnęła, tak samo nagle zniknęła. Zupełnie jakby ktoś za pomocą egzorcyzmów wyrzucił z niej demony. Odeszły. Na szczęście odeszły. Była silna, podźwignęła się. Nie tylko radziła sobie jako młoda matka dwóch maluchów, ale wręcz rozkwitła. Marley wrócił do jej łask, bezpieczny na twardym gruncie. Z dzieckiem w każdej ręce pochylała się, żeby go pocałować. Rzuciła mu patyki i przyrządziła dla niego sos z tłuszczu po smażeniu hamburgerów. Tańczyła z nim dookoła pokoju, kiedy z wieży leciał dobry kawałek. Czasem wieczorem, gdy był spokojny, zastawiałem ją, jak leżała na podłodze z głową opartą na jego szyi. Jenny wróciła. Wróciła, Bogu niech będą dzięki!

ROZDZIAŁ 16

Zdjęcia próbne

Zdarzają się w życiu rzeczy tak dziwne, że muszą być prawdziwe, więc kiedy Jenny zadzwoniła do mnie do biura i powiedziała, że Marley dostał zaproszenie na zdjęcia próbne do filmu, wiedziałem, że tego nie zmyśliła.

Mimo to nie dowierzałem własnym uszom.

- Słucham? - zapytałem.

- Zdjęcia próbne do filmu.

- Chodzi o kino?

- Tak, chodzi o film wyświetlany w kinie, osiołku - powiedziała. - Pełnometrażowy.

- Marley? Film? Pełnometrażowy?

Gawędziliśmy w ten sposób jakiś czas, a ja próbowałem pogodzić obraz naszego bezmózgiego przeżuwacza desek do prasowania z wizją dumnego następcy Rin Tin Tina, który, skacząc po srebrnym ekranie, ratuje bezradne dzieci z płonących budynków.

- Nasz Marley? - zapytałem jeszcze raz, po to tylko, by się upewnić.

To była prawda. Tydzień wcześniej zadzwonił do Jenny jej kierownik z redakcji „Palm Beach Post”. Powiedział, że jego przyjaciółka chciałaby nas poprosić o przysługę. Była miejscowym fotografem, nazywała się Colleen McGarr. Zaangażowała ją nowojorska wytwórnia Shooting Gallery do pomocy przy filmie, który zamierzali kręcić w pobliskim miasteczku Lake Worth. Zadaniem Colleen było znalezienie domu „stanowiącego kwintesencję Florydy Południowej” i obfotografowanie go od fundamentów po czubek komina, a także wewnątrz - półki na książki, ozdobne magnesy na lodówce, szafy i co tam jeszcze mogłoby pomóc reżyserowi nasycić film realizmem.

- Cała ekipa to geje - powiedział Jenny jej szef. - Próbuja sobie wyobrazić, jak się tutaj żyje małżeńskim parom z dziećmi.

- Coś jak badania antropologiczne? - domyśliła się Jenny.

- Właśnie.

- Nie ma sprawy - zgodziła się moja żona. - Jeśli tylko nie będę musiała wcześniej posprzątać.

Colleen przyszła i zaczęła fotografować nie tylko naszą posesję, ale nas także. Jak jesteśmy ubrani, jakie mamy fryzury i w jaki sposób wylegujemy się na kanapie. Robiła zdjęcia szczoteczkom do zębów przy umywalce. Fotografowała nasze dzieci w łóżeczkach. Fotografowała także dumę naszej kwintesencjonalnie heteroseksualnej pary - psa eunucha. A przynajmniej to, co z niego udało się uchwycić na zdjęciu.

- Trochę jest rozmazany - zauważyła.

Marley był skrajnie podekscytowany udziałem w przedsięwzięciu. Odkąd pojawiły się dzieci, szukał odzewu na swoje uczucia wszędzie, gdzie tylko mógł go znaleźć. Dopóki Colleen okazywała mu zainteresowanie, gotów był zgodzić się nawet na szturchanie elektryczną pałką. Ale Colleen była wielbicielką dużych zwierząt i nie zrażały jej prysznice śliny, więc poświęciła mu mnóstwo czasu - nawet klękała na podłodze, żeby z nim pobaraszkować.

Gdy Colleen pstrykała dookoła, mnie opanowała natrętna myśl o możliwej przyszłości. Nie tylko dostarczyliśmy świeżych antropologicznych danych ekipie filmowej, ale tak naprawdę osobiście braliśmy udział w castingu. Słyszałem, że większość drugoplanowych aktorów i wszyscy statyści mają zostać zaangażowani spośród miejscowych. A jeśli reżyser dostrzeże samorodny talent między kuchennymi magnesami i plakatami z galerii sztuki? Zdarzały się już dziwniejsze rzeczy.

Miałem przed oczami reżysera - w mojej wyobraźni był bardzo podobny do Stevena Spielberga - oto pochyla się nad wielkim stołem wypełnionym setkami fotografii. Grzebie wśród nich niecierpliwie, mrużąc: „Śmiecie! Śmiecie! Nic z tego nie będzie!”. I nagle zastyga nad jedną odbitką. Na niej szorstki, ale wrażliwy, kwintesencjonalnie heteroseksualny samiec krząta się przy swoich codziennych zajęciach ojca rodziny. Reżyser mocno dźga palcem w zdjęcie i krzyczy do asystentów: „Dawać mi tego gościa! Muszę go mieć!”. Kiedy w końcu mnie wytropią, najpierw skromnie odmówię, by potem zgodzić się na przyjęcie głównej roli. No bo w końcu przedstawienie musi trwać.

Colleen podziękowała, że zechcieliśmy otworzyć przed nią nasz dom, i poszła sobie. Nie dała nam żadnego powodu, by sądzić, że czy to ona, czy ktokolwiek związany z filmem miałby się do nas jeszcze odezwać. Spełniliśmy swój obowiązek. Ale kilka dni później Jenny zadzwoniła do mnie do pracy i powiedziała:

- Właśnie rozmawiałam z Colleen McGarr i nie uwierzysz! Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że właśnie zostałem odkryty.

- Mów - ponagliłem.

- Powiedziała, że reżyser chce spróbować z Marleyem.

- Z Marleyem? - zapytałem, bo z pewnością się przesłyszałem. Nie wyglądało na to, żeby zauważyła konsternację w moim głosie.

- On szuka właśnie takiego dużego i głupiego psa, żeby zagrał rodzinnego pupila, i Marley zwrócił jego uwagę.

- Głupiego? - upewniłem się.

- Tak powiedziała Colleen. Że reżyser chce dużego i głupiego.

Cóż, z pewnością trafił pod właściwy adres.

- Czy Colleen nie mówiła, że wspominał coś o mnie? - zapytałem.

- Nie - odparła Jenny. - A dlaczego miałyby to robić?

Colleen przyjechała po Marleya następnego dnia. Wiedział, jak istotne jest pierwsze wrażenie, więc wybiegł galopem z salonu, by ją przywitać z całym rytuałem. Przerwał tylko na chwilę, żeby zgarnąć w zęby najbliższą poduszkę, bo nigdy nie wiadomo, kiedy zmęczony reżyser zechce sobie uciąć drzemkę, a gdyby zechciał, Marley wolał być przygotowany.

Na drewnianej podłodze wpadł w poślizg i zatrzymał się dopiero, gdy walnął o stół do kawy, poszybował w powietrze, zderzył się z krzesłem, wylądował na plecach, przekościłkował, stanął na łapach i wpadł głową w nogi Colleen. Przynajmniej na nią nie skoczył, co zauważyłem z satysfakcją.

- Może damy mu coś na uspokojenie? - zaproponowała Jenny.

Ale Colleen się upierała, że reżyser chciał go w takim właśnie nieokiełznanym, niezrównoważonym stanie, i poszła z naszym desperacko szczęśliwym psem u boku do swego czerwonego pikapa.

Dwie godziny później Colleen i spółka wrócili z werdyktem, że Marley pozytywnie zaliczył zdjęcia próbne.

- Och, nie mów! - wybuchła Jenny. - To niemożliwe!

Nasza euforia nie zmalała o jotę, nawet gdy Colleen przyznała, że Marley był jedynym kandydatem do roli. Ani wtedy, gdy powiedziała, że będzie to jedyna niepłatna rola w filmie.

Zapytałem, jak było na zdjęciach próbnych.

- W samochodzie z Marleyem czułam się, jakbym jechała w jacuzzi - zaczęła. - Obślinił wszystko. Zanim dojechaliśmy na miejsce, byłam kompletnie przemoczona.

Gdy dotarli do kwatery głównej producenta filmu w hotelu GulfStream, niegdyś ważnym obiekcie turystycznym nad kanałem Intracoastal Waterway, Marley od razu zrobił duże wrażenie na personelu, bo wyskoczył z ciężarówki i zaczął ganiać po parkingu wte i wewte, jakby chciał uniknąć bomb, które lada chwila zaczną spadać.

- Po prostu biegał jak oszalały - opowiadała. - Kompletny czubek.

- Taak, potrafi się ekscytować - przytaknąłem.

W pewnej chwili, mówiła, Marley wyrwał książeczkę czekową z ręki jednego z pracowników i rzucił się do ucieczki, klucząc w serii skomplikowanych ósemek donikąd, najwyraźniej przekonany, że to jedyny sposób, by zagwarantować sobie zapłatę.

- Mówimy o nim „labrador uciekinier” - usprawiedliwiła się Jenny z uśmiechem, na jaki może sobie pozwolić jedynie dumna matka.

Na koniec Marley uspokoił się na tyle, by przekonać wszystkich, że może zagrać w filmie, miał tam zresztą zasadniczo grać samego siebie. Film nosił tytuł „The Last Home Run” - była to baseballowa historyjka, w której 79 - letni pensjonariusz domu starców staje się na pięć dni dwunastolatkiem, żeby spełnić swoje marzenie i zagrać w meczu małej ligi. Marley został obsadzony w roli nadaktywnego psa rodziny trenera małej ligi, którego grał emerytowany znany baseballista Gary Carter.

- Oni naprawdę chcą go zaangażować do tego filmu? - zapytałem, wciąż nie dowierzając.

- Wszyscy go pokochali - zapewniła Colleen. - Jest doskonały.

Zanim nadszedł dzień zdjęciowy, zauważyliśmy subtelną zmianę w zachowaniu Marleya. Zapanował w nim dziwny

spokój. Tak jakby zaliczenie zdjęć próbnych dało mu nową porcję pewności siebie. Zachowywał się niemal po królewsku.

- Może po prostu potrzebował, żeby ktoś w niego uwierzył - powiedziałem do Jenny.

Jeśli ktokolwiek w niego uwierzył, to właśnie ona - Nadzwyczajna Mama Gwiazdy Filmowej. Gdy zbliżał się termin kręcenia, wykapała go. Wyszczotkowała. Obcięła mu pazury i wyczyściła uszy.

Rankiem tego dnia, kiedy miały się rozpocząć zdjęcia, wyszedłem z sypialni i zastałem splątanych ze sobą Jenny i Marleya. Jakby zwarci w śmiertelnej walce miotali się po całym pokoju. Jenny ścisnęła go mocno kolanami, przytulona do jego żeber. Jedną ręką trzymała za obrozę, a on się wiercił i wywijał. W salonie odbywało się coś w rodzaju rodeo.

- Co tu się dzieje, na litość boską? - zapytałem.

- A jak myślisz? - odpaliła. - Myję mu zęby!

Rzeczywiście, w drugiej ręce trzymała szczoteczkę do zębów i robiła, co mogła, żeby dotrzeć do wielkich lśniących białych kłów, podczas gdy Marley, tocząc obficie pianę z pyska, robił, co mógł, żeby zjeść szczoteczkę. Miał objawy wścieklizny.

- Czy używasz pasty do zębów? - zapytałem, z czego oczywiście wynikało dużo ważniejsze pytanie: „A jak zamierzasz go nakłonić, żeby to wypluł?”

- Sody do pieczenia - odpowiedziała.

- Dzięki Bogu - uspokoiłem się. - Więc to nie jest wścieklizna.

Godzinę później wyruszyliśmy do hotelu GulfStream. Chłopcy siedzieli w samochodowych fotelikach, Marley między nimi, ziejąc dookoła niespotykane świeżym oddechem. Otrzymaliśmy instrukcje, by pojawić się punkt dziewiąta, ale kilka ulic przed hotelem wpadliśmy w gigantyczny korek. Dalsza droga była zamknięta, a oficer

policji kierował ruch tak, by omijał hotel. O filmie już pisały gazety - to najbardziej niezwykle wydarzenie, odkąd kręcono tutaj „Body Heat” jakieś piętnaście lat temu, miało wyrwać z drzemki senne miasteczko Lake Worth - więc pojawił się tłum gapiów. Policja wszystkich zawracała. Posuwaliśmy się w żółtym tempie, a kiedy wreszcie dotarliśmy do policjanta, wychyliłem się przez okno.

- Musimy tam wjechać - zawołałem.

- Nikogo nie puszczamy - odpowiedział. - Proszę jechać dalej. Już!

- Wieziemy aktora - wyjaśniłem.

Popatrzył na nas sceptycznie. Zobaczył małżeństwo w mini - vanie, dwóch brzdąców i rodzinnego pupila na dodatek.

- Powiedziałem, jechać! - warknął.

- Nasz pies gra w tym filmie - oznajmiłem. Nagle spojrzał na mnie z pewnym szacunkiem.

- Pan ma psa? - zapytał. Miał psa na swojej liście.

- Tak - potwierdziłem. - Psa Marleya.

- Gra siebie samego - dorzuciła Jenny.

Odwrócił się i dmuchnął w gwizdek, jakby odtrąbił fanfary.

- On ma psa! - krzyknął do gliniarza stojącego pół przecznicę dalej. - Pies Marley!

Tamten gliniarz z kolei wrzasnął do kogoś jeszcze:

- On ma psa! Pies Marley jest tutaj!

- Przepuście ich! - krzyknął trzeci oficer z daleka.

- Przepuście ich! - powtórzył drugi gliniarz jak echo.

Nasz oficer odsunął barierę i machnął przyzwalająco.

- Prosto tą drogą - powiedział grzecznie.

Czułem się jak rodzina królewska. Kiedy przetaczaliśmy się obok niego, powtórzył jeszcze raz, jakby nie mógł w to do końca uwierzyć: „On ma psa”.

Na parkingu przed hotelem filmowcy czekali gotowi do akcji. Splątane kable na chodniku, statywy do kamer i mikrofony. Reflektory zawieszane na rusztowaniach. Garderoby w przyczepach kempingowych. W cieniu ustawiono dwa wielkie stoły z jedzeniem i piciem dla obsługi i aktorów. Dookoła krztałi się ludzie w przeciwsłonecznych okularach, z minami waśniaków. Reżyser Bob Gosse przywitał nas i krótko opowiedział, co ma się dzieć w najbliższej scenie. To było dość proste. Minivan parkuje przy krawężniku, za kierownicą siedzi niby - właścicielka Marleya grana przez Lizę Harris. Jej córka - w tej roli zdolna nastolatka Danielle z miejscowego kółka teatralnego - i syn - inny obiecujący miejscowy aktor, na oko dziewięcioletni - siedzą z tyłu z psem, którego gra Marley. Córka otwiera przesuwne drzwi i wyskakuje, jej brat wysiada za nią z Marleyem na smyczy. Wychodzą za kamerę. Koniec sceny.

- To łatwe - powiedziałem do reżysera. - Powinien sobie z tym poradzić, nie ma problemu.

Odciągnąłem Marleya na bok, żeby poczekać na jego kolej wchodzenia do vana.

- OK, ludzie, słuchajcie! - oznajmił Gosse załodze. - Pies jest trochę pomyłony, rozumiecie? Ale zanim kompletnie rozwali scenę, musimy kręcić.

Po czym wyjaśnił, co ma na myśli: Marley jest prawdziwym, typowym rodzinnym psem - a celem jest uchwycenie, jak typowy rodzinny pies zachowuje się na typowym rodzinnym spacerze. Żadnego grania i trenowania. Czyste cinema - verite.

- Pozwólmy mu być sobą - poinstruował - i pracujmy.

Kiedy wszyscy byli gotowi do akcji, załadowałem Marleya do vana i podałem nylonową smycz małemu chłopcu, który wyglądał na przerażonego.

- On jest łagodny - uspokoiłem go. - Chciałby cię tylko polizać. Widzisz?

Wsadziłem pięść w paszczę Marleya, żeby tego dowieść.

Ujęcie pierwsze: van zatrzymuje się przy krawężniku. Gdy tylko córka uchyla drzwi, żółty pocisk wypada z nich jak gigantyczna futrzana kula z karabinu i przemyka przed kamerami, ciągnąc za sobą czerwoną smycz.

- Cięcie!

Upolowałem Marleya na parkingu i przyholowałem z powrotem.

- OK, ludzie, próbujemy jeszcze raz - powiedział Gosse.

A potem łagodnie pouczył chłopca: - Pies jest trochę dziki. Następnym razem postaraj się mocniej go trzymać.

Ujęcie drugie: van parkuje przy krawężniku. Drzwi się uchylają. Córka zaczyna wysiadać, ale Marley przepycha się przez nią, tym razem ciągnąc za sobą zbielały nadgarstek i pobladłego chłopca.

- Cięcie!

Ujęcie trzecie: van parkuje. Drzwi się otwierają. Córka wysiada. Chłopiec wysiada, trzymając smycz. Kiedy odchodzi od samochodu, smycz się napręża, ale pies nie wysiada. Chłopiec zaczyna szarpać, siłować się, ciągnąć. Zawiesza się na smyczy i daje z siebie wszystko. Żadnej reakcji. Mija kilka długich, boleśnie pustych sekund. Chłopiec z grymasem odwraca się do kamery.

- Cięcie!

Zajrzałem do vana i zobaczyłem, że Marley leży zwinięty i lize się tam, gdzie żadnemu mężczyźnie nie przysłoby do głowy się lizać. Spojrzał na mnie, jakby chciał powiedzieć: „Nie widzisz, że jestem zajęty?”.

Ujęcie czwarte: ładuję Marleya na tylne siedzenie vana razem z chłopcem i zamykam drzwi. Zanim Gosse zawoła „Akcja!”, robi kilkuminutową przerwę, żeby porozmawiać z

asystentami. Wreszcie zaczynają kręcić. Van dotacza się do krawężnika. Drzwi się otwierają. Córka wysiada. Chłopiec wysiada, ale z konsternacją na twarzy. Patrzy prosto w kamerę i podnosi ręce do góry. Zwisa z nich połowa smyczy z postrzępionym i obślinionym końcem.

- Cięcie! Cięcie! Cięcie!

Chłopiec wyjaśnił, że kiedy czekali w samochodzie, Marley zaczął żuć smycz i nie chciał przestać. Ekipa i aktorzy gapili się na solidną smycz z niedowierzaniem, mieszaniną przestachu i odrazy na twarzach, jakby właśnie byli świadkami jakiegoś wielkiego i tajemniczego wybryku natury. Ja nie byłem specjalnie zaskoczony. Marley wysłał na cmentarz więcej smyczy i lin, niż mógłbym policzyć. Zdarzyło mu się nawet przegryźć ogumowany stalowy kabel, który reklamowano jako „używany w przemyśle lotniczym”. Wkrótce po narodzinach Conora Jenny przyszła do domu z nowym produktem, psią uprzężą, która miała pozwolić przypiąć Marleya do pasów bezpieczeństwa, tak żeby nie mógł wędrować po wnętrzu jadącego samochodu. W ciągu pierwszych dziewięćdziesięciu sekund korzystania z nowego urządzenia udało mu się przegryźć nie tylko uprzęż, ale także pasy naszego nowiutkiego minivana.

- Dobra, robimy przerwę! - ogłosił Gosse. Odwracając się do mnie, zapytał zadziwiająco spokojnym głosem: - Jak szybko może pan załatwić nową smycz?

Nie musiał mi wyjaśniać, ile go kosztuje każda minuta bezczynności zrzeszonych w związkach zawodowych aktorów i ekipy filmowej.

- Sklep dla zwierząt jest kilometr stąd - powiedziałem. - Za kwadrans będę z powrotem.

- Tylko niech pan znajdzie tym razem coś, czego on nie zdoła przegryźć.

Wróciłem ze smyczą z ciężkiego łańcucha, która wyglądała, jakby jej mógł używać treser lwów, i rozpoczęliśmy powtarzanie kolejnych nieudanych ujęć. Każda następna próba była gorsza niż poprzednia. W pewnej chwili Danielle, nastoletnia aktorka, krzyknęła desperacko z prawdziwym przerażeniem w głosie:

- O Boże, TO mu wyszło!

- Cięcie!

W innej scenie Marley tak głośno dyszał u stóp Danielle, która rozmawiała przez telefon o swoich sercowych kłopotach, że operator dźwięku z niesmakiem zdjął słuchawki, by się poskarżyć:

- Nie rozumiem ani słowa z tego, co ona mówi. Słysząc tylko ciężki oddech. To brzmi jak pornos.

- Cięcie!

Tak minął pierwszy dzień zdjęciowy. Marley był tragiczny, niepoprawny i beznadziejny. Jedna część mnie stawała w jego obronie: „Dobra, czego się spodziewali za darmo? Szarika?”. A druga część była zażenowana. Z zakłopotaniem chwytalem spojrzenia członków ekipy i aktorów. Widziałem wyraźnie na ich twarzach pytanie: „Skąd się wziął ten potwór i jak moglibyśmy się go pozbyć?”. Pod koniec dnia jeden z asystentów z notatnikiem w ręku powiedział nam, że grafik zdjęciowy na następny ranek nie jest jeszcze ustalony.

- Proszę się nie kłopotać przychodzeniem jutro - tłumaczył. - Zadzwonimy, jeśli będziemy potrzebowali Marleya.

I żeby się upewnić, czy dobrze zrozumiałem, powtórzył:

- Więc jeżeli nie będzie od nas wiadomości, proszę się nie pokazywać, rozumie pan?

Tak, zrozumiałem jasno i wyraźnie. Gosse nasłał na mnie swego podwładnego od brudnej roboty. Kiełkująca kariera

aktorska Marleya dobiegła końca. Nie, żebym miał im cokolwiek za złe. Być może poza jednym znanym mi wyjątkiem - sceny w „Dziesięcioro przykazań”, w której Charlton Heston dzieli Morze Czerwone - Marley zaprezentował największy logistyczny koszmar w dziejach kinematografii. Zmarnował nie wiadomo ile tysięcy dolarów z powodu opóźnień i zużytej taśmy. Obślinił niezliczone kostiumy, dobrał się do stołu z przekąskami i przewrócił wartość trzydzieści tysięcy dolarów kamerę. Podliczyli straty i skreślili nas. Stara śpiewka: „Proszę nie dzwonić, sami oddzwonimy”.

- Marley - powiedziałem, gdy wróciliśmy do domu - zmarnowałeś swoją wielką szansę.

Następnego ranka wciąż jeszcze roztrząsałem nasze krótkie złudzenia o gwiazdorstwie, gdy zadzwonił telefon. To był asystent. Prosił, żeby jak najszybciej przywieźć Marleya do hotelu.

- Chodzi panu o to, że chcecie go tam z powrotem? - zapytałem.

- Właśnie. Bob go potrzebuje w następnej scenie. Znalazłem się na miejscu trzydzieści minut później, wciąż nie całkiem wierząc, że znowu nas zaprosili. Gosse był pełen entuzjazmu. Obejrzał zdjęcia z poprzedniego dnia i zachwyił się nimi.

- Pies wypadł histerycznie! - tryskał. - Po prostu prześmiesznie! Czysty szalony geniusz!

Poczułem, jak rosnę i wypinam pierś.

- Zawsze wiedzieliśmy, że jest naturalny - powiedziała Jenny.

Zdjęcia w okolicach Lake Worth trwały jeszcze kilka dni, a Marley wciąż stawał na wysokości zadania. My unosiliśmy się na skrzydłach razem z innymi aktorskimi rodzicami. Gawędziliśmy, zaprzyjaźnialiśmy się i nagle zapadaliśmy w milczenie za każdym razem, gdy inspicjent krzyknął „Akcja!”.

Po słowie „Cięcie!” kontynuowaliśmy imprezę. Jenny udało się nawet namówić gwiazdy baseballu Gary'ego Cartera i Dave'a Winfielda, którzy grali epizody w filmie, by złożyli autografy na piłkach dla naszych chłopców.

Marley zaczynał wierzyć, że został gwiazdą. Cała ekipa, a szczególnie kobiety, zabiegała o jego, względy. Panował okrutny upał i jednej z asystentek przydzielono obowiązek chodzenia za Marleyem z miską oraz butelką wody i podawania mu drinków na każde życzenie. Wszyscy podkarmiali go smakołykami z bufetu. Zostawiłem go z filmowcami na parę godzin, żeby wpaść do pracy, a kiedy wróciłem, leżał rozwalony jak Tutenchamon, z łapami w powietrzu, pozwalając się łaskawie drapać w brzuch niezwykle atrakcyjnej specjalistce od make - upu.

- Jest taki kochany! - gruchała.

Mnie również gwiazdorstwo zaczęło uderzać do głowy. Przywykłem do przedstawiania się jako „treser psa Marleya” i wtrącania zdań w rodzaju: „w następnym filmie mamy nadzieję otrzymać rolę szczekaną”. Podczas którejś z przerw w zdjęciach poszedłem do hotelu skorzystać z automatu telefonicznego. Marley mi towarzyszył. Spuszczony ze smyczy węszył między meblami kilka metrów ode mnie. Portier, najwyraźniej biorąc gwiazdę filmową za bezdomnego włóczęgę, złapał go i próbował wyrzucić za drzwi.

- Przepraszam bardzo - powiedziałem, zakrywając dłonią słuchawkę telefonu i obrzucając portiera najbardziej miażdżącym z moich spojrzeń. - Czy pan wie, z kim pan ma przyjemność?

Pozostaliśmy na planie przez całe cztery dni. Zanim powiedziano nam, że sceny z Marleyem zostały zakończone i jego usługi nie będą już więcej potrzebne, oboje z Jenny poczuliśmy się członkami wielkiej rodziny wytwórni Shooting

Gallery. Prawda, że jedynymi nieopłacanymi, niemniej jednak członkami.

- Kochamy was! - wyrzuciła z siebie Jenny do wszystkich w zasięgu słuchu, gdy zapędzaliśmy Marleya do minivana. - Nie mogę się doczekać końcowego efektu!

Ale czekaliśmy. Jeden z producentów powiedział nam, że przyślą nam wstępną kopię za jakieś osiem miesięcy. Kiedy jednak zadzwoniłem po ośmiu miesiącach, osoba, która odebrała telefon, kazała mi poczekać i wróciła po kilku minutach.

- Proszę spróbować za parę miesięcy.

Czekałem i próbowałem, próbowałem i czekałem, ale za każdym razem mnie odsyłano. W końcu poczułem się jak namolny nudziarz. Wyobraziłem sobie recepcjonistkę, jak zasłaniając ręką słuchawkę, szepcze do Gosse'a przy stole montażowym: „Znowu ten facet od szalonego psa. Co mam mu dzisiaj powiedzieć?”.

W końcu przestałem dzwonić, pogodziłem się z tym, że nigdy nie zobaczymy „The Last Home Run”. Byłem przekonany, że nikt go nie zobaczy, bo projekt został porzucony na podłodze pokoju montażowego z powodu przekraczającego ludzkie możliwości wyzwania, żeby wyciąć przeklętego psa z każdej sceny. Dopiero dwa lata później dostałem szansę oceny aktorskiego kunsztu Marleya.

Byłem w sklepie z filmami, kiedy, ot tak, przyszło mi do głowy zapytać sprzedawcę, czy słyszał o filmie pod tytułem „The Last Home Run”. Nie tylko słyszał, ale nawet miał go w sklepie. Co więcej, na szczęście nie sprzedał ani jednej kopii.

Dopiero później poznałem całą smutną historię. Wytwórni Shooting Gallery nie udało się zainteresować filmem żadnego dystrybutora, nie miała więc wyboru, musiała wydać filmowy debiut Marleya na nędznych celuloidowych kasetach. „The Last Home Run” był dostępny wyłącznie na wideo. Nie

dbałem o to. Pognałem do domu z kasetą. Zawołałem Jenny i dzieci, żeby zebrali się przed telewizorem. Marley był na ekranie wszystkiego niecałe dwie minuty, ale muszę przyznać, że były to dwie najlepsze minuty z całego filmu. Śmialiśmy się! Krzyczeliśmy! Gratulowaliśmy!

- Waddy, to ty! - wrzeszczał Conor.

- Jesteśmy sławni! - wołał Patrick.

Marley, który nigdy nie był zarozumiały, wydawał się nieporuszony. Ziewnął i wczuł się pod stół. Kiedy pojawiły się napisy końcowe, spod stolika dobiegało chrapanie. Czekaliśmy, wstrzymując oddech, gdy przewijały się nazwiska aktorów typu dwunożnego. Przez chwilę myślałem, że nasz pies nie zasłużył na wzmiankę. Ale był tam, wypisany wielkimi literami, przez cały ekran, żeby wszyscy mogli zobaczyć: „Pies Marley... jako on sam”.

ROZDZIAŁ 17

W krainie Bocahontas

Miesiąc po zakończeniu zdjęć do „The Last Home Run” pożegnaliśmy West Palm Beach i wszystkie wspomnienia, które tam zostały. Przecznicę od nas miały miejsca dwa kolejne morderstwa, ale koniec końców to nie zbrodnie, lecz ciasnota i bałagan kazały nam opuścić mały domek przy Churchill Road. Z dwojgiem dzieci i całym związanym z tym oprzyrządowaniem byliśmy w nim ściśnięci jak sardynki w puszcze. Domek przypominał już miniaturę magazynu sieci sklepów z zabawkami Toys „R” Us. Marley ważył czterdzieści cztery kilogramy i wystarczyło, żeby się odwrócił, a coś spadało. Mieliśmy dwie sypialnie i naiwnie sądziliśmy, że chłopcy będą mogli razem zajmować jedną z nich. Ale kiedy zaczęli budzić się nawzajem, mnożąc liczbę naszych nocnych wędrówek, przenieśliśmy Conora do niedużego pomieszczenia między kuchnią a garażem. Oficjalnie był to mój „gabinet” - grałem w nim na gitarze i wypisywałem czeki. Żaden jednak z gości, który tam zajrzał, nie owijał w bawełnę: przenieśliśmy nasze dziecko na wygwizdów.

To brzmiało okropnie. Wygwizdów mieścił się zaledwie pół kroku od garażu, który dla odmiany był synonimem stodoły. A co to za rodzice, którzy trzymają synka w stodole? Wygwizdów kojarzył się dosyć niebezpiecznie - z miejscem otwartym na wiatr i na wszystko, co ten wiatr mógłby ze sobą przynieść: brud, alergeny, żądłące owady, nietoperze, kryminalistów, zboczeńców. Na wygwizdowie spodziewasz się znaleźć puste puszki i zużyte tenisówki. W dodatku, nawet gdy Conor już zajął tę rezydencję, trzymaliśmy tam jedzenie Marleya i miski z wodą. Nie dlatego, że to miejsce nadawało się co najwyżej dla psa, ale po prostu dlatego, że Marley już się do tego przyzwyczaił.

Pokój dziecienny na wygwizdowie brzmi może nieco po dickensowsku, ale w rzeczywistości nie wyglądał tak źle. Pierwotnie był to zadaszony, otwarty łącznik między domem a garażem. Zabudowali go wiele lat temu już pierwsi właściciele. Zanim mianowaliśmy go pokojem dzieciennym, wymieniałem stare, dziurawe żaluzje na nowoczesne, szczelne okna. Pomalowałem ściany i zawiesiłem nowe zasłony. Jenny położyła na podłodze miękkiego dywan, powiesiła wesołe obrazki i dziwaczne ruchome zabawki. Pokoik zrobił się niemal uroczy. I co z tego? Nasz syn sypiał na wygwizdowie, a pies miał nieograniczony dostęp do sypialni państwa.

Poza tym Jenny pracowała teraz na pół etatu w reportażowym dziale „Post”. Pisała głównie w domu, próbując manewrować między dziećmi a karierą zawodową. Miałoby to sens tylko wtedy, gdybyśmy mieszkali bliżej mojej redakcji. Zgodnie uznaliśmy, że nadszedł czas przeprowadzki.

Życie jest pełne drobnych ironii, a jedną z nich okazał się fakt, że po miesiącach poszukiwań osiedliśmy w mieście, które dotąd z wielką radością publicznie ośmieszałem. Miejscowość nazywała się Boca Raton, co w dosłownym tłumaczeniu z hiszpańskiego oznacza „usta szczura”. Cóż to były za usta!

Boca Raton opanowali bogaci republikanie, głównie niedawni przybysze z New Jersey i Nowego Jorku. Większość pieniędzy w mieście to były nowe pieniądze, a większość ich posiadaczy nie miała pojęcia, jak się nimi nacieszyć, nie robiąc z siebie przy okazji głupków. Boca Raton było miastem luksusowych sedanów, czerwonych sportowych samochodów, otynkowanych na różowo domów upchniętych na działeczkach wielkości znaczka pocztowego i otoczonych murami ze strażą przy bramach. Mężczyźni uwielbiali nosić lniane spodnie, włoskie buty bez skarpetek i spędzać nieograniczone ilości czasu na poważnie brzmiących

rozmowach przez komórki. Kobiety były pokryte opalenizną w odcieniu swoich ukochanych skórzanych torebek od Gucciego, a połysk wypolerowanych ciał podkreślały włosami ufarbowanymi na krzyczące odcienie srebra i platyny.

W mieście roiło się od chirurgów plastycznych. To oni mieli największe domy i najbardziej promienne uśmiechy. Dobrze zakonserwowane kobiety z Boca uważały implanty piersi za swój obywatelski obowiązek. Wszystkie młodsze panie miały wspaniale wykonane bufory, wszystkie starsze panie miały wspaniale wykonane bufory i doskonały lifting. Rzeźbione pośladki, prostowane nosy, wyssane brzuchy i wytatuowane oprawy oczu nadawały żeńskiej populacji miasta dziwny wygląd żołnierzy piechoty w armii anatomicznie doskonałych nadmuchiwanym lalek. W piosence, którą napisałem kiedyś do dziennikarskiego skeczu, śpiewałem: „Liposukcja i sylikon to najlepsi przyjaciele dziewczyny z Boca Raton”.

W moich felietonach robiłem sobie żarty ze stylu życia w Boca, poczynając już od samej nazwy. Mieszkańcy Boca Raton nigdy nie mówili o swoim mieście Boca Raton. Nazywali je poufale po prostu Boca. I nie wymawiali tego, jak nakazywał słownik, z długim o - „Booka”. Raczej nadawali temu słowu łagodny, nosowy akcent zabarwiony odcieniem z Jersey.

Wychodziła z tego „Buułka” jak w zdaniu: „Och, tutaj w Buułka mamy pijęęękne zagłębienie manikiuru”.

Właśnie wszedł na ekrany film Disneya „Pocahontas”, więc przygotowałem radiowy skecz oparty na motywach opowieści o indiańskiej księżniczce. Nosił tytuł „Bocahontas”. Moja obwieszona złotem bohaterka była rdzenną mieszkanką przedmieścia, jeździła różowym bmw, miała hardrockowy, chirurgicznie podniesiony biust sięgający do kierownicy, co pozwalało jej prowadzić bez użycia rąk, rozmawiać przez

komórkę i czesać lukrowane włosy przed lusterkim wstecznym, kiedy pędziła do solarium. Bocahontas mieszkała w wigwamie urządzone w pastelowych kolorach, ćwiczyła każdego ranka w ośrodku gimnastycznym należącym do jej plemienia - ale tylko wtedy, gdy udało jej się znaleźć miejsce parkingowe nie dalej niż trzy metry od wejścia - i spędzała popołudnia na tradycyjnych łowiskach znanych jako Miejskie Centrum Handlowe, polując na futra dzikich zwierząt z wierną kartą American Express w ręku.

„Pochowajcie moją kartę Visa w Mizner Park” - intonowała uroczyście Bocahontas w jednym z moich felietonów, mając na myśli najbardziej luksusowy salon sklepowy w mieście. W innym felietonie, poprawiając biustonosz z kozłej skóry, walczyła o zwolnienie operacji kosmetycznych z podatku.

Mój opis był okrutny. Bezlitosny. Zaledwie lekko przerysowany. Prawdziwe księżniczki Bocahontas z Boca, największe fanki tych felietonów, próbowały dociekać, która z nich zainspirowała mnie do stworzenia fikcyjnej bohaterki. (Nigdy tego nie ujawniłem). Często byłem tam zapraszany na spotkania autorskie. Za każdym razem ktoś z publiczności wstawał i zadawał pytanie: „Dlaczego pan tak bardzo nienawidzi BUŁKA?”. Nie chodzi o to, że nienawidzę Boca, odpowiadałem, chodzi o to, że uwielbiam farsę. A żadne miejsce na ziemi nie dostarcza jej tyle co ślicznie różowe Usta Szczura.

Ta wypowiedź nabrała specyficznego sensu dopiero wtedy, gdy w końcu osiedliśmy z Jenny w nowym domu, co oznaczało ni mniej, ni więcej, że mieszkamy teraz w samym centrum Boca, w połowie drogi między posiadłościami nadbrzeżnej dzielnicy wschodniego Boca Raton a zamkniętą za napuszczonymi bramami społecznością zachodniego Boca Raton. Nasi najbliżsi sąsiedzi stanowili jednak wyjątek -

należeli do jednej z nielicznych w mieście sekcji klasy średniej i lubili żartować z przekornym snobstwem, że znaleźli się po złej stronie obu torów. Rzeczywiście niedaleko przechodziły dwie linie torów kolejowych. Jedna wyznaczała wschodnią granicę naszego sąsiedztwa, a druga zachodnią. Gdy w nocy leżało się w łóżku, słyszeć było pociągi towarowe jadące do Miami i z powrotem.

- Oszalałaś? - zapytałem Jenny. - Nie możemy się przeprowadzić do Boca! Wywiozą mnie stamtąd na taczkach. A moją głowę podadzą na ekologicznym posłaniu z zielonej sałaty.

- Oj, przestań - odparła. - Znowu przesadzasz.

Moja gazeta „Sun - Sentinel” była głównym dziennikiem w Boca Raton. Sprzedawała się tu dużo lepiej niż „Miami Herald”, „Palm Beach Post” czy nawet lokalna „Boca Raton News”.

Moje teksty dobrze znano w mieście i na jego zachodnich przedmieściach, a ponieważ nad felietonem widniało moje zdjęcie, wszyscy wiedzieli, jak wyglądam. Nie sądzę, żebym przesadzał.

- Oskalpują mnie żywcem, a mój skalp zawieszają nad wejściem do Tiffany'ego - zapowiedziałem.

Ale szukaliśmy domu już od miesiący, a ten był pierwszym, który spełniał wszystkie nasze wymagania. Miał właściwą wielkość, właściwą cenę i właściwe strategiczne położenie w równej odległości od obu redakcji, między które dzieliłem swój czas. Okoliczne szkoły publiczne były mniej więcej tak samo dobre jak inne szkoły publiczne na południowej Florydzie, a Boca Raton miało wspaniałe systemy terenów spacerowych, łącznie z najczystszyimi oceanicznymi plażami na całym obszarze metropolii Miami - Palm Beach.

Chociaż miały mną wątpliwości, zgodziłem się dokonać transakcji. Czułem się jak nie całkiem tajny agent

przenikający do obozu nieprzyjaciela. Barbarzyńca wślizguje się przez bramę. Bezpardonowe oko Boca - wroga wkrada się na Boca - przyjęcie ogrodowe. Kto mógłby mieć im za złe, gdyby mnie nie chcieli?

W pierwszych dniach przemykałem cichaczem przez miasto, przekonany, że wszystkie oczy są zwrócone na mnie. Uszy mi płonęły, wyobrażałem sobie, że ludzie szepczą, kiedy ich mijam. Po felietonie, w którym witałem się z sąsiadami (przy okazji nauczyłem się sporo pokory), otrzymałem parę listów o treści: „Oczerniasz nasze miasto, a teraz chcesz tutaj mieszkać? Bezwstydy hipokryto!”. Trzeba przyznać, że trafiały w sedno.

Pewien żarliwy lokalny patriota, znajomy z pracy, nie mógł się doczekać konfrontacji ze mną.

- No i co? - powiedział ze złośliwą radością. - Okazuje się, że zaplute Boca nie jest takie złe? Ogrody i podatki, i szkoły, i plaże, to wszystko nie jest takie złe, gdy przychodzi czas na kupienie domu, he?

Mogłem tylko spuścić głowę i podać tyły. Wkrótce jednak odkryłem, że moi najbliżsi sąsiedzi, po złej stronie obu torów, byli przyjaźnie nastawieni do moich felietonowych ataków na zjawisko, które jeden z nich nazwał „nieokrzesani i ordynarni pośród nas”. Niebawem poczułem się jak u siebie.

Nasz nowy dom pochodził z lat siedemdziesiątych, miał cztery sypialnie, dwa razy większą powierzchnię niż jego poprzednik i ani krzty wdzięku. Ale miał potencjał, więc stopniowo nadawaliśmy mu nasze piętno. Zerwaliśmy kudłatą wykładzinę i położyliśmy w salonie dębową podłogę, a wszędzie indziej włoską terakotę. Zastąpiliśmy brzydkie przesuwne drzwi francuskimi, lakierowanymi, a ja powoli przekształcałem zapuszczony plac przed domem w tropikalny ogród wypełniony imbirem, helikoniami i pnączami

męczennicy, przy których i motyle, i przechodnie lubili się zatrzymywać na drinka.

Dwie największe zalety nowego domu nie miały nic wspólnego z samym budynkiem. Okna salonu wychodziły na mały park miejski z placem zabaw pod wysokimi sosnami. Dzieci uwielbiały tam chodzić. A na tylnym podwórku był basen zagłębiony w ziemi. Początkowo nie chcieliśmy basenu, bo baliśmy się o dzieci, więc Jenny zmieszała z błotem pośredniczkę, gdy ta zaproponowała napełnienie basenu wodą. Jeszcze w dniu przeprowadzki - i była to pierwsza rzecz, jaką zrobiliśmy - otoczyliśmy basen ponadmetrowej wysokości płotem, godnym więzienia o zastrzonym rygorze. Chłopców - Patrick skończył już trzy lata, a Conor osiemnaście miesięcy - ciągnęło do wody jak parę delfinów. Plac zabaw stał się przedłużeniem naszego podwórka, a basen przedłużeniem łagodnej pory roku, którą tak ceniliśmy. Basen na Florydzie, jak wkrótce się przekonaliśmy, sprawiał taką różnicę, że zamiast z trudem znosić mordercze letnie miesiące, można się było nimi cieszyć.

Ale najwięcej radości basen w ogródku dawał naszemu wodnemu psu, temu dumnemu potomkowi rybackich retrieverów pracujących wśród fal oceanu przy wybrzeżach Nowej Fundlandii. Jeśli tylko Marley zobaczył, że bramka w ogrodzeniu jest otwarta, startował z salonu, przefruwał przez otwarte francuskie drzwi, jednym skokiem pokonywał brukowane patio i lądował w wodzie na brzuchu z gigantycznym pluskiem. W powietrze wytryskiwał gejzer kropli, a fale wylewały się ponad brzegi. Pływanie z Marleyem mogło stanowić zagrożenie dla życia. Trochę przypominało pływanie obok liniowca oceanicznego. Sunął w twoją stronę z pełną prędkością, młóćąc przed sobą łapami. Miałeś nadzieję, że w ostatniej chwili zmieni kierunek, ale on po prostu wpadał na ciebie i próbował wdrapać się na pokład.

Jeśli nie zdołałeś zaprzeć się nogami o dno, wypchał cię pod wodę.

- Czy pomyliłeś mnie z kaczką? - pytałem i chwyciłem go na ręce, żeby mógł złapać oddech, a on wiosłował przednimi łapami jak na włączonym autopilocie, jednocześnie zlizując wodę z mojej twarzy.

W tym domu brakowało tylko jednej rzeczy - marleyoodpornego schronu. W starym domu betonowy garaż był wystarczająco niezniszczalny, miał też dwa okna, dzięki którym dawało się tam wytrzymać nawet w śmiertelnie upalne letnie dni. W Boca był garaż na dwa samochody, ale nie nadawał się, żeby zamykać tam Marleya ani żadnej innej formy życia, która nie byłaby zdolna przetrwać w temperaturze powyżej 60 stopni Celsjusza. Garaż nie miał okien, było w nim parno, duszno i gorąco. Oprócz tego nie był wykończony betonem, ale suchym tynkiem, który - co Marley już udowodnił - bardzo łatwo zamieniał się w proszek. A wywołane grzmotami ataki paniki Marleya mimo środków uspokajających przybierały na sile.

Gdy pierwszy raz musiał zostać sam w nowym domu, zamknęliśmy go w pralni obok kuchni z kocem i wielką miską wody. Nim wróciliśmy parę godzin później, zdążył podrapać drzwi. Szkoda była niewielka, ale żeby kupić ten dom, zadłużyliśmy się na następnych trzydzieści lat, i wiedzieliśmy, że to nie wróży nic dobrego.

- Może po prostu się przyzwyczajają do nowego otoczenia?
- podsunąłem.

- Na niebie nie ma nawet jednej chmurki - zauważyła Jenny sceptycznie. - Co będzie, jeśli przyjdzie burza?

Dowiedzieliśmy się tego, kiedy następnym razem został sam. Gdy pojawiły się burzowe chmury, rzuciliśmy wszystko i pognaliśmy do domu, ale już było za późno. Jenny biegła

kilka kroków przede mną, otworzyła drzwi do pralni, zatrzymała się i jęknęła:

- O Boże! - zabrzmiało to tak, jakby ujrzała ciało zwisające z żyrandola. I znowu: - O... mój... Boże.

Zajrzałem jej przez ramię. Było gorzej, niż się obawiałem. Marley stał na środku, dyszał ciężko, z pyska i z łap leciała mu krew. Wszędzie fruwały kłęby sierści, jakby grzmot wyrywał mu włosy ze skóry. Zniszczenia wyglądały na większe niż kiedykolwiek wcześniej, a to wiele mówi. Ściany były zorane pazurami, ogołocoone do czystych desek, dookoła wałały się kawałki drewna, plastiku i pogięte gwoździe. Przewody elektryczne wisiały na wierzchu. Podłoga i ściany były poplamione krwią. Wszystko razem przypominało scenę po samobójczym strzale.

- O mój Boże! - jęknęła Jenny po raz trzeci.

- O mój Boże! - powtórzyłem.

Tyle mieliśmy do powiedzenia. Przez kilka sekund po prostu staliśmy w milczeniu i patrzyliśmy na tę rzeź. W końcu się odezwałem: - W porządku, poradzimy sobie z tym. Wszystko da się naprawić.

Jenny zabiła mnie wzrokiem. Znała się na moich naprawach.

- Zadzwoń po fachowca i on to zrobi profesjonalnie - zapewniłem. - Nawet nie będę próbował się do tego dotykać.

Dałem Marleyowi tabletkę uspokajającą. Po cichu się martwiłem, że ta ostatnia porcja zniszczeń może wprowadzić Jenny w stan, w jakim była po urodzeniu Conora. Tamten nastrój jednak najwyraźniej miała już dawno za sobą. Zaprezentowała zadziwiająco filozoficzne nastawienie.

- Kilka stówek i będzie jak nowe - ćwierknęła.

- Też tak myślę - przytaknąłem. - Dam parę dodatkowych odczytów. Powinno wystarczyć.

Po kilku minutach Marley zaczął się uspokajać. Powieki mu opadły, a oczy podeszły krwią, jak zawsze po dawce leku.

Wyglądał, jakby usłyszał muzykę Wielkiego Ojca. Nienawidziłem, gdy wpadał w taki stan, i zawsze miałem opory przed faszcerowaniem go środkami uspokajającymi. Ale tabletki pomagały mu znieść strach, wytrzymać śmiertelne zagrożenie, które istniało tylko w jego umyśle. Gdyby był człowiekiem, otrzymałby złote papiery. Cierpiał na urojenia, był paranoikiem, przekonany, że ciemna, diabelska moc przychodzi z nieba, żeby go zabrać. Zwinął się w kłębek na dywaniku przed kuchennym zlewem i wydał z siebie głębokie westchnienie. Ukląknęłam przy nim i pogłaskałam zmierzwioną, zabrudzoną krwią sierść.

- Dobry pies - powiedziałem. - I co my mamy z tobą zrobić?

Nie podnosząc głowy spojrzał na mnie przekrwionymi oczami, najsmutniejszymi, najbardziej cierpiącymi oczami, jakie kiedykolwiek widziałem. Patrzył, jakby próbował mi coś powiedzieć, coś ważnego, i chciał, żebym zrozumiał.

- Wiem - powiedziałem. - Wiem, że nic na to nie możesz poradzić.

Następnego dnia pojechaliśmy z Jenny i chłopcami do sklepu dla zwierząt i kupiliśmy gigantyczną klatkę. Mieli tam klatki w różnych rozmiarach, a kiedy opisałem Marleya, sprzedawca zaprowadził nas do największej ze wszystkich. Była olbrzymia, wystarczająco duża, żeby lew mógł w niej stanąć i obrócić się dookoła. Wykonana z solidnej stalowej kraty miała dwa automatyczne zamki na zasuwkę, które bezpiecznie zamykały drzwiczki, i podłogę z grubej stalowej blachy. To była nasza odpowiedź, nasze własne przenośne Alcatraz. Conor i Patrick wczołgali się do środka, a ja zasunąłem zamki, zamykając ich na chwilę.

- Co o tym sądzicie, chłopaki? - zapytałem - Czy to powstrzyma naszego Superpsa?

Conor zakołysał się na drzwiach klatki jak recydywista i powiedział: - Ja w więzieniu.

- Waddy będzie naszym więźniem! - wykrzyknął Patrick zachwycony tą perspektywą.

W domu ustawiliśmy skrzynię koło pralki. Przenośne Alcatraz zajmowało prawie połowę pralni.

- Chodź tu, Marley! - zawołałem, kiedy wszystko było gotowe. Wrzuciłem do środka psie ciasteczko, a on radośnie wskoczył za nim. Zamknąłem i zablokowałem drzwiczki. Stał w środku, żując swój smakołyk, niespieszony nowym życiowym doświadczeniem, w które właśnie wkroczył, znanym w kręgach lekarskich jako „przymusowe skierowanie do szpitala psychiatrycznego”.

- Tutaj będziesz teraz mieszkał, kiedy nas nie będzie w domu - powiedziałem serdecznie.

Marley obwąchał klatkę z zadowoleniem, bez śladu niepokoju na pysku, a potem położył się i spojrzał na nas.

- Dobry znak - uśmiechnąłem się do Jenny. - Bardzo dobry znak.

Tego wieczoru postanowiliśmy przetestować superbezpieczny pojemnik na psa. Tym razem nie potrzebowałem nawet ciasteczka, żeby zwabić Marleya do środka. Po prostu otworzyłem drzwi, gwizdnąłem, a on wszedł, waląc ogonem w metalowe pręty.

- Dobry pies! Bądź grzeczny, Marley - powiedziałem. Kiedy pakowaliśmy chłopców do minivana, żeby pojechać na kolację, Jenny powiedziała:

- Wiesz co?

- Co? - zapytałem.

- Po raz pierwszy, odkąd go mamy, zostawiam go samego bez ucisku w żołądku. Nawet sobie nie zdawałam sprawy, jak mnie to do tej pory wykańczało.

- Wiem, co masz na myśli - powiedziałem. - Zawsze to była zgadywanka: co nasz pies tym razem zniszczy?

- Właśnie: ile ta przyjemna wieczorna wyprawa do kina będzie nas kosztować?

- Jak rosyjska ruletka.

- Myślę, że ta klatka to najlepszy z naszych wszystkich wydatków - przytaknęła.

- Powinniśmy byli to zrobić już dawno - zgodziłem się. - Spokój ducha nie ma ceny.

Zjedliśmy wspaniałą kolację w restauracji, potem obejrzelśmy zachód słońca na plaży. Chłopcy chlapali się na brzegu, gonili za mewami, ciskali do wody garście piasku. Jenny była zrelaksowana jak nigdy. Po prostu myśl, że Marley jest bezpiecznie zamknięty w Alcatraz i nie może uszkodzić ani siebie, ani nic innego, działała jak balsam.

- Jaki miły wieczór spędziliśmy - powiedziała, gdy wchodziliśmy do domu po frontowych schodkach.

Już miałem przyznać jej rację, gdy na skraju pola widzenia dostrzegłem coś, co wydało mi się nie całkiem w porządku. Odwróciłem głowę i spojrzałem w okno przy drzwiach wejściowych. Żaluzje zostawiliśmy zasunięte, jak zawsze, gdy wychodziliśmy z domu. Ale jakieś trzydzieści centymetrów nad parapetem metalowe blaszki były lekko rozsunięte i coś tkwiło między nimi.

Coś czarnego. I mokrego. I przyciśniętego do szyby.

- Ki diabeł? - powiedziałem. - Jak to możliwe... Marley?!

Kiedy otworzyłem drzwi, czekał już na nas czworonożny komitet powitalny, który wiercił i wił się po całym przedpokoju, szczęśliwy jak norka, że znowu jesteśmy w domu. Spenetrowaliśmy wszystkie pokoje w poszukiwaniu

śladów nieprzewidzianej przygody Marleya. Dom był w porządku, nienaruszony. Zebraliśmy się w pralni. Drzwi klatki były szeroko otwarte, odrzucone do tyłu jak kamień z grobu Jezusa w wielkanocny poranek. Wyglądało to tak, jakby jakiś tajemniczy wspólnik przekradł się do środka i uwolnił naszego więźnia.

Pochyliłem się przy klatce, żeby przyjrzeć się uważniej. Obie automatyczne zasuwki były wysunięte i - ważny trop - pokryte śliną.

- Wygląda na robotę od wewnątrz - orzekłem. - W jakiś sposób nasz magik Houdini wylizał sobie drogę na wolność z domu Wielkiego Brata.

- Nie wierzę! - zawołała Jenny. A potem użyła takiego słowa, że ucieszyłem się, że nasze dzieci były za daleko, żeby je usłyszeć.

Zawsze uważaliśmy, że Marley jest głupi jak glon, ale on był wystarczająco sprytny, żeby wykombinować, jak użyć swego długiego, silnego języka i poprzez kratę wypchnąć nim zasuwki. Wylizał sobie drogę na wolność i w następnych tygodniach udowodnił, że jest w stanie powtórzyć ten trik, kiedy tylko zechce. Nasze superwięzienie o podwyższonym rygorze zamieniło się w półareszt domowy. W niektóre dni, gdy wracaliśmy, odpoczywał spokojnie w zamkniętej klatce, w inne czekał przy oknie. Przymusowe skierowanie nie było pomysłem, któremu Marley zamierzał się poddać.

Próbowaliśmy zabezpieczyć oba zamki, owijając je grubym kablem elektrycznym. Działo przez jakiś czas, ale pewnego dnia, gdy za horyzontem słychać było odległe dudnienie, wróciliśmy do domu, by zobaczyć, że dolny róg drzwiczek klatki już jest odgięty, jakby zrobił to jakiś olbrzym, a spanikowany Marley ze znowu zakrwawionymi łapami tkwi między prętami w ciasnym otworze, do połowy na zewnątrz.

Wyprostowałem drzwiczki klatki najlepiej jak mogłem i zaczęliśmy oplatać kablem nie tylko zamki, ale również każdy z czterech rogów drzwiczek. Wkrótce musieliśmy wzmocnić też rogi samej klatki, bo Marley wkładał cały wysiłek swoich potężnych mięśni w to, żeby ją rozsadzić. Po trzech miesiącach lśniaca klatka, która wydawała nam się niezniszczalna, wyglądała jak po wybuchu granatu. Pręty były skręcone i powyginane, rama wyważona, drzwiczki skoślawione, boki wypchnięte na zewnątrz. Stale ją wzmacniałem, najlepiej jak potrafiłem, i stale było to zbyt słabe na Marleya, który napierał na nią całym ciałem.

Złudne poczucie bezpieczeństwa, jakie kiedyś nam dało to urządzenie, odeszło. Za każdym razem, kiedy wychodziliśmy z domu, nawet na pół godziny, zastanawialiśmy się, czy tym razem nasz maniakałny więzień wydobędzie się, by znowu poszatkować kanapę, rozdrapać ścianę albo zjeść drzwi. I tyle zostało z naszego spokoju ducha.

ROZDZIAŁ 18

Obiad alfresco

Marley pasował do scenerii Boca Raton nie lepiej niż ja. W Boca żyła (i z pewnością nadal żyje) nieproporcjonalnie duża liczba najmniejszych, najbardziej japiszonowatych i najmocniej na świecie rozpieszczonych psów, rodzaj maskotek, które księżniczki Bocahontas traktowały jak modne akcesoria. Były to małe, drogocenne przedmioty, często udekorowane kokardami i spryskane za uszami wodą kolońską, niektóre miały nawet polakierowane paznokcie i można się było na nie natknąć w najmniej spodziewanych miejscach - spoglądały na ciebie z modnej torebki, kiedy stałeś w kolejce po bajgle, ucinały sobie drzemkę na plaży pod rącznikiem swojej pani, trzymały straż przed sklepem z drogimi antykami przywiązane na smyczy inkrustowanej kryształami górskimi. Najczęściej krążyły po mieście w lexusach, mercedesach i jaguarach, siedząc w arystokratycznych pozach za kierownicą na kolanach właściciela. Miały się do Marleya tak jak Grace Kelly do Gomera Pyle'a (Gomer Pyle - tytułowy bohater amerykańskiego sitcomu z lat 60., dobroduszny wiejski prostak, naiwny jak dziecko, o zdziwionych oczach i z wiecznie otwartymi ustami - przyp. tłum.). Były małe, wyrafinowane i miały wysublimowany gust. Marley był wielki, pospolity i lizał się po genitaliach. Im bardziej pragnął, żeby go przyjęły do swego towarzystwa, tym bardziej one nie miały zamiaru.

Z uzyskanym ostatnio certyfikatem posłuszeństwa, który dawał pewne nadzieje na przyszłość, Marley był w miarę grzeczny na spacerach, ale jeśli zobaczył coś, co mu się spodobało, bez wahania szarpał smycz w tę stronę, za nic mając groźbę uduszenia. A dla drogocennego pieska zawsze warto było dać się zadławić na śmierć w czasie przechadzki

po mieście. Za każdym razem, gdy zauważył jakiegoś, przechodził w galop i pędził do niego, wlokąc za sobą na końcu smyczy mnie lub Jenny. Obroża zaciskała mu się wokół szyi, sapał i charczał. Za każdym razem dostawał po nosie - nie od minipieska z Boca, ale od właściciela minipieska z Boca, który zagarniał swoją maleńką Fifi, Suzi lub Cheri przekonany, że ratuje ją z paszczy krokodyla. Marleyowi nie robiło to różnicy. Gdy tylko na widoku pojawił się następny minipiesek, powtarzał procedurę, niezrażony wcześniejszą rekuzą. Zupełnie jak taki facet, który nigdy w pełni nie pojmuje, że randka skończyła się odmową. Podziwiałem go za wytrwałość.

Ważną część Boca - tradycji stanowiły posiłki pod gołym niebem, zwane z włoska alfresco. Wiele restauracji w mieście oferowało stoliki w ogródkach pod palmami, których pnie i liście zdobiły girlandy białych lampek. W takich miejscach należało bywać. Chodziło o to, by patrzeć i pozwalać patrzeć na siebie, sączyć cafe latte i paplać przez komórkę, podczas gdy współbiednik gapi się beczynn timer w niebo. Minipieski z Boca były ważnym elementem atmosfery alfresco. Pary zabierały je ze sobą i przywiązywały smycze do stolików z kutego żelaza, pod którymi psy z zadowoleniem zwijały się w kłębek. Czasem nawet zajmowały miejsce przy stole u boku pana, trzymając wysoko arystokratyczne głowy, jakby urażone brakiem uwagi ze strony kelnera.

Pewnej niedzieli uznaliśmy z Jenny, że przyjemnie byłoby zabrać całą rodzinę na obiad na świeżym powietrzu do którejś z popularnych restauracji.

- Kiedy jesteś w Boca, postępuj jak bocolita - powiedziałem.

Załadowaliśmy chłopców i psa do minivana i pojechaliśmy do Mizner Park, centrum handlowego zaprojektowanego na wzór włoskiej piazza - z szerokimi

trotuarami i nieskończonymi możliwościami zjedzenia posiłku. Zaparkowaliśmy auto i powędrowaliśmy najpierw wzdłuż jednej długiej alei, potem wzdłuż następnej, oglądając i dając się oglądać - a jakiż widok musieliśmy stanować! Jenny przypięła chłopców w podwójnym wózku dziecięcym, który łatwo można było pomylić z ciężarówką, bo załadowany był z tyłu wszelkiego rodzaju niezbędnymi rzeczami dla maluchów, poczynając od soku jabłkowego, a kończąc na wilgotnych ściereczkach. Szedłem obok niej z Marleyem w pełni przygotowanym na ewentualne spotkanie z minipieskiem z Boca. Był jeszcze bardziej zakręcony niż zwykle, skrajnie podniecony możliwością znalezienia się w pobliżu któregoś z małych arystokratów skaczących dookoła. Ścisnąłem smycz z całej siły. Ciągnął mnie z wywalonym językiem i dyszał jak lokomotywa.

Wybraliśmy restaurację, która oferowała jeden z bardziej znośnych jadłospisów, i usiedliśmy w ogródku, niedaleko chodnika. Stolik był doskonały - zacieniony i na pewno, jak sądziliśmy, wystarczająco ciężki, by utrzymać podnieconego czterdziestoczworokilogramowego labradora. Przywiązałem koniec smyczy Marleya do stołowej nogi i zamówiliśmy napoje: dwa piwa i dwa soki jabłkowe.

- Za piękny dzień z moją piękną rodziną! - powiedziała Jenny, wznosząc szklanekę do toastu. Stuknęliśmy się piwem, chłopcy dołączyli kubkami z sokiem.

Wtedy to się stało. Tak błyskawicznie, że właściwie nie zdążyliśmy nawet zauważyć, że coś się stało. Wiedzieliśmy tylko, że w jednej chwili siedzimy przy miłym stoliku na świeżym powietrzu, a w następnej nasz stolik odjeżdża, wyrąbując sobie drogę przez morze innych stolików, waląc w niewinnych przechodniów i wydając straszliwy, przemysłowy, świdrujący w uszach odgłos zgrzytania po betonowym trotuarze. Przez kilka pierwszych sekund, zanim któreś z nas

zrozumiało, jak straszliwie zły los nas dopadł, wydawało się całkiem możliwe, że nasz stolik był opętany i uciekał od rodziny nieczystych Boca - intruzów, którzy z całą pewnością byli tutaj obcy. W ciągu następnych kilku sekund dostrzegłem, że to nie stolik był nawiedzony, ale nasz pies. Marley na czele zaprzęgu parł do przodu z siłą wszystkich swoich falujących mięśni, a smycz była napięta jak struna fortepianu.

W kolejnej sekundzie zobaczyłem, dokąd zmierza Marley ze stolikiem na holu. Dwadzieścia metrów dalej na chodniku filigranowy pudel francuski z nosem w chmurach włókł się za swoim panem. Pamiętam, że pomyślałem: „Cholera, co on ma do tych pudli?”. Oboje z Jenny siedzieliśmy jeszcze przez moment z drinkami w rękach, między nami chłopcy w swoim wózekku, cudowne niedzielne popołudnie bez skazy z wyjątkiem faktu, że nasz stolik właśnie torował sobie drogę przez tłum. Chwilę później zerwaliśmy się na równe nogi, krzyczeliśmy, biegliśmy i po drodze przeproszaliśmy okolicznych konsumentów. Dopadłem pierwszy do uciekającego stolika, który sunął i zgrzytał po placu, rzuciłem się na niego, zaparłem nogami i pociągnąłem do tyłu ze wszystkich sił. Jenny wkrótce znalazła się obok mnie i ciągnęliśmy razem. Czułem się, jakbyśmy wkroczyli w sam środek akcji westernu i zostali jego bohaterami dającymi z siebie wszystko, by powstrzymać uciekający pociąg, zanim wypadnie z szyn i stoczy się po urwisku. W samym środku tego domu wariatów Jenny odwróciła się i zawołała przez ramię:

- Zaraz wracamy, chłopcy!

Zaraz wracamy? Zabrzmiało to tak zwyczajnie, w sposób tak oczekiwany i zaplanowany, jakbyśmy często robili tego rodzaju rzeczy, decydując się pod wpływem impulsu, żeby - dlaczego nie, to mogłoby być zabawne - pozwolić Marleyowi obwieźć nas w małym stołowym zaprzęgu wokół miasta,

może udałoby się po drodze zrobić drobne zakupy przez okno w jakimś przydrożnym sklepie drive - in, zanim wrócimy w samą porę na przystawkę.

Kiedy wreszcie zatrzymaliśmy stolik i pojaliśmy Marleya kilka centymetrów od pudła oraz jego zamarłego właściciela, odwróciłem się, żeby sprawdzić, co robią chłopcy, i wtedy po raz pierwszy przyjrzałem się dobrze towarzystwu od jedzenia na świeżym powietrzu. Wyglądało to jak scena z reklamówki E.F. Huttona, gdzie cały gwarny tłum zamiera w milczeniu, w oczekiwaniu na szept, który doradzi im, jak inwestować swoje pieniądze. Mężczyźni z komórkami w rękach przerwali rozmowy w pół słowa. Kobiety gapiły się z otwartymi ustami. Bocolici zamienieni w słupy soli.

Ciszę przerwał wreszcie Conor:

- Waddy poszedł na spacer! - krzyknął z zachwytem.

Kelner pospieszył i pomógł mi zaciągnąć stolik z powrotem na miejsce, podczas gdy Jenny trzymała w śmiertelnym uścisku Marleya, wciąż zafiksowanego na swoim obiekcie pożądania.

- Przygotuję dla państwa nowy stolik - powiedział kelner.

- To nie będzie konieczne - odparła swobodnie Jenny. - Zapłacimy za drinki i musimy lecieć.

Niedługo po naszej udanej wyprawie do Boca - restauracji alfresco znalazłem w bibliotece książkę pod tytułem „Nie ma złych psów” autorstwa znanej brytyjskiej treserki psów Barbary Woodhouse. Jak zdradzał tytuł, książka prezentowała ten sam pogląd, który był tak drogi pierwszej nauczycielce Marleya pannie Dominatrix - że jedyną przeszkodą między psią niepoprawnością a psią wielkością jest ograniczony, niezdecydowany, bezwolny człowiek, psi pan. Psy nie są problemem - zapewniała Woodhouse - problemem są ludzie. Następnie opisywała rozdział po rozdziale niektóre najbardziej skandaliczne psie zachowania, jakie można sobie wyobrazić.

Bywają psy, które nieustannie wyją, nieustannie kopią dziury, nieustannie walczą, nieustannie mają chandrę, nieustannie gryzą. Bywają psy, które nienawidzą wszystkich mężczyzn, i takie, które nienawidzą wszystkich kobiet, psy, które okradają swoich właścicieli, i psy, które z zazdrości atakują bezbronne niemowlęta. Bywają nawet psy, które zjadają własne fekalia. „Dzięki Bogu - pomyślałem - że on przynajmniej nie zjada własnych fekalii”.

W miarę czytania czułem się coraz lepiej, myśląc o naszym wadliwym egzemplarzu retrievera. Stopniowo dochodziliśmy już do przekonania, że Marley naprawdę jest najgorszym psem na świecie. Książka podniosła mnie nieco na duchu, bo dowiedziałem się, że są niezliczone rodzaje złych nawyków, których on nie ma. Nie był złośliwy. Nie czekał za dużo. Nie gryzł. Nie atakował innych psów, chyba że w przyływie miłości. Wszystkich uważał za swoich najlepszych przyjaciół. A co najprzyjemniejsze, nie jadł odchodów ani się w nich nie tarzał. Poza tym, powiedziałem sobie, nie ma złych psów, tylko niedouczeni, żałośni właściciele, tacy jak Jenny i ja. To nasza wina, że Marley jest taki, jaki jest.

Potem doszedłem do rozdziału 24. „Życie z psem nie zrównoważonym psychicznie”. Im dłużej czytałem, tym bardziej nie mogłem się oderwać. Woodhouse opisywała Marleya ze zrozumieniem tak głębokim, że mógłbym przysiąc, iż siedziała razem z nim w zdemolowanej klatce. Przytaczała maniakalne, dziwaczne zachowania, zniszczenia, gdy pies zostaje sam, wygryzione podłogi i przeżute dywany, opisywała wysiłki właścicieli takich bestii, by „znaleźć lub przygotować dla nich psoodporne miejsce w domu lub ogrodzie”. Wspomniała nawet o stosowaniu środków uspokajających, które określała jako desperacką (i bardzo nieskuteczną) ostatnią próbę przywrócenia tych umysłowo niesprawnych bałwanów do krainy zdrowia.

„Niektóre psy rodzą się nieznówważone, inne stają się nieznówważone przez warunki, w jakich przyszło im żyć, ale efekt jest ten sam: psy, zamiast być radością swoich właścicieli, są zmartwieniem, wydatkiem i często doprowadzają do rozpadu rodziny” - pisała Woodhouse. Spojrzałem na Marleya drzemiącego u mych stóp i zapytałem:

- Skądś to znamy, co?

W następnym rozdziale, zatytułowanym „Nienormalne psy”, Woodhouse ostrzegała z odcieniem rezygnacji: „Muszę to powiedzieć z naciskiem: jeśli chcesz zatrzymać psa, który nie jest całkiem normalny, musisz pogodzić się z pewnymi niewielkimi ograniczeniami w swoim życiu”.

- Chodzi o ten śmiertelny strach, kiedy wyskakujesz z domu po karton mleka? - wtrąciłem.

„Mimo że ty kochasz swego nienormalnego psa - ciągnęła - inni ludzie nie powinni być narażeni na związane z nim kłopoty”.

- Inni ludzie, czyli na przykład niedzielni goście kawiarnianego ogródka w Boca Raton na Florydzie?

Woodhouse wskazała palcem naszego psa i naszą żalną współzależną egzystencję. Wszystkie elementy pasowały: mieliśmy głupich właścicieli pozbawionych silnej woli, nieznówważonego psychicznie psa niepoddającego się kontroli, ciąg zniszczeń, zirytowanych obcych oraz sąsiadów narażonych na kłopoty. Byliśmy podręcznikowym przykładem.

- Gratulacje, Marley - powiedziałem. - Kwalifikujesz się jako nienormalny.

Otworzył oczy na dźwięk swego imienia, przeciągnął się i przewrócił na plecy z łapami w powietrzu.

Oczekiwałem, że Woodhouse zaproponuje jakieś optymistyczne rozwiązanie właścicielom tak uszkodzonego towaru, kilka pomocnych zaleceń, które, właściwie stosowane,

mogłyby zmienić największego szajbusa w psa godnego zaprezentowania na pokazie w Westminster. Ale ona zakończyła książkę w dużo mroczniejszej tonacji: „Jedynie właściciele niezrównoważonych psów naprawdę wiedzą, którędy przebiega granica między zdrowym a psychicznie uszkodzonym psem. Nikt nie może pouczać właściciela, co powinien zrobić z tym ostatnim. Ja sama, jako wielki miłośnik psów, uważam, że najrozsądniej byłoby go uśpić”.

„Uśpić?!”. Niech to! Na wszelki wypadek, gdyby ktoś nie zrozumiał, dodała: „Jeśli wszelka pomoc tresera i weterynarza została wyczerpana i nie ma nadziei, że pies kiedykolwiek będzie mógł prowadzić normalne - w granicach rozsądku - życie, z pewnością byłoby lepiej i dla zwierzęcia, i dla jego właściciela, psa uśpić”.

Nawet Barbara Woodhouse, miłośnik zwierząt, odnoszący sukcesy treser tysięcy psów, których właściciele już stracili nadzieję, uważała, że niektórym psom po prostu nie da się pomóc. Gdyby to zależało od niej, zostałyby humanitarnie wysłane do wielkiego niebiańskiego schroniska dla niezrównoważonych psów.

- Nie martw się, wielki draniu - powiedziałem, schylając się, żeby podrapać Marleya po brzuchu. - Jedyne sen, w jaki zapadniemy w tym domu, to taki, z którego się obudzimy.

Spojrzał wymownie i odpłynął z powrotem w senne marzenia o francuskiej pudlicy z cieczką.

W tym też mniej więcej czasie dowiedziałem się jeszcze, że nie wszystkie labradory są równe. Rasa dzieli się na dwie podgrupy: angielską i amerykańską. Psy z linii angielskiej są drobniejsze i bardziej krępe, mają mniejsze głowy i łagodne, spokojne usposobienie. Nadają się do pokazów. Labradory z linii amerykańskiej są wyraźnie większe i silniejsze, mają mniej eleganckie, mniej zwarte kształty. Są znane z niespożytej energii, wielkiego ducha i nadają się na psy

myśliwskie oraz sportowe. Te same cechy, które sprawiają, że amerykańska linia labradorów jest niezastąpiona w lesie, czynią te psy prawdziwym wyzwaniem w życiu rodzinnym. Nie wolno nie brać pod uwagę niespożytej ilości drzemiącej w nich energii.

W broszurce hodowcy retrieverów z Pensylwanii „Endless Mountain Labradors” przeczytałem: „Wielu ludzi nas pyta, jaka jest różnica między angielskim a amerykańskim (polnym) labradorem. Tak duża, że Amerykański Związek Kynologiczny rozważa rozdzielenie tej rasy. Różnice dotyczą zarówno budowy, jak temperamentu. Jeśli szukasz psa myśliwskiego do zawodów, weź labradora amerykańskiego. Są mocne, wysokie, chude, wiotkie, ale mają niesłuchanie silną osobowość, która nie pozwala im być dobrymi psami rodzinnymi. Natomiast labradory angielskie są stabilne, krępe, o zwartej budowie ciała. Bardzo słodkie, spokojne, łagodne, kochane psy”.

Nie zastanawiałem się zbyt długo, do której linii należy Marley. Wszystko jasne. Nieświadomie wybraliśmy typ labradora, który najchętniej galopowałby całymi dniami po otwartej dzikiej przestrzeni. Jakby tego było mało, nasz szczególnie przypadek okazał się w dodatku niezrównoważony psychicznie, niezdolny do nauki i odporny na tresurę, środki uspokajające oraz psią psychiatrię. Doświadczony treser Barbara Woodhouse uważała, że ten rodzaj nienormalnego psa nadaje się tylko do uśpienia.

- Wspaniale - pomyślałem. - Teraz już wiemy.

Niedługo po tym, jak książka Barbary Woodhouse otworzyła nam oczy na szalony umysł Marleya, sąsiad poprosił nas, żebyśmy zaopiekowali się przez tydzień jego kotem, bo on wyjeżdża na wakacje.

- Jasne - powiedzieliśmy - podrzuc go.

W porównaniu z psem kot jest bardzo prosty w obsłudze. Kot działa na autopilota, a ten kot był wyjątkowo wstydlivy i nieuchwytny, zwłaszcza w pobliżu Marleya. Potrafił przesiedzieć cały dzień za kanapą. Dopiero gdy już poszliśmy spać, wychodził, żeby opróżnić miskę, którą trzymaliśmy wysoko poza zasięgiem Marleya, i skorzystał z kuwety, którą upchnęliśmy dyskretnie w kącie zacienionego patio za basenem. Nic się nie działo, naprawdę. Marley nawet nie wiedział, że w domu jest kot.

W połowie pobytu kota u nas obudziły mnie w środku nocy głośne uderzenia rezonujące przez materac. Przy łóżku stał Marley, trząsł się z podniecenia i walił ogonem w łóżko z furiacką pasją. Bum - bum - bum! Sięgnąłem ręką, żeby go uspokoić, ale tylko włączyłem mechanizm dodatkowych podrygów. Skakał i tańczył obok łóżka. Marley Mambo.

- No dobra, co tam masz? - zapytałem z zamkniętymi wciąż oczami.

Jakby w odpowiedzi Marley wypluł swoją zdobycz na wykrochmalone prześcieradło, tuż przy mojej twarzy. Znajdowałem się w stanie półprzytomnym, więc zajęło mi kilka chwil ustalenie, co to właściwie jest. Obiekt był mały, ciemny, nieokreślonego kształtu, pokryty grubym, zwirowatym piaskiem. Nagle do moich nozdrzy dotarł zapach. Cierpki, gryzący i odrażający. Wystrzeliłem z pościeli i odrzuciło mnie w kierunku Jenny. Obudziła się. Wskazałem na dar Marleya dla nas błyszczący na prześcieradle.

- To nie jest... - zaczęła Jenny z obrzydzeniem w głosie.

- Tak, to jest - powiedziałem. - Ograbił kocią kuwetę.

Marley patrzył na nas z taką dumą, jakby właśnie sprezentował nam diament Hope'a. Jak mądrze przepowiedziała Barbara Woodhouse, nasz niezrównoważony psychicznie, nienormalny półgłówek wkroczył w etap zjadania fekaliów, rozpoczynając nowy rozdział swojego życia.

ROZDZIAŁ 19

Uderza błyskawica

Po pojawieniu się na świecie Conora wszyscy nasi bliscy i znajomi - z wyjątkiem moich bardzo katolickich rodziców, którzy modlili się o tuziny małych Groganów - uznali, że już skończyliśmy z płodzeniem dzieci. W otaczającym nas tłumie pracujących profesjonalistów z podwójnym dochodem normą było jedno dziecko, dwoje świadczyło o pewnej ekstrawagancji, a o trójce w ogóle nie słyszano. Biorąc na dodatek pod uwagę trudną ciążę, przez którą przeszliśmy, oczekując Conora, nikt nie rozumiał, dlaczego mielibyśmy po raz kolejny poddawać się temu pełnemu harmidru procesowi. Ale my odeszliśmy już bardzo daleko od wczesnego etapu zabijania doniczkowych roślin. Rodzicielstwo mieliśmy we krwi. Nigdy nie myśleliśmy, że cokolwiek albo ktokolwiek może dać tyle radości, ile dali nam nasi dwaj chłopcy. Oni określali teraz nasz styl życia i jeśli nawet jakaś częśćka w nas tęskniła za beztruskimi wakacjami, leniwym czytaniem powieści w soboty i romantycznymi obiadami, które by się przeciągały późno w noc, odkryliśmy nowe przyjemności - w rozlanym soku jabłkowym, w odciskach małych nosków na okiennych szybach, w łagodnej symfonii tupotu gołych stóp przez przedpokój. Nawet w najgorszych dniach zwykle udawało nam się znaleźć powód do uśmiechu i wiedzieliśmy już teraz to, o czym prędzej czy później dowiaduje się każdy rodzic: że te cudowne dni wczesnego dzieciństwa - czas pieluszek, pierwszych zębów i niezrozumiałego gaworzenia - są tylko wspaniałym krótkim błyskiem w bezmiarze zwyczajnego życia.

Oboje kiedyś przewracaliśmy oczami, gdy moja staroświecka matka gderała:

- Cieszcie się nimi, póki czas, bo dorosną, zanim się obejrzycie.

Po zaledwie kilku latach zrozumieliśmy, że miała rację. Jej słowa były wyświechtanym banałem, ale jak już teraz wiedzieliśmy, nasączonym prawdą. Chłopcy rośli szybko i z każdym tygodniem zamykał się kolejny rozdziałik, do którego nie dało się powtórnie zajrzeć. W jednym tygodniu Patrick ssał kciuk, w następnym porzucił ten obyczaj na zawsze. W jednym tygodniu Conor był maleństwem w kołysce, w następnym małym chłopcem używającym łóżeczka jako trampoliny. Patrick nie potrafił wymawiać „l”, a kiedy kobiety ćwierkały nad nim, jak to mają w zwyczaju, wciskał pięści do kieszeni, wydymał wargi i mówił „Nie jubie waszych kojeżanków”. Zawsze myślałem, żeby to nagrać na wideo, ale pewnego dnia „l” wyszło doskonale i tyle. Przez miesiące nie mogliśmy namówić Conora, żeby wyszedł ze swojej piżamy z Supermanem. Uciekał przez cały dom, powiewając peleryną i wrzeszcząc „Jestem Supermenem!”. A potem i to się skończyło - jeszcze jeden niezarejestrowany na wideo epizod.

Dzieci są jak miarki czasu, które masz zawsze przed oczami i których nie możesz zignorować. Pokazują, że życie to nieubłagany marsz do przodu, choć mogłoby się wydawać nieskończonym oceanem minut, godzin, dni i lat. Nasze dzieci rosły szybciej, niż tego chcieliśmy, co częściowo wyjaśnia, dlaczego w niecały rok po przeprowadzce do Boca zaczęliśmy się starać o następne.

- Hej, mamy teraz cztery sypialnie, więc dlaczego nie? - powiedziałem do Jenny.

Wystarczyły zaledwie dwie próby. Żadne z nas nie przyznałoby się, że chce dziewczynki, ale oczywiście oboje chcieliśmy tego desperacko, mimo powtarzanych w czasie ciąży głośnych zapewnień, że wspaniale byłoby mieć trzech chłopaków. Kiedy USG w końcu potwierdziło nasze ukryte nadzieje, Jenny zarzuciła mi ręce na szyję i westchnęła:

- Jestem taka szczęśliwa, że mogę ci podarować dziewczynkę.

Ja też byłem szczęśliwy.

Nie wszyscy przyjaciele podzielali ten entuzjazm. Większość na wiadomość o naszej ciąży reagowała tym samym bezceremonialnym pytaniem: - Planowaliście?

Nie byli wręcz w stanie uwierzyć, że trzecia ciąża nie musi być wynikiem wpadki. A jeśli rzeczywiście nie była, przy czym się upieraliśmy, podawali w wątpliwość sprawność naszych umysłów. Jeden znajomy posunął się tak daleko, że zganił Jenny za to, że pozwoliła mi się znowu zapłodnić. Zapytał ją tonem zarezerwowanym dla osób, które właśnie przekazały cały majątek na rzecz sekty z Gujany: - Co ty sobie właściwie myślałaś?

Nie obchodziło nas to wcale. 9 stycznia 1997 roku Jenny podarowała mi spóźniony prezent gwiazdkowy: trzyipółkilogramową dziewczynkę o różowych policzkach, której daliśmy na imię Colleen. Dopiero teraz poczuliśmy się rodziną w komplecie. O ile ciąża, w wyniku której na świat miał przyjść Conor, była nieustającą litanią stresów i zmartwień, ta ciąża była podręcznikowo doskonała, a poród w Miejskim Szpitalu w Boca Raton przeniósł nas, pieluszkowych klientów, na całkiem nowy poziom zadowolenia. W holu naprzeciwko naszego szpitalnego pokoju był barek z darmowym cappuccino - bardzo Boca. Nim dziecko wreszcie się urodziło, byłem tak podniecony spienioną kofeiną, że drżącymi rękami z ledwością udało mi się przeciąć pępowinę.

Kiedy Colleen skończyła tydzień, Jenny po raz pierwszy wyniosła ją na dwór. Dzień był rześki i piękny. Razem z chłopcami sadziliśmy kwiaty we frontowym ogródku. Marley przywiązany do pobliskiego drzewa, szczęśliwy, leżał w cieniu i obserwował otaczający go świat. Jenny siedziała na

trawie obok niego, a śpiącą Colleen w przenośnej kołysce postawiła na ziemi. Po kilku minutach chłopcy zawołali mamę, żeby przyszła zobaczyć ich dzieło. Prowadzili Jenny i mnie wzdłuż ogrodowych grządek, podczas gdy Colleen została w cieniu obok Marleya. Szliśmy za wielkimi krzakami, zza których wciąż mieliśmy oko na dziecko, ale sami nie byliśmy widoczni z ulicy. Gdy zawróciliśmy, zatrzymałem się i kiwnąłem na Jenny, żeby spojrzała przez krzak. Spacerujący ulicą starsi państwo zatrzymali się i wpatrywali z osłupieniem w scenę przed naszym domem. W pierwszej chwili nie wiedziałem, co ich zatrzymało i wprawiło w zdumienie. Potem do mnie dotarło - z ich punktu obserwacyjnego widać było tylko kruchego noworodka sam na sam z wielkim żółtym psem, który wydawał się pełnić rolę samodzielnej piastunki.

Staliśmy cichutko, powstrzymując chichot. Marley wyglądał jak egipski sfinks - leżał ze skrzyżowanymi przednimi łapami i uniesioną głową, węszył z zadowoleniem i z każdą sekundą podsuwał swój wielki kinol bliżej głowy Colleen. Biedni starsi państwo musieli pomyśleć, że oto natknęli się na przestępstwo porzucenia dziecka. Niewątpliwie rodzice, zostawiwszy niemowlę pod opieką labradora retrievera, który w każdej chwili mógłby się o nie zatroszczyć, sami siedzieli właśnie pijani w jakimś barze. Marley, jakby specjalnie na pokaz, bez niczyjej zachęty, zmienił pozycję, położył brodę na brzuchu Colleen - a jego głowa była większa od całego jej ciała - i wydał z siebie głębokie westchnienie, jakby mówiąc: „Gdzie się podziali ci dwoje?”. Wydawał się ją chronić, i może tak było, chociaż jestem właściwie całkiem pewien, że po prostu napawał się zapachem jej pieluszki.

Stojąc z Jenny za drzewem, uśmiechnęliśmy się do siebie. Myśl o Marleyu jako opiekunie niemowląt - Psi Żłobek Dzienny - była zbyt zabawna, żeby jej pozwolić minąć. Chciałem tam zostać i zobaczyć, jak dalej potoczy się ta

scena, ale dotarło do mnie, że jeden z możliwych scenariuszy obejmuje telefon na policję. Już kiedyś trzymaliśmy Conora na wygwizdowie, jak moglibyśmy wytłumaczyć się teraz? („No tak, zdaję sobie sprawę, jak to wyglądało, panie oficerze, ale on jest zadziwiająco odpowiedzialny...”). Wyszliśmy z krzaka i pomachaliśmy do starszych państwa. Zobaczyliśmy, jak ulga spływa na ich twarze. Dzięki Bogu, to dziecko nie zostało porzucone na pastwę psa.

- Muszą państwo naprawdę ufać swojemu psu - powiedziała kobieta z pewną rezerwą, wyrażając przekonanie, że psy są agresywne, nieprzewidywalne i nie ma dla nich miejsca tak blisko bezbronного noworodka.

- Jeszcze żadnego nie zjadł - odrzekłem.

Dwa miesiące po przybyciu Colleen do domu obchodziłem czterdzieste urodziny. W najbardziej złowróźbny sposób, mianowicie samotnie. Wielkie Cztery - Zero uważa się za najważniejszy punkt zwrotny, ten moment życia, w którym mówi się „żegnaj” niedającej wytchnienia młodości, by powitać przewidywalne wygody wieku średniego. Jeśli jakiegokolwiek urodziny zasługują na huczne obchody, to właśnie czterdziestka, ale nie moja. Byliśmy teraz odpowiedzialnymi rodzicami trójki dzieci, Jenny miała nowe niemowlę przy piersi. Mieliśmy ważniejsze zmartwienia. Wróciłem z pracy, Jenny była zmęczona i wyczerpana. Przełknąłem szybko jakieś resztki z obiadu, wykapałem chłopców i zapakowałem ich do łóżek, podczas gdy Jenny karmiła Colleen. O w pół do dziewiątej wszystkie dzieci już spały. Moja żona też. Otworzyłem piwo i usiadłem na patio, patrząc na opalizującą niebieską wodę w basenie. Tylko Marley jak zwykle wiernie trwał przy moim boku. Kiedy drapałem go za uchem, dotarło do mnie, że on jest mniej więcej w tym samym momencie zwrotnym swego życia. Przynieśliśmy go do domu sześć lat temu. Gdyby przeliczyć to

na ludzkie lata, miał koło czterdziestki. Niepostrzeżenie wkroczył w wiek średni, ale wciąż zachowywał się zupełnie jak szczeniak. Poza serią uporczywych infekcji uszu, które wymagały interwencji doktora Jaya, był zdrowy. Nie wykazywał żadnych objawów dorastania, a jeszcze mniej starzenia się. Nigdy wcześniej nie myślałem o Marleyu jak o jakimś modelowym wzorze, ale siedząc tam i sącząc piwo, uświadomiłem sobie, że być może on odkrył sekret dobrego życia. Nigdy nie zwalniał, nigdy nie patrzył za siebie, przeżywał każdy dzień z młodzieńczym zapałem, odwagą, ciekawością i swawolą. Jeśli uważasz, że wciąż jesteś młodym szczeniakiem, może naprawdę nim jesteś, niezależnie od tego, co mówi kalendarz. Nie jest to zła filozofia życiowa, chociaż osobiście ominąłbym te momenty z udziałem rozprutych kanap i zdemolowanej pralni.

- No dobra, stary draniu - powiedziałem, przyciskając w międzygatunkowym toaście butelkę z piwem do jego fafla. - Dzisiejszy wieczór spędzamy we dwójkę, tylko ty i ja. Za zdrowie czterdziestolatków! Pijmy za średni wiek! Za zdrowie tych, co biegną razem ze swymi wielkimi psami aż do końca!

A on wtedy zwinął się w kłębek i też zasnął.

Kilka dni później, gdy wciąż jeszcze chodziłem przygnębiony samotnie spędzonymi urodzinami, nieoczekiwanie zadzwonił Jim Tolpin, mój stary kumpel, ten sam, który niegdyś oduczył Marleya skakania na ludzi, i zapytał, czy nie poszedłbym z nim na piwo następnego dnia, w sobotni wieczór. Jim porzucił dziennikarstwo, żeby studiować prawo, a w tym samym mniej więcej czasie my przeprowadziliśmy się do Boca Raton i nie widziałem go od miesięcy.

- Jasne - powiedziałem, zastanawiając się, dlaczego nagle chce się spotkać.

Jim podjechał o szóstej i zabrał mnie do angielskiego pubu, gdzie sączyliśmy piwo Bass i uzupełnialiśmy luki w naszych życiorysach. Ledwo zdążyliśmy wrócić do starych, dobrych lat, gdy barman zawołał:

- Czy jest tutaj John Grogan? Telefon do Johna Grogana!

Dzwoniła Jenny. Głos miała zmęczony i zestresowany.

- Mała płacze, chłopcy robią, co chcą, a ja rozerwałam szkło kontaktowe! - lamentowała do słuchawki. - Czy mógłbyś wrócić do domu?

- Spróbuj się uspokoić - powiedziałem. - Zaraz będę.

Oddałem słuchawkę barmanowi, który skinął mi głową ze spojrzeniem „biedny pantoflarz” i powiedział po prostu:

- Trzymaj się, bracie.

- Chodźmy - rzekł Jim. - Podrzucę cię.

Na mojej ulicy po obu stronach stały zaparkowane w zwartych szeregach samochody.

- Ktoś urządza przyjęcie - zauważyłem.

- Na to wygląda - odparł Jim.

- Na litość boską! - zakląłem, kiedy zajechaliśmy pod dom.

- Tylko spójrz! Jakiś bałwan zaparkował nawet na moim podjeździe. Czy to nie wkurzające!

Zablokowaliśmy intruza i zaprosiłem Jima do środka. Ciągle jeszcze się wściekałem na bezmyślnego kretyna, który zaparkował na moim podjeździe, kiedy drzwi wejściowe otworzyły się z rozmachem. Stała za nimi Jenny z Colleen na rękach.

Wcale nie wyglądała na zmartwioną. Przeciwnie, uśmiechała się szeroko. Za nią stał kobziarz w kilcie. „Dobry Boże, gdzie ja jestem?”. Potem spojrzałem poza kobziarza i zobaczyłem, że ktoś usunął składany płot znad basenu i umieścił na wodzie pływające świece. Ogródek był zatłoczony kilkoma tuzinami moich przyjaciół, sąsiadów i kolegów z

pracy. Gdy tylko skojarzyłem, że wszystkie te samochody na ulicy należą do ludzi zgromadzonych w moim domu, oni krzyknęli jednym głosem - STO LAT, STARUSZKU!

Czyli jednak moja żona nie zapomniała.

Kiedy wreszcie zdołałem zatrzasnąć rozdziawione szczęki, wziąłem Jenny w ramiona, pocałowałem w policzek i szepnąłem jej na ucho: - Później się z tobą policzę!

Ktoś otworzył pralnię w poszukiwaniu kosza na śmieci i wyskoczył stamtąd Marley w pierwszorzędnym imprezowym nastroju. Popędził przez tłum, ściągnął z tacy przystawkę z mozzarelli z bazylią, wsadził nos pod minispódniczki kilku kobiet i skręcił w kierunku pozbawionego płotu basenu. Złapałem go w chwili, gdy szykował się do swego popisowego skoku na brzuch, i zaciągnąłem z powrotem do miejsca odosobnienia.

- Nie martw się - powiedziałem. - Schowam dla ciebie resztki.

Wkrótce po niespodziankowym przyjęciu - o jego sukcesie może świadczyć przyjazd policjantów, którzy pojawili się o północy i kazali nam się przymknąć - Marley udowodnił, że jego gwałtowny strach przed burzą nie jest pozbawiony podstaw. W niedzielne popołudnie pracowałem w ogródku za domem. Pod groźnym, pociemniałym niebem kopałem prostokąt trawy, żeby urządzić tam jeszcze jeden ogródek warzywny. Ogrodnictwo stało się moim poważnym hobby. Im lepszy w tym byłem, tym więcej chciałem uprawiać. Stopniowo zagospodarowałem cały teren za domem.

Marley kręcił się nerwowo wokół mnie, wyczuwając wewnętrznym barometrem nadciągającą burzę. Ja też ją czułem, ale chciałem skończyć, co zaplanowałem, i postanowiłem, że będę pracował, aż spadną pierwsze krople deszczu. Kopiąc, obserwowałem niebo i widziałem przerażające, czarne czoło burzy wiszące kilka kilometrów na

wschód, nad oceanem. Marley skamlał cicho, usiłując mnie nakłonić, żebym odłożył szpadel i poszedł do domu.

- Uspokój się - powiedziałem mu. - To jeszcze daleko.

Ledwie te słowa opuściły moje usta, kiedy doznałem nieznanego dotąd uczucia, rodzaj wibrującego mrowienia z tyłu szyi. Niebo przybrało dziwny odcień oliwkowej szarości, a powietrze nagle zamarło, jakby jakaś niebiańska siła zagarnęła wiatr i zamroziła w swoim uchwycie. „Niesamowite” - pomyślałem, przerwałem kopanie i oparłem się na szpadlu, żeby obserwować niebo. Wtedy to usłyszałem: brzęcząca, strzelająca, trzeszcząca falę energii. Podobną do tego, co czasem można usłyszeć, stojąc pod linią wysokiego napięcia. Dźwięk pffffffft wypełnił powietrze, a potem nastąpiła krótka chwila absolutnej ciszy. Wiedziałem już, że nadchodzą kłopoty, ale nie miałem czasu, by zareagować. W następnym ułamku sekundy niebo zrobiło się czyste, oślepiająco białe i w uszy uderzyła mnie eksplozja, jakiej nigdy przedtem nie słyszałem, ani w czasie burzy, ani na pokazie fajerwerków, ani podczas wyburzania budynków. Ściana energii walnęła mnie w pierś jak niewidzialny bokser. Kiedy otworzyłem oczy - kto wie, ile sekund później - leżałem twarzą do ziemi, z piaskiem w ustach, szpadel znalazł się dziesięć metrów dalej, deszcz bębnił o mnie. Marley też leżał, w pozycji waruj, a kiedy zobaczył, że podnoszę głowę, ruszył desperacko w moim kierunku, pełznąc na brzuchu jak żołnierz próbujący prześliznąć się pod ogniem wroga. Kiedy doczołgał się do mnie, wdrapał mi się na plecy, wcisnął nos w moją szyję i lizał mnie gorączkowo.

Rozejrzałem się dookoła tylko przez moment, by określić swoje położenie. Zobaczyłem, że piorun trafił w słup elektryczny w rogu ogródka i pobiegł po drucie do domu, jakieś piętnaście metrów ode mnie. Licznik prądu na ścianie zmienił się w osmaloną ruinę.

- Chodź! - wrzasnąłem.

Zerwaliśmy się na równe nogi, sprintem przebiegliśmy pod ulewą do tylnych drzwi, bo nowe strzały błyskawic już świeciły wokół nas. Zatrzymaliśmy się dopiero, kiedy bezpiecznie znaleźliśmy się wewnątrz. Ukląknęliśmy na podłodze, przemoczony do cna, łapiąc oddech, a Marley wspinał się na mnie, lizał mnie po twarzy, skubał w uszy, ociekał śliną i rozsiewał wszędzie kłaki sierści. Wychodził z siebie ze strachu, trząsł się w niekontrolowany sposób, ślina spływała mu po brodzie. Przytuliłem go mocno, próbując uspokoić.

- Jezu, to było blisko! - powiedziałem i zobaczyłem, że ja też się trzęsę.

Popatrzył na mnie tymi wielkimi, pełnymi współczucia i zrozumienia oczami, które, przysiągłbym, niemal potrafiły mówić. Byłem pewien, że wiem, co chce mi powiedzieć: „Od lat próbuję was ostrzec, że to coś może zabić. Ale kto mnie słucha? Czy teraz wreszcie zaczniesz brać mnie poważnie?”.

Pies miał rację. Może jego strach przed burzą nie był tak całkiem irracjonalny. Może ataki paniki przy pierwszych, odległych grzmotach to był jego sposób, żeby nam powiedzieć, że gwałtowne burze z piorunami na Florydzie, najgorsze w całym kraju, to nie jest coś, co można zbyć wzruszeniem ramion. Może te wszystkie zniszczone ściany, wygryzione podłogi i przeżute dywany były sposobem na zbudowanie błyskawicoodpornego legowiska, w którym wszyscy moglibyśmy się bezpiecznie schronić? A jak mu się odwdzięczaliśmy? Złorzeczeniem i środkami uspokajającymi.

Dom był ciemny. Nie działała klimatyzacja, spalił się telewizor, wentylator na suficie i kilka innych urządzeń. Z bezpieczników została stopiona masa. Będziemy musieli uszczęśliwić jakiegoś elektryka. Jenny z dziećmi siedziała bezpiecznie w salonie. Nawet nie zauważyli, że piorun trafił w dom. Wszyscy byliśmy cali i zdrowi. Czy coś poza tym miało

jakiegokolwiek znaczenie? Wziąłem Marleya na ręce, całe czterdzieści cztery zdenerwowane kilogramy psa, i obiecałem mu uroczyście: nigdy więcej nie zlekceważę jego strachu przed tą śmiertelnie groźną siłą natury.

ROZDZIAŁ 20

Psia Plaża

Jako gazetowy felietonista nieustannie poszukiwałem ciekawych i dziwnych historii, które mógłbym podchwycić i wykorzystać. Pisałem trzy felietony tygodniowo, toteż jednym z największych stojących przede mną wyzwań było zapewnienie sobie stałego dopływu świeżych tematów. Każdy rano zaczynałem od przeczesywania czterech południowoflorydzkich gazet codziennych. Podkreślałem i zaznaczałem wszystko, co mogłoby mieć dla mnie jakąś wartość. A gdy już znalazłem temat, musiałem go tylko ująć z jakiegoś nowego, specyficznego mojego punktu widzenia.

Mój pierwszy felieton spłynął wprost z nagłówka gazety. Pędzący samochód napchany ośmioma nastolatkami wpadł do kanału na skraju Parku Narodowego Everglades. Z tonącego auta zdołały się uratować tylko szesnastolatka, która siedziała za kierownicą, jej siostra bliźniaczka i jeszcze trzecia dziewczyna. Straszna historia. Jak miałem spojrzeć na nią ze świeżego punktu widzenia, który mógłbym nazwać własnym? Wybrałem się na samotną wizję lokalną w poszukiwaniu inspiracji.

Znalazłem ją, zanim jeszcze zatrzymałem samochód. Szkolni koledzy piątki zabitych dzieciaków zamienili chodnik w malowany sprayem dywan nekrologów. Pokrywały powierzchnię jeden przy drugim, bez żadnej przerwy, na długości prawie kilometra. Wylewały się z nich niemal dotykalne emocje. Zacząłem niektóre przepisywać do notesu. „Zmarnowana młodość” - mówiło jedno z przesłań, wypisane obok strzałki wskazującej na wodę. Wreszcie gdzieś pośród zwykłych w takich wypadkach oczyszczających wyznań dostrzegłem publiczne przeprosiny młodej Jamie Bardol, która prowadziła samochód. Wielkie, okrągłe litery, dziecienny

charakter pisma: „Wolałabym być na ich miejscu. Przepraszam”. Miałem już o czym pisać.

Nie wszystkie tematy były tak mroczne. Kiedy pewna emerytka otrzymała nakaz eksmisji od wspólnoty mieszkaniowej, ponieważ jej pies utył do tego stopnia, że przekroczył maksymalną wagę, jaką regulamin osiedla dopuszczał dla domowych zwierząt, pognałem spotkać się z tym podejrzanym grubasem. Gdy zaaferowany starszy obywatel wjechał w sklep przy próbie parkowania, szczęśliwie nikogo nie raniąc, byłem w pobliżu i rozmawiałem ze świadkami zdarzenia. Moja praca jednego dnia prowadziła mnie do obozu imigrantów, następnego do posiadłości milionera, a kiedy indziej na róg ulic w zakazanej dzielnicy. Kochałem tę różnorodność, kochałem napotykaną ludzi, a najbardziej kochałem niemal pełną wolność, dzięki której mogłem jechać tam, dokąd chciałem, wtedy, kiedy chciałem, za dowolnym tematem, który przyciągnął moją uwagę.

Szefowie nie zdawali sobie sprawy, że moje dziennikarskie wędrówki były przykrywką dla tajnego planu - w bezwstydnie oczywisty sposób wykorzystywałem stanowisko felietonisty, by spędzać czas pracy na zajęciach, które sprawiały mi przyjemność. Moje motto brzmiało: „Zadowolony felietonista to zadowolony czytelnik”. Po cóż miałbym przesiadywać na śmiertelnie nudnych wykładach na temat podatków, jeśli mogłem w tym czasie na przykład siedzieć w ogródku baru na Key West, sącąc koktajl alkoholowy z wielkiej szklanki? Ktoś przecież musi odbębniać brudną robotę i opisywać losy zaginionych solniczek w mieście marguerity, dlaczego nie ja? Wychodziłem z redakcji pod byle pretekstem, żeby błąkać się po okolicy, najchętniej w szortach i podkoszulku, w leniwym i rozrywkowym pościgu za tematami, które, jak sam siebie przekonywałem, z punktu widzenia czytelnika zasługiwały na podjęcie. Każda profesja

wymaga odpowiednich fachowych narzędzi. Do moich należał reporterski notatnik, wiązka długopisów i ręcznik plażowy. Rutynowo woziłem w bagażniku krem do opalania z filtrem i kąpielówki.

Jeden dzień spędzałem, mknąc w ślizgaczu przez Everglade, a inny wędrując wzdłuż brzegu jeziora Okeechobee lub jeżdżąc na rowerze malowniczą drogą stanową Al A nad brzegiem Atlantyku, dzięki czemu mogłem donieść czytelnikom z pierwszej ręki, że rowerzysta musi tam dzielić chodnik ze zdezorientowanymi rybami i roztargnionymi turystami. Raz nurkowałem pod niebezpiecznymi rafami Key Largo, a kiedy indziej opróżniłem cały magazynek na strzelnicy w towarzystwie dwukrotnej ofiary włamania, która przysięgała, że już nigdy więcej nie będzie ofiarą. Kiedyś przeleżałem beczynn timer kilka godzin na pokładzie statku rybackiego. Innego dnia improwizowałem z zespołem podstarzałych muzyków rockowych. Pewnego razu po prostu wdrapałem się na drzewo i siedziałem na nim godzinami, ciesząc się samotnością - pewien przedsiębiorca budowlany zamierzał wjechać buldożerem w las, w którym siedziałem, żeby oczyścić miejsce pod budowę ekskluzywnego osiedla, więc uznałem, że jedyne, co mogę zrobić, to wyprawić stosowny pogrzeb tej ostatniej pozostałości pierwotnej natury pośród betonowej dżungli. Moim największym osiągnięciem było namówienie szefa, żeby wysłał mnie na Bahamy. W ten sposób miałem się znaleźć na skraju huraganu, który torował sobie właśnie drogę nad południową Florydę. Huragan przeszedł bokiem, nie wyrządzając żadnych szkód, a ja przemieszkałem trzy dni w luksusowym hotelu na plaży, rozkoszując się pinacoladą pod błękitnym niebem.

W zapale dziennikarskich poszukiwań wpadłem kiedyś na pomysł, żeby spędzić dzień na plaży z Marleyem. Wzdłuż

całego zatłoczonego wybrzeża Florydy Południowej rozmaite rady miejskie zakazywały psom wstępu na plażę i miały po temu słuszne powody. Ostatnia rzecz, jakiej życzyli sobie plażowicze, to mokry, zapiaszczony pies, który robi kupy, sika i otrząsa się na nich, podczas gdy pracują nad opalenizną. Tablice „PSOM WSTĘP WZBRONIONY” wznosiły się niemal na każdym skrawku piasku.

Było jednak takie miejsce, niewielki, mało znany odcinek plaży, gdzie nie ustawiono tablic, znaków ani zakazów dla czworonogich amatorów oceanicznych kąpeli. Znajdowało się ono w niezagospodarowanym zakątku hrabstwa Palm Beach, mniej więcej w połowie drogi z West Palm Beach do Boca Raton, rozciągało na długości kilkuset metrów i kryło za porośniętą trawą wydumą na końcu ślepej uliczki.

Nie było tam parkingu, toalety, ratownika, lecz jedynie nietknięty pas naturalnego białego piasku dotykający bezmiaru wody. Od lat cieszyło się to miejsce reputacją jednego z ostatnich na południowej Florydzie bezpiecznych rajów dla psów, gdzie można przyjść i baraszkować w falach bez ryzyka grzywny, co właściciele czworonogów przekazywali sobie z ust do ust. Miejsce nie miało oficjalnej nazwy, wszyscy je znali jako Psią Plażę.

Psia Plaża działała według swoich własnych, niepisanych zasad, które ewoluowały w czasie i były wynikiem uzgodnienia stanowisk między bywającymi tam właścicielami psów. Do przestrzegania tych reguł zmuszał użytkowników jedynie arystokratyczny nacisk i jakiś rodzaj milcząco akceptowanego kodeksu etycznego. Właściciele psów sami się pilnowali, więc inni już nie musieli ich pilnować. Występnych karano miążdżącym spojrzeniem lub, jeśli zaszła potrzeba, kilkoma trafnie dobranymi słowami. Zasady były proste i nieliczne. Agresywne psy zostają na smyczy, inne mogą biegać swobodnie. Właściciele przynoszą ze sobą plastikowe

torebki, żeby zebrać wszelkie materialne ślady, jakie ich zwierzęta mogłyby zostawić po sobie. Wszystkie śmieci, łącznie z zapakowanymi psimi kupami, należy wynieść. Każdy pies powinien przybyć z zapasem słodkiej wody do picia. A najważniejszy był absolutny zakaz zanieczyszczania wody. Etykieta wymagała od właściciela, żeby przespacerował się najpierw z psem wzdłuż wydmy, daleko od brzegu oceanu, dopóki pies się nie wypróżni. Wtedy należało zapakować odchody i można było bezpiecznie udać się nad wodę.

Słyszałem o Psiej Plaży, ale nigdy tam nie byłem. Teraz miałem powód. Ten zapomniany zakątek szybko znikającej starej Florydy, który istniał, zanim nad oceanem urosły wieże apartamentowców, nim pojawiły się precyzyjnie wymierzone plażowe parkingi i niebosiężne ceny nieruchomości, znalazł się na pierwszych stronach gazet. Nastawiona proinwestycyjnie komisarz rady hrabstwa zaczęła publicznie narzekać na ten nieuregulowany pasek plaży i pytać, dlaczego nie stosuje się tutaj tych samych reguł co na wszystkich innych okolicznych plażach. Jej intencje były jasne: wyrzucić futrzanych użytkowników, poprawić standard i udostępnić masom to cenne źródło dochodów.

Od razu przykleiłem się do tej historii - stanowiła doskonały pretekst, żeby spędzić dzień pracy na plaży. W zabójczo doskonały czerwcowy poranek zmieniłem krawat i teczkę na spodenki kąpielowe oraz klapki i popędziłem z Marleyem na drugą stronę Intracoastal Waterway. Zabrałem do samochodu na drogę wszystkie ręczniki, jakie udało mi się znaleźć. Jak zwykle Marley jechał z wywalonym językiem, a ślina fruwała dookoła. Zupełnie jakbym wybrał się na przejażdżkę z gejzerem Old Faithful. Żałowałem tylko, że nie mam wewnętrznych wycieraczek.

Zgodnie z protokołem Psiej Plaży zaparkowałem kilka przecznic dalej, gdzie nie obowiązywały opłaty parkingowe, i rozpocząłem długą wędrówkę przez senną okolicę zabudowaną bungalowami z lat sześćdziesiątych. Marley szedł na przedzie stawki. Mniej więcej w połowie drogi usłyszałem gburowate wołanie:

- Hej, ty z psem!

Zdrętwiałem, przekonany, że zaraz przegna mnie stąd jakiś rozeźlony miejscowy, żądając, żebym zabrał mojego cholernego psa precz z jego plaży. Ale głos należał do innego psiarza. Człowiek ów podszedł do mnie z własnym wielkim psem na smyczy i podał mi do podpisania petycję, która miała nakłonić panią komisarz, żeby zostawiła Psią Plażę w spokoju. Chętnie bym porozmawiał o losach plaży, ale ze sposobu, w jaki Marley i ten drugi pies krążyły wokół siebie, wiedziałem, że to kwestia sekund, zanim (a) rzucą się na siebie w śmiertelnej walce lub (b) założą rodzinę. Odciągnąłem Marleya i poszliśmy dalej. Akurat gdy doszliśmy do ścieżki na plażę, Marley kucnął w zielsku i opróżnił kiszki. Doskonale. Przynajmniej ten mały obowiązek mamy już za sobą. Zgarnąłem do torebki materialne ślady i rzuciłem komendę: - Na plażę!

Gdy zdobyliśmy wierzchołek wydmy, ze zdziwieniem zobaczyłem kilka osób brodzących po brzegu z psami bezpiecznie przypiętymi do smyczy. O co tu chodzi? Spodziewałem się, że psy w tym miejscu biegają swobodnie w rozpasanej społecznej harmonii.

- Właśnie był wysłannik szeryfa - wyjaśnił mi jeden przygaszony właściciel psa. - Powiedział, że od teraz egzekwują obowiązujący w hrabstwie przepis o smyczach i będą wlepiac grzywnę, jeśli jakiś pies będzie chodził wolno.

Okazało się, że przybyłem zbyt późno, by nacieszyć się prostymi przyjemnościami Psiej Plaży. Policja, bez wątpienia

pod naciskiem politycznie zjednoczonych antypsich sił, zaczęła zaciskać pętlę. Posłusznie spacerowałem z Marleyem wzdłuż brzegu obok innych właścicieli psów, czując się bardziej jak na więziennym spacerniaku niż jak na ostatnim na południowej Florydzie wolnym kawałku piasku.

Usiadłem na ręczniku i po prostu polałem Marleya garścią wody z pojemnika, który przytargałem ze sobą, kiedy zza wydmy wyłonił się facet z wytatuowanym gołym torsem, w obciętych dżinsach i ciężkich butach. Przy boku, na grubym łańcuchu, prowadził umięśnionego pitbula okrutnej postury o groźnym wyglądzie. Pitbule słyną z agresywności, a w tym czasie na południowej Florydzie szczególnie dużo się o nich mówiło. Cieszyły się opinią ulubionej rasy gangsterów, bandytów i twardzieli. Często tresowano je specjalnie do walki. Gazety bez przerwy donosiły o kolejnych niesprowokowanych atakach pitbuli zarówno na ludzi, jak na zwierzęta, czasami kończących się tragicznie. Właściciel musiał zauważyć, że się wzdrygnąłem, bo zawołał: - Proszę się nie obawiać. Killer jest przyjazny. Nigdy nie atakuje innych psów.

Już miałem odetchnąć z ulgą, kiedy dodał z nieukrywaną dumą: - Ale gdyby pan widział, jak on rozpruwa dzika! Mówię panu, potrafi takiego powalić na ziemię i wypatroszyć w piętnaście sekund.

Marley i pitbul Killer Rozpruwacz Dzików krążyły na napiętych smyczach, obwąchując się z furiackim zapalem. Marley nigdy w życiu nie walczył. Był tak duży, że mało kto ośmielał się go prowokować. A jeśli nawet tak się zdarzyło, nie podejmował wyzwania. Podskakiwał tylko w pozycji zapraszającej do zabawy, merdał ogonem z wypiętą do góry pupą i głupkowatym, szczęśliwym uśmiechem na pysku. Ale nigdy przedtem nie stał oko w oko z wyszkolonym zabójcą, zwyrodnialcem z nielegalnych walk. Już widziałem, jak Killer

bez ostrzeżenia rzuca się Marleyowi do gardła i nie puszcza. Właściciel Killera pozostał nieporuszony.

- Chyba że jesteś dziką świnia, wtedy załatwi cię na śmierć - powtórzył dobitnie.

Powiedziałem mu, że właśnie były tu gliny i zamierzają karać grzywną ludzi nieprzestrzegających nakazu trzymania psów na smyczy.

- Wydaje mi się, że będą to egzekwować - dodałem.

- Pierdoły! - zawołał i splunął w piasek. - Przychodzę na tę plażę z moimi psami od lat. Na Psiej Plaży nie używa się smyczy. - Pierdoły! - mówiąc to, odpiął karabińczyk ciężkiego łańcucha i Killer pogalopował przez piach do wody. Marley stanął na tylnych łapach i huśtał się w przód i w tył. Spojrzał na Killera, a potem na mnie. Znowu na Killera i na mnie.

Łapami nerwowo udeptywał piasek. Wydobył z siebie ciche, proszące, nieprzerwane skomlenie. Gdyby umiał mówić, wiem, o co by błagał: „Proszę, proszę, bardzo cię proszę! Będę grzeczny. Obiecuję!”.

- Dalej, spuść go pan - zachęcał właściciel Killera. - Psy nie są po to, żeby spędzać życie na końcu sznurka.

- A co tam, do diabła - powiedziałem i odpiąłem smycz.

Marley runął w kierunku oceanu, przy starcie obsypując nas piaskiem. Wpadł do wody akurat w porę, by zderzyć się z czołem nadchodzącej fali, która przewróciła go i wessała pod siebie. Po sekundzie się wynurzył i gdy tylko odzyskał grunt pod nogami, rzucił się rozkrzyżowaną masą na Killera Rozpruwacza Dzików, przez co obaj stracili równowagę. Spleceni wtoczyli się pod falę, a ja wstrzymałem oddech, zastanawiając się, czy Marley właśnie przekroczył granicę, za którą Killer wpada w zabójczy szal rozpruwania labradorów. Ale kiedy wynurzyły się znowu, machały ogonami i gęby im się śmiały szeroko. Killer wskakiwał na plecy Marleya, a Marley na Killera i oba psy na niby kłapały szczękami wokół

swoich gardeł. Gonily się wzdłuż granicy wody i zawracały, wzniesając dookoła fontanny fruwających kropli. Brykały, tańczyły, siłowały się i nurkowały. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek przedtem czy kiedykolwiek potem miał być świadkiem tak czystej radości.

Pozostali właściciele wzięli z nas przykład i wkrótce psy, chyba z tuzin, biegały swobodnie. Wszystkie psy zachowywały się wspaniale. Wszyscy właściciele trzymali się zasad. Była to Psia Plaża w pełnym znaczeniu tego słowa. To była prawdziwa Floryda, nieujarzmiona i niepowstrzymana, Floryda z zapomnianych, prostszych czasów i miejsc, odporna na marsz postępu.

Pojawił się tylko jeden mały problem. Przez cały ranek Marley wciąż chleptał słoną wodę. Chodziłem za nim z miską, ale był zbyt zajęty, żeby pić. Kilka razy zaprowadziłem go prosto do miski i wsadzałem do niej jego nos, ale wypluwał słodką wodę, jakbym mu kazał pić ocet. Myślał tylko o tym, żeby wrócić do swego nowego przyjaciela Killera i innych kumpli.

Na brzegu przerwał na chwilę zabawę, żeby napić się jeszcze trochę morskiej wody.

- Przestań, durniu - krzyknąłem na niego. - Chcesz się... - zanim zdołałem skończyć, stało się. Dziwny wyraz pojawił się w jego oczach, a z gardła zaczął się wydobywać przerażający, bulgoczący odgłos. Wygiął plecy w wysoki łuk. Kilka razy otworzył i zamknął pysk, jakby próbując pozbyć się czegoś z przełyku. Barki wznosiły mu się i opadały, brzuch jakby się wessał do środka. Zakończyłem zdanie: - ...rozchorować?

W chwili gdy słowo to opuściło moje usta, Marley spełnił przepowiednię, dokonując najgorszego z heretyckich czynów na Psiej Plaży. BLEEEEEEE!

Rzuciłem się, żeby wyciągnąć go z wody, ale było za późno. Wszystko już z niego wyleciało. BLEEEEEEE!

Zobaczyłem pływający na powierzchni wody psi posiłek z poprzedniego wieczoru. Wyglądał zaskakująco świeżo, jak przed spożyciem. Między bryłkami suchej karmy pływały niestrawione ziarna kukurydzy, które ściągnął z talerzy dzieci, nakrętka od mleka i odgryziona głowa plastikowego żołnierzyka. Ewakuacja obiadu zajęła nie więcej niż trzy sekundy i w chwili, gdy jego żołądek opustoszał, Marley spojrzał dookoła jasnym wzrokiem, wyraźnie w pełni odnowiony, bez dalszych objawów, jakby chciał powiedzieć: „No, chłopaki, sprawa załatwiona, kto idzie popływać?”.

Obejrzałem się nerwowo dookoła, ale wyglądało na to, że nikt nie zauważył. Inni właściciele byli zajęci własnymi psami dalej na plaży, jakaś mama opodal skupiła się na pomaganiu córeczce w budowaniu zamku z piasku, a kilka rozproszonych tu i tam osób zażywających kąpieli słonecznych leżało na plecach z zamkniętymi oczami.

- Dzięki Bogu! - pomyślałem.

Wszedłem w strefę pawia Marleya, żeby wzburzyć wodę nogami, jakby mogło to rozproszyć dowody przestępstwa. Jak bardzo czułem się zażenowany? W każdym razie, powiedziałem sobie, poza technicznym złamaniem zasady numer jeden Psiej Plaży nie spowodowaliśmy prawdziwych zniszczeń. To było tylko niestrawione jedzenie, ryby powinny nam podziękować za posiłek, prawda? Podniosłem nawet nakrętkę od mleka i głowę żołnierzyka. Schowałem je do kieszeni, żeby nie śmiecić.

- Słuchaj, ty - powiedziałem groźnie, łapiąc Marleya za pysk i zmuszając, żeby spojrzał mi w oczy. - Przestań pić słoną wodę. Co to za pies, który nie wie, że nie wolno pić słonej wody?

Rozważałem, czy nie skrócić naszej przygody i nie zabrać go z plaży, ale wyglądał już teraz w porządku. Prawdopodobnie w jego żołądku nic nie zostało. Szkoda się

dokonała, a nam się udało wyjść z tego bez szwanku. Puściłem go. Pognał przez plażę do Killera.

Wprawdzie żołądek Marleya całkiem się opróżnił, ale zapomniałem uwzględnić jelita. Oślepiające promienie słońca odbijały się od powierzchni wody. Mrużyłem oczy, żeby kontrolować Marleya brykającego wśród innych psów. Raptownie wyłączył się z zabawy i zaczął kręcić się w kółko na płytkiej wodzie. Dobrze znałem ten okrążający manewr. Robił to każdego ranka w kącie podwórka, gdy przygotowywał się do wypróżnienia. To był jego rytuał, jakby żadne miejsce nie było godne na przyjęcie daru, który zamierzał ofiarować światu. Czasami potrafił kręcić się nawet minutę lub dłużej, nim natrafił na najdoskonalszy skrawek ziemi. A teraz krążył po płyciźnie Psiej Plaży, za tą nieprzekraczalną granicą, za którą dotąd żaden pies nie ośmielił się złożyć swej kupy. Przyjął pozycję kuczną. Tym razem miał widownię. Tata Killera z kilkoma innymi psiarzami stał zaledwie kilka metrów od niego. Mama z córeczką odwróciły się od swojego zamku, żeby popatrzeć na morze. Brzegiem nadchodziła jakaś para, trzymając się za ręce.

- Nie! - jęknąłem. - Proszę, Boże, nie!

- Hej! - krzyknął ktoś. - Zabierz pan tego psa!

- Powstrzymaj go! - zawołał ktoś inny.

Opalający się ludzie podnieśli głowy, żeby zobaczyć, co to za zamieszanie. Wystartowałem sprintem. Gdybym zdążył go wyrwać z przysiadu, zanim jego kiszki zaczną pracować, może zdołałbym przerwać to całe okropne poníženie, na tyle przynajmniej, żeby go doprowadzić bezpiecznie za wydnię. Pędząc, przeżywałem coś, co można opisać jako doświadczenie bycia poza ciałem. Biegłem i jednocześnie oglądałem z góry scenę, która rozwijała się według nieuchronnego scenariusza. Każdy krok zdawał się trwać

wieczność. Stopy uderzały w piasek z głuchym dudnieniem. Ręce wymachiwały w powietrzu, twarz zastygła w agonalnym skurczu. Wchłaniałem w zwolnionym tempie obrazy dookoła mnie: młoda kobieta zakłada biustonosz, jedną ręką zasłania piersi, drugą zasłania usta; matka chwyta dziecko i odciąga znad brzegu wody; właściciele psów o twarzach skrzywionych z niesmakiem pokazują palcami; tata Killera wrzeszczy, a jego skórzasty kark nadyma się złością.

Marley zakończył już okrążenia. W pełnym przysiadzie spojrział w niebo, jakby odmawiając krótką modlitwę. I usłyszałem, jak mój własny głos wznosi się ponad gwar i rozwija w dziwacznie gardłowy, zniekształcony, rozdzierający krzyk:

- Niiieeeeeeeeeee!

Byłem tuż - tuż, pół metra od niego.

- Marley, nie! - krzyczałem. - Nie, Marley, nie! Nie! Nie! Nie! Nie!

Niepotrzebnie. W chwili, gdy go dopadłem, eksplodował strumieniem wodnistej biegunki. Wszyscy odskoczyli, cofając się na suchy teren. Właściciele zgarniali swoje psy. Plażowicze zwijali swoje ręczniki. Skończyło się.

Marley wydreptał z wody i odwrócił się, by spojrzeć na mnie. Podskoczył radośnie. Wyciągnąłem z kieszeni plastikową torebkę i bezradnie trzymałem ją w powietrzu. Od razu wiedziałem, że to nie ma sensu. Fale rozproszyły brudy Marleya w wodzie i po plaży.

- Gościu - powiedział tata Killera głosem, który zmusił mnie, żebym się poczuł jak dzika świnia w chwili ostatecznego, morderczego ataku Killera - to nie było zabawne.

Nie, to w ogóle nie było zabawne. Marley i ja pogwałciliśmy świętą regułę Psiej Plaży. Zbeczciliśmy

wodę nie raz, ale dwa razy, i zrujnowaliśmy wszystkim przedpołudnie. Nadszedł czas, by odtrąbić pospieszny odwrót.

- Przepraszam - wymamrotałem do właściciela Killera, przypinając Marleyowi smycz. - Połknął trochę morskiej wody.

Przy samochodzie zarzuciłem ręcznik na Marleya i wytarłem go energicznie. Im bardziej wycierałem, tym bardziej się otrząsał. Po chwili cały byłem pokryty piaskiem, wodą i kłakami. Chciałem być na niego wściekły. Chciałem go udusić. Ale już było za późno. Poza tym kto by się nie rozchorował po wypiciu kilku litrów słonej wody? Jak wiele innych jego przestępstw, i to nie było ani złośliwe, ani zamierzone. Nie był nieposłuszny ani nie chciał mnie specjalnie upokorzyć. Po prostu musiał to zrobić i zrobił. To prawda, że w nieodpowiednim miejscu, w nieodpowiedniej chwili i na oczach tych wszystkich nieodpowiednich ludzi. Okazał się jedynym zwierzęciem na całej plaży na tyle głupim, żeby żłopać morską wodę. Ale wiadomo przecież, że jest niepełnosprawny umysłowo. Nic na to nie może poradzić, więc jak mógłbym mieć mu to za złe?

- Nie musisz być taki zadowolony z siebie - powiedziałem, ładując go na tylne siedzenie.

Ale był zadowolony. Nie wyglądałby na szczęśliwszego, nawet gdybym mu podarował na własność jedną z Wysp Karaibskich. Nie wiedział tylko, że po raz ostatni w swoim życiu włożył łapę do jakiegokolwiek zbiornika ze słoną wodą. Dni - czy raczej godziny - w których odgrywał plażowego lowelasa, minęły ostatecznie i nieodwołalnie.

- Cóż, Słony Psie - powiedziałem w drodze do domu - jeśli wygnają twoich kumpli z Psiej Plaży, obaj będziemy wiedzieli, dlaczego.

Zajęło to jeszcze kilka lat, ale w końcu rzeczywiście nastąpiło.

ROZDZIAŁ 21

Lot na północ

Wkrótce po tym, jak Colleen skończyła dwa lata, nieumyślnie wywołałem serię zdarzeń losowych, w wyniku których opuściliśmy Florydę. Zaczęło się od kliknięcia myszką. Tamtego dnia szybko uporałem się z felietonem i musiałem poczekać na redaktora, więc miałem pół godziny do zabicia. Przyszło mi do głowy, żeby zajrzeć na stronę internetową czasopisma, które prenumerowałem, od kiedy kupiliśmy dom w West Palm Beach. Magazyn „Ogrodnictwo Organiczne”, założony w 1942 roku przez ekscentryka i dziwaka J.I. Rodale'a, stał się biblią ruchów ekologicznych, które rozkwitły w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych.

Rodale był biznesmenem z Nowego Jorku. Specjalizował się w przełącznikach elektrycznych. Gdy zaczął podupadać na zdrowiu, zamiast zwrócić się ku współczesnej medycynie, wyniósł się z miasta na małą farmę w okolicach miasteczka Emmaus w Pensylwanii i zajął się zabawą w ogrodnika. Głęboko nie ufał technologii i uważał, że wbrew oficjalnym zapewnieniom zalewająca kraj nowoczesna agrotechnika, oparta głównie na użyciu pestycydów i nawozów sztucznych, nie zbawi amerykańskiego rolnictwa. Przeciwnie, Rodale twierdził, że chemikalia stopniowo zatrują ziemię i wszystkich jej mieszkańców. Zaczął eksperymentować z metodami uprawy naśladującymi naturę. Gnijące resztki roślin układał w olbrzymie pryzmy kompostowe, a kiedy zamieniły się w bogatą, czarną próchnicę, używał ich jako nawozu i naturalnego składnika gleby. Ścieżki w ogrodzie okrywał zwartym dywanem słomy, która tłumiała chwasty i zatrzymywała wilgoć. Siał koniczynę i lucernę, a gdy podrosły, zaorywał je w ziemię, żeby przywrócić glebie odżywcze składniki. Zamiast oprysków na owady stosował tysiące biedronek i innych pożytecznych insektów, które

pożerały te szkodliwe. Był trochę stuknięty, ale jego teorie się sprawdzały. Ogród wyglądał coraz lepiej, podobnie jak zdrowie ogrodnika, który obwieszczał swój sukces na łamach własnego magazynu. W czasach kiedy zacząłem czytać „Ogrodnictwo Organiczne”, J.I. Rodale dawno nie żył, jak i jego syn, który zdążył jeszcze przekształcić firmę ojca Rodale Press w obracające wieloma milionami dolarów wydawnictwo. Magazyn nie był zbyt dobrze redagowany. Jako czytelnik odnosiłem wrażenie, że tworzyła go grupa pełnych poświęcenia, ale nieprofesjonalnych fanatyków filozofii J.I. Rodale'a, poważnych ogrodników bez dziennikarskiego doświadczenia. Później przekonałem się, że właśnie tak było. Mimo to filozofia organiczna w moich oczach nabierała coraz większego sensu, zwłaszcza po zagrożonej ciąży Jenny i naszych podejrzaniach, że miało to coś wspólnego z pestycydami, których wtedy używaliśmy. Nim urodziła się Colleen, nasze podwórko było już małą organiczną oazą w podmiejskim morzu pestycydów oraz chemicznych środków na chwasty i owady. Przechodnie często zatrzymywali się przed domem, żeby podziwiać rozbuchany ogród, który uprawiałem z rosnącą pasją. Niemal wszyscy zadawali to samo pytanie:

- Czego pan używa, że to tak dobrze rośnie?

Kiedy odpowiadałem, że niczego nie używam, patrzyli na mnie z niechęcią, jakby coś niewyobrażalnie wywrotowego wkroczyło właśnie do ich uporządkowanego, jednolitego, konformistycznego Boca Raton.

Tego popołudnia w redakcji, gdy surfowałem sobie po stronie organicgardening.com, natknąłem się na ikonkę „Oferty pracy”. Kliknąłem, do dziś nie wiem dlaczego. Lubiałem zajęcie felietonisty, codzienną wymianę opinii z czytelnikami, swobodę w samodzielnym doborze tematów. Podobało mi się, że mogłem pisać poważnie lub żartować,

jeśli przyszła mi na to ochota. Kochałem naszą redakcję i wszystkich dziwaków, mózgowców, neurotyków oraz idealistów, którzy się w niej gromadzili. Kochałem być w samym środku wydarzeń. Nie miałem życzenia opuszczać mojej gazety na rzecz sennego wydawnictwa w samym środku niczego. Niemniej jednak zacząłem przeglądać ogłoszenia o pracy w Rodale Press. Robiłem to bardziej z pustej ciekawości niż z jakiegokolwiek innej przyczyny, ale w pewnej chwili zatrzymałem się z zimnym dreszczem. Magazyn „Ogrodnictwo Organiczne”, okręt flagowy wydawnictwa, poszukiwał zastępcy redaktora naczelnego. Serce zabiło mi mocniej. Często rozmyślałem, czego mógłby w tym piśmie dokonać przyzwoity dziennikarz, a teraz miałem realną szansę. To było szalone. Śmieszne. Miałbym zostać redaktorem od artykułów o kalafiorach i kompoście? Dlaczego chciałem to zrobić?

Wieczorem opowiedziałem Jenny o wolnym stanowisku. Wiedziałem z całą pewnością, jak zareaguje: powie mi, że chyba jestem nienormalny, jeśli w ogóle biorę coś takiego pod uwagę. Ale zaskoczyła mnie. Uparła się, żebym wysłał aplikację. Spodobał jej się pomysł, żeby opuścić gorącą, wilgotną, przeludnioną, przestępczą Florydę i wrócić do prostszego życia w głębi kraju. Brakowało jej czterech pór roku i wzgórz. Tęskniła za opadającymi liśćmi i wiosennymi narcyzami. Marzyła o lodowych soplach i cydrze z jabłek. Chciała, żeby nasze dzieci, a także - jakkolwiek śmiesznie to by brzmiało - nasz pies, zobaczyły, jakim cudownym wydarzeniem jest śnieżna zadymka.

- Marley nigdy nie gonił za śnieżką - powiedziała, drapiąc go za uchem gołą stopą.

- Tak, to świetny powód, żeby zmienić pracę - zauważyłem.

- Powinieneś to zrobić, choćby po to, żeby zaspokoić swoją ciekawość - odparła. - Sprawdź, co się stanie. Jeśli złożą ci ofertę, zawsze możesz ją odrzucić.

Musiałem się przyznać, że podzielałam jej marzenie o powrocie na północ. Chociaż cieszyłem się z naszych dwunastu lat spędzonych na południu Florydy, urodziłem się na północy i nigdy nie przestałem tęsknić za trzema rzeczami: pofałdowanymi wzgórzami, zmiennymi porami roku i rozległym krajobrazem. Nawet gdy dorosłem do tego, żeby pokochać Florydę z jej łagodnymi zimami, ostrym jedzeniem i komicznie wybuchową mieszanką ludzką, nigdy nie porzuciłem myśli, że pewnego dnia ucieknę do własnego prywatnego rajku - nie będzie to domek z ogródkiem o wielkości znaczka pocztowego w samym sercu hiperdrogiego Boca Raton, ale prawdziwy kawałek ziemi, którą będę mógł uprawiać, gdzie będę mógł rąbać moje własne drewno do kominka i wędrować przez las z psem przy nodze.

Wysłałem aplikację, przekonując samego siebie, że to tylko żart. Dwa tygodnie później zadzwonił telefon i odezwała się wnuczka J.I. Rodale'a Maria Rodale.

List zaadresowałem do „Szanownego Działu Zasobów Ludzkich”, więc byłem tak zaskoczony, słysząc właścicielkę firmy, że poprosiłem ją o powtórzenie nazwiska. Maria osobiście przejęła odpowiedzialność za magazyn stworzony przez dziadka i chciała przywrócić mu dawną chwałę. Była przekonana, że do wykonania tego planu potrzebuje profesjonalnego dziennikarza, a nie kolejnego żarliwego organicznego ogrodnika. Postanowiła zamieszczać więcej poważnych i ambitnych artykułów na temat środowiska, inżynierii genetycznej, intensywnej hodowli i rozwijającego się ruchu organicznego.

Wyruszyłem na spotkanie w sprawie pracy z twardym postanowieniem, by grać kogoś trudno osiągalnego, ale

przeszło mi, gdy tylko wyjechałem z lotniska na krętą dwupasmową drogę. Za każdym zakrętem ukazywała się nowa widokówka: tutaj kamienny dom farmerski, tam kryty most. Lodowate strumyki spływały po zboczach wzgórz, a pola uprawne ciągnęły się po horyzont jak złote sukienki samego Boga. Wcale nie pomagało, że była wiosna i kaździutkie drzewo w dolinie Lehigh było obsypane wspaniałym kwieciem. Przed samotnym wiejskim znakiem stopu wysiadłem z wynajętego samochodu i stanąłem na środku drogi. Jak okiem sięgnąć, w dowolnym kierunku nie było nic, tylko lasy i łąki. Ani samochodu, ani człowieka, ani budynku. Z pierwszej napotkanej budki telefonicznej zadzwoniłem do Jenny: - Nie uwierzysz, że istnieje takie miejsce - powiedziałem.

Dwa miesiące później panowie z firmy od przeprowadzek załadowali całą zawartość naszego Boca - domu do gigantycznej ciężarówki. Podjechała laweta, żeby połączyć nasz samochód i minivana. Oddaliśmy klucze nowym właścicielom i ostatnią noc na Florydzie spędziliśmy na podłodze w salonie sąsiadów. Marley spał rozciągnięty między nami. - Kemping pod dachem! - wołał Patrick.

Następnego ranka wstałem wcześnie i zabrałem Marleya na ostatni spacer po florydzkiej ziemi. Węszył, szarpał smycz, podskakiwał, kiedy krążyliśmy po ulicach, podnosił tylną łapę przy każdym napotkanym krzaku i skrzynce pocztowej. Na szczęście nie miał pojęcia o gwałtownej zmianie, jaką zamierzałem mu zafundować. Na podróż samolotem kupiłem dla niego składaną klatkę z wytrzymałego plastiku, a po spacerze, za radą doktora Jaya, wsunąłem mu do gardła podwójną dawkę środków uspokajających. Nim sąsiad dowiózł nas do Międzynarodowego Portu Lotniczego Palm Beach, Marley miał czerwone oczy i wyjątkowego meleja.

Moglibyśmy wsadzić go do rakiety, a byłoby mu wszystko jedno.

Klan Groganów wkroczył do terminalu w szyku: dwaj dziko podnieceni chłopcy biegający w kółko, głodne niemowlę w wózek, dwoje zestresowanych rodziców i jeden bardzo otepiały pies. Towarzyszyły nam ponadto dwie żaby, trzy złote rybki, jeden krab, ślimak o imieniu Slugy i pudełko żywych świerszczy do karmienia żab. Gdy czekaliśmy w kolejce do odprawy, złożyłem plastikową klatkę. Była to największa klatka, jaką udało się znaleźć, ale kiedy dotarliśmy do kontuaru, kobieta w mundurze spojrzała na Marleya.

- Nie wpuścimy psa na pokład w tym pojemniku. Jest za mały - oświadczyła.

- W sklepie mi powiedziano, że to rozmiar na dużego psa - zapewniłem.

- Przepisy federalne wymagają, żeby pies mógł się swobodnie wyprostować i obrócić dookoła - wyjaśniła i dodała z powątpiewaniem: - Niech pan spróbuje.

Otworzyłem drzwiczki i zawołałem Marleya, ale nie miał zamiaru dobrowolnie wejść do tej przenośnej celi. Popychałem, namawiałem, podlizywałem się i płaszczyłem. Nie ruszył się z miejsca. Gdzie się podziewają psie ciasteczka, kiedy ich potrzebuję? Przeszukałem kieszenie, żeby znaleźć coś, czym mógłbym go przekupić, i w końcu wyłowilem pudełko pastylek miętowych. Dobre i to. Wyjąłem jedną i pomachałem mu przed nosem.

- Chcesz miętusa, Marley? Weź miętusa - wrzuciłem cukierka do pojemnika na psa.

Dość łatwo złapał przynętę i beztrąsko wszedł do klatki. Kobieta miała rację: nie całkiem pasowała. Musiał się skulić, żeby nie sięgać głową do sufitu, a gdy dotykał nosem tylnej

ściany, pupa wystawała przez otwarte drzwi. Wcisnąłem mu ogon do środka i zamknąłem klatkę, dopychając kolaniem.

- A nie mówiłem? - sapnąłem w nadziei, że kobieta uzna to za komfortowe pomieszczenie.

- Musi się obrócić dookoła - oświadczyła.

- Odwróć się, piesku - kazałem mu i cicho gwizdnąłem.

- No już, odwróć się.

Szurając głową o sufit, rzucił mi przez ramię spojrzenie ćpuna, jakby czekał na dodatkowe instrukcje, jakim też sposobem ma dokonać tego wyczynu. Jeśli się nie odwróci, linie lotnicze nie pozwolą załadować go na pokład. Spojrzałem na zegarek. Zostało dwanaście minut na przejście przez ochronę, potem przez hol i dojście do samolotu.

- Chodź, Marley! - powiedziałem z większą desperacją

- Chodź!

Strzelałem palcami, stukałem w metalowe drzwiczki, przemawiałem pieszczotliwie.

- No chodź - prosiłem. - Odwróć się!

Miałem zamiar paść na kolana i błagać, kiedy usłyszałem trzask, a zaraz potem głos Patricka.

- Ups - powiedział.

- Żaby uciekły! - krzyknęła Jenny, wkraczając do akcji.

- Froggy! Croaky! Wracajcie! - wołali chłopcy unisono.

Moja żona biegała teraz na czworakach wokół terminalu, a sprytne żaby zawsze były o jeden skok przed nią. Pasażerowie zaczęli przystawać i patrzeć. Z pewnej odległości nie było widać żab, tylko szaloną kobietę z torbą pieluszek na plecach kicającą dookoła, jakby rozpoczęła dzień zbyt dużą dawką księżycówki. Sądząc po minach gapiów, byli w pełni przygotowani na to, że zaraz zaczną wyć.

- Przepraszam na moment - powiedziałem do pracownicy linii lotniczych tak spokojnie, jak potrafiłem, a potem opadłem na kolana i łokcie, by pomóc Jenny.

Wykonawszy naszą część porannego programu rozweselania tłumu podróżnych, dopadliśmy wreszcie Froggy i Croaky, właśnie gdy szykowały się do ostatecznego skoku na wolność przez drzwi automatyczne. Gdy wróciliśmy, usłyszałem głośnie zamieszanie dobiegające z psiej klatki. Skrzynia chwiała się i jeździła po podłodze. Zajrzałem do środka. Marley w jakiś nadprzyrodzony sposób zdołał się odwrócić.

- Widzi pani? - powiedziałem do kobiety w mundurze. - Może się odwrócić, nie ma problemu.

- Niech będzie - odparła, marszcząc brwi. - Ale pan to wymusił.

Dwaj tragarze podnieśli Marleya razem z klatką na wózek i odjechali. Reszta naszej rodziny pognała do samolotu, docierając do wejścia, akurat gdy obsługa kończyła zamykać służbę.

Uświadomiłem sobie, że jeśli nie zdążymy, Marley dotrze do Pensylwanii samotnie, i oczami wyobraźni ujrzałem scenę potencjalnego pandemonium, którego skutków nie chciałbym nawet rozważać.

- Poczekajcie! Tu jesteśmy! - wrzasnąłem, wyciągając przed siebie Colleen i wyprzedzając chłopców i Jenny o jakieś trzydzieści kroków.

Kiedy wreszcie zajęliśmy miejsca, pozwoliłem sobie odetchnąć. Zapakowaliśmy Marleya. Złapaliśmy żaby. Lecimy. Następny przystanek - Allentown w Pensylwanii. Mogę się teraz odprężyć. Przez okno zobaczyłem, że obok samolotu zatrzymuje się wózek, na którym stoi klatka z psem.

- Patrzcie - powiedziałem do dzieci. - Tam jest Marley. Zamachały przez okno i zawołały: - Hej, Waddy!

Gdy ruszyły silniki i stewardesa zakończyła instrukcję bezpieczeństwa, wyciągnąłem gazetę, ale dostrzegłem, że siedząca w rzędzie przede mną Jenny zamarła. Wtedy ja też to

usłyszałem. Spod naszych stóp, z głębi samolotowych trzewi, dobiegał dźwięk, przytłumiony, ale niezaprzeczalny. Bolesny, żalobny dźwięk, rodzaj pierwotnego zawołania, które zaczyna się nisko i rośnie w miarę trwania. „Jezu drogi, on tam wyje”. Na marginesie - labradory nie wyją. Beagle wyją. Wilki wyją. Labradory nie wyją, a przynajmniej niezbyt dobrze. Marley próbował wcześniej wyć dwukrotnie, za każdym razem w odpowiedzi na syrenę policyjną. Odrzucał głowę do tyłu, układał pysk w kształt litery „o” i wydobywał z siebie najbardziej żaloszny dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszałem, przypominający raczej płukanie gardła niż odpowiedź na wezwanie dzikich przodków. Ale teraz bezdyskusyjnie wył.

Pasażerowie zaczęli spoglądać znad swoich pism i książek. Stewardesa rozdająca poduszki zatrzymała się i przekrzywiła głowę, nasłuchując. Kobieta w sąsiednim rzędzie spojrzała na męża i zapytała: - Słyszysz? To chyba pies.

Jenny patrzyła prosto przed siebie. Ja wlepiłem wzrok w gazetę. Jeśli ktokolwiek zapyta, wyprę się go.

- Waddy jest smutny - powiedział Patrick.

„Nie, synu - chciałem go poprawić - to jakiś obcy pies, którego nigdy nie widzieliśmy i nie mamy pojęcia, czy jest smutny”. Ale tylko podniosłem wyżej gazetę, zasłaniając twarz. Przypomniała mi się reguła postępowania nieśmiertelnego Richarda Milhousa Nixona: wiarygodne zaprzeczenie.

Odrzutowe silniki jęknęły i samolot ruszył wzdłuż pasa, zagłuszając żalobną pieśń Marleya. Wyobraziłem go sobie tam na dole, w czarnej dziurze. Był sam, przerażony i nawet nie mógł się swobodnie wyprostować. W zwichrowanym umyśle Marleya wirujące silniki mogły się jawić tylko jako kolejny grzmiący atak świetlistych strzał, które zamierzają go porwać. Biedny facet. Nie chciałem się do niego przyznać, ale już wiedziałem, że przez cały lot będę się o niego martwił.

Ledwo samolot oderwał się od ziemi, gdy usłyszałem jeszcze jeden mały trzask, i tym razem to Conor powiedział:

- Ups.

Spojrzałem na podłogę, a potem po raz kolejny wlepiłem sztywno wzrok w gazetę. Wiarygodne zaprzeczenie. Po chwili dyskretnie rozejrzałem się dokoła. Upewniwszy się, że nikt nie patrzy, nachyliłem się do przodu i szepnąłem do ucha Jenny:

- Nie rozglądaj się teraz. Świerszcze uciekły.

ROZDZIAŁ 22

Ołówkolandia

Zamieszkaliśmy w domu na uboczu. Mieliśmy prawie hektar ziemi wspinającej się po zboczu stromego wzgórza. A może to była góra? Miejscowi nie byli zgodni w tej sprawie. Do naszej posiadłości należała łąka, gdzie mogliśmy zbierać dzikie maliny, las, gdzie ku mej radości mogłem rąbać konary, i mała, zasilana źródłem rzeczka. Dzieci i Marley szybko odkryli, że mogą się w niej wspaniale ubłocić. Było miejsce na ognisko i ogród nieskończonych możliwości, a także kościół z białą wieżą na sąsiednim wzgórzu, widoczny z kuchennego okna, gdy jesienią opadły liście.

Razem z nowym domem pojawił się sąsiad, człowiek - niedźwiedź o pomarańczowej brodzie, jakby wzięty wprost z castingu. Mieszkał w kamiennym farmerskim domu z 1790 roku, a w niedziele zabawiał się, siedząc na werandzie od strony ogrodu i celując ze strzelby do drzew, po prostu dla rozrywki, ku nerwowemu utrapieniu Marleya. Pierwszego dnia naszego pobytu odwiedził nas z butelką domowej roboty wina z dzikich wiśni i koszykiem największych czarnych jagód, jakie kiedykolwiek widziałem. Przedstawił się jako Digger (Kopacz, górnik - przyp. tłum.). Zgodnie z przydomkiem Digger zarabiał na życie jako operator koparki. Gdybyśmy mieli jakąś dziurę do wykopania albo ziemię do przeniesienia, poinstruował nas, mamy tylko krzyknąć, a on się pojawi z jedną ze swoich wielkich maszyn. - A jeśli wpadniecie samochodem na jelenia, walcie prosto do mnie - powiedział, mrugając. - Oprawimy go i podzielimy mięso, zanim leśniczy się zorientuje.

Bez wątpienia nie byliśmy już w Boca.

Jednej tylko rzeczy brakowało w tej sielankowej egzystencji. Minutę po tym, jak zatrzymaliśmy się na podjeździe nowego domu, Conor spojrzał na mnie ze łzami w

oczach i jęknął: - Myślałem, że w Ołówkolandii wszędzie są ołówki (Gra słów: początek nazwy stanu Pensylwania (Pennsylvania) brzmi jak słowo ołówek (pencil) - przyp. tłum.).

Nasi chłopcy, teraz pięcio - i siedmioletni, brak ołówków potraktowali niemal jak złamanie obietnicy. Biorąc pod uwagę nazwę stanu, do którego przybyliśmy, obaj oczekiwali, że jasnożółte przyrządy do pisania zwisają z każdego drzewa i krzaka jak owoce, gotowe do zerwania. Byli zdruzgotani, gdy okazało się, że jest inaczej.

To, czego naszej posiadłości brakowało w kwestii szkolnego wyposażenia, nadrabiała obfitością skunksów, oposów, świstaków i trującego bluszczu, który rósł bujnie na skraju lasu, wspinając się wężowo po drzewach. Dostawałem wysypki na sam jego widok. Pewnego ranka, gdy grzebałem w ekspresie do kawy, zerknąłem w kuchenne okno i napotkałem spojrzenie wspaniałego jelenia. Innego ranka rodzina dzikich indyków, gulgocząc, przedreptała przez nasze podwórko. Pewnej soboty, gdy z Marleyem spacerowaliśmy przez las, natknęliśmy się na łowcę nerek zastawiającego sidła. Łowca nerek! Ileż każda z księżniczek Bocahontas oddałaby za takie spotkanie!

Życie na wsi płynęło spokojne i miało wiele uroku, choć na początku czuliśmy się odrobinę osamotnieni. Pensylwańscy Holendrzy byli grzeczni, ale ostrożni w stosunku do obcych. A my byliśmy obcy z definicji. Po tłumach i kolejkach w południowej Florydzie powinienem zachwycać się samotnością. A jednak, przynajmniej przez pierwsze miesiące, łapałem się na niewesołych rozmyślaniach o naszej decyzji, by przeprowadzić się w miejsce, gdzie najwyraźniej tak mało ludzi miało ochotę mieszkać.

Marleya nie dręczyły podobne rozterki. Poza hukiem strzelby Diggera nowy wiejski styl życia idealnie przypadł mu

do gustu. Co mogło się nie podobać tutaj psu, który miał więcej energii niż rozumu? Biegał przez łąkę, przedzierał się przez krzaki jeżyn, przechlapywał przez rzeczkę. Za swoją życiową misję uznał schwytanie któregoś z niezliczonych królików traktujących mój ogród jako swój osobisty bar sałatkowy. Gdy dostrzegł królika chrupiącego sałatę, podchodził go dyskretnie niczym orkiestra dęta, a potem toczył się za nim ze wzgórza w pełnym poświęcenia pościgu. Grzmocił łapami w ziemię z rozwianymi uszami, nadętą klątą i nigdy nie zbliżył się na odległość mniejszą niż kilka metrów do żadnej namierzonej ofiary, nim ta zwiłała bezpiecznie do lasu. Wierny swemu znakowi firmowemu (Retriever - to znaczy taki, który wciąż próbuje od nowa - przyp. tłum.) pozostawał wiecznym optymistą i wierzył, że sukces czeka tuż za zakrętem. Wracił, machając ogonem, w najmniejszym stopniu niezniechęcony i pięć minut później robił to samo. Na szczęście nie lepiej mu szło podkradanie się do skunksów.

Przyszła jesień, a z nią nowa perfidna zabawa - atak na kupę liści. Na Florydzie drzewa nie traciły liści jesienią i Marley doszedł do przekonania, że to, co teraz opada z nieba, jest specjalnym darem właśnie dla niego. Kiedy grabiłem czerwone i pomarańczowe liście w wielkie pryzmy, cierpliwie siedział i patrzył. Poświęcał swój cenny czas, by wybrać najodpowiedniejszą chwilę do ataku. Dopiero kiedy zgarnąłem wystarczająco wielką, wyniosłą kupę, ruszał ukradkiem do przodu, nisko pochylony. Co kilka kroków przystawał z uniesioną przednią łapą, żeby powęszyć, skąd wieje wiatr, jak lew z Serengeti zaczajony na niespodziewającą się niczego gazelę. I właśnie gdy opierałem się na grabiach, by popatrzeć z podziwem na ukończoną robotę, rzucał się. W kilku długich skokach pokonywał trawnik, przefruwał parę ostatnich metrów i gigantycznym łukiem lądował na brzuchu w środku kupy liści. Warczał, tarzał się, młócił, drapał, sapał i z

powodów dla mnie niejasnych zapalczywie gonił własny ogon. Nie spoczął, aż moja estetyczna kupa została z powrotem równomiernie rozrzucona po trawniku. Potem siadał pośród swojej roboty ozdobiony na całym ciele barwnymi strzępkami i bardzo z siebie zadowolony obdarzał mnie dumnym spojrzeniem, jakby jego wkład był integralną częścią procesu zbierania liści.

Nasze pierwsze Boże Narodzenie w Pensylwanii miało być białe. Jenny i ja wykonaliśmy ogromną korupcyjną pracę nad Patrickiem i Conorem, żeby ich przekonać, że opuszczenie domu i przyjaciół na Florydzie to zmiana na lepsze, a jednym z kluczowych naszych argumentów był śnieg. Nie byle jaki śnieg, ale głęboki, puszysty śnieg jak na pocztówkach, taki, który spada z nieba cicho, wielkimi płatkami, układa się w zaspę i ma idealną konsystencję do lepienia bałwanów. A śnieg na Boże Narodzenie - cóż, to było najlepsze ze wszystkiego, Święty Graal zimowych doznań na północy. Z kompletnym brakiem odpowiedzialności roztaczaliśmy przed chłopcami wizję żywcem wzięte z litografii Currier and Ives, jak to mali chłopcy budzą się w bożonarodzeniowy poranek, a cały świat jest nieskazitelnie biały, tylko przed frontowymi drzwiami widać ślady sań Świętego Mikołaja.

Przez ostatni przedświąteczny tydzień nasze dzieci całą trójką przesiadywały godzinami w oknie i wlepiały oczy w ołowiane niebo, jakby mogły sprawić, że ono się otworzy i uwolni swój ładunek.

- Chodź, śniegu! - powtarzały śpiewnie.

Nigdy go nie widziały. Jenny i ja nie widzieliśmy go przez ostatnią ćwiartkę naszego życia. Pragnęliśmy śniegu, ale chmury nie zamierzały spełnić naszego marzenia. Kilka dni przed świętami całą rodziną załadowaliśmy się do minivana i pojechaliśmy do niedalekiej farmy, gdzie wycięliśmy świerk,

odbyliśmy swobodną przejażdżkę konną i napiliśmy się gorącego cydru przy ognisku. Była to jedna z tych klasycznych świątecznych chwil, za którymi tęskniliśmy na Florydzie. Brakowało tylko jednej rzeczy. Gdzie jest ten cholerny śnieg? Razem z Jenny zaczęliśmy żałować, że tak lekkomyślnie rozreklamowaliśmy niechybny pierwszy opad śniegu. Kiedy wieźliśmy do domu świeżo ścięte drzewko, van wypełnił się słodkim zapachem żywicy, a dzieci narzekały, że je ciągle nabieramy. Najpierw nie było ołówków, teraz nie ma śniegu, o czym jeszcze rodzice im nakłámali?

W bożonarodzeniowy poranek pod choinką znalazł się nowiuteńki tobogan i wystarczająca ilość śnieżnego sprzętu, by odbyć wyprawę na Antarktydę, ale za oknem nadal widać było tylko nagie gałęzie drzew, trawniki pogrążone w zimowym śnie i brązowe pola kukurydzy. Ułożyłem stos wiśniowego drewna w miejscu na ognisko i powiedziałem dzieciom, żeby były cierpliwe. Śnieg spadnie wtedy, kiedy spadnie.

Nadszedł Nowy Rok, a śniegu ciągle nie było. Nawet Marley wydawał się zaniepokojony, kręcił się, spoglądał przez okno i skamlał cichutko, jakby on też czuł, że ktoś tu robi go w konia. Dzieci wróciły po feriach do szkoły i ciągle nic.

Przy śniadaniu przyglądały mi się ponuro - ojcu, który je oszukał. Próbowałem się tłumaczyć bez przekonania:

- Może dziewczynki i chłopcy w innych miejscach potrzebują śniegu bardziej niż my.

- Taa... Jasne, tato - odpowiadał Patrick.

W trzecim tygodniu nowego roku śnieg wreszcie wyzwolił mnie z piekła poczucia winy. Pojawił się nocą, kiedy wszyscy spaliśmy. Patrick pierwszy wszczął alarm. O świcie wbiegł do naszej sypialni i szarpnięciem rozsunał zasłony.

- Patrzcie! Patrzcie! - krzyczał. - Jest!

Usiedliśmy z Jenny na łóżku, żeby go obejrzyć. Biała kołdra pokryła zbocza wzgórz i pola kukurydzy, i sosny, i dachy. Ciągnęła się po horyzont.

- Oczywiście, że jest - powiedziałem lekceważąco. - Przecież mówiłem.

Śnieg miał prawie trzydzieści centymetrów grubości i ciągle padał. Po chwili Conor i Colleen, sapiąc i wlokąc za sobą kocyki, przydreptali przez korytarz z kciukami w buziach. Marley wstał i przeciągnął się. Walił ogonem we wszystko dookoła, wyczuwając ogólne podniecenie. Spojrzałem na Jenny.

- Jak sądzę, nie istnieje opcja, żebyśmy mogli jeszcze pospać? - zapytałem, a kiedy potwierdziła, odwróciłem się do dzieci i zawołałem: - No dobra, śnieżne króliczki, ubieramy się!

W ciągu pół godziny uporaliśmy się z zamkami błyskawicznymi, skafandrą, sprzączkami, kapturami i rękawicami. Dzieci wyglądały jak mumie egipskie, nasza kuchnia jak szatnia zimowych igrzysk olimpijskich, a zawodnikiem Drużyny Wielkich Psów w konkurencji Głupich Wpadek na Lodzie był... Pies Marley! Otworzyłem frontowe drzwi i zanim ktokolwiek zdążył zrobić krok, Marley wyskoczył przed nas, przewracając przy okazji dobrze opakowaną Colleen. Gdy dotknął łapami tej dziwnej białej rzeczy - oj, mokre! oj, zimne! - zamarł na moment, by przemyśleć sprawę, po czym postanowił bezzwłocznie wykonać w tył zwrot. Każdy, kto kiedykolwiek prowadził samochód po śniegu, wie, że nagłe hamowanie połączone z próbą zawracania nie jest dobrym pomysłem.

Marley wpadł w pełny poślizg. Jego tylna część obróciła się dookoła własnej osi i znalazła się przed nim. Przechylił się na jedno skrzydło, a po chwili z podskokiem wyprostował akurat w porę, by wykonać salto nad schodkami werandy i

wpaść głową w śnieżną zaspę. Kiedy po sekundzie wygrzebał się stamtąd, wyglądał jak gigantyczny lukrowany pączek. Poza czarnym nosem i parą brązowych oczu był całkowicie pokryty bielą. Odrażający Śnieżny Pies. Nie wiedział, do czego służy ta nieznana substancja. Wetknął w nią głęboko nos i kichnął gwałtownie. Kłapał na nią i ocierał o nią łeb. A po chwili, jakby niewidzialna ręka wysunęła się z nieba i wstrzyknęła mu gigantyczną dawkę adrenaliny, wystartował pełnym gazem, popędził dookoła podwórka wielkimi susami przerywanymi co kilka metrów swobodnym saltem lub wywrotką. Śnieg okazał się prawie tak zabawny jak myszkowanie po śmietnikach sąsiadów.

Ślady Marleya na śniegu być może odwzorowywały meandry zwichrowanego umysłu naszego psa. Jego trasa pełna była nieoczekiwanych zakrętów, odchyień, zawrotek, kapryśnych pętli i krzywych ósemek, korkociągów i potrójnych skoków, jakby kierował się dziwnym algorytmem zrozumiałym tylko dla niego. Wkrótce dzieci poszły za jego przykładem - skakały, tarzały się, swawoliły i pakowały śnieg w każdą zaszewkę i szczelinę w ubraniu. Jenny przyniosła na dwór grzanki z masłem, kubki z gorącym kakao i ogłoszenie: szkoła jest odwołana. Wiedziałem, że nieprędko uda mi się wyjechać na nieodśnieżone, kręte, górskie drogi moim nissanem z napędem na dwa koła, więc wydałem oficjalną uchwałę, że ja również obchodzę dzisiaj Święto Śniegu.

Odsnieżyłem kamienny krąg, który przygotowałem jesienią na podwórkowe ognisko, i wkrótce trzaskające płomienie strzeliły w górę. Dzieci z wrzaskiem zjeżdżały ze wzgórza na toboganie, mijały ognisko i zatrzymywały się aż na skraju lasu, a Marley pędził za nimi. Spojrzałem na Jenny.

- Gdyby rok temu ktoś ci powiedział, że twoje dzieci będą zjeżdżać na sankach po ogródku, uwierzyłabyś?

- Na pewno nie - zaśmiała się, wzięła zamach i rzuciła śnieżką, trafiając mnie w pierś. Miała śnieg we włosach, zaróżowione policzki, a jej oddech unosił się w górę jak obłok.

- Chodź tutaj i pocałuj mnie - powiedziałem.

Później dzieci grzały się przy ogniu, a ja postanowiłem przejechać się na toboganie, czego nie robiłem od czasów, gdy byłem nastolatkiem.

- Jedziesz ze mną? - zapytałem Jenny.

- Wybacz, Jean Claude, ale jesteś zdany tylko na siebie - odparła.

Ustawiłem tobogan na szczycie wzgórza i wyciągnąłem się w nim, oparty na łokciach, z nogami w dziobie. Zacząłem się odpychać, żeby wystartować. Marley niezbyt często miał okazję patrzeć na mnie z góry, a leżenie na plecach, co właśnie robiłem, zawsze traktował jak zaproszenie. Podkraść się blisko i dmuchnął mi w twarz.

- Czego chcesz? - zapytałem i wystarczyło.

Wdrapał się na pokład, stanął nade mną okrakiem, a potem opadł na mój brzuch.

- Złaż ze mnie, wielka glisto! - krzyknąłem.

Ale było za późno. Sunęliśmy już naprzód, nabierając prędkości.

- Szczęśliwej podróży! - zawołała za nami Jenny.

Jechaliśmy, śnieg fruwał dookoła, Marley rozpląszczył się na moim brzuchu, lizał mnie zamasyście po całej twarzy, gdy pędziliśmy po zboczu. Przy naszej wspólnej wadze mieliśmy znacznie większe przyspieszenie niż dzieci i w pędzie minęliśmy miejsce, gdzie one kończyły zjazd.

- Trzymaj się Marley! - wrzasnąłem. - Wjeżdżamy w las!

Przelecieliśmy tuż obok wielkiego orzecha, potem między dwiema dzikimi wiśniami. W nadprzyrodzony sposób unikając wszelkich sztywnych obiektów, przecięliśmy kepe

niskich krzaków, ocierając się o kolczaste jeżyny. Nagle uświadomiłem sobie, że przed nami jest skarpa, prowadząca kilka stóp w dół, do wciąż niezamarzniętej rzeczki. Spróbowałem wydobyć nogi z dziobu, żeby użyć ich w charakterze hamulców, ale się zaklinowałem. Skarpa była stroma, opadała niemal pionowo, a my byliśmy tuż - tuż. Zdażyłem tylko otoczyć Marleya ramionami, zacisnąć powieki i zawyć:

- Łaaaaaaa!

Tobogan przeskoczył nad skarpią i wysunął się spod nas. Miałem wrażenie, że znalazłem się w jednym z klasycznych ujęć z filmów rysunkowych - zawisłem w powietrzu przez niekończącą się sekundę, by za chwilę runąć w przepaść i rozpaść się na kawałki. W dodatku w tym filmie byłem przyspawany do śliniącego się szaleńczo labradora retrievera. Trwając w uścisku, wylądowaliśmy awaryjnie z delikatnym „puffif” na pokrytej śniegiem skarpi i wisząc w połowie na zewnątrz tobogana, zsunęliśmy się na brzeg rzeczki. Otworzyłem oczy i sprawdziłem, w jakim jestem stanie. Mogłem poruszać palcami u nóg i rąk i obracać szyją - nic nie złamałem. Marley skakał nade mną. Wyraźnie zachęcał, żebyśmy zrobili to jeszcze raz. Podniosłem się z jękiem i, otrzepując ubranie, powiedziałem:

- Jestem za stary na takie ekscesy.

W nadchodzących miesiącach stawało się coraz bardziej oczywiste, że Marley też.

Pod koniec tej pierwszej zimy w Pensylwanii zaczynałem czasem dostrzegać, że Marley z wieku średniego przeniósł się spokojnie na emeryturę. W grudniu skończył dziewięć lat i chociaż nieznacznie, to jednak zwolnił. Wciąż miewał przyływy niepohamowanej, napompowanej adrenaliną energii, jak wtedy w pierwszy śnieżny dzień, ale takie chwile były teraz krótsze i rzadsze. Z przyjemnością drzemał większą

część dnia, a na spacerach męczył się szybciej ode mnie, po raz pierwszy w historii naszej znajomości. Pewnego dnia pod koniec zimy, gdy temperatura wzrosła powyżej zera i zapach wiosny unosił się w powietrzu, wybrałem się z nim na spacer. Zeszliśmy ze wzgórza i wchodziliśmy na następne, jeszcze bardziej strome od naszego, na którego szczycie przysiadł biały kościół obok starego cmentarza weteranów wojny domowej. Często tamtędy spacerowaliśmy i jeszcze jesienią Marley pokonywał tę drogę bez widocznego wysiłku, mimo stromej wspinaczki, która nas obu doprowadzała do zadyszki. Tym razem jednak zostawał z tyłu. Przymilałem się do niego i starałem się dodać mu odwagi, ale miałem wrażenie, że patrzę na zabawkę, która powoli nieruchomieje, bo wyczerpują się baterie. Marleyowi po prostu brakowało energii, żeby odczuwał potrzebę dotarcia na szczyt. Zatrzymałem się, pozwalając mu odpocząć przed dalszą drogą, czego nigdy przedtem nie robiłem.

- Nie nabierasz mnie przypadkiem, co? - zapytałem, pochylając się i klepiąc go dłonią w rękawiczce. Popatrzył w górę, miał jasne oczy, wilgotny nos, wcale się nie niepokoił swoją słabością. Wyraz twarzy miał zadowolony mimo zmęczenia, jakby w życiu nie było nic lepszego niż to - siedzieć przy wiejskiej drodze w jasny późnozimowy dzień ze swoim panem u boku.

- Jeśli sądzisz, że cię wezmę na rękę, to zapomnij - powiedziałem.

Słońce go oświetlało i zauważyłem, jak dużo siwizny wpęzło na jego beżową twarz. Nie rzucało się to bardzo w oczy przy jego jasnej sierści, ale nie dało się temu zaprzeczyć. Cały pysk i spora część czoła zmieniła kolor z beżu na biel. Nawet nie zauważyliśmy, kiedy nasz wieczny szczeniak stał się starszym panem.

Co nie znaczy, że zaczął się lepiej zachowywać. Marley był zawsze gotów na swoje stare błazeństwa, tyle że wykonywał je w nieco bardziej leniwym tempie. Wciąż kradł jedzenie z talerzy dzieci. Wciąż zdejmował nosem przykrywę od kuchennego kosza na śmieci i sprawdzał, co jest w środku. Wciąż ciągnął smycz. Wciąż połykał szeroki asortyment rozmaitych przedmiotów. Wciąż wypijał wodę z wanny i potem zostawiał mokre smugi w mieszkaniu. A kiedy niebo ciemniało i rozlegały się grzmoty, wciąż panikował i, jeśli był sam, wpadał w niszczycielski szał. Pewnego dnia po powrocie do domu zastaliśmy Marleya pokrytego pianą, a materac Conora rozpruty i rozszarpany do gołych sprężyn.

Przez lata nabraliśmy filozoficznego dystansu do zniszczeń, które i tak stały się rzadsze teraz, gdy byliśmy daleko od codziennych na Florydzie modelowych burz. W ciągu psiego życia mogą odpaść jakieś tynki, mogą się popruć jakieś poduszki, a jakieś dywany zamienić w strzępy. Jak każdy związek, także ten ma swoje koszty. Myśmy te koszty zaakceptowali i w zamian otrzymaliśmy radość, zabawę, ochronę i towarzystwo. Moglibyśmy kupić niewielki jacht za to, co wydaliśmy na naszego psa i wszystkie rzeczy, które zniszczył. No, ale ile jachtów czeka przy drzwiach na powrót właściciela? Ile żyje dla tej chwili, kiedy będą mogły się wdrapać na twoje kolana albo zjechać z tobą ze wzgórza na toboganie, liżąc cię po twarzy?

Marley zarobił na swoje miejsce w naszej rodzinie. Jak zwariowany, ale kochany wujek był tym, kim był. Nigdy nie stałby się Lassie ani Benji, ani Żółtym Psiskiem, nigdy nie wystąpiłby w Westminster ani nawet na lokalnej wystawie w hrabstwie. Teraz o tym wiedzieliśmy. Zaakceptowaliśmy go takiego, jaki był, i kochaliśmy go za to jeszcze bardziej.

- Staruszkule - powiedziałem do niego, stojąc przy drodze w ten późnozimowy dzień i drapiąc go w szyję. Nasz cel, stary

omentarz, ciągle był oddalony o strome podejście. Ale jak to w życiu, zrozumiałem, że cel jest mniej ważny od samej podróży. Opadłem na kolano, poklepałem go w boki i powiedziałem: - Posiedźmy tutaj trochę.

Kiedy odpoczął, zawróciliśmy w dół i poszliśmy do domu.

ROZDZIAŁ 23

Parada kurczaków

Tej wiosny postanowiliśmy się sprawdzić w hodowli zwierząt. Mieliśmy teraz prawie hektar ziemi na wsi, więc przygarnięcie jakiegoś gospodarskiego zwierzęcia, albo dwóch, wydawało się jak najbardziej rozsądnym pomysłem. Byłem przecież redaktorem magazynu „Ogrodnictwo Organiczne”, który od dawna zachęcał, by włączać zwierzęta - oraz ich nawóz - w życie zdrowego, zrównoważonego ogrodu.

- Krowa byłaby zabawna - zasugerowała Jenny.

- Krowa? - zapytałem. - Oszalałaś? Nawet nie mamy obory, jak mielibyśmy hodować krowę? Gdzie, uważasz, byśmy ją trzymali, w garażu razem z minivanem?

- A owca? - powiedziała. - Owce są śliczne.

Rzuciłem jej jedno z moich często używanych miażdżących spojrzeń - jaka ty jesteś niepraktyczna.

- Może koza? Kozy są rozkoszne.

W końcu postawiliśmy na drób. Każdy ogrodnik, który odrzucił pestycydy i nawozy sztuczne, przyzna, że kurczaki mają sens. Są niedrogie i stosunkowo mało wymagające. Potrzebują do szczęścia zaledwie niewielkiego kurnika i paru garści dobrego ziarna co rano. Nie tylko dostarczają świeżych jajek, ale żyjąc na swobodzie, spędzają dni na starannym sprzątaniu posiadłości, a podczas przechadzek zjadają robaki i gąsienice, pożerają kleszcze, wzruszają ziemię jak miniaturowe, wydajne glebogryzarki i nawożą ją odchodami o wysokiej zawartości azotu. Każdego dnia o zmierzchu same wracają do kurnika. Czego więcej chcieć? Kurczak jest najlepszym przyjacielem organicznego ogrodnika. Kurczaki są doskonałe. Poza tym, jak przyznała Jenny, zdały test na śliczność i rozkoszność.

A więc kurczaki. Jenny przyjaźniła się z pewną mamą ze szkoły, która mieszkała na farmie i powiedziała, że z

przyjemnością da nam kilka kurcząt z następnej partii jajek przeznaczonych do wylęgu. Zwierzyłem się Diggerowi z naszych planów, a on przyznał, że trochę drobiu na podwórku to rozsądny pomysł. Digger sam miał duży kurnik, w którym trzymał stado kur na jajka i na mięso.

- Tylko jedno ostrzeżenie - powiedział, krzyżując na piersiach umięśnione ramiona. - Cokolwiek zrobicie, nie pozwólcie, żeby dzieciaki nadawały im imiona. Jeśli raz je nazwiecie, przestaną być drobiem, staną się domownikami.

- Słusznie - zgodziłem się.

Zdawałem sobie sprawę, że w hodowli kurcząt nie ma miejsca na sentymenty. Kura może żyć piętnaście lat albo dłużej, ale jajka znosi tylko przez kilka pierwszych lat. Kiedy przestanie się nieść, czas na rosół. To zwyczajny element zarządzania stadem.

Digger spojrzał na mnie przenikliwie, jakby podejrzewając szóstym zmysłem, że mam coś przeciwko temu, i powtórzył:

- Raz je nazwiecie i wszystko skończone.

- Absolutnie - zapewniłem go. - Żadnych imion.

Gdy następnego wieczoru wróciłem z pracy i zatrzymałem samochód na podjeździe, troje dzieci wybiegło z domu, by mnie przywitać. Każde kołysało nowo narodzonego kurczaka. Jenny szła za nimi z czwartym w ręku. Jej przyjaciółka Donna przywiozła pisklęta po południu. Miały zaledwie jeden dzień i wpatrywały się we mnie uniesionymi ptasimi główkami, jakby pytały: „Czy ty jesteś naszą mamą?”.

Patrick pierwszy zdradził nowinę.

- Mój się nazywa Feathers - oświadczył.

- Mój jest Tweety - dodał Conor.

- Mój Wuffy - zasepleniła Colleen.

Strzeliłem w Jenny pytającym spojrzeniem.

- Fluffy - wyjaśniła. - Colleen nazwała swojego kurczaka Fluffy.

- Jenny - zaprotestowałem. - Co mówił Digger? To są zwierzęta hodowlane, a nie pieski.

- Och, bądź realistą, farmerze John - odparła. - Wiesz tak samo dobrze jak ja, że nigdy nie skrzywdzimy żadnego z nich. Tylko spójrz, jakie są rozkoszne.

- Jenny - powtórzyłem z narastającą frustracją.

- A, przy okazji - powiedziała, unosząc dłoń z czwartym kurczakiem. - Poznaj Shirley.

Feathers, Tweety, Fluffy i Shirley zajęły rezydencję w pudełku na kuchennym blacie pod grzejącą lampą. Jadły, robiły kupki, jadły jeszcze więcej - i rosły w tempie zapierającym dech w piersiach. Kilka tygodni później coś mnie wyrwało przed świtem ze snu. Usiadłem na łóżku i nasłuchiwałem. Z dołu dochodził słaby, chorowity głosik. Brzmiał skrzekliwie i ochryple, bardziej przypominał gruźliczy kaszel niż proklamację władzy. Rozległ się znowu: „Kukukuru!”. Minęło kilka sekund i nastąpiła równie słaba, ale wyraźna powtórka: „Kukuryku!”.

Potrząsnąłem Jenny, a gdy otworzyła oczy, powiedziałem:

- Kiedy Donna przyniosła kurczaki, poprosiłaś ją, żeby sprawdziła, czy to są na pewno kury, prawda?

- Może mógłbyś sam sprawdzić? - zapytała, odwróciła się na drugi bok i zasnęła.

To się nazywa seksowanie. Farmerzy, którzy wiedzą, co robią, przeglądają nowo narodzone kurczaki i określają z osiemdziesięcioprocentową dokładnością, czy to samce, czy samiczki. Na farmerskim rynku seksowane kurczaki uzyskują najwyższe ceny. Tańszą opcją jest kupowanie "jak leci" ptaków niewiadomej płci. Przy tym idea jest taka, że samce kończą młodo jako mięso, a kury zostają, by znosić jajka. Gra w "jak leci" zakłada oczywiście, że musisz zabić, wypatroszyć i oskubać każdego nadprogramowego samca, z którym

zostałeś. Kto kiedykolwiek hodował kury, wie, że dwa koguty w stadzie to o jednego za dużo.

Jak się okazało, Donna nie sprawdziła płci piskląt i trzy z czwórki naszych „niosek” były samcami. Trzymaliśmy na kuchennym blacie kurzy ekwiwalent chłopięcego zastępu skautów. Problem z kogutami polega na tym, że nigdy się nie zadowolają graniem drugorzędnej roli w obecności innego koguta. Jeśli masz równą liczbę kogutów i kur, możesz sobie wyobrazić, że dobiorą się w szczęśliwe, monogamiczne małżeństwa. Ale jesteś w błędzie. Samce będą walczyć bez końca, zadając sobie straszliwe rany, żeby wyjaśnić, kto rządzi na grzędzie. Zwycięzca bierze wszystko.

Kiedy trzy nasze koguty wchodziły w wiek młodzieńczy, nabierały postury i ciała, i - co było najbardziej stresujące, zważywszy, że ciągle mieszkały w kuchni, podczas gdy ja pędem kończyłem budowę kurnika na podwórku - piałły z całych swoich napompowanych testosteronem serc. Shirley, nasza jedyna, nieszczęsna, nadmiernie obciążona samiczka, budziła o wiele więcej zainteresowania niż jakakolwiek, nawet najbardziej próżna kobieta mogłaby znieść.

Obawiałem się, że nieustanne pianie naszych kogutów doprowadzi Marleya do szaleństwa. Gdy był młodszy, słodki szczebiot jednego małego słowika wywoływał u niego zawzięty napad szczekania. Biegał od jednego okna do drugiego, stawał na tylnych łapach i bujał się w przód i w tył. Tymczasem trzy piejące koguty kilka kroków od jego miski z żarciem nie robiły na nim żadnego wrażenia. Z każdym dniem pianie stawało się głośniejsze i mocniejsze, wznosiło się z kuchni i rozchodziło po domu o piątej rano. Ku - ku - ry - kuuuuuu! Marley bezboleśnie przesypiał ten harmider. Wtedy pierwszy raz przyszło mi do głowy, że może on nie lekceważy piania. Może go nie słyszy. Stałem za nim któregoś popołudnia, gdy drzemał w kuchni, i powiedziałem:

- Marley?

Nic. Powtórzyłem głośniej:

- Marley!

Nic. Klasnąłem w dłonie i krzyknąłem:

- MARLEY!

Uniósł głowę, spojrział bezmyślnie przed siebie i postawił uszy, próbując pojąć, co też wykrył jego radar. Znowu głośno klasnąłem i zawołałem go. Tym razem odwrócił łeb na tyle, by zauważyć, że stoję za nim. „Ach, to ty!“. Poderwał się, zamerdał ogonem, szczęśliwy i wyraźnie zaskoczony, że mnie widzi. Powitalnie zderzył się z moimi nogami i rzucił mi zdziwione spojrzenie: „Co to za pomysł, żeby tak się do mnie skradać?“. Mój pies chyba ogłuchł.

Wszystko do siebie pasowało. W ostatnich miesiącach odnosiłem czasem wrażenie, że Marley mnie ignoruje, co nigdy wcześniej się nie zdarzało. Wołałem go, ale nie robiło to na nim wrażenia, dopóki mnie nie zobaczył. Wypuszczałem go na dwór przed pójściem spać, a on węszył po swojemu po podwórku obojętny na moje gwizdy i wołania, żeby wrócił do domu. Spał przy moich nogach w salonie, a kiedy ktoś dzwonił do drzwi, tylko otwierał oko.

Uszy Marleya sprawiały kłopoty od najwcześniejszych lat. Jak wiele labradorów retrieverów miał skłonność do infekcji usznych. Wydaliśmy majątek na antybiotyki, maści, preparaty do czyszczenia uszu i wizyty u weterynarza. Przeszedł nawet operację skrócenia przewodów usznych, która miała definitywnie rozwiązać problem. Zanim przynieśliśmy do domu piejące koguty, nie dotarło do mnie, że wszystkie te lata chorób miały swoją cenę i nasz pies stopniowo się zapadał w stłumiony świat odległych szmerów.

Ale nie wyglądało na to, żeby się tym szczególnie przejmował. Emerytura bardzo Marleyowi odpowiadała, a kłopoty ze słuchem nie miały wpływu na jego wiejski, leniwy

styl życia. Jeśli już, to głuchota przyniosła mu tylko korzyść w postaci podpisanego przez lekarza dokumentu, który usprawiedliwiał jego nieposłuszeństwo. No bo jak miał wykonać polecenie, którego nie słyszał?

Chociaż zawsze twierdziłem, że jest ograniczony umysłowo, mógłbym przysiąc, że teraz wykombinował, jak wykorzystać głuchotę dla własnej wygody. Wystarczyło wrzucić kawałek mięsa do jego miski, a przybiegał kłusem z sąsiedniego pokoju. Wciąż potrafił wykryć stłumiony, ale podniecający odgłos jedzenia wkładanego do metalowej miski. Ale kiedy się go wołało, żeby przyszedł, a wołał być gdzie indziej, szedł beztrąsko w swoją stronę, nawet nie obejrząwszy się przez ramię z poczuciem winy, jak niegdyś miał w zwyczaju.

- Ten pies robi sobie z nas jaja - powiedziałem Jenny. Zgodziła się, że jego problemy ze słuchem są selektywne. Za każdym razem, gdy próbowaliśmy go sprawdzać, gwizdząc, klaszcząc czy wykrzykując jego imię, nie odpowiadał. A za każdym razem, kiedy wrzucaliśmy jedzenie do jego miski, pojawiał się biegiem. Wydawał się głuchy na wszystkie dźwięki z wyjątkiem tego jednego, najdroższego jego sercu, a bardziej precyzyjnie, żołądkowi - odgłosu obiadu.

Marley przeszedł przez życie nienasycony głodem. Dostawał cztery potężne miarki psiej karmy na dzień - dość jedzenia, by nakarmić przez tydzień całą rodzinę chihuahua - a w dodatku uzupełnialiśmy jego dietę resztkami ze stołu, wbrew dobremu radom każdego podręcznika o psach, jaki kiedykolwiek czytaliśmy. Resztki ze stołu, wiedzieliśmy o tym dokładnie, programują psa, żeby wołał ludzkie jedzenie od psiej karmy (ale kto mógłby mieć mu to za złe, jeśli wybierał między nadjezdzonym hamburgerem a suchymi bobkami?). Resztki ze stołu były przepisem na psią otyłość. Szczególnie labradory miały skłonność do tycia, przede

wszystkim w średnim i starszym wieku. Niektóre labradory, głównie te z odmiany angielskiej, stawały się tak okrągłe, gdy dorosły, że wyglądały jak napompowane pompką baloniki gotowe pofrunąć nad Piątą Aleją podczas parady z okazji Święta Dziękczynienia.

Nie nasz. Marley miał wiele problemów, ale otyłość do nich nie należała. Niezależnie od tego, ile pochłonał kalorii, zawsze spalał więcej. Jego nieokiełznany, napięty jak struna entuzjizm zużywał ogromne ilości energii. Marley przypominał wysokoenergetyczną elektrownię, która natychmiast przerabia każdą ilość dostarczonego paliwa w czystą, żywą moc. Był zadziwiającym okazem fizycznym, przechodnie zatrzymywali się, żeby go podziwiać. Był olbrzymi jak na labradora retrievera, dużo większy niż przeciętny pies tej rasy, który osiąga wagę od 30 do 36 kilogramów. Nawet gdy się postarzał, większość jego masy stanowiły mięśnie - 44 kilogramy falujących mięśni bez grama tłuszczu. Jego klatka piersiowa miała rozmiary małej beczki na piwo, ale żebra sterczały tuż pod skórą, bez zbędnej wyściółki. Nie martwiliśmy się otyłością, wręcz przeciwnie. W czasie naszych wizyt u doktora Jaya, zanim opuściliśmy Florydę, wielokrotnie razem z Jenny zgłaszaliśmy ten sam niepokojący nas objaw: karmimy go potwornymi ilościami jedzenia, ale wciąż jest o wiele chudszy niż większość labradorów i zawsze wydaje się głodny, nawet po pożarciu wiadra bobków, które wygląda, jakby było przeznaczone dla konia pociągowego. Czy my go powoli zagładzamy? Doktor Jay zawsze odpowiadał tak samo. Przejeżdżał rękami wzdłuż lśniących boków Marleya, wysyłał nieskończenie szczęśliwego labradora w podróż dookoła ciasnego gabinetu i mówił, że jeśli chodzi o atrybuty fizyczne, Marley jest niemal doskonały.

- Róbcie tak dalej - zachęcał doktor Jay.

Potem, kiedy Marley rozpychał się między jego nogami albo napadał na kłęb waty leżący na biurku, doktor Jay dodawał: - Oczywiście nie muszę wam mówić, że Marley spala dużo energii nerwowej.

Każdego wieczoru, kiedy skończyliśmy jeść i nadszedł czas na posiłek Marleya, napełniałem jego miskę karmą, a potem bez zahamowań dorzucałem wszystkie smakowite resztki i skrawki, jakie znalazłem. Przy trójce dzieci do połowy zjedzone porcje były u nas w pełnym wyborze. Skórki od chleba, kawałki steków, tłuszcz spod pieczeni, skórki kurczaków, sos, ryż, marchewka, suszone śliwki, kanapki, makaron sprzed trzech dni - wszystko wpadało do miski. Nasz pies mógł się zachowywać jak dworski błazen, ale jadał jak książę Walii. Nie dawałem mu tylko tego, o czym wiedziałem, że jest niezdrowe dla psów - jak produkty mleczne, słodczyce, ziemniaki i czekolada. Nie pochwalałem osób kupujących ludzkie jedzenie dla swoich zwierząt, ale ładując do posiłków Marleya resztki, które w przeciwnym razie trafiłyby do kosza na śmieci, czułem się oszczędny - nic się nie marnowało - i wielkoduszny. Fundowałem zawsze wdzięcznemu Marleyowi wytchnienie od niekończącej się monotonii piekła psiej karmy.

Marley zastępował więc pojemnik na śmieci, a w przerwach pełnił obowiązki rodzinnego zespołu ratunkowego w razie jedzeniowych katastrof. Potrafił sobie poradzić z każdym, najtrudniejszym wyzwaniem. Jeśli któreś z dzieci zrzuciło na podłogę pełną miskę spaghetti z pulpetami mięsnymi, po prostu gwizdaliśmy i staliśmy z boku, gdy nasz psi elektroluks wsysał w siebie wszystko do ostatniej kluseczki, a potem wylizywał podłogę, aż błyszczała. Zabłakany groszek, upuszczony seler, uciekające rigatoni, wylany sok jabłkowy - nieważne, co to było. Jeśli dotknęło

podłogi, stawało się historią. Ku rozbawieniu naszych przyjaciół pożerał nawet zieloną sałatę.

Co nie znaczy, że jedzenie musiało spaść na ziemię, żeby skończyło w żołądku Marleya. Był zręcznym i bezwzględnym złodziejem. Żerował głównie na niespodziewających się niczego dzieciach, ale zawsze najpierw sprawdzał, czy przypadkiem Jenny albo ja nie widzimy, co zamierza. Przyjęcia urodzinowe były jego bonanzą. Przechadzał się wśród tłumu pięciolatków, bezwstydnie wyciągając hot dogi prosto z ich małych rączek. Podczas jednego z przyjęć oszacowaliśmy, że wpakował w siebie dwie trzecie urodzinowego tortu, zabierając po kolei kawałki z papierowych talerzyków, które dzieci trzymały na kolanach.

Nie miało znaczenia, ile pochłonął jedzenia, czy to w trakcie legalnych posiłków, czy to pochodzącego z nielegalnej działalności. Zawsze chciał więcej. Kiedy ogłuchł, nie byliśmy całkiem zaskoczeni, że jedyny dźwięk, który jeszcze do niego dociera, to słodki, łagodny odgłos spadającego jedzenia.

Pewnego dnia wróciłem z pracy i zastałem pusty dom. Jenny i dzieci gdzieś poszli. Zawołałem Marleya, ale nie doczekałem się żadnej reakcji. Wszedłem na górę, gdzie czasami ucinał sobie drzemkę, gdy zostawał sam, ale nie było go nigdzie w zasięgu wzroku. Przebrałem się, zszedłem do kuchni i przyłapałem go na gorącym uczynku. Odwrócony ode mnie stał na tylnych łapach, a przednie aż po pas spoczywały na kuchennym stole. Pożerał resztki grillowanej kanapki z serem. W pierwszej chwili chciałem go głośno zwymyślać. Ale postanowiłem sprawdzić, jak blisko zdołam podejść do niego, zanim się zorientuje, że ma towarzystwo. Skradałem się na palcach, aż znalazłem się na wyciągnięcie ręki. Chrupiąc grzanekę zerkał na drzwi do garażu, bo wiedział, że to tamtędy wejdą Jenny i dzieci, gdy wrócą. W chwili, gdy otworzą się

drzwi, on będzie już na podłodze pod stołem, udając, że śpi. Wyraźnie nie wziął pod uwagę, że tatuś też mógł już wrócić do domu i po prostu wejść do środka przez drzwi frontowe.

- O, Marley - powiedziałem zwykłym głosem. - Co ty właściwie robisz?

Nadal przełykał kanapkę, nieświadomy mojej obecności. Jego ogon poruszał się ospale, miarowo - znak, że sądził, iż jest sam. I kontynuował wielką jedzeniową grabież. Wyraźnie był z siebie zadowolony.

Odchrząknąłem głośno, ale wciąż mnie nie słyszał. Cmoknąłem. Nic. Skończył z jedną kanapką, odsunął nosem talerz, który mu zawadzał i sięgnął głębiej po grzanekę zostawioną na drugim talerzu.

- Bardzo niedobry pies - powiedziałem, gdy ją żuł.

Pstryknąłem dwa razy palcami, a on zastygł w pół gryza wgapiony w tylne drzwi. „Co to było? Czy słyszałem odgłos tych drzwi?”. Po chwili przekonał sam siebie, że cokolwiek słyszał, nie było to ważne, i powrócił do kradzionej przekąski. Wtedy wyciągnąłem rękę i klepnąłem go w pupę. Jakbym podpalił laskę dynamitu. Stary pies omal nie wyskoczył ze skóry. Wystrzelił w tył ze stołu i - jak tylko mnie zobaczył - rozpląszczył się na podłodze i przetoczył na plecy, eksponując brzuch w geście poddania.

- Brzydki pies - powiedziałem. - Niedobry.

Ale nie mogłem go złajać. Był stary, głuchy i niereformowalny. Nie miałem zamiaru go zmieniać. Niezle się bawiłem, podglądając go, i roześmiałem się w głos, kiedy podskoczył. Ale teraz, gdy leżał u moich stóp, błagając o przebaczenie, zrobiło mi się trochę przykro. W głębi duszy miałem nadzieję, że machnie na to wszystko ogonem.

Skończyłem budować kurnik, konstrukcję ze sklejki w kształcie litery A z podestem w formie zwodzonego mostu, który można było podnosić na noc, dla ochrony przed

drapieżnikami. Donna łaskawie zabrała dwa z naszych trzech kogutów i wymieniła je na kury ze swojego stada. Mieliśmy teraz trzy dziewczynki i jednego napakowanego testosteronem ptasiego faceta, który spędzał każdą wolną chwilę na jednej z ulubionych rozrywek: dążenie do stosunku seksualnego, odbywanie stosunku seksualnego lub chełpliwe pianie na temat właśnie zakończonego stosunku seksualnego. Jenny zauważyła, że koguty są tym, czym byliby mężczyźni, gdyby mieli wolną rękę, bez społecznych konwencji ograniczających ich niskie instynkty, i nie mogłem nie przyznać jej racji. Muszę powiedzieć, że w pewien sposób podziwiałem tego szczęśliwego sukinsyna.

Każdego ranka wypuszczaliśmy kurczaki na podwórko, a Marley wykonywał kilka odważnych szarż, czekał parę razy z poczucia obowiązku, zanim spuścił parę i dał spokój. Jakby kod genetyczny z jego wnętrza wysyłał pilną wiadomość: „Jesteś retrieverem, to są ptaki. Nie sądzisz, że dobrze byłoby na nie zapolować?”. Zwyczajnie nie miał do tego serca. Wkrótce ptaki nauczyły się, że ciężka żółta bestia nie stanowi żadnego zagrożenia, jest wręcz mniej kłopotliwa niż wszystko inne, a Marley nauczył się dzielić podwórko z tymi opierzonymi intruzami. Pewnego dnia, gdy pielilem ogród, podniosłem głowę i zobaczyłem, że Marley i cztery kurczaki idą rządkiem w moją stronę, niczym w szyku, ptaki dziobiąc, a Marley węsząc po drodze. Jakby paczka starych przyjaciół wyszła na niedzielną przechadzkę.

- Czy tak się zachowuje przyzwoity pies myśliwski? - upomniałem go.

Marley zatrzymał się, podniósł tylną nogę, obsikał krzak pomidora i pognął za swoimi nowymi kumplami.

ROZDZIAŁ 24

Pokój nocnikowy

Paru rzeczy można się nauczyć od starego psa. W miarę jak mijały miesiące, Marley niedołączył coraz bardziej, a dla nas płynęła stąd nauka, że życie zmierza do nieuchronnego końca. Ani Jenny, ani ja nie byliśmy jeszcze w całkiem średnim wieku. Mieliśmy małe dzieci i dobre zdrowie. Nasze przejście na emeryturę wciąż było niezmiernie odległe. Z łatwością moglibyśmy nie przyjmować do wiadomości nieubłaganego przemykania czasu i udawać, że nas może ono w jakiś sposób ominąć. Marley nie pozwalał nam na podobny luksus. Kiedy patrzyliśmy, jak siwieje, głuchnie i poskrzypuje, nie było sposobu, żeby zignorować jego śmiertelność - i naszą. Starość skrada się do każdego, ale do psa podkrada się z szybkością, która jednocześnie zapiera dech w piersiach i otrzeźwia. W krótkim okresie dwunastu lat Marley przebył drogę od energicznego szczenięcia przez niezdarną młodość i muskularną dorosłość do zgrzybiałej starości. Każdy rok jego życia odpowiadał siedmiu latom naszego, co oznaczało, że gdyby był człowiekiem, dobiegałby dziewięćdziesiątki.

Jego niegdyś błyszczące, białe zęby stopniowo starły się do brązowych bryłek. Trzy z czterech kłów wyłamał kolejno w czasie ataków szalonej paniki, gdy próbował wygryźć sobie drogę do bezpieczeństwa. Oddech, zawsze trochę rybi, nabrał teraz aromatu wysmażonej na słońcu zawartości pojemnika na śmieci. I wcale nie pomagał tu fakt, że zasmakowały mu małe, drogocenne frykasy znane jako kurzy nawóz. Ku naszemu bezgranicznemu obrzydzeniu pożerał te gówna namiętnie, jakby delektował się kawiozem.

Jego układ trawienny też działał coraz gorzej i produkował gazy jak fabryka metanu. W niektóre dni byłem gotów przysiąc, że jeśli zapalę zapałkę, dom wyleci w powietrze. Marley potrafił rozpędzić całe towarzystwo za pomocą

cichych, zabójczych wiatrów, które nasilały się wprost proporcjonalnie do liczby gości zaproszonych na obiad.

- No nie, Marley. Znowu! - krzyczały dzieci chórem i rzucały się do ucieczki. Czasami nawet on sam się wynosił. Spał spokojnie, a kiedy straszliwa woń dochodziła do naszych nosów, otwierał nagle oczy i podnosił brew, jakby pytając: „Dobry Boże! Kto się tak zachował?”. Wstawał i demonstracyjnie wychodził do drugiego pokoju.

Jeśli nie puszczał bąków, zajmował się robieniem kupy. A przynajmniej myśleniem o tym. Jego wybredność w sprawie tego, gdzie przykucnąć, żeby się wypróżnić, osiągnęła rozmiary obsesji. Za każdym razem, kiedy wypuszczałem go na dwór, coraz dłużej nie mógł się zdecydować na odpowiednie miejsce. Przechadzał się tam i z powrotem, kręcił w kółko, węszył, przystawał, drapał ziemię, krążył, przesuwał się dalej, cały czas obnosząc na pysku bezsensowny, szeroki uśmiech. Kiedy przeczesywał teren w poszukiwaniu kucznej nirwany, ja stałem na dworze, czasem w deszczu, czasem w śniegu, czasem w nocnych ciemnościach, często boso, a niekiedy tylko w bokserkach, wiedząc z doświadczenia, że nie wolno mi zostawić go bez nadzoru, bo mógłby wpaść na pomysł, by powałęsać się pośród wzgórz lub odwiedzić psy sąsiadów.

Samowolne wycieczki stały się jego ulubioną rozrywką. Jeśli nadarzała się okazja i przyszło mu do głowy, że można z niej skorzystać, czmychał poza granice naszej posiadłości. No, niezupełnie czmychał. Udając, że węszy, przesuwał się od jednego krzaka do drugiego, aż znalazł się poza polem widzenia. Pewnego razu późno w nocy wypuściłem go przez frontowe drzwi na ostatni spacer przed spaniem. Marznący deszcz tworzył na ziemi lodową breję, więc wróciłem, żeby wziąć pelerynę z szafy w sieni. Kiedy po minucie wyszedłem znowu przed dom, Marleya nie było. Przeszedłem przez

podwórko, gwizdząc i klaszcząc. Wiedziałem, że nie może mnie usłyszeć, chociaż wszyscy sąsiedzi jak najbardziej. Przez dwadzieścia minut patrolowałem okoliczne podwórka w deszczu, prezentując całkiem nową modę - byłem ubrany w kalosze, płaszcz przeciwdeszczowy i bokserki. Modliłem się, żeby nie padło na mnie światło z jakiegoś ganku. Im dłużej trwało to polowanie, tym większa ogarniała mnie wściekłość. „Gdzie, do cholery, on się znowu szwenda?”. Ale z upływem czasu moja złość zmieniała się w niepokój. Pomyślałem o starych ludziach, o których piszą w gazetach, że wyszli z ośrodka opieki i po trzech dniach znaleziono ich zamrożonych. Wróciłem do domu, poszedłem na górę i obudziłem Jenny.

- Marley zniknął - powiedziałem. - Nie mogę go znaleźć. Jest gdzieś tam, w marznącym deszczu.

Od razu zerwała się na nogi, wciągnęła džinsy, wśliznęła się w sweter i kalosze. We dwojkę poszerzyliśmy obszar poszukiwań. Słyszałem, jak gwizdże i cmoka na niego z drugiej strony wzgórza, gdy ja przedzierałem się w ciemnościach przez las, na wpół spodziewając się, że znajdę go leżącego bez świadomości w nurcie rzeczki. W końcu nasze ścieżki się spotkały.

- I co?

- Nic - odpowiedziała Jenny.

Przemokliśmy do cna, a moje gołe nogi zeszywniały z zimna.

- Chodźmy do domu - powiedziałem. - Ogrzejemy się, a potem wrócę tu samochodem.

Zeszliśmy ze wzgórza i wdrapaliśmy się znowu pod górę drogą dojazdową. Tam go zobaczyliśmy. Stał pod wystającym daszkiem osłonięty przed deszczem i oszalał z radości na nasz widok. Mógłbym go zabić. Ale tylko wpuściłem go do środka i wytarłem ręcznikiem. Jedyne w swoim rodzaju zapach

mokrego psa wypełnił kuchnię. Wykończony nocną wycieczką Marley padł na posłanie i nie ruszył się aż do południa następnego dnia.

Wzrok Marleya również się psuł i króliki mogły teraz hasać trzy metry przed jego nosem, a on ich nie dostrzegał. Tracił sierść w potwornych ilościach, zmuszając Jenny do codziennego odkurzania - choć i tak nie mogła się z tym uporać. Psie włosy wkraadały się w każdy zakamarek domu, każdą część garderoby i w wiele posiłków. Zawsze je rozsiewał, ale to, co kiedyś było łagodnymi podmuchami, zamieniło się w potężne huragany i zawieje.

Za każdym razem, gdy się otrząsał, chmura uwolnionych kłaków unosiła się wokół niego, dryfowała w dół i osiadała na każdej napotkanej powierzchni. Pewnego wieczoru, oglądając telewizję, spuściłem nogę z kanapy i w roztargnieniu głaskałem go gołą stopą w biodro. W przerwie na reklamy spojrzałem w dół i ujrzałem kłęb kłaków wielkości grejpfruta tuż obok mojej nogi. Kule z jego włosów wirowały po drewnianej podłodze jak kłęby nasion dmuchawca po łące.

Najbardziej niepokojące były biodra Marleya, które właściwie przestały działać. Reumatyzm wkradł się w jego stawy, osłabił je i sprawiał ból. Ten sam pies, który kiedyś mógł wozić mnie na grzbiecie jak nieujarzmiony koń, który potrafił podnieść na barkach stół z jadalni i przenieść go dookoła pokoju, teraz z trudem sam się podnosił. Jęczał z bólu, gdy się kładł i znowu jęczał, kiedy wstawał. Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo osłabły jego stawy biodrowe, aż któregoś dnia klepnałem go lekko w pupę, a on opadł całym zadem, jakby nagle zainkasował cios w splot krzyżowy. Przewrócił się. To był bolesny widok.

Pokonanie schodów na piętro sprawiało mu coraz więcej trudności, mimo to ani myślał sypiać samotnie na dole, nawet kiedy ustawiliśmy mu posłanie pod schodami. Marley kochał

ludzi, kochał leżeć pod nogami, kochał opierać brodę na materacu i dmuchać w nasze twarze, gdy spaliśmy, kochał wpychać łeb przez zasłonkę w łazience, by łyknąć drinka, gdy braliśmy prysznic i nie miał zamiaru z tym skończyć. Każdego wieczoru, kiedy Jenny i ja wycofywaliśmy się do sypialni, irytował się u stóp schodów, skamlał, szczeakał, podchodził, ostrożnie badał pierwszy schodek przednią łapą, jakby zbierał się na odwagę do wyczynu, który jeszcze niedawno przychodził mu bez najmniejszego wysiłku. Zachęcałem go ze szczytu schodów: - No śmiało, chłopie. Uda ci się!

Po kilku minutach takich podejść zniknął za rogiem, żeby wystartować, i z rozpędu wbiegał na schody, przy czym większą część ciężaru ciała przerzucał na barki. Czasem mu się udawało. Kiedy indziej blokował się w pół drogi, musiał schodzić i próbować znowu. W najbardziej żałosnych podejściach tracił równowagę i niechlubnie zjeżdżał w dół, szorując brzuchem po stopniach. Był za wielki, żebym mógł go wnieść, ale kiedyś przyłapałem się na tym, że idę za nim i podtrzymuję go z tyłu, gdy on pokonuje schodek po schodku przednimi łapami.

Przypuszczałem, że z powodu trudności, jaką sprawiały mu teraz schody, Marley ograniczy liczbę podróży do góry i na dół.

Ale zbyt ufałem jego zdrowemu rozsądkowi. Niezależnie od tego, jakie męczarnie przeżywał, wdrapując się na schody, jeśli ja wracałem na dół, powiedzmy, żeby zabrać jakąś książkę albo pogasić światła, zrywał się od razu i człapał ciężko w dół po moich śladach. Oboje z Jenny zaczęliśmy skradać się za jego plecami, kiedy był już wieczorem na górze, żeby nie musiał nam towarzyszyć w drodze na dół. Wydawało nam się, że łatwo będzie przemknąć się bez jego wiedzy teraz, gdy nie słyszał, a sypiał dłużej i głębiej niż kiedykolwiek. Ale zawsze wiedział, w którym momencie

powinien się odwrócić. Czytałem w łóżku, a on spał na podłodze obok mnie, chrapiąc ciężko. Chyłkiem wysuwałem się spod kołdry, wymykałem się z łóżka, mijałem go na palcach i spoglądałem od drzwi, żeby się upewnić, że go nie obudziłem. Już po kilku minutach do moich uszu dobiegał odgłos ciężkich kroków od strony schodów. Nadchodził, żeby sprawdzić, co robię. Może był głuchy i na wpół ślepy, ale jego radar najwyraźniej wciąż działał w pełni sprawnie.

Tak było nie tylko wieczorami, ale też przez cały dzień. Leżał zwinięty u moich stóp, kiedy czytałem gazetę przy kuchennym stole. Wstawałem, żeby dolać sobie kawy z dzbanka. Nawet jeśli wciąż byłem w zasięgu jego wzroku i miałem za chwilę wrócić, dźwigał się z trudem i człapał za mną. Gdy tylko ułożył się wygodnie przy moich nogach obok dzbanka z kawą, ja wracałem do stołu, więc znowu musiał się tam dowlec i ułożyć. Kilka minut później szedłem do salonu, żeby włączyć muzykę - znowu brnął za mną. Krążył w kółko i padał z jękiem akurat w chwili, gdy byłem gotowy iść z powrotem. I tak było nie tylko ze mną, ale również z Jenny i dziećmi.

Odkąd wiek zaczął dawać mu się we znaki, Marley miewał dobre dni i złe dni. Miewał również dobre minuty i złe minuty, czasami tak blisko za sobą wymieszane, że trudno było uwierzyć, iż to ten sam pies.

Pewnego wieczoru wiosną 2002 roku zabrałem go na krótki spacer dookoła podwórka. Było zimno, około pięciu stopni Celsjusza, i wietrznie. Zachecony rześkim powietrzem zacząłem biec, a Marley, czując się w dobrej formie, galopował obok mnie jak za dawnych dni. Powiedziałem nawet głośno do niego: - Widzisz, Marl, wciąż masz w sobie coś ze szczeniaka.

Dotruchtaliśmy razem do drzwi frontowych. Marley z językiem na wierzchu sapał radośnie, patrzył z rozbawieniem.

Przy wejściu na ganek brawurowo spróbował przeskoczyć dwa schodki naraz - ale gdy się odbił, biodra go zawiodły. Przewrócił się niefortunnie - przednie łapy zostały na górze, brzuch spoczywał na stopniach, a tylna część ciała leżała płasko na chodniku. Tkwił w tej pozycji, patrząc na mnie, jakby nie miał pojęcia, co spowodowało tak kłopotliwe położenie. Gwizdałem i klepałem ręką w udo, a on dzielnie młócił przednimi łapami, próbując wstać, ale nie mógł.

- Chodź, Marley! - wołałem.

Nie był jednak w stanie podźwignąć bioder. W końcu chwyciłem go pod przednie łapy i przenieśliśmy na chodnik, tak że wszystkimi czterema łapami dotykał równej powierzchni. Po kilku nieudanych próbach zdołał stanąć. Odwrócił się, przez kilka sekund patrzył z obawą na schodki, pokonał je wreszcie dwoma susami i wbiegł do domu. Tego dnia stracił przeświadczenie, że jest mistrzem wchodzenia po schodach. Odtąd zawsze, zanim wszedł na te dwa schodki, najpierw zatrzymywał się przed nimi, żeby się trochę pomartwić.

Bez wątpienia starość jest dziwką. I to taką bez odrobiny godności.

Marley kazał mi pamiętać o tym, że życie jest krótkie, że składa się z ulotnych radości i straconych okazji. Przypominał mi, że każdy z nas tylko raz ma szansę trafić w dziesiątkę, bez prawa do powtórek. Jednego dnia pływasz na środku oceanu, przekonany, że właśnie dzisiaj schwycisz tę mewę, następnego ciężko ci się schylić, żeby wychłęptać wodę ze swojej miski. Jak każdy z nas miałem tylko jedno życie do przeżycia. I wciąż zadawałem sobie pytanie: dlaczego, na litość boską, spędzam je w piśmie ogrodniczym? Nie to, żeby moja praca nie miała zalet. Byłem dumny z tego, co zrobiłem w magazynie. Ale rozpaczliwie brakowało mi pracy w dzienniku. Brakowało mi ludzi, którzy go czytali, i ludzi, którzy do niego pisali. Brakowało mi bycia częścią wielkiego

newsa i poczucia, że mam swój własny mały wkład w czynienie zmian. Brakowało mi adrenaliny płynącej z pisania na czas i satysfakcji z tego, że budzę się rano i znajduję w skrzynce e - mailowej odpowiedzi na moje słowa. A najbardziej mi brakowało opowiadania historii. Zastanawiałem się, dlaczego w ogóle odszedłem z kapeli, w której tak doskonale mi się grało, by brnąć przez niebezpieczne wody zarządzania magazynem z jego obgryzionym budżetem, nieustającymi naciskami reklamodawców, bólami głowy pracowników i zakulisowym chórem niewdzięcznych wydawców.

Kiedy jeden z moich dawnych kolegów wspomniał mimochodem, że „Philadelphia Inquirer” poszukuje felietonisty do działu miejskiego, rzuciłem się w to bez chwili wahania. Stanowisko felietonisty jest niesłychanie trudne do zdobycia, nawet w mniejszych gazetach, a kiedy takie miejsce się zwalnia, niemal z reguły jest obsadzone wewnątrz, pióro trafia do weteranów zespołu, którzy już się wykazali jako reporterzy. „Inquirer” był szanowanym od lat zdobywcą siedemnastu nagród Pulitzera i jednym z największych dzienników w kraju. Byłem jego fanem, a teraz wydawcy „Inquirera” zaprosili mnie na spotkanie. Nie musiałbym nawet się przeprowadzać z rodziną, żeby podjąć tę pracę. Redakcja, w której miałbym pracować, była odległa zaledwie o czterdzieści pięć minut jazdy autostradą Pennsylvania Turnpike, czyli dojazd był znośny.

Nie wierzę jakoś specjalnie w cuda, ale to wszystko wydawało się zbyt dobre, by było prawdziwe, jak akt boskiej interwencji. W listopadzie 2002 przehandlowałem kombinezon ogrodnika za legitymację prasową „Philadelphia Inquirer”. Całkiem możliwe, że był to najszcześniejszy dzień mojego życia. Wróciłem tam, gdzie było moje miejsce, do newsroomu jako felietonista.

Pracowałem na nowym stanowisku zaledwie od kilku miesięcy, gdy uderzyła pierwsza wielka burza śnieżna 2003 roku. Zaczęło padać w niedzielę w nocy, przestało dopiero następnego dnia i do tego czasu ziemię pokryła warstwa śniegu o grubości sześćdziesięciu centymetrów. Szkołę odwołano na trzy dni, przez które społeczeństwo powoli się odkopywało, a ja pisałem felietony w domu. Śnieżną dmuchawą, którą kupiłem od sąsiada, oczyściłem drogę dojazdową i wąski kanion do frontowych drzwi.

Wiedziałem, że Marley, gdy znajdzie się na tej ścieżce, nie zdoła pokonać stromych ścian, żeby dostać się na podwórko, nie mówiąc już o głębokich zaspach, więc przygotowałem specjalnie dla niego „pokój nocnikowy” - jak go przezwały dzieci - mały, odśnieżony placzyk z boku dróżki, gdzie mógł załatwiać swoje sprawy. Gdy jednak zawołałem go na dwór, żeby wypróbował to udogodnienie, stał tylko w oczyszczonym kręgu i podejrzliwie obwąchiwał śnieg. Miał bardzo szczególne wymagania co do miejsca, w którym mógłby odpowiedzieć na wyzwania natury, i najwyraźniej to nie było to, o co mu chodziło. Chętnie podniósł nogę i zrobił siku, ale na tym koniec. „Mam się załatwić tutaj? Zrobić kupę na wprost panoramicznego okna? Chyba żartujesz”. Odwrócił się i z wielkim wysiłkiem dźwignąwszy pupę na śliskie schodki ganku, poszedł do domu.

Wieczorem, po kolacji, wyprowadziłem go znowu. Tym razem nie mógł już sobie pozwolić na luksus czekania. Musiał działać. Nerwowo przemierzał tam i z powrotem odśnieżoną ścieżkę, wchodził do pokoju nocnikowego i wracał na podjazd, wachał śnieg, drapał łapą zmarzniętą ziemię. „Nie, tego się nie da zrobić”. Zanim zdążyłem go powstrzymać, wspiał się jakimś cudem na stromą ścianę śniegu utworzoną przez dmuchawę i ruszył przez podwórko w kierunku stanowiska białych sosen piętnaście metrów dalej. Nie

mogłem uwierzyć: mój zreumatyzowany, geriatryczny pies wybrał się na pieszą górską wędrówkę. Co kilka kroków biodra uginały się pod nim i zanurzał się w śniegu. Odpoczywał parę sekund na brzuchu, zanim stanął na nogi, i ruszał dalej. Powoli, mozolnie gramolił się przez głęboki śnieg, używając wciąż silnych barków, żeby ciągnąć ciało do przodu. Stałem na podjeździe i zastanawiałem się, jak go będę ratował, kiedy się w końcu przewróci i nie będzie w stanie iść. Ale włókł się dalej i wreszcie dotarł do najbliższej sosny. Nagle pojąłem, o co mu chodzi. Ten pies miał plan. Pod gęstymi gałęziami sosny leżało zaledwie kilka centymetrów śniegu. Drzewo działało jak parasol i kiedy Marley wreszcie pod nie dotarł, mógł się swobodnie poruszać i wygodnie przykucnąć, żeby się załatwić. Musiałem przyznać, że wykombinował to genialnie. Kręcił się w kółko, dmuchał i drapał swoim zwyczajem, próbując przygotować godny ołtarz pod swoją codzienną ofiarę. Po chwili ku memu zaskoczeniu porzucił przytulny zakątek i wlaźł znowu w głęboki śnieg, zmierzając do następnej sosny. Mnie pierwsze miejsce wydawało się doskonałe, ale wyraźnie nie zaspokoilo jego wysokich wymagań.

Z trudem dobrnął do drugiego drzewa i znowu po starannym okrażeniu uznał, że teren nie całkiem odpowiada jego potrzebom. Więc wyruszył do trzeciego drzewa, potem do czwartego i do piątego, za każdym razem oddalając się coraz bardziej od odśnieżonej drogi dojazdowej. Próbowałem go przywołać, chociaż wiedziałem, że mnie nie usłyszy.

- Marley, zapadniesz się, ty bałwanie! - darłem się.

A on parł do przodu z nieustępliwą determinacją. Był na tropie. Aż dotarł do ostatniego drzewa na naszej posesji, wielkiego świerka z gęstym baldachimem gałęzi, prawie tam, gdzie dzieci zwykle czekały na szkolny autobus. W końcu znalazł ten kawałek zmarzniętej ziemi, którego szukał,

odosobniony i zaledwie zakurzony śniegiem. Zakręcił się kilka razy i z chrzęstem przykucnął na starych, niesprawnych, przeżartych artretyzmem udach. I wreszcie sobie ulżył. Eureka!

Wypełniwszy misję, ruszył w długą podróż do domu. Gdy przedzierał się przez śnieg, machałem rękami i klaskałem, żeby dodać mu odwagi. - Dalej, chłopie! Dasz radę!

Widziałem jednak, że jest wykończony, a wciąż miał przed sobą daleką drogę.

- Nie zatrzymuj się teraz! - wrzeszczałem.

Zostało mu dziesięć metrów do podjazdu, kiedy to się stało. Miał dosyć. Zatrzymał się i położył na śniegu, wyczerpany. Nie wyglądał na nieszczęśliwego, ale nie wyglądał też dobrze. Rzucił mi zmartwione spojrzenie. „I co teraz zrobimy, szefie?”. Nie miałem pojęcia. Mogłem przedrzeć się do niego przez śnieg, ale co potem? Był za ciężki, żebym zdołał go podnieść i przenieść. Przez kilka minut stałem, wołając i zachęcając, ale Marley się nie ruszył.

- Poczekaj - powiedziałem. - Pójdę włożyć śniegowce i wrócę po ciebie.

Błysnęła mi myśl, że mógłbym go dźwignąć na tobogan i zaciągnąć do domu. Gdy tylko zobaczył, że wracam z toboganiem, cały mój plan spalił na panewce. Podskoczył, jakby po wstrzyknięciu nowej porcji energii. Jedyne, co przyszło mi do głowy, to to, że przypomniał sobie naszą niesławną przejażdżkę po lesie zakończoną lądowaniem w rzeczce i miał nadzieję na powtórkę. Laźł chwiejnie w moją stronę jak dinozaur przez pokłady smoły. Ja brnąłem przez śnieg, wydeptując po drodze ścieżką dla niego. Stopniowo zbliżaliśmy się do siebie. W końcu razem starabaniliśmy się ze śnieżnej skarpy na oczyszczony podjazd. Otrząpał się ze śniegu, pobębnił ogonem w moje nogi, poskakał dookoła rozbrykany i zadowolony z siebie, tryskający brawurą

poszukiwacza przygód, który powrócił właśnie z wyprawy przez niezbadaną dzicz. Pomyśleć, że w niego wątpiłem.

Następnego ranka przekopałem wąską ścieżkę do odległego świerka na skraju ogrodu i Marley przez całą zimę korzystał z tego miejsca jako ze swojej osobistej toalety. Kryzys został zażegnany, ale na horyzoncie zamajaczyło znacznie poważniejsze pytanie. Jak długo mógł funkcjonować w ten sposób? I w którym momencie ból i upokorzenia wieku starczego przeważą nad prostą radością, jaką czerpał z każdego przespanego, leniwego dnia?

ROZDZIAŁ 25

Na przekór losowi

Kiedy zaczęły się letnie wakacje, Jenny zapakowała dzieci do minivana i wywiozła na tydzień do Bostonu, by odwiedzić siostrę. Ja pracowałem. Nie było więc nikogo, kto dotrzymywałby Marleyowi towarzystwa i mógłby go wypuścić na dwór. Spośród wielu krępujących drobiazgów, jakie fundował mu podeszły wiek, najbardziej kłopotliwa była dla niego osłabiona kontrola nad własnymi jelitami. Marley przez lata przejawiał wiele złych obyczajów, ale jego łaźienkowym zachowaniom nigdy nie dało się nic zarzucić. Była to zresztą jedyna cecha Marleya, którą mogliśmy się przechwalać. Odkąd skończył zaledwie kilka miesięcy, nigdy, przenigdy nie zabrudził mieszkania, nawet jeśli musiał zostać sam na dziesięć lub dwanaście godzin. Żartowaliśmy, że ma stalowy pęcherz i jelita z kamienia.

W ostatnich miesiącach i to się zmieniło. Nie mógł już wytrzymać dłużej niż kilka godzin bez przerwy na siusianie. Kiedy go przypiliło, musiał to zrobić, a jeśli nie było komu go wypuścić, nie miał wyboru i robił w domu. Dręczyło go to i zawsze można było po nim poznać, już od wejścia, że zdarzyła się katastrofa. Zamiast witać nas przy drzwiach ze zwykłą wylewnością, stał w głębi pokoju z głową zwieszoną niemal do podłogi, z podkulonym ogonem, wstyd z niego promieniował. Nigdy go za to nie karaliśmy. Jak byśmy mogli? Miał prawie trzynaście lat, a labradory rzadko żyją dłużej. Wiedzieliśmy, że nic nie mógł na to poradzić, i on też wydawał się o tym wiedzieć. Gdyby potrafił mówić, wyznałby - jestem pewien - że czuje się upokorzony i że próbował, naprawdę próbował zatrzymać to w środku.

Jenny kupiła piorący odkurzacz do dywanów i staraliśmy się ustawiać swoje zajęcia w taki sposób, żeby co kilka godzin ktoś mógł wpaść do domu. Jenny jak najszybciej wracała ze

szkoły, gdzie pracowała jako wolontariuszka. Ja wyskakiwałem z obiadowych przyjęć między daniem głównym a deserem, żeby zabrać go na spacer, który oczywiście Marley przeciągał, jak tylko się dało, węsząc i kręcąc się po całym podwórku. Nasi przyjaciele zastanawiali się głośno i złośliwie, kto naprawdę rządzi w domu Groganów.

Wiedziałem, że podczas nieobecności Jenny i dzieci będę miał dużo zajęć. Ich wyjazd był dla mnie okazją, by pracować po godzinach, włóczyć się po okolicy, poznawać miasta i ludzi, o których teraz pisałem. Razem z dojazdami miało mi to zajmować od dziesięciu do dwunastu godzin dziennie. Nie było mowy, żeby Marley wytrzymał sam tyle czasu, a nawet połowę tego czasu. Postanowiliśmy ulokować go w pobliskim hotelu dla psów, gdzie zostawał każdego lata, gdy wyjeżdżaliśmy na wakacje. Hotel był połączony z dużą przychodnią weterynaryjną, która zapewniała profesjonalną opiekę, a nawet osobistą obsługę. Za każdym razem, gdy tam przychodziliśmy, wydawało się nam, że spotykamy innego lekarza, który nie wie o Marleyu nic poza tym, co jest napisane w jego karcie. Nie znaleźliśmy nawet nazwisk tych lekarzy. W przeciwieństwie do naszego ukochanego doktora Jaya z Florydy, który znał Marleya niemal tak dobrze jak my sami, i zanim wyjechaliśmy, stał się prawdziwym przyjacielem rodziny, ci tutaj byli obcy. Kompetentni, ale mimo to obcy. Marleyowi to nie robiło różnicy.

- Waddy jedzie na psi obóz! - skrzeczała Colleen, a on ożywiał się, jakby ten pomysł otwierał wspaniałe perspektywy. Żartowaliśmy na temat rozkładu zajęć, jaki personel hotelu przygotował dla niego: kopanie dziur od 9.00 do 10.00, rozpruwanie poduszek od 10.15 do 11.00, grzebanie w śmieciach od 11.15 do południa i tak dalej.

Podrzuciłem go tam w niedzielny wieczór i zostawiłem w recepcji numer mojej komórki. Marley, gdy zostawał w psim hotelu, nawet w znajomym otoczeniu przychodził doktora Jaya, nigdy nie sprawiał wrażenia w pełni odprężonego i zawsze trochę się o niego martwiłem. Po każdym takim pobycie wyglądał mizerniej, na nosie miał często otarcia, tam, gdzie przyciskał go do krat, a kiedy wracał do domu, padał w kącie i spał, jakby spędził cały czas na krążeniu po klatce, cierpiąc na bezsenność.

We wtorek rano byłem niedaleko Independence Hall w centrum Filadelfii, gdy zadzwoniła komórka.

- Doktor taka - a - taka chciałaby z panem porozmawiać - powiedziała kobieta z psiego hotelu. Jeszcze jeden weterynarz, którego nazwiska nigdy wcześniej nie słyszałem. Po kilku chwilach lekarka podeszła do telefonu.

- Marley jest w stanie krytycznym. Serce podjechało mi do gardła.

- W stanie krytycznym?

Lekarka powiedziała, że żołądek Marleya wzdał się od jedzenia, wody i powietrza, a potem, naciągnięty i rozepchnięty, przekreślił się, blokując zawartość. Ponieważ gazy i jedzenie nie mogły się wydostać, żołądek pęczniał, doprowadzając do zagrażającego życiu stanu znanego jako skręt żołądka.

To niemal zawsze wymaga interwencji chirurgicznej, powiedziała, a pozostawione bez leczenia może doprowadzić do śmierci w ciągu kilku godzin.

Powiedziała, że wprowadziła mu rurę przez gardło, dzięki czemu dużo gazów zgromadzonych w żołądku uwolniło się i złagodziło wzdęcie. Manipulując rurą, powstrzymała skręt i przywróciła żołądek do normalnego stanu. Teraz Marley jest spokojny i odpoczywa.

- To dobrze, prawda? - zapytałem ostrożnie.

- Tylko chwilowo - powiedziała lekarka. - Pokonaliśmy bezpośredni kryzys, ale jeśli już raz żołądek się skręcił, prawie na pewno to się powtórzy.

- Co to znaczy „prawie na pewno”? - zapytałem.

- Chciałam powiedzieć, że jest jeden procent szansy, że to się nie powtórzy - odparła.

„Jeden procent? Boże drogi - pomyślałem - miałby większą szansę dostać się na Harvard”.

- Jeden procent? Tak jest?

- Przykro mi - potwierdziła. - Choroba jest bardzo poważna.

Jeśli żołądek znowu się przekręci - a jak powiedziała, jest to niemal pewne - mamy dwa wyjścia. Pierwsze - operacja. Wyjaśniła, że musiałyby otworzyć mu jamę brzuszną i przytwierdzić żołądek szwami do ściany jamy, żeby zapobiec kolejnemu skrętowi.

- Operacja kosztowałaby około dwóch tysięcy dolarów - powiedziała.

Wciągnąłem powietrze.

- I muszę pana uprzedzić, że to bardzo niebezpieczna operacja. Szczególnie dla psa w tym wieku.

Powrót do zdrowia byłby długi i trudny, zakładając, że zwierzę w ogóle przetrwa zabieg. Czasami starsze psy, takie jak on, nie wytrzymują operacyjnej traumy, wyjaśniła.

- Gdyby miał cztery albo pięć lat, powiedziałabym, że za wszelką cenę należy go operować - dodała. - Ale w jego wieku musi pan się zastanowić, czy naprawdę chce go pan na to wszystko narażać.

- Nie, jeśli możemy mu pomóc inaczej. Jaka jest druga opcja? - zapytałem.

- Drugą opcją - powtórzyła tylko z lekkim zawahaniem - byłoby uśpienie go.

- Och - jęknąłem.

Z trudem to wszystko do mnie docierało. Pięć minut wcześniej szedłem w stronę Dzwonu Wolności, sądząc, że Marley szczęśliwie się relaksuje na swojej hotelowej wycieczce. Teraz proszą mnie, żebym zdecydował o jego życiu lub śmierci. Nawet nigdy nie słyszałem o chorobie, którą opisała. Dopiero później przeczytałem, że wzdęcie było niemal powszechne u niektórych ras, szczególnie takich jak Marleya, z głęboką, beczkowatą klatką piersiową. Psy które pochłaniały cały posiłek w kilku szybkich łykach - znowu Marley - również należały do grupy wysokiego ryzyka. Niektórzy właściciele psów podejrzewali, że do skrętu żołądka może doprowadzić stres związany z przebywaniem w hotelu, ale później znalazłem wypowiedź pewnego profesora weterynarii, który twierdził, że jego badania nie wykazują związku między stresem schroniska a wzdęciem. Lekarka przy telefonie przyznała jednak, że podniecenie Marleya obecnością innych psów mogło doprowadzić do ataku. Jak zwykle połknął jedzenie, kręcił się i ślinił obficie zajęty wszystkimi psami dookoła. Mógł połknąć tak dużo powietrza i śliny, że jego żołądek zaczął się rozciągać, przyspieszając skręt.

- Czy moglibyśmy poczekać i obserwować, jak sobie daje radę? - zapytałem - Może skręt się nie powtórzy.

- Właśnie to robimy - powiedziała. - Czekamy i obserwujemy.

Powtórzyła, że szansa wynosi jeden procent, i dodała: - Jeśli jego żołądek skręci się ponownie, będę szybko potrzebowała pańskiej decyzji. Nie możemy narażać go na cierpienie.

- Muszę porozmawiać z żoną - powiedziałem. - Oddzwonię.

Jenny odebrała telefon. Była właśnie razem z dziećmi na pokładzie zatłoczonego statku wycieczkowego na środku

bostońskiego portu. Słyszałem w tle warkot motoru i głos przewodnika dudniący przez głośnik. Z powodu złego połączenia nasza rozmowa była nieporadna i pełna dziur. Nie słyszeliśmy się dobrze nawzajem. Krzycząc, próbowałem jej przekazać, jaką musimy podjąć decyzję. Docierały do niej tylko strzępy. Marley... stan krytyczny... żołądek... operacja... uśpić.

Zapadła cisza po drugiej stronie.

- Halo? - zapytałem. - Jesteś tam?

- Jestem - odpowiedziała Jenny.

Mówiła spokojnie. Oboje wiedzieliśmy, że ten dzień w końcu przyjdzie. Nie miało być tak, że ona i dzieci będą poza domem i nawet nie będą mogli się pożegnać. Nie miało być tak, że ja będę oddalony o półtorej godziny drogi, w centrum Filadelfii, zawalony pracą. Pod koniec rozmowy pełnej trzasków, zgrzytów i ciężkich pauz zdecydowaliśmy, że tak naprawdę nie ma żadnej decyzji. Lekarka miała rację. Marley przegrywał na wszystkich frontach. Byłoby okrucieństwem poddawać go bolesnej i niebezpiecznej operacji tylko po to, żeby spróbować odsunąć nieuniknione. Nie możemy też lekceważyć wysokich kosztów. Wydawało się nieprzyzwoite, niemal niemoralne, wydawać taką sumę pieniędzy na starego psa u schyłku życia, kiedy dookoła było tyle niechcianych psów każdego dnia wyrzucanych z domu na poniewierkę, a co ważniejsze - wiele dzieci, które nie otrzymywały właściwej opieki lekarskiej z braku pieniędzy. Jeśli nadszedł czas na Marleya, to nadszedł, i chcieliśmy, żeby przeszedł przez to z godnością i nie cierpiąc. Wiedzieliśmy, że to słuszne, nawet jeśli żadne z nas nie było gotowe na jego odejście.

Zadzwoniłem do kliniki i powiedziałem lekarce o naszej decyzji.

- Stracił zęby, jest głuchy jak pień, a jego stawy biodrowe są tak słabe, że nie ma już siły wdrapać się na schodki

werandy - tłumaczyłem, jakby potrzebowała, by ją przekonać.
- Ma kłopoty z wypróżnianiem, bo jego jelita słabo pracują.

Lekarka, którą teraz już znałem jako doktor Hopkinson, ułatwiła mi.

- Myślę, że już czas - powiedziała.

- Tak sędzę - odparłem, ale poprosiłem, żeby zadzwoniła do mnie wcześniej, gdyby miało do tego dojść. Jeśli to możliwe, chciałbym przy nim być. - No i - przypomniałem jej
- ciągle liczę na jednoprocentowy cud.

- Porozmawiamy za godzinę - powiedziała.

Po godzinie głos doktor Hopkinson brzmiał odrobinę bardziej optymistycznie. Marley się nie poddawał, leżał z dożylną kroplówką doprowadzoną do przedniej łapy. Podniosła jego szanse do pięciu procent. - Nie chcę robić panu zbyt dużych nadziei - dodała. - Pies jest bardzo chory.

Następnego ranka głos lekarki brzmiał jeszcze jaśniej.

- Miał dobrą noc - powiedziała.

Kiedy zadzwoniłem znowu w południe, usunęła już kroplówkę z jego łapy i spróbowała go nakarmić papką z ryżu z mięsem.

- Umiera z głodu - zakomunikowała. Następny telefon: stoi na własnych łapach.

- Dobre wieści - powiedziała. - Jeden z asystentów zabrał go na spacer, Marley zrobił siusiu i kupkę.

Wiwatowałem do telefonu, jakby właśnie zdobył główną nagrodę na wystawie. Potem dodała: - Wyraźnie czuje się lepiej. Obdarzył mnie właśnie mokrym całusem w usta.

Hura, to nasz Marley!

- Nie sądziłam wczoraj, że to jest możliwe - powiedziała lekarka. - Ale oceniam, że jutro będzie pan mógł zabrać go do domu.

Następnego wieczoru po pracy właśnie to zrobiłem. Wyglądał strasznie - słaby i chudy jak szkielet, z zamglonymi

i zaropiałymi oczami - jakby właśnie wrócił z tamtej strony śmierci, co, jak sędzę, w pewnym sensie zrobił. Sam musiałem wyglądać trochę niezdrowo, płacąc rachunek - 800 dolarów. Kiedy dziękowałem pani doktor za dobrą robotę, odparła: - Cały personel kocha Marleya. Wszyscy trzymaliśmy za niego kciuki.

Zaprowadziłem do samochodu mojego cudownego, jedna - szansa - na - sto, psa i powiedziałem: - Wracamy do domu, do którego należysz.

Stał i patrzył z niesmakiem na tylne siedzenie. Wiedział, że jest dla niego niezdołyte jak szczyt Olimpu. Nawet nie spróbował wskoczyć. Zawołałem jednego z pracowników, który chętnie pomógł mi wwindować go do samochodu, i pojechaliśmy do domu razem z pudełkiem lekarstw i ścisłymi instrukcjami. Marleyowi nie wolno już nigdy połykać dużego posiłku za jednym posiedzeniem ani wypijać ogromnych ilości wody. Skończyły się czasy zabawy w łódź podwodną, gdy nosem nurkował w swojej misce. Odtąd ma dostawać cztery małe posiłki dziennie i tylko ograniczone racje wody - pół szklanki lub coś koło tego na raz do miski. W ten sposób - wyraziła nadzieję lekarka - jego żołądek będzie spokojny i nie wezdmie się ani nie skręci znowu. Nigdy więcej nie może też zostawać w wielkim hotelu, w otoczeniu szczekających, podnieconych psów. Byłem przekonany i, jak sędzę, doktor Hopkinson również, że ten czynnik przyspieszył jego bliskie spotkanie ze śmiercią.

Kiedy dojechaliśmy do domu i wniosłem go do środka, położyłem śpiwór na podłodze w salonie obok jego pośłania. Nie był w stanie pokonać schodów do sypialni, a ja nie miałem serca zostawiać go samego i bezradnego. Wiedziałem, że będzie niespokojny całą noc, jeśli nie będzie mógł spać przy moim boku.

- Zostanę na noc u ciebie, Marley - ogłosiłem i położyłem się obok niego.

Głaskałem go od głowy do ogona, aż wielkie kłęby sierści gromadziły się na jego pupie. Wytarłem ropne śpiochy z kącików jego oczu i drapałem go za uszami, aż jęczał z zadowolenia. Jenny i dzieci mieli wrócić następnego dnia rano. Jenny będzie go karmiła miniposiłkami z gotowanego mielonego mięsa i ryżu. Zajęło mu to trzynaście lat, ale wreszcie zasłużył na ludzkie jedzenie, nie jakieś resztki, ale specjalnie dla niego przyrządzane posiłki. Dzieci przytulą go, nieświadome, jak mało brakowało, żeby już nigdy się z nim nie spotkały.

Jutro w domu zrobi się głośno, bałaganiarsko i znowu będzie pełno życia. Dzisiaj w nocy jesteśmy tutaj sami, we dwóch, tylko Marley i ja. Leżąc tam z nim i czując wonny oddech na twarzy, nie mogłem powstrzymać myśli o naszej pierwszej wspólnej nocy, te wszystkie lata temu, kiedy przyniosłem do domu małego psiaczka skamlącego za mamą. Przypomniałem sobie, jak wciągnąłem jego pudełko do sypialni i jak zasnęliśmy razem, ja z ręką zwisającą z łóżka, żeby go głaskać i uspokajać. Trzynaście lat później znaleźliśmy się tutaj, nadal nierozłączni. Myślałem o jego szczenięcych latach i dorastaniu, o podrapanych kanapach i zjedzonych materacach, o szalonych spacerach wzdłuż Intracoastal Waterway i tańcach głowa przy głowie przy ryczącej muzyce. Myślałem o wszystkich połkniętych przedmiotach, wymuszonych czekach i słodkich chwilach psio - ludzkiego porozumienia. A najbardziej myślałem o tym, jakim był dobrym i lojalnym kompanem w podróży przez te wszystkie lata. Cóż to była za podróż!

- Naprawdę mnie przestraszyłeś, staruszkule - szepnąłem, gdy wyciągnął się obok mnie i wcisnął mi nos pod pachę,

żebym nie przestawał go głaskać. - Dobrze, że już wróciłeś do domu.

Zasnęliśmy na podłodze obok siebie, on z pupą w połowie na moim śpiworze, ja z ręką na jego plecach. Raz obudził mnie w nocy, wzdrygał ramionami, młócił łapami, a z głębi gardła wydobywało się słabe, dziecięce szczekanie, raczej jak kaszel niż cokolwiek innego. Śnił. Śnił, jak sobie wyobrażałem, że znowu jest młody i silny. I że biega, jakby jutro nie istniało.

ROZDZIAŁ 26

Pożyczony czas

Przez kilka następnych tygodni Marley cofał się znad granicy śmierci. Złośliwe ogniki wróciły do jego oczu, zimna wilgotność na nos i trochę mięsa na kości. Biorąc pod uwagę wszystko, co przeszedł, nie wyglądał najgorzej. Zadowalał się przesypianiem dni w swoim ulubionym miejscu w salonie, obok szklanych drzwi, przez które wpadało słońce i przypiekało mu sierść. Na nowej, niskoobjętościowej diecie złożonej z małych posiłków był nieustannie głodny, więc zebrał i kradł jedzenie bardziej bezwstydnie niż kiedykolwiek przedtem. Pewnego wieczoru przyłapałem go samego w kuchni. Stał na tylnych łapach, przednie opierał na kuchennym blacie i wyżerał z półmiska prażony ryż. Jak mu się udało tam wspiąć na chorych biodrach, nie mam pojęcia. Precz ze słabością! Gdy potrzeba wzywa, ciało Marleya odpowiada. Chciałem go uściskać, tak byłem szczęśliwy z niespodziewanego pokazu sprawności.

Po strachu, jaki przeżyliśmy tego lata, powinniśmy z Jenny przyjąć wreszcie do wiadomości podeszły wiek Marleya, ale z wygodnictwa szybko zaczęliśmy udawać, że tamten kryzys był jednorazowym wydarzeniem i nasz pies znowu może podjąć swój wieczny marsz ku zachodowi. Coś w nas chciało wierzyć, że mógłby tak iść, posapując, bez końca. Mimo wszystkich starczych ułomności wciąż był tym samym niefrasobliwym psem. Każdego ranka po śniadaniu truchtał do salonu, żeby wykorzystać kanapę w charakterze gigantycznej chusteczki do ust, idąc wzdłuż niej wycierał nos i pysk w obicie, a przy okazji rozrzucał poduszki. Potem robił zwrot i wracał - w ten sposób mógł sobie wytrzeć drugą stronę. Na koniec padał na podłogę, przewracał się na grzbiet i wijąc z boku na bok, drapał się w plecy. Lubił siedzieć i wylizywać do połysku dywan, jakby ktoś tam wylał

najbardziej smakowity sos, jakiego kiedykolwiek miał okazję skosztować. Do codziennej rutyny należało obszczekiwanie listonosza, odwiedziny u kurczaków, gapienie się na karmnik dla ptaków i kilka wypadów do kranu przy prysznicu, żeby zobaczyć, czy spadła jakaś kropla wody do wychłęptania. Kilka razy dziennie zrzucał pokrywę z kuchennego pojemnika na odpadki, sprawdzając, czy nie dałoby się wygrzebać jakichś pyszności. Codziennie wpadał w nastrój labradora uciekającego, tłukł się po całym domu, bębnił ogonem po ścianach i meblach. Codziennie otwierałem mu siłą szczęki i odklejałem z podniebienia odpady naszego bieżącego życia - obierki, papierki od cukierków, zużyte chusteczki do nosa i nitki do czyszczenia zębów. Nawet na starość pewne rzeczy pozostają bez zmian.

Gdy nadszedł 11 września 2003 roku, wybrałem się do małego górniczego miasteczka Shanksville w Pensylwanii, gdzie tamtego haniebnego ranka przed dwoma laty samolot United Airlines zakończył na pustym polu lot nr 93 w trakcie próby odbicia maszyny przez pasażerów. Porywacze, którzy przejęli samolot, zamierzali, jak się uważa, skierować go na Waszyngton DC i rozbić na Białym Domu lub Kapitolu, a pasażerowie, którzy zaatakowali kokpit, niemal na pewno ocalili życie wielu ludziom na ziemi. W drugą rocznicę ataków redakcja chciała, żebym tam pojechał i zrobił wszystko, co potrafię, by w moim artykule oddać to poświęcenie i długofalowe skutki, jakie miało ono dla psychiki Amerykanów.

Spędziłem cały dzień na miejscu katastrofy. Zwlekałem z opuszczeniem spontanicznie zaimprovizowanej uroczystości. Rozmawiałem z przybyszami napływającymi nieprzerwanym strumieniem, przesłuchałem okolicznych mieszkańców, którzy pamiętali siłę eksplozji, posiedziałem z kobietą, która straciła córkę w wypadku samochodowym i przyjechała na miejsce

katastrofy samolotu, żeby znaleźć ukojenie we wspólnym bólu. Obejrzałem wiele pamiątek i karteczek pozostawionych na zwirowanym parkingu. Ale ciągle nie czułem mojego felietonu. Czy mógłbym powiedzieć o niesłychanej tragedii coś, co jeszcze nie zostało powiedziane? Poszedłem na obiad do miasteczka i przejrzałem notatki. Pisanie felietonów do gazety przypomina budowanie wieży z kamiennych bloków. Każdy strzępek informacji, każdy cytat i każda uchwycona chwila jest kolejnym kamieniem. Zaczynasz budowę od szerokich fundamentów, na tyle mocnych, by uniosły twoje przesłanie, potem pracujesz po swojemu, aż osiągniesz szczyt. Mój notatnik wypełniały solidne kamienie, ale zabrakło mi spoiwa, które pomogłoby złożyć je do kupy. Nie miałem pojęcia, co z nimi zrobić.

Zjadłem pieczeń, wypilem mrożoną herbatę i ruszyłem do hotelu, żeby spróbować coś napisać. W połowie drogi pod wpływem impulsu zawróciłem i pojechałem znowu na miejsce katastrofy, kilka kilometrów za miastem. Dotarłem tam, akurat gdy słońce chowało się za zboczem wzgórza, a garstka ostatnich odwiedzających zbierała się do drogi. Siedziałem sam przez długi czas. Zachód słońca zmieniał się w zmierzch, a zmierzch w noc. Silny wiatr powiał ze wzgórz, więc owinąłem się mocniej płaszczem. Wysoko na maszcie powiewała ogromna amerykańska flaga. Jej barwy zdawały się płonąć w przyćmionych resztkach dziennego światła. Dopiero wtedy otulił mnie nastrój uświęconego miejsca i zaczęła się we mnie wsączać wielkość tego, co się wydarzyło na niebie ponad pustym polem. Popatrzyłem tam, gdzie samolot wbił się w ziemię, potem w górę, na flagę, i poczułem, że łzy napływają mi do oczu. Po raz pierwszy w życiu miałem czas, żeby policzyć paski. Siedem czerwonych i sześć białych. Policzyłem gwiazdy, było ich pięćdziesiąt na niebieskim polu. Teraz ta amerykańska flaga znaczy dla nas

więcej. Dla nowego pokolenia znowu stała się wartością i świętością. Wiedziałem, co powinienem napisać.

Wcisnąłem ręce w kieszenie i poszedłem na skraj zwirowanego parkingu, skąd patrzyłem na narastającą czerń. Stojąc tam w ciemności, czułem wiele różnych rzeczy. Jedną z nich była duma z moich rodaków, Amerykanów, zwykłych ludzi, którzy dorośli do potrzeby chwili, wiedząc, że jest ich ostatnią. Inną była pokora, ponieważ żyłem i nie dotknął mnie horror tamtego dnia, mogłem swobodnie kontynuować moje szczęśliwe życie jako mąż, ojciec i pisarz. W samotnej czerni byłem w stanie niemal posmakować skończoności życia i jego niesłychanej wartości. Bierzemy je za pewnik, ale ono jest kruche, nietrwałe, niepewne i może się skończyć w każdej chwili, bez uprzedzenia. Uświadomiłem sobie coś, co powinno być oczywiste, ale zbyt często nie jest - że każdy dzień, każda godzina i minuta zasługują na adorację.

Poczułem też coś jeszcze - zdumienie bezgraniczną pojemnością ludzkiego serca. Jest na tyle wielkie, by przyjąć ogrom tej tragedii, a zarazem znajduje się w nim miejsce na małe chwile osobistego cierpienia i serdecznego bólu, które są częścią każdego życia. W moim przypadku jedną z tych małych chwil był mój umierający pies. Z odcieniem wstydu uświadomiłem sobie, że nawet wobec tego bezmiaru ludzkiej rozpacz, jaką wywołał lot numer 93, wciąż czuję ostry skurcz na myśl o stracie, która nadchodzi.

Marley żył pożyczonym czasem, to było jasne. Następny kryzys może przyjść każdego dnia, a jeśli tak się stanie, nie da się walczyć z nieuniknionym. Każda inwazyjna medyczna procedura przy takim jego stanie byłaby okrucieństwem, czymś, co Jenny i ja zrobilibyśmy raczej ze względu na siebie niż na niego. Kochaliśmy tego szalonego starego psa, kochaliśmy go mimo wszystko - a może z powodu wszystkiego. Ale teraz rozumiałem, że blisko jest chwila, w

której powinniśmy pozwolić mu odejść. Wróciłem do samochodu i pojechałem do hotelu.

Następnego ranka napisałem felieton, a potem zadzwoniłem z hotelu do domu.

- Chcę tylko, żebyś wiedział, że Marley naprawdę za tobą tęskni - powiedziała Jenny.

- Marley? - zapytałem. - A wy, cała reszta?

- Pewnie, że tęsknimy, wariacie - zapewniła. - Ale chodzi mi o to, że Marley naprawdę, naprawdę tęskni. Wszystkich nas doprowadza do szału.

Opowiedziała, że poprzedniej nocy Marley, nie mogąc mnie znaleźć, chodził i węszył po całym domu, przeszukiwał pokoje, zaglądał za drzwi i do szaf. Z trudem wspiał się na piętro, a nie znalazłszy mnie i tam, wrócił na dół, by zacząć szukać od początku.

- Naprawdę się martwił - tłumaczyła.

Odważył się nawet zejść po stromych schodach do warsztatu w piwnicy, gdzie niegdyś, nim śliskie, drewniane schody nie stały się dla niego przeszkodą nie do przebycia, radośnie dotrzymywał mi towarzystwa. Godzinami leżał u moich stóp, kiedy pracowałem w stolarni, a pył spod piły opadał na jego sierść jak łagodny śnieżek. Gdy tam zszedł, nie mógł wrócić po schodach na górę. Stał piszcząc i skomląc, aż Jenny z dziećmi pospieszyli mu na ratunek i wynieśli go schodek po schodku, trzymając za biodra i barki.

W nocy, zamiast spać obok naszego łóżka, jak to zwykle robił, Marley rozbił obóz; na podeście u szczytu schodów, skąd mógł obserwować wszystkie sypialnie, a także drzwi frontowe, na wypadek gdybym ja (1) wyszedł z ukrycia lub (2) wrócił w środku nocy, jeśli wymknąłem się z domu, nie uprzedzając go o tym. Tam właśnie widziała go Jenny następnego ranka, gdy schodziła na dół zrobić śniadanie. Minęło kilka godzin, nim zdała sobie sprawę, że Marley ciągle

się nie pokazał na dole, co było niezwykle; prawie każdego ranka pierwszy schodził ze schodów i walił ogonem w drzwi wejściowe, żeby go wypuścić. Znalazła go śpiącego hałaśliwie na podłodze tuż przy naszym łóżku, po mojej stronie. Potem zorientowała się, dlaczego. Kiedy wstawiała, niechcący przepchnęła swoje poduszki (a używa zwykle trzech) na moją stronę łóżka, formując wielki tobół tam, gdzie ja zwykle śpię. Z jego wzrokiem godnym pana Magoo (Pan Magoo - tytułowy bohater amerykańskiej komedii o ekscentrycznym człowieku, który mimo bardzo słabego wzroku nie chce nosić okularów, co jest źródłem wielu przygód i kłopotów. Film pod oryginalnym tytułem wyświetlano również w polskich kinach - przyp. tłum.) można Marleyowi wybaczyć, że pomylił kupe pierza ze swoim panem.

- Na sto procent myślał, że jesteś w środku - powiedziała.
- Mówię ci, był przekonany, że tam śpisz.

Pośmialiśmy się przez telefon, a potem Jenny dodała: - Musisz mu doliczyć punkty za wierność.

Zrobiłem to. Oddanie zawsze łatwo przychodziło naszemu psu.

Zaledwie tydzień po moim powrocie z Shanksville nadszedł kryzys, którego się spodziewaliśmy w każdej chwili. Ubierałem się do pracy w łazience, kiedy usłyszałem straszliwy łoskot i zaraz potem krzyk Conora: - Ratunku! Marley spadł ze schodów!

Popędziłem. Leżał u stóp schodów i próbował się podnieść. Razem z Jenny podbiegliśmy do niego i, głaszcząc po całym ciele, delikatnie badaliśmy jego łapy, naciskaliśmy żebra, masowaliśmy kręgosłup. Wydawało się, że nic nie złamał. Stęknął, wstał, otrząsnął się i poszedł, nawet nie kulejąc. Conor był naocznym świadkiem upadku. Powiedział, że Marley zaczął schodzić, ale po dwóch stopniach zorientował się, że wszyscy są jeszcze na górze, i spróbował

zawrócić. Wtedy biodra ugięły się pod nim, upadł i stoczył w dół przez całą długość schodów.

- No to miał szczęście - powiedziałem. - Taki upadek mógłby go zabić.

- Nie do wiary, że nawet się nie potłukł - dodała Jenny. - Jak kot, co zawsze spada na cztery łapy.

Ale był potłuczony. Po kilku minutach usztywnił się, a kiedy wieczorem wróciłem z pracy, wydawał się całkiem ubezwłasnowolniony i nie mógł się ruszać. Wyglądało na to, że wszystko go boli, jakby go obili bandyci. Najbardziej jednak doskwierała mu przednia lewa łapa. W ogóle nie mógł na niej stanąć. Gdy jednak ją naciskałem, nie pisał, więc przypuszczałem, że naciągnął ścięgno. Na mój widok spróbował wstać, żeby się przywitać, ale nic z tego nie wyszło. Z tej łapy nie było żadnego pożytku, a że tylne nogi też miał słabe, nie starczyło mu siły, żeby zrobić cokolwiek. Została mu jedna sprawna kończyna - dość parszywa sytuacja dla czworonożnego zwierzęcia. W końcu jakoś się zwałókł i chciał podejść do mnie, skacząc na trzech nogach, ale biodra ugięły się pod nim i znowu upadł na podłogę. Jenny dała mu aspirynę i obłożyła lodem przednią łapę. Marley, figlarny nawet w warunkach ograniczonej swobody, próbował zjeść kostki lodu.

Do wpół do jedenastej wieczorem nie poczuł się lepiej. Od pierwszej po południu nie był na zewnątrz. Trzymał mocz przez blisko dziesięć godzin. Nie miałem pomysłu, jak wynieść go na dwór, żeby mógł sobie ulżyć, a potem wnieść z powrotem do domu. Stałem nad nim, objąłem rękami pod klatką piersiową i postawiłem na nogi. Razem przeczłapaliśmy do frontowych drzwi, ja go podtrzymywałem, a on podskakiwał na trzech łapach. Ale za drzwiami, a przed schodkami werandy - zastygł. Padał ulewny deszcz. Schodki,

jego Nemezis, majaczyły przed nami mokre i śliskie. Wyglądał, jakby odwaga go opuściła.

- No chodź - zachęcałem go. - Szybkie siusiu i wracamy prosto do domu.

Nie zamierzał brać w tym udziału. Chciałem go nakłonić, żeby zrobił, co trzeba, wprost na ganku i mielibyśmy to z głowy, ale nie było sposobu, by nauczyć starego psa nowych sztuczek. Wkicał z powrotem do środka i spojrzał na mnie posepnie, jakby przepraszając, za to, o czym już wiedział, że nadchodzi.

- Spróbujemy później - powiedziałem.

Jakby w odpowiedzi wpół przykucnął na swoich trzech czynnych łapach i opróżnił pełny pęcherz na podłogę w holu, tworząc dookoła siebie sporą kałużę. Po raz pierwszy od czasów wczesnego szczeniństwa Marley posiusiał się w domu.

Rano czuł się lepiej, chociaż wciąż utykał jak inwalida. Zabraliśmy go na dwór, gdzie bez problemu zrobił siusiu i kupkę. Na „raz, dwa, trzy!” razem z Jenny dźwignęliśmy go na schodki werandy.

- Mam wrażenie - powiedziałem - że Marley już nigdy nie zobaczy piętra naszego domu.

Było oczywiste, że ostatnią wspinaczkę po schodach ma za sobą. Od tej pory będzie musiał mieszkać i sypiać na dole.

Tego dnia zostałem w domu. W sypialni na górze pisałem felieton na laptopie, kiedy usłyszałem poruszenie na schodach. Przerwałem pisanie i zamieniłem się w słuch. Odgłos był doskonale znajomy - rodzaj głośnego tętentu, jakby stado podkutych koni galopowało przez most. Spojrzałem w stronę drzwi, wstrzymując oddech. Po chwili Marley wetknął łeb do sypialni i wkroczył do środka nieśpiesznym krokiem. Oczy mu pojaśniały, kiedy mnie zobaczył: „Ach, więc tutaj jesteś!”. Grzmotnął łbem w moje kolana, błagając o drapnięcie w ucho, na co, jak uznałem, zasłużył.

- Zrobiłeś to, Marley! - wykrzyknąłem. - Stare psisko!
Nie mogę uwierzyć, że wlałeś na górą!

Później, kiedy siedziałem obok niego na podłodze i drapałem go w szyję, kręcił łbem i radośnie przeżuwał w zębach mój nadgarstek. Dobry znak, wskaźnik, że wesoły, figlarny szczeniak ciągle w nim tkwi. Tego dnia, w którym będzie siedział spokojnie i pozwoli mi się pieścić bez wzajemności, zrozumiem, że ma dość.

Poprzedniego wieczoru wydawał się pukać do wrót śmierci, a ja znowu szykowałem się na najgorsze. Dzisiaj sapał, skrobał i próbował przelizać moje ręce na wylot. Gdy już myślałem, że dotarł do mety po długim, szczęśliwym biegu, powrócił.

Podniosłem jego łeb i zmusiłem, by spojrzał mi w oczy.

- Powiesz mi, kiedy przyjdzie czas, dobrze? - bardziej stwierdziłem, niż zapytałem. Nie chciałem musieć samemu podejmować decyzji. - Dasz mi znać, prawda?

ROZDZIAŁ 27

Wielka Łąka

Zima przyszła wcześniej tego roku. Dni robiły się coraz krótsze, wiatr hulał pośród zmarzniętych gałęzi,

a my stopniowo zamykaliśmy się w przytulnym domu jak w kokonie. Ściąłem i porąbałem zimową porcję drewna do kominka i ułożyłem pryzmę obok tylnych drzwi. Jenny gotowała zawiesziste zupy i piekła domowy chleb, a dzieci znowu siedziały w oknie, ciesząc się na nadejście śniegu. Ja również czekałem na pierwszy śnieg, ale z cichym niepokojem. Zastanawiałem się, jak Marley zdoła znieść nadchodzącą zimę. Już poprzednia była dla niego wystarczająco trudna, a w ciągu ostatniego roku wyraźnie, dramatycznie osłabł. Nie miałem pojęcia, jak sobie poradzi ze spacerami po oblodzonych ścieżkach, śliskich schodach i pokrytych śniegiem trawnikach. Dopiero teraz oświeciło mnie, dlaczego starsi ludzie wyjeżdżają na emeryturę na Florydę lub do Arizony.

Był wietrzny niedzielny wieczór w połowie grudnia. Dzieci skończyły odrabiać lekcje i ćwiczyły gamy na swoich instrumentach. Jenny uprażyła w piekarniku popcorn i ogłosiła rodzinny seans filmowy. Dzieciaki pognały wybrać film na wideo, a ja gwizdnąłem na Marleya i wziąłem kosz na drewno. Gdy ładowałem klonowe klocki do kosza, on węszył dookoła po zmarzniętej trawie. Zatrzymał się z pyskiem wystawionym na wiatr, wciągał nosem mroźne powietrze, jakby nurkował w atakującej zimie. Skończyłem, klasnąłem w dłonie i pomachałem, żeby przyciągnąć jego uwagę. Podszedł, zawahał się przed schodkami ganku, nim zebrał się na odwagę i ruszył do przodu, ciągnąc za sobą tylne łapy.

W domu dołożyłem drewna do kominka, ogień zaczął szumieć, dzieci czekały na film. Płomienie skakały, ciepło rozeszło się po pokoju, co zachęciło Marleya, by - jak to miał

w zwyczaju - zająć najlepsze miejsce na wprost ognia. Położyłem się na podłodze jakiś metr od niego, oparłem głowę na poduszce i patrzyłem bardziej w ogień niż na ekran. Marley nie miał ochoty rezygnować ze swojego ciepłego miejsca, ale nie mógł się oprzeć okazji. Jego ulubiony człowiek znajdował się na poziomie ziemi, w pozycji wskazującej na poddanie się, kompletnie bezbronny. Kto teraz był samcem alfa? Najpierw zaczął łomotać ogonem o podłogę, potem ruszył w moim kierunku na brzuchu, wijąc się swoim lisim sposobem i kołysząc z boku na bok, z tylnymi łapami wyciągniętymi w tył na całą długość. Po chwili przylgnął do mnie i wcisnął głowę w moje żebra. Ale gdy tylko podniosłem rękę, żeby go pogłaskać, żarty się skończyły. Zerwał się na równe łapy, otrząsnął energicznie, obsypując mnie kłakami sierści i spojrzał z góry. Spieniona paszcza zwisała tuż nad moją twarzą. Roześmiałem się, co potraktował jak zielone światło - można iść - i nim do końca zdałem sobie sprawę, co się dzieje, wgramolił się na moją pierś przednimi łapami i opadł, zwałając się na mnie jak kłoda.

- Uff - stęknąłem pod jego ciężarem.

- Frontalny atak labradora! - zapiszczały dzieci.

Marley nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Nawet nie próbowałem go z siebie zrzucić. Wiercił się, ślinił, lizał mnie po twarzy i wciskał mi nos w szyję. Był taki ciężki, że ledwo mogłem oddychać. Po kilku minutach trochę go zsunąłem. Większą część filmu przetrwał z głową, barkami i jedną łapą spoczywającymi na mojej pierś, a resztą przyciśniętą do mojego boku.

Nie powiedziałem tego na głos, ale trzymałem się wtedy kurczowo tej chwili, wiedząc, że niewiele już będzie podobnych. Marley spokojnie zmierzał do kresu długiego i bujnego życia. Gdy potem wspominałem ten wieczór przed kominkiem, już wiedziałem, że był to nasz pożegnalny bal.

Czochrałem go wtedy za uszami, dopóki nie zasnął, a potem czochrałem go dalej.

Cztery dni później pakowaliśmy minivana przed wyjazdem na rodzinne wakacje do Disney World na Florydzie. Dla naszych dzieci miały to być pierwsze święta Bożego Narodzenia spędzone poza domem. Cała trójka była nieprzytomna z podniecenia. Wieczorem, w ramach przygotowań do wyjazdu następnego ranka, Jenny zawiozła Marleya do kliniki weterynaryjnej, gdzie załatwiła mu tygodniowy pobyt. Miał go spędzić na oddziale intensywnej opieki, pod 24 - godzinną obserwacją lekarzy i pracowników, bez niepokojącej obecności innych psów.

Była to ta sama klinika, w której zeszłego lata lekarze w cudowny sposób uratowali go od śmierci, więc teraz gotowi byli zapewnić mu warunki mieszkaniowe jakości cadillaca i ekstra opiekę bez ekstra opłat.

Nocą skończyliśmy z Jenny pakowanie i oboje zauważyliśmy, jak dziwnie jest przebywać w strefie wolnej od psów. Człowiek nie potyka się bez przerwy o jakiegoś przerośniętego zwierzaka stojącego w przejściu, obserwującego każdy krok i próbującego między nogami przemknąć się do garażu za każdym razem, gdy się wynosi torbę. Poczucie wolności było uderzające, ale z drugiej strony, mimo że dzieci chodziły po ścianach, dom wydawał się pustą, przepastną otchłanią.

Następnego ranka, nim słońce weszło ponad linię drzew, zapakowaliśmy się do minivana i pojechaliśmy na południe. Po drodze wyzłościwiłem się, że cała ta disneyowska wyprawa należy do ulubionych sportów w kręgu rodziców, z którymi się ścigamy. Nie wiem, ile razy powtórzyłem: - Za te same pieniądze moglibyśmy się zabrać całą rodziną do Paryża.

Cała rodzina bawiła się jednak wyśmienicie, nawet marudny tata. Chociaż wisiało nad nami wiele potencjalnych

niebezpieczeństw - choroby, ataki złości ze zmęczenia, zgubienie biletów, zgubienie dzieci, bratobójcze walki na pięści - wszystkich zdołaliśmy uniknąć.

Spędziliśmy fantastyczne wakacje i większość długiej podróży powrotnej zajęło nam omawianie wad i zalet każdej atrakcji Disney World, każdej odwiedzonej knajpy, każdej kąpieli i każdej chwili. W połowie drogi przez Maryland, zaledwie cztery godziny od domu, odezwała się moja komórka. Dzwoniła pracownica lecznicy dla zwierząt. Powiedziała, że Marley zrobił się apatyczny, a biodra dokuczają mu bardziej niż zwykle. Prawdopodobnie cierpi. Weterynarz uważa, że należy zaaplikować mu sterydy oraz środki przeciwbólowe, i pyta, czy się zgadzamy.

- Oczywiście - powiedziałem. - Proszę zrobić wszystko, żeby poczuł się lepiej. Jutro zabierzemy go do domu.

Jenny pojechała po niego następnego dnia, 29 grudnia, po południu. Marley wyglądał na zmęczonego, był nieswój, ale nie miał wyraźnych objawów choroby. Lekarz ostrzegł, że jego stawy biodrowe są słabsze niż kiedykolwiek i że trzeba mu podawać leki przeciwreumatyczne. Jeden z pracowników pomógł Jenny podsadzić go do minivana.

Ale pół godziny po przyjeździe do domu Marley dostał nudności, krztusił się, próbując wyrzucić z gardła gęsty śluz. Jenny wyprowadziła go przed dom, a on po prostu położył się na zamarzniętej ziemi i nie chciał - lub nie mógł - się ruszyć. Spanikowana zadzwoniła do mnie do pracy.

- Nie wiem, co robić! Leży na mrozie i nie chce wstać!

Wyruszyłem od razu, ale nim trzy kwadranse później dotarłem do domu, zdołała go już postawić na nogi i wprowadzić do środka. Leżał rozciągnięty na podłodze w jadalni, wyraźnie wyczerpany i wyraźnie nie ten sam.

Ani razu przez trzynaście lat nie udało mi się wejść do domu, żeby nie podskakiwał, nie wiercił się, nie sapał, waląc

po wszystkim ogonem. Zawsze mnie witał, jakbym właśnie powrócił z wojny stuletniej. Nie tym razem. Wodził za mną wzrokiem, kiedy wszedłem do pokoju, ale nawet nie podniósł głowy. Klęknąłem i podrapałem go po nosie. Żadnej reakcji. Nie próbował chwycić mnie za nadgarstek, nie chciał się bawić, nawet nie poruszył łbem. Jego oczy były gdzieś daleko, a osłabiony ogon leżał nieruchomo na podłodze.

Jenny już dwa razy dzwoniła do szpitala dla zwierząt, za każdym razem zostawiała wiadomość i czekała, aż weterynarz oddzwoni. Ale widać było wyraźnie, że sprawa zaczyna być nagląca. Zadzwoiłem po raz trzeci. Po kilku minutach Marley wstał na drżących łapach i znowu usiłował wymiotować, ale bezskutecznie. Wtedy zauważyłem jego brzuch - był większy niż normalnie i twardy w dotyku. Serce we mnie zamarło - wiedziałem, co to oznacza. Znowu zadzwoniłem do lecznicy. Tym razem opisałem wzdęty żołądek Marleya. Recepcjonistka poprosiła, żebym zaczekał.

- Lekarz prosi, żeby go zaraz przywieźć - powiedziała, gdy wróciła.

Oboje z Jenny bez słowa zrozumieliśmy, że nadszedł czas. Dzieciom wyjaśniłem krzepiąco, że zabieram Marleya do szpitala, bo jest bardzo ciężko chory, ale lekarze zrobią wszystko, żeby mu pomóc. Kiedy zszedłem na dół, gotów do drogi, nadal leżał na podłodze, wyczerpany. Jenny i dzieci zgromadziły się dookoła, żeby się z nim pożegnać. Każde go głaskało i przytulało się do niego przez kilka ostatnich chwil. Uparcie tkwiły w optymistycznym przekonaniu, że ten pies, który był nieodłączną częścią ich życia, wkrótce wróci i będzie znów jak nowy.

- Zdrowiej szybko, Marley! - powiedziała Colleen cienkim głosikiem.

Razem z Jenny włożyliśmy go do samochodu. Objęła go szybko ostatni raz. Obiecałem zadzwonić, jak tylko będę coś

wiedział, i odjechałem. Leżał na podłodze przed tylnymi siedzeniami, opierając głowę na środkowym wybrzuszeniu. Jedną ręką trzymałem kierownicę, a drugą wyciągnąłem do tyłu, żeby go głaskać po głowie i karku.

- Och, Marley - powtarzałem tylko.

Na parkingu przed kliniką dla zwierząt pomogłem mu wyjść z samochodu. Zatrzymał się, żeby obwąchać drzewo, pod którym siusiały wszystkie psy - wciąż zainteresowany, niezależnie od tego, jak bardzo czuł się chory. Dałem mu chwilę, wiedząc, że może to być ostatni jego spacer. Potem pociągnąłem delikatnie obrozę i wprowadziłem go do recepcji. Zaraz za drzwiami uznał, że ma dosyć chodzenia, i ostrożnie położył się na podłodze. Ani ja, ani pracownicy kliniki nie byliśmy w stanie postawić go znowu na nogi. Technicy przynieśli więc nosze, wsunęli go na nie i razem z nim zniknęli za kontuarem, kierując się do pokoju badań.

Po kilku minutach wyszła lekarka, młoda kobieta, której nigdy przedtem nie widziałem, i zaprowadziła mnie do gabinetu. Wyświetliła na ekranie kilka zdjęć rentgenowskich i pokazała, jak żołądek Marleya powiększył się dwukrotnie w stosunku do normalnej objętości. Blisko miejsca, gdzie żołądek łączy się z jelitami, zaznaczyła na zdjęciu dwa ciemne miejsca o wielkości pięści. Wyjaśniła, że one właśnie oznaczają skręt. Tak samo jak poprzednim razem wprowadzili mu rurę do żołądka, by uwolnić gazy powodujące wzdęcie. Lekarka za pomocą tej rury zamierzała teraz wyczuć tylną ścianę żołądka.

- To nie będzie łatwe - powiedziała. - Ale spróbuję, masując tą rurą żołądek, przywrócić mu normalne położenie.

Była to dokładnie ta sama gra na jednoprocentową szansę, którą minionego lata podjęła doktor Hopkinson. Podziałało wtedy, może i tym razem się uda. Po cichu byłem dobrej myśli.

- W porządku - powiedziałem głośno. - Proszę zrobić, co w pani mocy.

Pół godziny później wyszła ze zmartwioną miną. Podjęła trzy próby, ale nie zdołała przełamać blokady. Dała mu więcej środków uspokajających w nadziei, że rozluźnią mięśnie żołądka. Kiedy i to nie przyniosło rezultatu, podjęła ostatnią próbę, wprowadzając cewnik przez żebra - również bez powodzenia.

- W tej chwili jedyna realna szansa to operacja... - powiedziała i zrobiła pauzę, jakby chciała sprawdzić, czy jestem gotowy na rozmowę o nieuniknionym - ... ale najbardziej humanitarnym wyjściem byłoby go uśpić - dokończyła.

Oboje z Jenny przeszliśmy przez proces podejmowania tej decyzji pięć miesięcy wcześniej i już wtedy dokonaliśmy trudnego wyboru. Moja podróż do Shanksville utwierdziła mnie tylko w przekonaniu, że nie wolno narażać Marleya na żadne dodatkowe cierpienia.

Teraz jednak, gdy stałem w poczekalni i usłyszałem, że ta godzina znowu nade mną zawisła, poczułem chłód. Lekarka widziała, co się ze mną dzieje, i zaczęła wymieniać komplikacje, jakich można się spodziewać, operując psa w wieku Marleya. Dodatkowo zaniepokoiły ją, jak powiedziała, ślady krwi w cewniku, które mogły wskazywać na problemy ze ściankami żołądka.

- Kto wie, na co moglibyśmy natrafić po otwarciu - zakończyła.

Powiedziałem jej, że chcę wyjść na zewnątrz, żeby zadzwonić do żony. Na parkingu przez komórkę zreferowałem Jenny, że bezskutecznie próbowano wszystkich sposobów ratunku z wyjątkiem operacji. Milczeliśmy przez telefon długą chwilę, nim Jenny odezwała się:

- Kocham cię, John.

- Ja też cię Kocham, Jenny - odparłem.

Wróciłem do środka i zapytałem lekarkę, czy mogę zostać z nim sam na parę minut. Uprzedziła mnie, że Marley jest pod wpływem silnych środków znieczulających.

- Ma pan tyle czasu, ile pan potrzebuje - dodała.

Leżał bez świadomości na noszach ustawionych na podłodze, z kroplówką wbity w łapę. Opadłem na kolana i przebiegłem palcami po jego skórze, tak jak lubił, od głowy do ogona. Podniosłem do góry zwisające uszy - te szalone uszy, które przez lata sprawiały mu tyle kłopotów, a nas kosztowały bająnskie sumy - i poczułem ich ciężar. Otworzyłem mu pysk i spojrzałem na okropne, zużyte zęby. Podniosłem przednią łapę i przytrzymałem w dłoni. Potem przytknąłem czoło do jego czoła i tkwiłem tak długo, jakbym mógł przekazać wiadomość z mojego mózgu do jego, przez nasze dwie czaszki. Chciałem, żeby zrozumiał parę rzeczy.

- Wiesz, jakie brednie wygadywaliśmy zawsze na twój temat - szeptałem. - Że jesteś utrapieniem. Nie wierz w to. Nie wierz w to ani przez chwilę, Marley.

Powinien o tym wiedzieć. I jeszcze o czymś. O czymś, czego mu nigdy nie powiedziałem. Ani ja, ani nikt inny. Chciałem, żeby to usłyszał, zanim odejdzie.

- Marley, jesteś wspaniałym psem.

Lekarka czekała na mnie w holu.

- Jestem gotowy - powiedziałem.

Głos mi zadrżał, co mnie zaskoczyło, bo naprawdę wierzyłem, że od miesiący jestem przygotowany na tę chwilę. Wiedziałem, że jeśli powiem jeszcze słowo, załamie się, więc tylko kiwnąłem głową i podpisałem dokumenty, które mi podała. Po załatwieniu formalności poszedłem za nią z powrotem do nieprzytomnego Marleya i znowu ukląknę przed nim. Kołysałem w dłoniach jego głowę, gdy lekarka szykowała strzykawkę i wbijała mu ją w bok.

- W porządku? - zapytała.

Skinałem głową. Nacisnęła tłok. Szczęki Marleya słabo drgnęły. Osłuchiwała serce - zwolniło, ale nie zatrzymało się. Był dużym psem. Przygotowała drugi zastrzyk i znów wcisnęła tłok. Po minucie osłuchiwała go jeszcze raz.

- Odszedł - powiedziała.

Zostawiła mnie z nim samego. Delikatnie podniosłem mu jedną powiekę. Miała rację. Marley odszedł.

Wyszedłem do recepcji i zapłaciłem rachunek. Firma miała w ofercie „zbiorową kremację” w cenie 75 dolarów lub indywidualną, ze zwrotem popiołów, za 170.

- Nie - powiedziałem. - Zabiorę go do domu.

Kilka minut później lekarka z asystentem przyprowadzili wózek, na którym leżał wielki czarny worek. Pomogli mi załadować go na tylne siedzenie. Lekarka uścisnęła mi rękę, mówiąc, jak jest jej przykro, i że zrobiła wszystko, co było możliwe.

- To był jego czas - odparłem, podziękowałem jej i odjechałem.

Po drodze w samochodzie zacząłem płakać, co prawie nigdy mi się nie zdarza, nawet podczas pogrzebów. Trwało to tylko kilka minut. Gdy wjeżdżałem na podjazd, miałem znowu suche oczy. Zostawiłem Marleya w samochodzie i wszedłem do domu, gdzie czekała Jenny. Dzieci już spały - powiemy im rano. Padliśmy sobie w ramiona i oboje się rozplakaliśmy. Chciałem jej to opowiedzieć, przekonać ją, że gdy nastąpił koniec, już głęboko spał, że obyło się bez strachu i bólu. Ale nie potrafiłem znaleźć słów. Więc po prostu trwaliliśmy w objęciach.

Później wyszliśmy na zewnątrz i wspólnie dźwignęliśmy ciężki czarny worek z samochodu na ogrodowy wózek, który zaciągnąłem na noc do garażu.

ROZDZIAŁ 28

Pod dzikimi wiśniami

Cieężko się spało tamtej nocy. Na godzinę przed świtem wysunąłem się z łóżka i ubrałem po cichu, żeby nie budzić Jenny. W kuchni wypilem szklanę wody - kawa mogła poczekać - i wyszedłem w drobny, grząski kapuśniaczek. Zabrałem szpadel, kilof i poszedłem w stronę żwirowej ścieżki otaczającej białe sosny, pod którymi Marley szukał łazienkowego schronienia minionej zimy. Właśnie tutaj postanowiłem go pochować. Temperatura była trochę powyżej zera i na szczęście ziemia jeszcze nie zamarzła. W półmroku zacząłem kopać. Gdy tylko przebiłem się przez cieką warstwę próchnicy, natrafiłem na gęstą, ciężką glinę utkaną kamieniami - wyrzucano tutaj ziemię z fundamentów pod dom. Praca szła powoli i żmudnie. Po piętnastu minutach zdjąłem kurtkę i zrobiłem przerwę na złapanie oddechu. Po trzydziestu minutach byłem zlany potem, a nie dotarłem nawet na głębokość pół metra. Po czterdziestu pięciu minutach dokopałem się do wody. Dół zaczął się wypełniać. Coraz bardziej. Wkrótce dno pokrywała trzydziestocentymetrowa warstwa zimnej, mulistej wody.

Przyniosłem wiadro i próbowałem ją wybrać, ale wciąż napływała nowa. Nie ma mowy, żebym włożył Marleya w to lodowate bagno. Nie ma mowy.

Machnąłem ręką na zainwestowaną pracę - serce mi waliło, jakbym właśnie ukończył maraton - porzuciłem to miejsce i ruszyłem na poszukiwanie innego. Zatrzymałem się u stóp wzgórza, tam, gdzie trawnik dochodził do skraju lasu. Między dwiema dzikimi wiśniami, których gałęzie w szarym świetle brzasku tworzyły nade mną łuk, jakby katedrę na otwartym powietrzu, wbiłem w ziemię szpadel. Były to te same drzewa, które razem z Marleyem mineliśmy o włos podczas naszego wariackiego zjazdu na toboganie.

- Czuję, że tutaj będzie dobrze - powiedziałem na głos.

W tym miejscu buldożer nie wyrzucał ilastego podłoża spod fundamentów, a naturalna gleba była lekka i dobrze zdrenowana - marzenie ogrodnika. Kopanie szło łatwo. Wkrótce miałem owalny dół głęboki na ponad metr. Poszedłem do domu. Cała trójka naszych dzieci cichutko pociągała nosami. Jenny właśnie im powiedziała.

Po raz pierwszy tak blisko zetknęły się z doświadczeniem śmierci. Ich smutek głęboko mnie poruszył. Tak, to był tylko pies, a psy w trakcie ludzkiego życia przychodzą i odchodzą, czasami po prostu dlatego, że stają się kłopotliwe. To był tylko pies, a jednak za każdym razem, gdy próbowałem z nimi porozmawiać o Marleyu, łzy napływały mi do oczu. Tłumaczyłem im, że płacz to nic złego, i że posiadanie psa zawsze kończy się smutkiem, bo po prostu psy nie żyją tak długo jak ludzie. Opowiedziałem, jak Marley spał, kiedy dostał zastrzyk, i że nic nie czuł. Po prostu odpłynął i już go nie było. Colleen martwiła się, że nie miała szansy naprawdę się z nim pożegnać. Myślała, że wróci do domu. Zapewniłem ją, że pożegnałem go od nas wszystkich. Conor, przyszły pisarz, pokazał mi rysunek, który chciał włożyć Marleyowi do grobu. Narysował wielkie czerwone serce, a pod nim napisał: „Dla Marleya. Mam nadzieję, że wiesz, jak bardzo cię kochałem. Zawsze byłeś tam, gdzie cię potrzebowałem. Przez całe życie i po śmierci, zawsze będę cię kochał. Twój brat Conor Richard Grogan”. Potem Colleen narysowała dziewczynkę z wielkim żółtym psem, a pod spodem z pomocą brata napisała: „PS - Nigdy cię nie zapomnę”.

Wyszedłem sam i zawiozłem ciało Marleya do stóp wzgórza, obciąłem naręcz miękkich, sosnowych gałęzi, żeby wyłożyć nimi dno dołu. Dźwignąłem ciężki worek z ciałem z wózka i spuściłem na dno tak delikatnie, jak tylko mogłem, chociaż naprawdę nie było stosownej metody na zrobienie

tego. Wszedłem do dołu, otworzyłem worek, żeby spojrzeć na Marleya ostatni raz, i ułożyłem go w wygodnej, naturalnej pozycji - właśnie tak, jak mógłby leżeć przed kominkiem, zwinięty w kłębek, z głową przytuloną do boku.

- W porządku, staruszkule, tak jest dobrze - powiedziałem. Zamknąłem worek i wróciłem do domu po Jenny i dzieci.

Całą rodziną poszliśmy do grobu. Conor i Colleen włożyli swoje rysunki do plastikowej koszulki, a ja położyłem ją tuż obok głowy Marleya. Patrick obciął scyzorykiem pięć sosnowych gałązek, po jednej dla każdego z nas. Kolejno wrzucaliśmy je do dołu, ich zapach unosił się wokół. Zamilkliśmy na chwilę, a potem wszyscy jednocześnie, jakbyśmy mieli to przećwiczone, powiedzieliśmy:

- Marley, kochamy cię.

Wziąłem szpadel i wrzuciłem do dołu pierwszą grudę ziemi. Pacnęła w plastik z nieprzyjemnym odgłosem i Jenny zaczęła płakać. Dalej pracowałem łopatą. Dzieci stały i patrzyły w milczeniu. Kiedy dół wypełnił się w połowie, zrobiłem sobie przerwę i wszyscy poszliśmy do domu. Usiedliśmy przy kuchennym stole i opowiadaliśmy zabawne historie z życia Marleya. W jednej chwili łzy tryskały nam z oczu, w następnej wybuchaliśmy śmiechem. Jenny opowiedziała, jak Marley dostał bzika podczas zdjęć do „The Last Home Run”, kiedy jakiś obcy człowiek podniósł małego Conora. Ja przypomniałem wszystkie smycze, które pogryzł, i to, jak nasiusił na nogę naszego sąsiada. Wyliczaliśmy zniszczone przedmioty i tysiące dolarów, które nas to kosztowało. Teraz mogliśmy się z tego śmiać. Żeby poprawić dzieciom nastrój, powiedziałem im coś, w co nie do końca wierzę.

- Duch Marleya poszedł do psiego raju - opowiadałem. - Biega sobie teraz swobodnie po wielkiej złotej łące. Znowu ma zdrowe biodra. Dobrze słyszy, wyraźnie widzi i ma

wszystkie zęby. Znowu robi to, w czym jest najlepszy: całymi dniami poluje na króliki.

- I ma tam nieskończoną ilość drzwi z siatki, żeby się przez nie przedzierać - dodała Jenny.

Wszyscy się roześmiali, wyobrażając sobie, jak Marley po swojemu niezdarnie galopuje przez niebiosy.

Poranek przemijał, a ja miałem jeszcze iść do pracy. Wróciłem sam do grobu i skończyłem zasypywać dół. Z szacunkiem udeptałem nadmiar ziemi. Kiedy grób był wyrównany, umieściłem na jego szczycie dwa wielkie kamienie z lasu. Potem wróciłem do domu, wziąłem gorący prysznic i pojechałem do redakcji.

W dniach bezpośrednio po tym, jak pochowaliśmy Marleya, cała rodzina była milcząca. Zwierzę, które przez lata stanowiło nieustanny obiekt żartów i wielogodzinnych opowieści, stało się tematem tabu. Staraliśmy się, aby nasze życie wróciło na normalne tory, ale każda wzmianka o nim tylko to utrudniała. Szczególnie Colleen reagowała gwałtownie, gdy usłyszała jego imię albo zobaczyła jego zdjęcie. Łzy napływały jej do oczu, zaciskała pięści i mówiła ze złością:

- Nie chcę o nim rozmawiać!

Wykonywałem swoje obowiązki - jeździłem do pracy, pisałem felietony, wracałem do domu. Przez trzynaście lat co wieczór czekał na mnie przy drzwiach. Właśnie powrót stał się najbardziej bolesną częścią tego wszystkiego. Dom zrobił się pusty, milczący, już nie całkiem był domem, Jenny odkurzała jak maniaczka, z determinacją usuwała wiadra włosów Marleya, które wypadały z niego w potężnych kłębach przez parę ostatnich lat i wkradały się w każdą szparę i w każdy kąt. Powoli znikwały ślady starego psa.

Pewnego dnia, gdy wkładałem buty, zobaczyłem wewnątrz nich, na wyściółce, dywanik z sierści Marleya.

Włosy zbierały się na skarpetkach, gdy chodziłem po podłodze i stopniowo gromadziły się w butach. Usiadłem i po prostu patrzyłem na wnętrze butów - wreszcie pogłaskałem wyściółkę dwoma palcami - i uśmiechnąłem się. Uniosłem buty, żeby pokazać Jenny.

- Nie pozbedziemy się go tak łatwo - powiedziałem.

Zaśmiałem się, ale tego wieczoru Jenny, która niewiele mówiła przez cały tydzień, wyrzuciła z siebie:

- Tęsknię za nim. To znaczy naprawdę bardzo mi go brakuje. Aż mnie boli w środku.

- Wiem - odparłem. - Mnie też.

Chciałem napisać pożegnalny felieton dla Marleya, ale bałem się, że nadmiar emocji wyleje się ze mnie w płaczliwym, sentymentalnym akcie uzalania się nad sobą, który mógłby mnie tylko upokorzyć. Sięgałem więc do tematów mniej drogich memu sercu. Wozilem jednak ze sobą dyktafon. W razie gdyby jakaś myśl przyszła mi do głowy, mógłbym ją zarejestrować. Wiedziałem, że chcę go sportretować takiego, jakim był, a nie jako nieznośnie doskonałą reinkarnację Żółtego Psiska czy innego Rin Tin Tina, o ile w ogóle coś takiego mogło mi grozić. No ale wielu ludzi przetwarza swoje psy pośmiertnie w nadnaturalnie szlachetne istoty, które za życia robiły dla swojego pana wszystko z wyjątkiem może jajecznicy na śniadanie. Ja chciałem być uczciwy. Marley był zabawną, droższą ponad życie zadrą w tyłku, która nigdy się nie połapała w całym łańcuchu powiązań i zależności. Uczciwie mówiąc, można by go uznać za najgorzej zachowującego się psa na świecie. Ale przy tym intuicyjnie od samego początku pojął, co to znaczy być najlepszym przyjacielem człowieka.

W ciągu tego tygodnia po jego śmierci kilka razy schodziłem ze wzgórza, żeby stanąć przy grobie. Trochę po to, żeby sprawdzić, czy nie przychodzą tam nocą jakieś dzikie

zwierzęta. Grób wyglądał na nienaruszony, ale już było widać, że wiosną trzeba będzie dorzucić parę taczek ziemi, żeby wypełnić obniżenie w tym miejscu.

Ale tak naprawdę chodziłem tam dlatego, że chciałem z nim pobyc. Stojąc tam, przyłapywałem się na tym, że odtwarzam ponownie różne przypadkowe skrawki z jego życia. Byłem niemal zakłopotany, jak głęboko przeżywam żal za tym psem, głębiej niż za wieloma ludźmi, których znałem. Nie chodzi o to, że zrównywałem życie psa z życiem ludzkim, ale poza moją najbliższą rodziną mało kto był mi tak bezinteresownie oddany.

Po kryjomu zabrałem łańcuszkową obrozę Marleya z samochodu, gdzie leżała od czasu jego ostatniej podróży do kliniki, i włożyłem ją do mojej szuflady pod bieliznę. Każdego ranka mogłem sięgnąć i jej dotknąć.

Cały tydzień odczuwałem tępy ból. Fizyczny ból, podobny do wywołanego przez żołądkowego wirusa. Byłem ospały, nie miałem chęci do działania. Brakowało mi energii nawet do tego, żeby zająć się swoimi ulubionymi sprawami - graniem na gitarze, stolarstwem, czytaniem. Czułem się wytracony z równowagi, nie wiedziałem, co ze sobą zrobić. Kończyło się na tym, że chodziłem spać bardzo wcześnie, o w pół do dziesiątej, o dziesiątej.

W sylwestra sąsiedzi zaprosili nas na przyjęcie. Znajomi złożyli nam po cichu kondolencje, ale wszyscy staraliśmy się lekko i wartko podtrzymywać rozmowę. Przy kolacji Sara i Dave Pandlowie, para architektów krajobrazu, którzy powrócili do Pensylwanii z Kalifornii, żeby zamieszkać w starej stodole zamienionej na dom, i stali się naszymi bliskimi przyjaciółmi, siedzieli w moim kącie stołu i cały czas mówili o psach, miłości i stracie. Sara i Dave pięć lat wcześniej stracili ukochaną suczkę Nelly, owczarka australijskiego. Pochowali ją na wzgórzu obok swego farmerskiego domu.

Dave jest jednym z najmniej sentymentalnych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałem, spokojny stoik wyrosły z milczącego pnia pensylwańskich Holendrów. Ale jeśli chodzi o Nelly, też musiał się uporać z głębokim, dojmującym smutkiem. Opowiedział mi, jak całymi dniami przeczesywał skaliste lasy za domem, zanim znalazł odpowiedni kamień na jej grób. Kamień miał kształt serca. Zabrał go do grawera, który wykuł na nim napis „Nelly”. Tyle lat później śmierć tego psa wciąż przejmowała ich do głębi. Kiedy o niej opowiadali, mieli wilgotne oczy. Jak powiedziała Sara, mrugając z powodu łez, czasem przyjdzie pies, który dotknie twojego życia, i nigdy o nim nie zapomnisz.

W ten weekend poszedłem na długi spacer do lasu, a gdy w poniedziałek pojawiłem się w pracy, wiedziałem, co chcę powiedzieć o psie, który dotknął mojego życia, o tym psie, którego nigdy nie zapomnę.

Zacząłem felieton od mojej wędrówki o świcie, ze szpadłem, w dół wzgórza. Pisałem, jak obco się czułem na dworze bez Marleya, który przez trzynaście lat uważał za swój obowiązek towarzyszyć mi podczas każdej wyprawy. „A teraz byłem sam - napisałem - i kopałem dla niego ten dół”.

Przytoczyłem słowa mojego ojca. Na wiadomość, że muszę pochować starego kumpla, ojciec zareagował czymś najbardziej zbliżonym do komplementu ze wszystkich rzeczy, jakie kiedykolwiek powiedziano o Marleyu:

- Nigdy nie będzie drugiego takiego psa jak Marley.

Dużo myślałem, jak mam go opisać, a oto, co napisałem: „Nikt nigdy nie nazwał go wspaniałym psem. Ani nawet dobrym psem. Był dziki jak demon i silny jak byk. Przedzierał się przez życie z wigorem towarzyszącym zwykle katastrofom żywiołowym. Jest jedynym znanym mi psem, który wyleciał ze szkoły tresury”. I ciągnąłem: „Był pożeraczem kanap i legowisk, niszczycielem siatkowych drzwi, rozpylaczem śliny,

przewalaczem pojemników na śmieci. Co do mózgu, niech wolno mi będzie po prostu powiedzieć, że aż do dnia, w którym umarł, gonił w kółko za własnym ogonem, w oczywistym przekonaniu, że jest o włos od największego przełomu w dziejach kynologii".

To nie była jednak cała prawda. Opisałem też jego intuicję i empatię, jego łagodność wobec dzieci, jego wielkie serce. Tak naprawdę chciałem opowiedzieć, jak ten zwierzak wpłynął na nasze dusze i jak dał nam kilka najważniejszych w życiu lekcji. „Człowiek może się wiele nauczyć od psa, nawet tak poplątanego jak nasz” - napisałem. „Marley każdego dnia z nieokiełznaną rozrzutnością i radością uczył mnie życia - tego, jak chwycić chwilę i iść za głosem własnego serca”.

„Marley nauczył mnie cenić proste rzeczy - spacer po lesie, świeży śnieg, drzemkę w plamie zimowego słońca. A im bardziej był stary i obolały, tym więcej dawał mi lekcji optymizmu w obliczu przeciwności losu. Najwięcej nauczył mnie o przyjaźni i bezinteresowności, a ponad wszystko o bezwarunkowej wierności”.

Był to zdumiewający koncept, który w pełni przyjąłem dopiero teraz, po jego śmierci - Marley jako mentor. Nauczyciel i wzór postępowania. Czy to możliwe, żeby pies, a szczególnie tak zwariowany i dziko nieposłuszny jak nasz, wskazywał człowiekowi, co tak naprawdę liczy się w życiu? Wierzę, że tak. Wierność. Odwaga. Poświęcenie. Prostota. Radość.

Pokazywał również, co nie jest ważne. Pies do niczego nie potrzebuje szpanerskich samochodów, wielkich domów i markowych ciuchów. Symbole pozycji społecznej nie mają dla niego znaczenia. Wystarczy mu zabłocony kawałek patyka. Pies nie osądza innych po kolorze ich skóry, wierze i pochodzeniu, ale na podstawie tego, kim są w środku. Psu jest wszystko jedno, czy jesteś biedny, czy bogaty, wykształcony

czy analfabeta, mądry czy głupi. Daj mu serce, a on odda ci swoje. To jest naprawdę całkiem proste, a jednak my, ludzie, o tyle mądrzejsi i bardziej wyrafinowani, stale mamy kłopoty z określeniem, co się liczy, a co nie. Kiedy pisałem ten pożegnalny felieton dla Marleya, zrozumiałem, że wszystko byłoby z nami w porządku, gdybyśmy tylko otworzyli oczy. Czasem potrzebny jest pies z brzydko pachnącym oddechem, fatalnymi manierami i czystymi intencjami, żeby pomóc nam zobaczyć.

Skończyłem pisać felieton, oddałem redaktorowi i pojechałem do domu w noc, czując się jakoś lżejszy, niemal pogodny, miałem wrażenie, że unoszę się w powietrzu, jakby zdjęto ze mnie ciężar, o którym nawet nie wiedziałem, że go noszę.

ROZDZIAŁ 29

Klub Niedobrych Psów

Kiedy następnego dnia dotarłem do pracy, na moim telefonie migało czerwone światełko informujące, że otrzymałem wiadomość. Wstukałem kod dostępu i usłyszałem ostrzeżenie, którego nigdy dotąd nie udało mi się usłyszeć. „Twoja skrzynka jest pełna - powiedział głos. - Proszę usunąć wszystkie zbędne wiadomości”.

Zalogowałem się w komputerze i otworzyłem e - maila. Ta sama historia. Ekran wypełniały nieprzeczytane wiadomości, następny ekran też. I następny. I tak dalej. Poranna lektura e - maili należała do mojego rytuału, były ważnym, choć niedokładnym barometrem efektu, jaki wywołał napisany poprzedniego dnia felieton. Po niektórych dostawałem zaledwie pięć lub dziesięć listów i w takich dniach wiedziałem, że nie zaiskrzyło. Inne przynosiły kilka tuzinów - dobry dzień. Niektóre nawet więcej. Ale tamtego ranka były ich setki, o wiele więcej, niż otrzymałem kiedykolwiek wcześniej. Tematy ostatnich wiadomości brzmiały: „Najgłębsze wyrazy współczucia”, „O pana stracie” albo zwyczajnie „Marley”.

Miłośnicy zwierząt są szczególną rasą ludzi - wielkoduszni, pełni empatii, może troszkę skłonni do sentymentalizmu i o sercach ogromnych jak bezchmurne niebo. Większość tych, którzy napisali, chciała po prostu wyrazić swoją sympatię, powiedzieć, że oni również jechali tą drogą i wiedzą, przez co przeszła moja rodzina. Inni mieli psy, których życie zmierzało do nieuniknionego końca, obawiali się tego, co musiało nastąpić, tak jak my się baliśmy. Jakieś małżeństwo napisało: „W pełni rozumiemy i jesteśmy pogrążeni w bólu z powodu pańskiej straty Marleya i naszej straty Rusty'ego. Zawsze nam ich będzie brakować, nigdy nic ich naprawdę nie zastąpi”. Czytelnik podpisany Joyce napisał:

„Dzięki, że przypomniał mi pan Duncana, który leży pochowany w naszym ogródku”. Człowiek z przedmieścia o imieniu Debi dodał: „Nasza rodzina rozumie, co pan czuje. W minione Święto Pracy musieliśmy uśpić naszego golden retrievera Chewy'ego. Miał trzynaście lat i wiele chorób, które pan opisał u swojego psa. Kiedy ostatniego dnia nie mógł nawet wstać, żeby wyjść na dwór na siusianie, zrozumieliśmy, że nie możemy dłużej narażać go na cierpienie. My też mamy grób na podwórku, pod czerwonym klonem, który zawsze nam będzie o nim przypominał”.

Pracowniczka działu kadr o imieniu Monica, właścicielka labradora Katie, napisała: „Przesyłam moje kondolencje i płaczę razem z panem. Moja dziewczynka Katie ma dopiero dwa lata i zawsze zadaję sobie pytanie: Monico, dlaczego pozwoliłaś, żeby to cudowne stworzenie do tego stopnia wkradło się do twojego serca?”. Od Carmeli: „Marley musiał być wspaniałym psem, jeśli miał rodzinę, która tak bardzo go kochała. Tylko właściciele psów potrafią zrozumieć bezwarunkową miłość, jaką one nas obdarzają, i straszliwy ból serca, kiedy odchodzą”. Elaine: „Zwierzęta żyją z nami tak krótko, a i tak większość czasu spędzają, czekając każdego dnia na nasz powrót do domu. To zdumiewające, ile miłości i śmiechu wnoszą w nasze życie, a nawet o ile bliżsi stajemy się sobie nawzajem dzięki nim”.

Od Nancy: „Psy są jednym z cudów świata i wiele dodają do naszego życia”. MaryPat: „Do dzisiaj brakuje mi znajomych odgłosów, kiedy Max chodził po domu, szukając różnych rzeczy. Od tej ciszy można oszaleć, szczególnie w nocy”. Od Connie: „Miłość do psa to najdziwniejsza rzecz, prawda? Sprawia, że relacje z ludźmi wydają się nudne jak talerz owsianki”.

Kiedy kilka dni później wiadomości przestały w końcu nadchodzić, policzyłem je. Blisko osiemset osób, sami

miłośnicy zwierząt, było na tyle poruszonych, że chciało im się ze mną skontaktować. To był niewiarygodny zalew wiadomości, a dla mnie - katharsis. Zanim przeorałem się przez nie wszystkie - i odpowiedziałem na tyle, na ile zdołałem - poczułem się lepiej, jakbym należał do gigantycznej, wirtualnej grupy wsparcia. Mój prywatny smutek stał się publiczną sesją terapeutyczną i w tym tłumie nikt się nie wstydził przyznać do prawdziwego, dojmującego żalu za czymś tak pozornie błahym jak stary, śmierdzący pies.

Moi korespondenci pisali i dzwonili również z innych powodów. Chcieli podyskutować o głównym przesłaniu mojego artykułu, czyli tej jego części, w której się upieram, że Marley zachowywał się najgorzej ze wszystkich zwierząt na świecie. „Proszę mi wybaczyć - brzmiała typowa wypowiedź - ale pana pies nie mógł być najgorszy na świecie, ponieważ to mój pies jest najgorszy na świecie”. Na dowód swego przypadku raczyli mnie szczegółowymi opisami godnych pożałowania zachowań swoich ulubieńców. Usłyszałem o podartych firankach, ukradzonej bieliźnie, zaginionych tortach urodzinowych, zniszczonych wnętrzach samochodów, wielkich ucieczkach, a nawet połkniętym diamentowym pierścionku zaręczynowym, w porównaniu z czym upodobanie Marleya do złotych łańcuszków wydawało się przyziemne. Moja skrzynka odbiorcza przypominała telewizyjny talk - show pod tytułem „Niedobre psy i ludzie, którzy je kochają”, w którym chętne ofiary czekają w kolejce, żeby się pochwalić nie tym, jak cudowne są ich psy, ale tym, jakie są okropne. Rzecz zastanawiająca, większość straszliwych opowieści dotyczyła wielkich, głupkowatych retrieverów, właśnie takich jak mój. Mimo wszystko nie byliśmy osamotnieni.

Kobieta o imieniu Elyssa opisała, jak jej labrador Mo zawsze wydostawał się z domu, kiedy zostawał sam, zwykle

przedzierając się przez siatki na oknach. Elyssa i jej mąż sądzili, że pokrzyżują jego plany wycieczkowe, jeśli pozamykają i zablokują wszystkie okna na parterze. Nie przyszło im do głowy, by zabezpieczyć również okna na piętrze. „Pewnego dnia mój mąż wrócił do domu i spostrzegł, że siatka w oknie na górze luźno powiewa na wietrze. Przestraszył się śmiertelnie o psa” - napisała. W chwili, gdy jej mąż zaczął bać się najgorszego, „Mo nagle wyszedł z za rogu domu ze spuszczoną głową. Wiedział, że wpakował się w kłopoty, ale byliśmy szczęśliwi, że nic mu się nie stało. Wyfrunął przez okno i wylądował w gęstych krzakach, które złagodziły upadek”.

Labrador Larry połknął biustonosz swojej pani i zwrócił go po dziesięciu dniach w jednym kawałku. Gipsy, inny labrador o awanturnicznych upodobaniach, pożarł żaluzje okienne. Jason, mieszaniec retrievera z seterem irlandzkim, pokonał rurę od odkurzacza o długości dwóch metrów, „wewnętrzny drut zbrojeniowy i wszystko” - donosił jego właściciel Mike. „Jason wygryzł również w tynku dziurę wielkości pół metra na metr i przekopał metrowej długości rów w dywanie ciągnący się od jego ulubionego miejsca pod oknem” - napisał Mike i dodał: „ale kocham tego bydlaka”.

Phoebe, mieszaniec labradora, została wyrzucona z dwóch psych hoteli i poproszona, by nigdy więcej się tam nie pojawiała - napisała jej właścicielka Aimee. „Zdaje się, że została szefem gangu, bo nie tylko sama wydostała się z klatki, ale pomogła w tym dwóm innym psom. Potem przez całą noc współdziałały w zdobywaniu rozmaitych przekąsek”. Hayden, 45 - kilogramowy labrador, zjadał wszystko, co tylko znalazło się w pobliżu jego pyska - donosiła jego właścicielka Carolyn - łącznie z pudełkiem jedzenia dla rybek, parą zamszowych mokasynów i tubką kleju Superglue „nie za jednym posiedzeniem”. Dodała: „Szczytem było, kiedy

wyrwał ze ściany ramę drzwi garażowych, bo bezmyślnie przywiązałam do niej smycz, żeby sobie poleżał na słońcu".

Tim opowiedział, że jego labrador Ralph był prawie takim samym złodziejem jedzenia jak Marley, tylko sprytniejszym. Pewnego dnia przed wyjściem Tim postawił wielki tort czekoladowy na lodówce, żeby go zabezpieczyć przed pyskiem Ralph. Pies - donosił jego właściciel - łapą otworzył sobie szuflady w szafce obok lodówki i jak po schodkach wdrapał się po nich na blat, skąd, balansując na tylnych łapach, dosięgnął tortu, po którym nie został nawet ślad, kiedy jego pan wrócił do domu. Mimo przedawkowania czekolady Ralph nie miał żadnych objawów chorobowych. „Innym razem - napisał Tim - Ralph otworzył lodówkę i wyczyścił jej zawartość, łącznie z tym, co było w słoikach".

Nancy wycięła sobie mój felieton, żeby go zachować, bo Marley tak bardzo był podobny do jej retrievera Gracie. „Zostawiłam wycinek na stole i poszłam odłożyć nożyczki - napisała Nancy. - Nim wróciłam, Gracie zdążyła już zjeść pański felieton".

No, od razu poczułem się lepiej. Marley na tym tle już nie wyglądał tak strasznie. W najgorszym razie z pewnością znalazłby wielu kumpli w Klubie Niedobrych Psów. Wziąłem kilka listów do domu, żeby pokazać Jenny. Czytając je, śmiała się po raz pierwszy od śmierci Marleya. Moi nowi przyjaciele z Tajnego Bractwa Właścicieli Nadpobudliwych Psów pomogli nam bardziej, niż sądzili.

Dni zmieniały się w tygodnie, a zima w wiosnę. Narczy przebiły się przez ziemię i zakwitły wokół grobu Marleya, a delikatne białe płatki wiśniowych kwiatów opadały na dół, by na nim odpocząć. Stopniowo przyzwyczajaliśmy się do życia bez naszego psa. Zdarzały się dni, w ciągu których nawet o nim nie pomyślałem, ale potem jakiś drobiazg - jego włos na moim swetrze, grzechot łańcuszkowej obroży, gdy sięgałem

do szuflady po skarpetki - nagle gwałtownie go przypominał. W miarę upływu czasu wspomnienia stawały się bardziej przyjemne niż bolesne. Dawno zapomniane chwile wyświetlały się w mojej głowie z żywą jasnością, jak filmy odtwarzane na domowym wideo. Lisa, ofiara napaści, która pochyliła się i pocałowała Marleya w nos, po tym jak wyszła ze szpitala. Członkowie ekipy filmowej, którzy łąsili się do niego. Listonoszka, która pieściła go codziennie przed frontowymi drzwiami. Sposób, w jaki trzymał przednimi łapami owoc mango i obgryzał miąższ. Sposób, w jaki wtykał nos w dziecięce pieluszki z narkotyczną błogością na pysku, i sposób, w jaki zebrał o środki uspokajające, jakby to były kawałki steku. Drobnostki, pewnie niewarte wspomnienia, a jednak tkwiły w zakamarkach mojej pamięci i przypadkowo wyświetlały się na moim umysłowym ekranie filmowym w najmniej prawdopodobnych chwilach i miejscach. Większość z nich pobudzała mnie do uśmiechu, nieliczne sprawiały, że przygryzałem wargi i milkłem.

Byłem w redakcji na zebraniu działu, kiedy przyszła do mnie jedna z nich. Działo się to jeszcze w West Palm Beach, Marley był szczeniakiem, a Jenny i ja byliśmy ciągle nowożeńcami o rozmarzonych oczach. Spacerowaliśmy wzdłuż Intracoastal Waterway w krystaliczny zimowy dzień, trzymając się za ręce. Marley szedł z przodu, holując nas za sobą na smyczy. Pozwoliłem mu wskoczyć na betonowy falochron szerokości około pół metra wznoszący się jakiś metr nad powierzchnią wody.

- John - zaprotestowała Jenny - on może spaść.

Spojrzałem na nią z powątpiewaniem.

- Sądysz, że jest aż tak głupi? Żeby zejść poza krawędź w powietrze?

Dziesięć sekund później to właśnie zrobił. Wpadł do wody z głośnym pluskiem, co zmusiło nas do przeprowadzenia

skomplikowanej akcji ratunkowej zakończonej wydobyciem go z powrotem na murek i na suchy ląd.

Kilka dni później jechałem na wywiad, kiedy znikąd napłynęła inna scena z wczesnego okresu naszego małżeństwa: romantyczny wyjazd weekendowy spędzony w chatce na plaży na wyspie Sanibel, zanim jeszcze pojawiły się dzieci. Panna młoda, pan młody - i Marley. Całkiem zapomniałem o tym weekendzie i nagle się pojawił, odegrany w żywych kolorach - jedziemy samochodem, Marley, zaklinowany między nami, nosem od czasu do czasu przełącza biegi na luz. Kiedy po całym dniu spędzonym na plaży kapaliśmy go pod prysznicem w naszym wynajętym domku, mydliny, woda i piasek fruwały wszędzie. Później Jenny i ja kochaliśmy się pod chłodnym bawełnianym prześcieradłem w podmuchach oceanicznej bryzy, a wydrowy ogon Marleya bębnił w materac.

Odgrywał główną rolę w niektórych najszcześniejszych rozdziałach naszego życia. Rozdziałach poświęconych młodszej miłości i nowym początkom, dobrze zapowiadającym się karierom i małym dzieciom. Rozdziałach o podniecających sukcesach i druzgocących rozczarowaniach; o odkryciu i wolności, i samorealizacji. Wszedł w nasze życie akurat w chwili, kiedy próbowaliśmy sobie wyobrazić, czym ono będzie. Dołączył do nas, gdy borykaliśmy się z tym, z czym każda para musi się w którymś momencie skonfrontować - z czasami bolesnym procesem wykuwania z dwóch osobnych przeszłości wspólnej przyszłości. Stał się częścią tkanego przez nas gobelinu, ściśle wplecioną i nieodłączną nitką tej tkaniny, którą byliśmy. Tak jak my pomagaliśmy mu wyrosnąć na rodzinnego psa, którym miał być, tak on pomagał nam ukształtować się w parę, w rodziców, w miłośników zwierząt, w dorosłych ludzi. Mimo wszystko, mimo rozczarowań i niespełnionych oczekiwań,

Marley przekazał nam dar jednocześnie bezcenny i bezpłatny. Nauczył nas sztuki bezwarunkowej miłości. Jak ją dawać i jak ją przyjmować. Kiedy to się potrafi, większość innych spraw sama znajduje właściwe dla siebie miejsce.

W lecie, które nastąpiło po jego śmierci, urządziliśmy basen w ogrodzie i nie mogłem powstrzymać myśli, jak bardzo Marley, nasz niestrudzony wodny pies, ucieszyłby się z tego. Uwielbiałby go bardziej niż ktokolwiek z nas, chociaż rozdrapywałby pazurami folię na dnie i zapychałby kłakami filtry. Jenny nie mogła się nadziwić, jak łatwo jest utrzymać dom w czystości bez liniejącego, śliniącego się i nanoszącego błoto psa. Ja zauważyłem, jak miło jest chodzić bosą po trawie, nie bacząc, w co się wdepnie. Ogród miał się stanowczo lepiej bez wielkiego, ciężkołapego i tratującego wszystko łowcy królików. Nie ma wątpliwości - życie bez psa było łatwiejsze i zdecydowanie prostsze. Mogliśmy wyjechać na weekend, nie martwiąc się, gdzie go umieścimy w tym czasie. Mogliśmy wyjść na kolację, nie zastanawiając się, jakie rodzinne dobra narażamy na niebezpieczeństwo. Dzieci mogły jeść, nie pilnując swoich talerzy. Nie trzeba było przed każdym wyjściem z domu ustawiać kosza na śmieci na kuchennym blacie. No i znowu mogliśmy siedzieć za domem i spokojnie napawać się widokiem cudownego pokazu burzowych błyskawic. Ja szczególnie lubiłem swobodę poruszania się po domu bez wielkiego żółtego magnesu przyczepionego do moich pięt. A jednak nie byliśmy pełną rodziną.

*

Pewnego ranka późnym latem zszedłem na śniadanie, a Jenny podała mi otwartą gazetę.

- Nie uwierzysz - powiedziała.

Raz w tygodniu nasz lokalny dziennik przedstawiał jakiegoś psa z miejscowego schroniska, który potrzebował

domu. Opis zawierał zawsze zdjęcie psa, jego imię i krótką charakterystykę napisaną tak, jakby pies mówił w pierwszej osobie, pokazując się od najlepszej strony. Za pomocą tej sztuczki ludzie ze schroniska chcieli sprawić, by zwierzęta wydawały się czarujące i godne miłości. Zawsze nas śmieszyły psie wypowiedzi, choćby z powodu wysiłku, jaki wkładano, by pokazać w najlepszym świetle niechciane, przynajmniej raz odrzucone zwierzęta.

Tego dnia z gazety patrzył na mnie pysk, który od razu rozpoznałem. Nasz Marley. Albo przynajmniej pies, który mógł być jego bliźniakiem. Wielki samiec żółtego labradora z głową jak kowadło, zmarszczonym czołem i oklapłymi uszami przechylnymi w tył pod komicznym kątem. Patrzył prosto w obiektyw z tak wibrującym napięciem, że po prostu wiedziałeś, iż sekundę po zrobieniu zdjęcia obalił fotografa na ziemię i próbował połknąć aparat. Pod zdjęciem było imię: Lucky. Przeczytałem na głos jego autoreklamę. Oto, co Lucky powiedział o sobie: „Mam mnóstwo werwy. Będę zadowolony ze spokojnego domu, bo muszę się nauczyć, jak opanować swoją energię. Nie miałem łatwego życia, więc moja nowa rodzina powinna okazać mi dużo cierpliwości i nadal wpajać mi dobre psie maniere”.

- Boże! - wykrzyknąłem - To on! Wrócił z za grobu.

- Reinkarnacja - powiedziała Jenny.

To było niesamowite, do jakiego stopnia Lucky wyglądał jak Marley i jak bardzo opis pasował do niego. Mnóstwo werwy? Problem z opanowaniem energii? Pracować nad psimi manierami? Wymagana cierpliwość? Dobrze znaliśmy te eufemizmy, bo sami często ich używaliśmy. Nasz umysłowo niezrównoważony pies powrócił młody i silny, i bardziej dziki niż kiedykolwiek. Staliśmy oboje i bez słowa wpatrywaliśmy się w gazetę.

- Sądzę, że moglibyśmy tam pojechać i spojrzeć na niego
- powiedziałem.
- Po prostu dla zabawy - przytaknęła Jenny.
- Słusznie. Po prostu z ciekawości.
- Co nam szkodzi popatrzeć?
- Zupełnie nic - zgodziłem się.
- Właśnie - powiedziała. - Dlaczego nie?
- Co mamy do stracenia?

Podziękowania

Żaden człowiek nie jest samotną wyspą, dlatego chciałbym podziękować wielu osobom, których wsparcie pomogło mi doprowadzić do powstania tej książki. Pozwólcie, że zacznę od wyrażenia najgłębszych wyrazów uznania dla mojej agentki, utalentowanej i niezmordowanej Laurie Abkemeier z DeFiore and Company, która wierzyła w tę historię i moją zdolność do jej opowiedzenia, jeszcze zanim ja w pełni w to uwierzyłem. Jestem przekonany, że bez jej niesłabnącego entuzjazmu i opieki ta książka nadal tkwiłaby jedynie w mojej głowie. Dziękuję ci, Laurie, za to, że jesteś moim powiernikiem, obrońcą, przyjacielem.

Serdeczne podziękowania dla mojego fantastycznego redaktora Mauro DiPreta, którego rozumna i inteligentna praca ulepszyła tę książkę, i dla zawsze pogodnej Joelle Yudin, która pilnowała wszystkich szczegółów. Dziękuję również Michaelowi Morrisonowi, Lisie Gallagher, Seale Ballenger, Anie Marii Alessi, Christine Tanigawa, Richardowi Asuanowi i wszystkim z HarperCollins za to, że zakochali się w Marleyu i jego historii, i sprawili, że moje marzenia stały się rzeczywistością.

Mam dług wdzięczności wobec redaktorów z „Philadelphia Inquirer” za ocalenie mnie przed wygnaniem z gazety, które sam sobie chciałem narzucić, choć tak bardzo kocham tę pracę, i za to, że ofiarowali mi bezcenny dar w postaci mojego własnego felietonu w największym amerykańskim dzienniku.

Jestem nieskończenie wdzięczny Annie Quindlen, której zapał i zachęta na początku pracy znaczyły dla mnie więcej, niż się domyślała.

Serdecznie dziękuję Jonowi Katzowi za cenne rady i zrozumienie. Jego książki - szczególnie „A Dog Year: Twelve Months, Four Dogs and Me” - były dla mnie inspiracją.

Jimowi Tolpinowi, zapracowanemu prawnikowi, który zawsze znajdował czas, by udzielić mi darmowej i mądrej rady, Pete'owi i Maureen Kelly, których towarzystwo - i chata nad jeziorem Huron - było tak potrzebnym balsamem. Rayowi i JoAnn Smithom za to, że byli wtedy, kiedy potrzebowałam ich najbardziej, i Timothy'emu R. Smithowi za piękną muzykę, która doprowadzała mnie do łez. Diggerowi Danowi za niezawodne dostawy wędzonego mięsa i mojemu rodzeństwu: Marijo, Timothy'emu i Michaelowi Groganom za kibicowanie. Marii Rodale za to, że powierzyła mi ukochane rodzinne dziedzictwo i pomogła mi odzyskać równowagę. Wszystkim przyjaciółom i kolegom, zbyt licznym, by ich wymieniać, za ich przychylność, wsparcie i najlepsze życzenia... Dziękuję wam wszystkim.

Nie mógłbym nawet rozważać tego projektu bez mojej matki Ruth Marie Howard Grogan, która wcześniej mnie uczyła, jaką radość daje dobrze opowiedziana ciekawa historia, i podzieliła się ze mną swoim darem opowiadania. Ze smutkiem wspominam i oddaję cześć największemu z moich fanów, mojemu ojcu Richardowi Frankowi Groganowi, który zmarł 23 grudnia 2004 roku, kiedy ta książka szła do produkcji. Nie zdążył jej przeczytać, ale pewnego wieczoru, gdy był już chory, usiadłem przy nim i przeczytałem mu na głos kilka pierwszych rozdziałów, które nawet go rozśmieszyły. Ten śmiech będę zawsze pamiętał.

Mam wielki dług wobec mojej ukochanej i cierplivej żony Jenny oraz moich dzieci: Patricka, Conora i Colleen, za to, że pozwolili, bym wystawił ich na widok publiczny, ujawniając intymne szczegóły. Jesteście, dzieciaki, superdrużyną i kocham was tak, że nie da się tego wyrazić słowami.

Na koniec (tak, jeszcze raz) muszę podziękować mojemu upierdliwemu czworonogiemu przyjacielowi, bez którego nie byłoby książki „Marley i ja”. Byłby szczęśliwy, gdyby

wiedział, że jego dług za wszystkie rozprute materace, rozdrapane ściany i połamane kosztowności został teraz już oficjalnie w pełni spłacony.

O autorze

John Grogan jest felietonistą „Philadelphia Inquirer” i byłym redaktorem naczelnym magazynu „Organic Gardening” wydawnictwa Rodale. Wcześniej pracował jako reporter, szef oddziału i felietonista w różnych gazetach w stanie Michigan i na Florydzie. Zdobył wiele nagród, między innymi Consumer Journalism Award Narodowego Stowarzyszenia Dziennikarzy. Mieszka na porośniętym lasem wzgórzu w Pensylwanii z żoną, trójką dzieci i zadziwiająco spokojnym labradorem retrieverem o imieniu Gracie.